

Laureat Literackiej Nagrody Nobla

Nadżib Mahfuz

Hamida

z zaułka Midakk




Nadżib Mahfuz

Hamida z zaułka Midakk

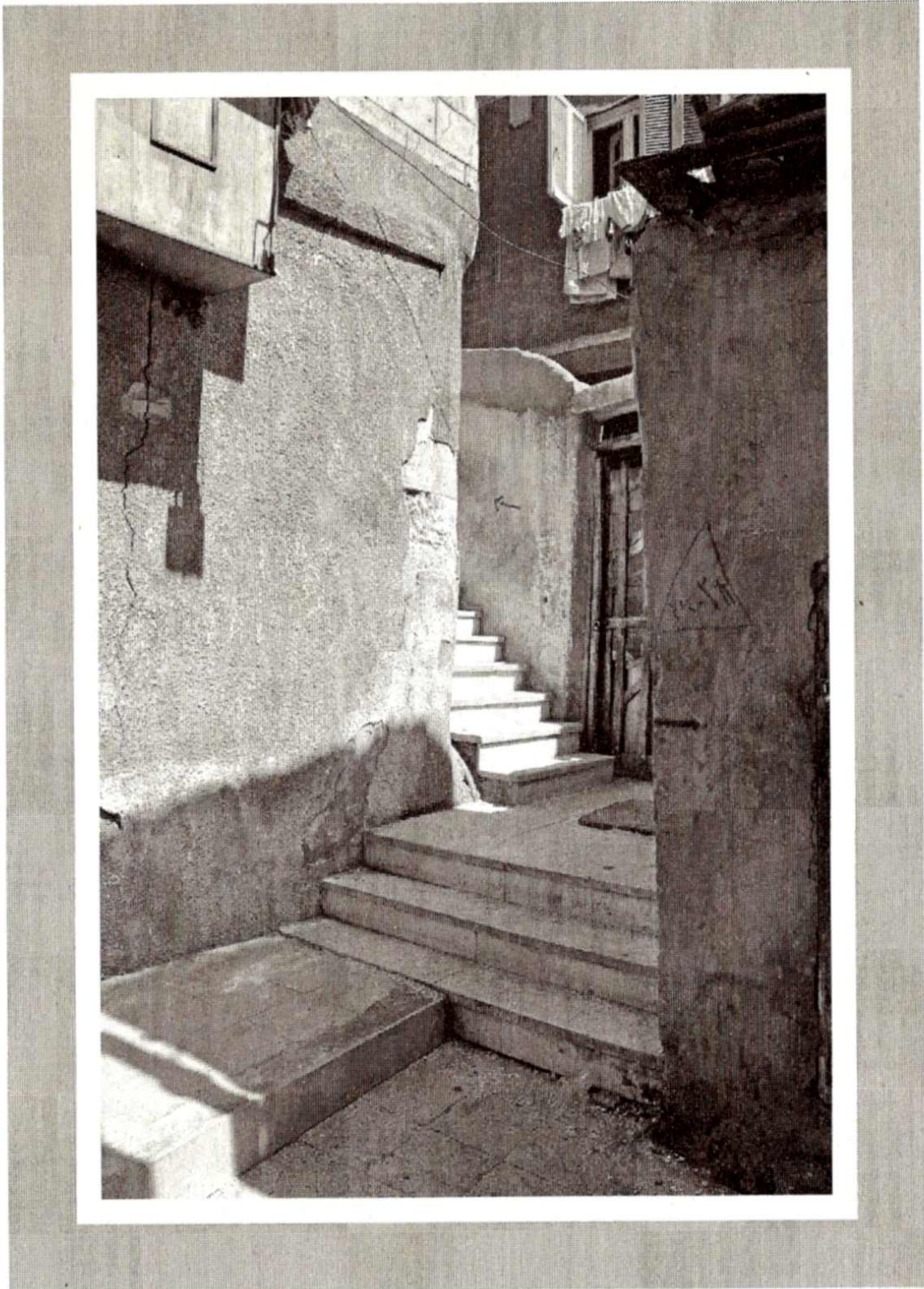
przekład z języka arabskiego

Jolanta Kozłowska



smak  słowa

Sopot 2010



Kair, zaułek Midakk, rok 2009.

Fot. Szymon Świtajski

Przedmowa

Nadżib Mahfuz (1911-2005), laureat literackiej Nagrody Nobla w 1988 roku, jest pisarzem niezwykle popularnym w krajach arabskich. Jego bogata i różnorodna twórczość obejmuje powieści, opowiadania, scenariusze filmowe, a także kilka jednoaktówek. W Polsce znany był do niedawna tylko osobom zawodowo zajmującym się światem arabskim, a zwłaszcza jego kulturą – literaturą i sztuką. Obecnie coraz więcej czytelników sięga po ukazujące się w języku polskim przekłady jego utworów.

Nadżib Mahfuz urodził się w Kairze w ludowej dzielnicy Al-Dżamalijja, jednej z najstarszych i najbiedniejszych dzielnic. Kiedy miał sześć lat, jego rodzina przeniosła się do położonej nieopodal bardziej nowoczesnej dzielnicy Al-Abbasijja, którą Mahfuz opisał później w drugim tomie „Trylogii” (polski tytuł: *Opowieści starego Kairu. Kamal*). Jako kilkunastoletni chłopiec Nadżib Mahfuz poznał starą część Kairu, skupioną wokół meczetów Al-Husajna i Al-Azhar, sięgającą czasów fatymidzkich (X-XII w.), która później odegrała wielką rolę w jego twórczości. Jeden z jego kolegów szkolnych odziedziczył sklep w tej okolicy i przerwał naukę, aby go prowadzić. Nadżib Mahfuz wraz z innymi kolegami stał się jego częstym gościem. Przesiadując w kawiarni, paląc nargile i gawędząc, obserwował ludzi i obyczaje panujące w tej tak innej i dziwnej (jak to opisał w powieści *Chan al-Chalili*), „świętej” dzielnicy. W tych właśnie miejscach toczy się akcja wszystkich powieści społeczno-obyczajowych Mahfuz, do których należy prezentowana tu (tytuł oryg. *Zukak al-Midakk*). Powieści te powstały w najbardziej twórczym okresie w życiu pisarza, przypadającym na lata 1945-1960. *Hamida z zaułka Midakk* jest jedną z najlepszych i najczęściej czytanych powieści z tej serii, obok „Trylogii” (której pierwszy tom ukazał się w Polsce w 1989 roku), będącej jej ukoronowaniem i w ogóle

największym osiągnięciem prozatorskim Nadżiba Mahfuza, oraz *Chan al-Chalili* – niewielkiej powieści, w której ta „święta” dla kairczyków dzielnica jest ukazana ze szczególnym pietyzmem. Nadżib Mahfuz, nazywany pisarzem Kairu, był zafascynowany *Chan al-Chalili* i jej mieszkańcami, którzy stali się bohaterami jego powieści. Byli to na ogół ludzie biedni, urzędnicy niskiego szczebla (sam autor przez wiele lat pełnił taką funkcję w Ministerstwie Wafów), sklepikarze, fryzjer, swatka, raz pojawia się kupiec, ale należący do drobnej burżuazji. Ich losy są wpisane w aktualną sytuację społeczno-polityczną i uwarunkowane społecznie, a zarazem podporządkowane bezwzględnej konieczności, czyli fatum. Według autora bowiem z jednej strony to warunki społeczne są przyczyną ludzkiej nędzy i nieszczęścia, z drugiej zaś życie człowieka podlega siłom, na które nie ma on wpływu.

Hamida, główna bohaterka *Zukak al-Midakk*, to jedna z najbardziej interesujących postaci kobiecych w twórczości Nadżiba Mahfuza. Jest nieślubnym dzieckiem, jej przybrana matka, biedna swatka, wynajmuje mieszkanie w domu bogatej wdowy w zaułku. Hamida jest piękna i harda. Nienawidzi zaułka, jego nędzy i panującej wokół beznadziei, marzy o nowoczesnych dzielnicach Kairu, o tym, żeby odrzucić galabiję, ubierać się modnie i żyć jak nowoczesna dziewczyna. Imponują jej nawet żydówki, robotnice, które noszą sukienki, pracują, są samodzielne. Wie, że jeśli wyjdzie za mąż za mężczyznę z zaułka, czeka ją los taki jak innych kobiet z jej sfery: mnóstwo dzieci, nędza i brud. Hamida jest „dziewczyną przerażająco dziwną” – jak mówi o niej matka – jej ambicja, pragnienie dominowania, bunt przeciw zasadom moralnym i obyczajom zaułka doprowadzą w końcu do tragedii; nie tylko sama nie zazna szczęścia, ale też zniszczy młodego, poczciwego, zakochanego w niej fryzjera.

Autor ukazuje oprócz Hamidy wiele innych malowniczych postaci z zaułka: Ma'allima Kirszę, właściciela kawiarni, homoseksualistę, który urządza seanse palenia haszyszu z młodymi

mężczyznami; „doktora” Busziego, dentystę samouka; Saniję Afifi, bogatą wdowę po pięćdziesiątce, która wydaje się za młodego chłopca; Sajjida Radwana al-Husajniego, świętego szajcha, który wybiera się na pielgrzymkę do Mekki, żeby wybłagać przebaczenie grzechów dla mieszkańców zaułka, i obłąkanego szajcha Darwisza, niegdyś nauczyciela języka angielskiego.

Zanim zaczęłam tłumaczyć powieści Nadżiba Mahfuza, obroniłam pracę doktorską na temat jego „Trylogii”, a przygotowywałam się do niej, odbywając kilkumiesięczne stypendia w Kairze. Poznałam wtedy dokładnie tę część miasta, którą autor opisywał w swoich powieściach, zgłębiłam wszelkie szczegóły topograficzne, chodziłam po uliczkach, przy których mieszkali bohaterowie jego książek, obejrzałam domy i ich wnętrza, odwiedziłam kawiarenki i rozmawiałam z napotkanymi tam ludźmi. Wszystko to miałam przed oczami, tłumacząc później utwory Nadżiba Mahfuza.

Spotkałam też samego pisarza, w redakcji Al-Ahramu, gdzie pracował. Opowiadał mi o swoich fascynacjach literackich, o kształtowaniu się jego światopoglądu, o swojej miłości do Kairu i o tym, że nigdy nie opuszczał tego miasta, podróże go nie interesowały – jego podróżami były spacerunki po tutejszych ulicach. Nadżib Mahfuz okazał się niezwykle miłym, serdecznym i życzliwym człowiekiem. Uwielbiał przesiadywać w ulubionej kawiarence i gawędzić, snuć opowieści, w czym przypominał dawnych arabskich rawich, ulicznych, kawiarnianych opowiadaczy, jakich jeszcze w latach pięćdziesiątych XX wieku można było spotkać na ulicach Kairu, Bagdadu, Tunisu. Zresztą Egipcjanie mówili o nim „ostatni egipski rawi”. W powieści występuje taki kawiarniany rawi, ale niewielu ma słuchaczy i jest z kawiarni przepędzany, ludzie wolą słuchać radia.

Nadżib Mahfuz jest najwybitniejszym prozaikiem arabskim (choć w samym Egipcie znalazłoby się kilku świetnych pisarzy), ale przede wszystkim jest twórcą arabskiej powieści. Przynosił lite-

raturze z tamtych kręgów kulturowych ów gatunek prozatorski i osiągnął w pisaniu powieści wysoki poziom artystyczny. Należy wspomnieć, że zarówno nowelę, jak i opowiadanie, a także powieść i dramat przejęli Arabowie od Europejczyków dopiero w początkach XX wieku, a do końca lat trzydziestych trwał okres narodzin różnych gatunków prozy. Ostatecznie najwybitniejsi okazali się twórcy opowiadań i nowel. Nawiasem mówiąc, w tym czasie beletrystykę uważano w Egipcie za niższy gatunek twórczości niż na przykład eseje czy artykuły prasowe. Dla Arabów literaturą piękną pozostawała wciąż przede wszystkim poezja. Dopiero Nadżib Mahfuz sprawił, że powieść stała się uznanym i popularnym gatunkiem literackim w krajach arabskich.

Jolanta Kozłowska

Rozdział 1

Wiele wskazuje na to, że zaułek Al-Midakk był osobliwością minionych czasów i kiedyś, w dawnym Kairze, błyszczał jak drogocenna perła. Kiedy to było? Za Fatymidów?... Mameluków? A może Osmanów? Wie tylko jeden Bóg i uczeni archeolodzy. W każdym razie istnieją ślady jego dawnej wspaniałości, i to jakie ślady! Choćby to, że uliczka wyłożona jest gładkimi kamiennymi płytami i schodzi w dół do As-Sanadikijji, tego historycznego zakątka, choćby zniszczone przez czas arabski na ścianach kawiarni, znanej dziś jako kawiarnia Kirszy, czy też silne zapachy leków starej apteki, która z czasem stała się – ho, ho – nowoczesną drogerią...

I mimo że zaułek żyje jakby na uboczu, bardzo daleko od ścieżek, którymi biegnie wielkomiejskie życie, to jednak trzyma się go mocnymi, głębokimi korzeniami, a jednocześnie tętni własnym rytmem, zachowując na domiar walory świata zamkniętego, tajemniczego.

Słońce ogłosiło już zachód i zaułek Al-Midakk otulił się w ciemny welon zmroku. Z trzech stron ograniczony ścianami domów, z jednym tylko wyjściem na As-Sanadikijję, wygląda jak złapany w sieć. Domy pną się w górę bezładnie: po jednej stronie sklep, kawiarnia i piekarnia, po drugiej także sklep oraz przedsiębiorstwo As-Sajjida Ulwana, a zaraz potem dwie przylegające do siebie trzypiętrowe kamieniczki i to już wszystko. Mały i krótki jest zaułek, jak krótko trwała jego dawna sława.

Ucichł gwar dnia, wokół pełzały i skradały się wieczorne szmery. To tu, to tam słyhać było szepty i westchnienia: „O Panie, o

Ty, który zawsze wspomagasz, o Hojny, o Żywicielu! Daj nam lekką śmierć, o Panie! Wszystko będzie tak, jak rozkażesz!”

– Hej tam, dobry wieczór, wreszcie można sobie pogadać. Ocknij się, Amm Kamilu, i zamknij sklep. Sunkur, przynieś wody do nargili. Dżada, wygaś ogień. Mam duszności po opium. Już pięć lat nękają nas te ciemności i naloty, ale to wszystko nasza wina...

* * *

Dwa sklepy w zaułku były otwarte jeszcze po zachodzie słońca: sklep Amm Kamila, sprzedawcy ciasta basbusy, znajdujący się na początku po prawej stronie, i salon Al-Helu po lewej. Amm Kamil miał zwyczaj – albo raczej było to jego przywilejem – siadywać i natychmiast zasypiać na krześle na progu sklepu z klapką na muchy w rękę. Budził się tylko na wołanie klienta lub na przycinki fryzjera Abbasa al-Helu.

Postać Amma Kamila była jedną wielką bryłą mięsa, której środek tkwił na krześle, a boki opadały po obu jego stronach. Galabija opinała jego wielki, kopulasty tyłek, brzuch jak beczkę, okrągły kobiecy biust i nogi jak dwa bukłaki. Szyi Amm Kamil nie miał wcale; wprost z ramion wystawała okrągła, napuchnięta, czerwona twarz, w której trudno było dostrzec rysy, nos czy oczy. Mała łyśa głowa, różowobiała jak reszta ciała, dopełniała całości. Amm Kamil nieustannie sapał i chrapał, jak po długim biegu, i ledwie zdążył sprzedać porcję basbusy, już zasypiał na nowo. Ileż to razy ludzie mówili mu: zobaczysz, przez ten tłuszcz umrzesz nagłą śmiercią. Ale czyż śmierć może być czymś gorszym dla kogoś, czyje życie jest nieustannym snem?

Zakład fryzjerski Abbasa al-Helu uważano w zaułku za elegancki. Było w nim i lustro, i fotel, nie mówiąc o luksusowych drobiazgach. Właściciel, mężczyzna średniego wzrostu, tęgawy, o białej twarzy, wypukłych oczach i żółtawych włosach, nosił garnitur i zawsze fartuch wzorem wielkich mistrzów. Ci dwaj byli więc na swoich stanowiskach nawet wtedy, kiedy sąsiadujące z salonem Al-

Helu przedsiębiorstwo As-Sajjida Salima Ulwana pustoszało i zamykano w nim bramę. Ostatni wychodził jego właściciel, pan Salim Ulwan, na którego zwykle u wejścia do zaułka czekał już powóz. Wsiadał do niego powoli i z powagą sadowił na siedzeniu za woźnicą swoją cenną osobę ozdobioną czerkieskimi wąsami. Woźnica dzwonił głośno i powóz zaprzęgnięty w jednego konia ruszał w kierunku Al-Ghurijji i dalej do Al-Hilmijji.

W dwóch domach w głębi zaułka zamknięto już okna w obawie przed zimnem, a poprzez szpary w okiennicach widać było światło. Cały zaułek pogrążył się w ciszy i ciemności. Jedyne z kawiarni Kirszy przenika światło elektrycznych lamp, gęsto upstrzonych muchami. Właśnie zaczynają do niej ścigać wieczorni bywalcy. Zniszczone ściany kwadratowej sali zdobią stare arabeski. O dawnej świetności mówi tylko historia i świadczy o niej kilka kanap w kątach. Jakiś mechanik próbuje właśnie zainstalować stare, rozklekotane radio. Nieliczni jeszcze goście siedzą na krzesłach, paląc nargile i popijając herbatę. Przy samych drzwiach usadowił się po turecku na kanapie mężczyzna około pięćdziesiątki ubrany w galabiję, ale z krawatem przy kołnierzyku, jakie noszą efendiowie. Na nosie ma drogie, złote okulary. Chodaki zostawił na podłodze i siedzi nieruchomo jak posąg, nie zwracając na nic uwagi. Jakby był sam na świecie. Milczy, jak milczą umarli.

Do kawiarni wchodzi stary, wymizerowany człowiek. Za lewą rękę prowadzi go chłopiec, w prawej trzyma książkę i rubab. Pozdrawia obecnych, siada na kanapce stojącej pośrodku, kładąc obok książkę i instrument. Chłopiec siada obok niego. Starzec wpatruje się w twarze obecnych, jakby chciał zbadać, jakie wrażenie wywarło na nich jego wejście. Wreszcie spojrzenie jego oczu, wyblakłych i zaczerwienionych od nieustannego zapalenia spojówek, spoczywa na chłopcu roznoszącym kawę. Patrzy na niego długo i z niepokojem, a widząc, że chłopiec nic sobie z tego nie robi, przerywa milczenie i krzyczy:

– Sunkur, kawę!

Chłopiec odwrócił się wolno, zawahał przez chwilę, po czym okręcił się na pięcie, nie mówiąc ani słowa ani też nie zwracając uwagi na żądanie starca. Stary człowiek pojął, że chłopiec go lekceważy; nie oczekiwał zresztą niczego innego. Ale nagle niebo zesłało ratunek. W tym samym bowiem momencie wszedł do kawiarni jakiś mężczyzna i słysząc prośbę starca, a także widząc lekceważenie, jakie okazał mu chłopiec, krzyknął rozkazującym tonem:

– Przynieś kawę poecie, chłopcze!

Starzec spojrział z wdzięcznością na wchodzącego i rzekł trochę smutno:

– Niech ci Bóg wynagrodzi, doktorze Buszi.

Doktor przywitał się z nim i usiadł obok. Miał na sobie galabiję, na głowie takiję, a na nogach sandały. Był dentystą, tyle że nauki czerpał z życia, nie zdobył ich w żadnej szkole. W młodości był pomocnikiem dentysty w Al-Dżamalijji i poznał ten zawód tak dokładnie, że wkrótce sam został mistrzem. Jego recepty słynęły z niezwyklej skuteczności, choć utrzymywał, że wyrwanie bolącego zęba jest lepsze niż najlepsze leczenie. To prawda, że usunięcie zęba w jego wędrownym gabinecie było bardzo bolesne, ale za to jakie tanie: jednego piasra brał od biednych, a dwa od bogatych (oczywiście od bogatych zaułka); a kiedy zdarzył się krwotok, co nie było rzadkie, uważał to za zrządzenie Boga i zatamowanie go pozostawiał także Bogu. Ma'allimowi Kirszy, właścicielowi kawiarni, założył złotą protezę za jedyne dwa funty i ani piasra więcej. Mieszkańcy zaułka oraz sąsiednich uliczek nazywali go doktorem i był to, być może, pierwszy lekarz, który tytuł otrzymał od swoich pacjentów.

Sunkur na rozkaz doktora przyniósł poecie kawę. Starzec podniósł filiżankę do ust i chwilę dmuchał, żeby ostudzić napój, po

czym pił go drobnymi łykami. Dopiero wtedy pomyślał, że chłopiec źle się zachował i patrząc na niego spod oka mruczał gniewnie: „Co za brak wychowania”. Następnie wziął rubab i unikając wściekłych spojrzeń Sunkura, uderzył w struny; popłynęła znana melodia, której kawiarnia Kirszy słuchała każdego wieczora od lat dwudziestu albo i więcej. Jego chuda postać drżała razem z rubabem. Po chwili przerwał, odkaszlnął, splunął, wymamrotał basmałę i krzyknął swoim grubym głosem:

– Najpierw pomodlimy się do Proroka. Proroka arabskiego, wybranego syna Adnana. Abu Sada az-Zanati mówi...

– Szszsz! Ani słowa więcej – przerwał mu brutalnie wchodzący właśnie do kawiarni mężczyzna.

Starzec podniósł zgasłe oczy znad rubabu i zobaczył właściciela kawiarni, pana Kirszę, jego chudą, długą postać, prawie czarną twarz, oczy mroczne, na wpół przymknięte, które patrzyły na niego ponuro. Poeta zawahał się przez chwilę, jakby nie wierzył własnym uszom, jakby chciał udać, że te słowa są skierowane nie do niego, i podjął na nowo:

– Mówi Abu Sada az-Zanati...

Ale ma'allim Kirsza krzyknął z furją:

– Co? Sprzeciwiasz mi się, chcesz śpiewać mimo mojego zakazu? Dostyc tego. Ostrzegalem cie już w zeszłym tygodniu.

Niezadowolony poeta odparł z nagana w głosie:

– Za dużo haszysz wypaliłeś, jesteś agresywny, szukasz ofiary.

– Nic mi nie jest. Jestem trzeźwy i wiem, czego chcę, ty stary idioto. Ten twój plugawy język... Nie myśl sobie, że pozwolę ci śpiewać w mojej kawiarni.

Poeta zmienił ton i chcąc wywołać współczucie rozjuszonego mężczyzny, powiedział:

– To jest także moja kawiarnia. Przecież byłem jej poetą przez ostatnie dwadzieścia lat!

Ma'allim zajął już swoje zwykłe miejsce za kasą.

– Wszyscy słyszeli twoje opowieści i znają je na pamięć. Nie ma potrzeby, żebyś wyśpiewywał je od nowa. W naszych czasach ludzie nie potrzebują poety. Już dawno mówili, że chcą radio. Założyłem je, proszę bardzo. Daj nam więc spokój i niech cię Bóg prowadzi.

Twarz poety spochmurniała; pomyślał ze smutkiem, że przecież kawiarnia Kirszy to jedyne, co mu pozostało z dawnych, pięknych czasów. Nigdzie już nie mógł zarobić ani piastra. A jeszcze nie tak dawno nawet kawiarnia przy Cytadeli nie mogła się bez niego obyć! Życie jest długie, zarobki się skończyły. Co ma teraz robić? Po co uczyć syna sztuki, która jest bezużyteczna i nie przynosi dochodu? Co kryje przed nim przyszłość? Co czeka chłopca? Ogarnęła go rozpacz tym większa, że na twarzy ma'allima dojrzał tylko zniecierpliwienie i upór.

– Ale, ma'allimie Kirszo – powiedział – sława czynów Banu Hilal nie przeminie, a o tym radio nie śpiewa.

– To ty tak myślisz, ale klienci są innego zdania. Nie rujnuj mnie. Wszystko się zmieniło.

– Całe pokolenia od czasów Proroka z zapartym tchem słuchały tych opowieści – dodał poeta w ostatecznej rozpacz.

Ma'allim Kirsza uderzył pięścią w kasę i krzyknął zniecierpliwiony:

– Już ci powiedziałem, że czasy się zmieniły.

W tym momencie po raz pierwszy poruszył się siedzący dotąd jak posąg człowiek w galabii, krawacie i złotych okularach. Spojrzał w sufit, westchnął tak głęboko, że wydawało się, jakby powietrze wyszarpywało mu wątrobę, i powiedział tajemniczym głosem:

– Ach, wszystko się zmieniło. Tak, proszę pani, wszystko się zmieniło z wyjątkiem mojego serca, które wciąż kocha rodzinę Proroka. – Opuścił wolno głowę, pokręcił nią w prawo i w lewo, po czym znowu stał się jakby nieobecny. Nikt nie zwrócił na to uwagi, wszyscy znali jego zachowanie. Jedynie poeta odwrócił się i z nadzieją w głosie zapytał:

– Szajchu Darwiszu, czy tobie się to wszystko podoba?

Ale szajch nie odezwał się już ani słowem i pozostał w swoim uśpieniu.

Do kawiarni weszła następna osoba, którą wszyscy powitali z szacunkiem i sympatią. As-Sajjid Radwan al-Husajni miał wygląd dostojny i poważny. Jego wysoką postać okrywała szeroka czarna abaja. Twarz miał piękną, białą, trochę zaróżowioną, okoloną siwą brodą. Promieniała z niej wielka godność, dobroć i wiara. Chodził zwykle wolno, z pochyloną głową i z uśmiechem na ustach, który wyrażał jego miłość do ludzi i całego świata.

As-Sajjid Radwan wybrał sobie miejsce pośrodku, obok poety. Starzec powitał go z radością i natychmiast wyjawiał swoją skargę. As-Sajjid Radwan słuchał życzliwie, choć znał już tę historię. Sam wiele razy na próżno prosił ma'allima Kirszę, żeby cofnął swoje postanowienie. Pocieszył więc poetę i obiecał znaleźć chłopcu pracę, która zapewni im utrzymanie. Potem uścisnął serdecznie jego rękę i szepnął mu do ucha: „Wszyscy jesteśmy dziećmi Adama. Pamiętaj, gdy przycisnie cię bieda, zwróć się do bliźniego. Wszak nasz los jest w rękach Boga”. Słowa te dodały jeszcze blasku twarzy tego człowieka, który kochał dobro i każdego dnia starał się je czynić. Kiedy mu się to nie udało, wracał do domu smutny i pełen wyrzutów sumienia. Hojność i umiłowanie dobra pozwalały widzieć w nim człowieka bogatego, posiadającego wielkie zasoby, a tymczasem jego cały majątek stanowiły dom po prawej stronie zaułka i kilka feddanów łąki na wsi. Lokatorzy jego domu: ma'allim Kirsza, który zajmował trzecie piętro, Amm Kamil i fryzjer Al-Helu, którzy dzielili

pierwsze, znaleźli w nim gospodarza zgodnego i pana wielkiego serca. W stosunku do nich zrzekł się on prawa do podniesienia czynszu, na co przecież pozwałała mu specjalna ustawa wojskowa. Dobroć i miłosierdzie gościły zawsze tam, gdzie przebywał.

Życie As-Sajjida Radwana, zwłaszcza w młodości, było pełne bólu i rozczarowań. Studia na uniwersytecie Al-Azhar nie przyniosły mu sukcesu. Mimo długich lat spędzonych w jego krużgankach nie zdołał uzyskać dyplomu. Stracił wszystkie dzieci. Gorycz rozczarowań i ból po stracie każdego kolejnego dziecka napępiały jego serce rozpaczą, a potem trwogą i przerażeniem. Zamknął się w swoim nieszczęściu. Z mroku rozpaczy i trwogi wyprowadziło go światło miłości. Zniknął smutek, zastąpiły go miłość, dobroć i piękna cnota cierpliwości. Porzucił ziemskie troski, wznosił serce ku niebu i całą swoją miłość przelał na ludzi. Kiedy chował ostatnie dziecko, czytał Koran z twarzą pogodną i spokojną. Ludzie otoczyli go, współczuli mu, ale on uśmiechał się tylko, wskazywał na nie i mówił: „Bóg dał, Bóg wziął. Wszystko się dzieje z jego wyroku. Rozpacz jest odstępstwem od wiary”.

I to było jego pocieszenie. Dlatego doktor Buszi mawiał: jeżeli jesteś chory, dotknij As-Sajjida al-Husajniego, a wyzdrowiejesz, jeżeli jesteś zrozpaczony, spójrz na światło, jakie bije z jego szlachetnej twarzy, a znajdziesz nadzieję, jeżeli jesteś smutny, posłuchaj tego, co mówi, a natychmiast znajdziesz radość. Twarz As-Sajjida al-Husajniego rzeczywiście odzwierciedlała jego duszę i promieniowała jej pięknem.

Poeta także znalazł w słowach As-Sajjida Radwana niejaką pociechę. Podniósł się, a za nim chłopiec, który wziął rubab i książkę. Uścisnął dłoń As-Sajjida Radwana, pożegnał wszystkich obecnych, pomijając ma'allima Kirszę, obrzucił pogardliwym spojrzeniem radio, które mechanik właśnie skończył instalować, wziął chłopca za rękę i wyszli, znikając obecnym z oczu. W tym momencie w szajcha

Darwisza znowu wstąpiło życie. Spojrzał w kierunku drzwi i powiedział z głębokim westchnieniem:

– Odszedł poeta, przyszło radio. Taka jest kolej rzeczy w Bożym świecie. Od dawna mówi o tym historia, po angielsku *history*, pisze się *h-i-s-t-o-r-y...*

Amm Kamil i Abbas al-Helu zamknęli już sklepy i weszli właśnie do kawiarni. Pierwszy pokazał się Abbas ze świeżo umytą twarzą i przyczesanymi żółtawymi włosami. Za nim kroczył dumnie Amm Kamil, kołysząc się jak lektyka i podnosząc wysoko nogi. Pozdrowili wszystkich obecnych, usiedli obok siebie i zamówili herbatę. Pierwszy odezwał się Abbas:

– Słuchajcie, mój przyjaciel Amm Kamil żalił się, że może w każdej chwili umrzeć, a za to, co po sobie zostawi, nie będzie go nawet w czym pochować.

– Dobrzy muzułmanie pomogą – odezwał się ktoś pogodnie.

– Za samą basbusę, którą zostawi, będzie można pochować wszystkich muzułmanów – zażartował inny.

– Ciągłe mówisz o śmierci – wtrącił, śmiejąc się, doktor Buszi – a da Bóg, jeszcze nas wszystkich pochowasz.

– Nie bluźnij, szajchu – odparł Amm Kamil głosem czystym i niewinnym jak dziecko. – Jestem biednym człowiekiem.

– Słuchajcie – ciągnął Abbas al-Helu. – Ulitowałem się nad Amm Kamilem. Nie można zaprzeczyć, że winniśmy mu wdzięczność za jego smakowitą basbusę. Przezornie kupiłem dla niego całun i schowałem go w dobrym miejscu. Będzie tam leżał do momentu, od którego nie ma ucieczki. To jest tajemnica, którą ukrywałem przed tobą – zwrócił się do Amm Kamila – ale ogłaszam ją teraz wszystkim i biorę ich na świadków.

Zebrani zaczęli sobie żartować, ale tak, żeby Amm Kamil, którego podejrzliwość była wszystkim znana, niczego się nie

domyślił. Wychwalali hojność i dobroć Al-Helu: podkreślali, że jest to uczynek godny pochwały, tak należy postępować wobec człowieka, którego się kocha, z którym się dzieli mieszkanie i żyje blisko. Nawet As-Sajjid Radwan al-Husajni uśmiechnął się radośnie, a Amm Kamil patrzył na młodzieńca z naiwnym zdumieniem, pytając:

– Naprawdę, Abbasie?

– To prawda, Amm Kamilu – powiedział doktor Buszi. – Widziałem ten całun na własne oczy. Jest bardzo długi, sam chciałbym, żeby mnie w takim pochowano.

Szajch Darwisz poruszył się po raz trzeci.

– Masz szczęście, Amm Kamilu – powiedział. – Całun to jakby nasz dom na tamtym świecie. Ciesz się nim, zanim on weźmie ciebie w swoje posiadanie, zanim staniesz się zdrowym pożywieniem dla robaków, które będą się karmiły twoim zewłokiem jak basbusa, aż zrobią się tłuste i wielkie jak żaby, po angielsku *frog*, pisze się *f-r-o-g*.

Amm Kamil wreszcie uwierzył i zaczął teraz pytać, a to o kolor, a to o wielkość, a to, z czego zrobiony jest całun. Potem rozpogodził się zupełnie i chwalać Boga, modlił się długo za Abbasa.

Z ulicy dobiegł młodzieńczy głos:

– Dobry wieczór.

Jego właściciel udawał się w kierunku domu As-Sajjida Radwana al-Husajniego. Był to Husajn Kirsza, syn ma'allima Kirszy, właściciela kawiarni. Miał dwadzieścia lat, ciemny jak ojciec, ale smukły, delikatny, na jego młodzieńczej twarzy malowały się inteligencja i energia. Ubrany był w niebieską wełnianą koszulę, spodnie khaki, kapelusz i ciężkie buty. Widać było po nim dobrobyt, jakim cieszyli się ci, którzy pracowali przy angielskiej armii. Właśnie wracał z pracy u „Lorensów”, jak nazywano Anglików. Wielu patrzyło na niego z podziwem i zazdrością. Jego przyjaciel Abbas zaprosił go na kawę, ale Husajn podziękował i poszedł do domu.

* * *

Cały zaułek pogrążył się w ciemności i tylko lampy kawiarni rysowały na ziemi kwadraty światła i pasy na ścianach przedsiębiorstwa As-Sajjida Ulwana. Słabe światła lamp, widoczne przez okiennice w domach, gasły jedno po drugim. Bywalcy kawiarni zasiedli do gry w domino lub kumi i tylko szajch Darwisz pozostał w swoim odrętwieniu, a Amm Kamil spał z głową zwieszoną na piersi. Sunkur krzątał się ciągle, przyjmując coraz nowe zamówienia i wrzucając pieniądze do kasy. Ma'allim Kirsza wodził za nim ciężkim wzrokiem i poddawał się rozkosznej władzy opium. Nadchodziła noc, kawiarnia pustoszała. As-Sajjid Radwan al-Husajni poszedł do domu, a za nim zaraz doktor Buszi udał się do swojego mieszkania na pierwszym piętrze drugiej kamienicy. Potem wyszli Al-Helu i Amm Kamil. Około północy zostały już tylko trzy osoby: ma'allim Kirsza, chłopiec i szajch Darwisz. Wtedy to przyszli kompani ma'al-lima Kirszy i weszli na górę na taras zbudowany z drewna na dachu domu As-Sajjida Radwana i siedli wokół piecyka. Tam zaczęli nową libację, która ciągnęła się aż do świtu, kiedy już można było odróżnić nić białą od czarnej. Na dole został szajch Darwisz i chłopiec do posług, Sunkur.

– Już północ, szajchu Darwiszu – zagadnął delikatnie Sunkur.

Szajch obudził się, zdjął okulary, przetarł je galabiją i włożył z powrotem, poprawił krawat i wyszedł z kawiarni bez słowa, napełniając ciszę zaułka kłapaniem chodaków. Szedł bez celu, bezdomny, pustymi, jakby wymarłymi ulicami w ciężkiej ciemności i ciszy.

* * *

Szajch Darwisz był w młodości nauczycielem w jednej ze szkół wakfów. I to uczył nie byle czego – angielskiego. Znany był z pracowitości i sumienności, więc i szczęście mu sprzyjało. Był ojcem szczęśliwej rodziny. Ale kiedy szkoły wakfów przejęło ministerstwo oświaty, jego sytuacja pogorszyła się i jak wielu jego towarzyszy, którzy nie mieli odpowiednich kwalifikacji, został przeniesiony na

stanowisko urzędnika w ministerstwie wakfów i z grupy szóstej przeszedł do ósmej z odpowiednio niższą pensją. Naturalnie przygnębiło go to bardzo. Czasami wpadał we wściekłość, wybuchał niepohamowanym gniewem, czasami zniechęcony i obojętny popadał w apatię. Poruszył niebo i ziemię, wysyłał prośby do szefów, przedstawiał swoją sytuację rodzinną, wszystko na próżno. W ministerstwie zyskał sobie opinię człowieka wiecznie niezadowolonego i narzekającego, upartego i zapalczego. Nie było dnia, żeby się z kimś nie pokłócił. Zadufany w sobie, agresywny, w kłótniach używał języka angielskiego. Jeżeli jego oponent uważał, że nie ma potrzeby używać języka obcego, odpowiadał z wielką pogardą: „Jeśli chcesz ze mną rozmawiać, to się go naucz”.

Wiadomości o jego kłótniach dochodziły raz po raz do dyrekcji. Wybaczano mu jednak i tolerowano go trochę z litości, a trochę z obawy przed jego złośliwością. Jeśli nie brać pod uwagę drobnych napomnień i coraz to nowych wrogów, wszystko mu jakoś uchodziło. Ale z biegiem czasu rosła jego zarozumiałość i chępliwość, aż pewnego dnia wydało mu się, że pisma służbowe należy pisać po angielsku, i zaczął to robić. Na swoje usprawiedliwienie twierdził dumnie, że jest urzędnikiem wykwalifikowanym, artystą, a nie zwykłym gryzipiórką. Pracował bardzo źle, aż w końcu dyrektor zmuszony był potraktować go stanowczo i surowo. Sam los okazał się jednak szybszy niż surowość dyrektora. Oto pewnego dnia Darwisz efendi, jak się wówczas tytułował, zażądał audiencji u wiceministra. Wszedł do gabinetu ministra poważnie i godnie, przywitał się jak równy z równym, powiedział pewnie i spokojnie:

– Panie wiceministrze, oto Bóg wybrał człowieka.

Wiceminister zażądał bliższych wyjaśnień, więc szajch Darwisz dodał:

– Oto jestem nowym urzędnikiem, wysłannikiem Boga.

W taki sposób zakończyła się jego działalność w Ministerstwie Wakfów. Jednocześnie zerwała się ostatnia nić wiążąca go ze społe-

czeństwem. Porzucił rodzinę, przyjaciół, znajomych i przeniósł się, jak to nazwał, do świata Boga. Z dawnych czasów pozostały mu tylko złote okulary. I tak żył w swoim nowym świecie bez przyjaciół, bez pieniędzy, bez dachu nad głową, dając tym dowód, że na tym naszym zgniłym globie, gdzie trwa wieczna, twarda walka, można żyć bez domu, bez pieniędzy, bez żadnej opieki, nie znając trosk ni smutku, czy też uczucia niedostatku. Spokojny i szczęśliwy jak nigdy przedtem, nie odczuwał głodu, chłodu ani bezdomności. Odkąd stracił dom, cały świat stał się dla niego domem, a kiedy przestał pobierać pensję, pieniądze przestały być dla niego problemem, gdy stracił rodzinę i przyjaciół, wszyscy ludzie stali się jego rodziną. Znosił galabiję, wnet przynoszono mu nową, podarł krawat, zaraz dostawał drugi. Nie było miejsca, w którym by go nie witano serdecznie. Nawet ma'allim Kirsza, ku swojemu własnemu zdziwieniu, odczuwał niepokój, gdy któregoś dnia szajch nie pojawił się w kawiarni. A przecież wbrew oczekiwaniom nie czynił cudów ani nie przepowiadał przyszłości. Zwykle siedział milczący i nieruchomy albo mówił to, co mu się podobało, nie zważając na ludzi. Był lubiany, wszędzie pożądanym. Wierzono, że przynosi szczęście, że należy do ludzi bliskich Bogu* i że natchnienie przychodzi do niego w dwóch językach: arabskim i angielskim.

* Arab. *wali Allah* – człowiek bliski Bogu – określenie ludzi niespełna rozumu, chorych, dziwaków.

Rozdział 2

Kobieta z upodobaniem i aprobatą patrzyła w lustro. Twarz miała szczupłą, pociągłą, a makijaż oczu, policzków, brwi, ust zrobił z niej cudo. Przeglądała się to z prawej, to z lewej strony, gładziła warkocze, szepcząc do siebie: wcale nieźle, pięknie, na Boga, pięknie. W rzeczywistości była to twarz już prawie pięćdziesięcioletnia i w ciągu tego półwiecza czas nie zostawił jej nietkniętej. Jej właścicielka, kobieta szczupła, albo raczej „sucha”, jak mówiły o niej sąsiadki z zaułku, pierś miała płaską, okrywała ją jednak piękną suknią. Taka była pani Sanijja Afifi, właścicielka drugiej kamienicy w zaułku, tej, w której pierwsze piętro zajmował doktor Buszi. Tego dnia zapragnęła złożyć wizytę w mieszkaniu Umm Hamidy*. Pani Sanijja Afifi nie miała zwyczaju często odwiedzać kogokolwiek, a do tego mieszkania wchodziła chyba tylko raz w miesiącu, po czynsz. Tym razem jednak powód nowy i tajemniczy uczynił tę wizytę niezwykle ważną. Szła po schodach, szepcząc do siebie: „Oby Bóg spełnił moje nadzieje”. Żyłastą ręką zapukała do drzwi. Otworzyła Hamida z grzecznym uśmiechem przeznaczonym dla gości, przywitała ją i zaprowadziła do salonu, a sama poszła zawołać matkę. Salon to był mały pokój wysłany matką, w którym stały dwie stare kanapy, pośrodku stolik, a na nim popielniczka. Umm Hamida nie dała na siebie długo czekać. Zmieniła tylko galabiję i weszła pośpiesznie do pokoju. Przywitały się serdecznie, ucałowały w oba policzki i usiadły obok siebie.

– Witam, witam, pani Sanijjo. Sam prorok nas odwiedza!

Umm Hamida była sześćdziesięcioletnią kobietą – średniego wzrostu, korpulentną, zdrową i silną. Miała wyłupiaste oczy,

* Arab. *umm* – matka; funkcjonuje też jako składnik imion własnych, np. Umm Hamida, Umm Husajn.

ospowate policzki, a głos gruby i mocny. Głos ten był jej największą bronią w kłótniach z sąsiadkami. Właściwie nie mówiła, lecz głośno gdakała. Po tej wizycie nie spodziewała się niczego dobrego, bo wizyty właścicielki miały zwykle niezbyt przyjemne następstwa. Przygotowała się więc na każdą ewentualność, zarówno dobrą, jak złą wiadomość. Z racji swojego zawodu – była swatką i łaziebną – bystro wszystko obserwowała i dużo gadała. Usta jej się nie zamykały, a że wiedziała, co się dzieje w każdym domu, stanowiła żywą encyklopedię zaułka i rozgłaszała wszystkie wiadomości, najczęściej złe, a zwłaszcza skandaliczne. Teraz próbowała zabawić gościa rozmową, wychwalając urodę pani Sanijji, a równocześnie opowiadając plotki z zaułka i sąsiednich uliczek: – Czy słyszała pani o nowym skandalu ma'allima Kirszy? Właściwie nic nowego, ale żona się dowiedziała, pobili się, podarła mu całą dżubbę. A piekarka Husnijja tak wczoraj palnęła swojego męża Dżadę, że aż mu krew z czoła pociekła... A pani wie, że dobry, pobożny As-Sajjid al-Husajni okropnie zwymyślał swoją żonę za nic, nie zrobiła niczego złego. On, taki dobry, łagodny. A doktor Buszi miał schadzkę z małą dziewczynką w kryjówce, w tej pieczarze, ale złapał go pewien szanowny obywatel. A ta Karima al-Mawardi, handlarka drewnem, uciekła ze służącym i jej ojciec zawiadomił policję. Podobno piekarka Al-Kafrawi sprzedaje po cichu chleb z białej mąki itd. itd...

Pani Sanijja słuchała niezbyt uważnie, bo przejęta była sprawą, z którą tu przyszła. Chciała zaraz, niezależnie od okoliczności, przedstawić swój zamiar, który tak długo w niej dojrzewał, ale nie była w stanie położyć tamy gadatliwości Umm Hamidy. Czekala więc stosownej okazji. Nadarzyła się ona wreszcie, gdy Umm Hamida zapytała:

– A co u pani, pani Sanijjo?

– Prawdę mówiąc jestem trochę zmęczona – odpowiedziała smutno.

– Zmęczona?! Niech Bóg odsunie wszelkie zło! – Umm Hamida uniosła wysoko brwi, zdziwiona i zaniepokojona.

Pani Sanijja przerwała na chwilę, bo właśnie Hamida wniosła tacę z kawą. Po jej wyjściu powiedziała ze złością:

– Tak, pani Umm Hamido, zmęczona jestem. Jak mam nie być zmęczona, kiedy muszę sama chodzić po sklepach i zbierać czynsze? No, niech pani sobie wyobrazi, kobieta taka jak ja staje przed obcym mężczyzną i żąda czynszu...

Serce Umm Hamidy zabiło mocniej na dźwięk słowa „czynsz”, ale powiedziała smutno:

– Ma pani rację. Niech Bóg pani dopomoże.

Zastanowiło ją jednak, dlaczego ta kobieta przychodzi się wyżalić właśnie do niej. Już chyba drugi czy trzeci raz, i to w środku miesiąca, wcale nie pierwszego. I dziwna myśl przyszła jej do głowy, w sprawach zawodowych miała intuicję niezrównaną. Postanowiła wybadać gościa i powiedziała trochę złośliwie:

– To wszystko z powodu samotności. Jest pani kobietą samotną, pani Sanijjo, sama w domu, sama na ulicy, sama w łóżku. Nie ma pani dosyć tej samotności?

Pani Sanijja ucieszyła się z pytania Umm Hamidy, to było po jej myśli, ale nie ujawniła radości.

– A co mam robić? Krewni mają swoje rodziny, a mnie jest dobrze tylko we własnym domu. I dziękuję Bogu, że mi pozwala obywać się bez ludzi.

Umm Hamida zauważyła, że jest to tylko wybieg, zaczęła więc z innej beczki:

– Po tysiąckroć dzięki Bogu. Ale, na Boga, niech mi pani powie, dlaczego tyle czasu męczy się pani sama?

Serce pani Sanijji zabiło mocno, bo oto stanęła oko w oko z tym, czego oczekiwała. Westchnęła jednak głęboko i odparła z udaną niechęcią:

– Już raz posmakowałam goryczy małżeństwa.

W młodości pani Sanijja wyszła za mąż za właściciela sklepu korzennego, ale było to małżeństwo nieudane. Mąż ją źle traktował, przywłaszczył sobie wszystkie jej pieniądze, aż wreszcie przed dziesięciu laty zostawił ją wdową. Nie wyszła powtórnie za mąż, bo, jak mawiała, czuła wstręt do życia małżeńskiego. I nie było to wcale kłamstwo, pod którym ukrywała brak zainteresowania nią płci przeciwnej. Pani Sanijja naprawdę nienawidziła życia małżeńskiego, więc cieszył ją powrót do wolności i długi czas pielęgnowała w sobie tę niechęć. Jednak z czasem uczucie to zniknęło i teraz nie wahałaby się powtórzyć swojego doświadczenia, gdyby znalazł się ktoś odpowiedni. Zdarzało się, że łudziła się nadzieją, ale lata mijały, traciła złudzenia, nadzieja gasła, często natomiast nawiedzało ją przygnębienie, wręcz rozpacz. Starła się pogodzić z sytuacją i polubić żywot, jaki prowadziła, bo przecież trzeba mieć w życiu coś, co się lubi, co nadaje mu wartość, choćby to była nawet głupia mrzonka. Znalazła więc cel, bo na szczęście nie należała do kobiet, które bez mężów stają się bezradne. Zapaliła się do kawy, papierosów i gromadzenia nowych banknotów. Zawsze zdradzała tendencję do skapstwa i należała do starych klientów kasy oszczędności, a ta nowa pasja potwierdziła i wzmogła tę skłonność. Coraz to nowe banknoty przechowywała w małym pudełeczku z kości słoniowej, ukrytym gdzieś w przepastnych głębinach szafy na ubrania. Układała je w paczki, piątki osobno, dziesiątki osobno, i patrzyła na nie z upodobaniem, przeliczała i układała wciąż od nowa. Banknoty miały tę zaletę, że milczały, nie robiły hałasu jak monety i dlatego czuła się z nimi bezpieczna. Nikt, nawet najwięksi spryciarze w zaułku, nie wiedział o jej pasji. Pieniądze przynosiły jej pociechę, dzięki nim znajdowała uzasadnienie swojej samotności. Jaki mąż jest wart tego, mówiła sobie, żeby zagrabić moje pieniądze, jak to

zrobił nieboszczyk, i stracić w mgnieniu oka owoc długich lat oszczędzania? Ale myśl o małżeństwie skradała się do jej serca, każąc zapominać o obawach. To Umm Hamida była odpowiedzialna za jej myśli. Opowiedziała jej bowiem kiedyś, tak sobie, a może celowo, o pewnej starej wdowie, która ponownie wyszła za mąż. Zaczęła więc myśleć o małżeństwie jako o czymś możliwym do zrealizowania. Wkrótce pragnienie małżeństwa opanowało ją tak, że nic nie wydało jej się bardziej warte zachodu. Jeszcze niedawno była pewna, że porzuciła na zawsze myśl o małżeństwie, ale oto stało się ono czymś bardziej upragnionym i bardziej koniecznym niż kawa, papierosy, a nawet nowe banknoty.

I zadawała sobie pytania: jak mogła zmarnować taki szmat życia, jak mogła przeżyć samotnie dziesięć lat i w samotności dojść prawie pięćdziesiątki? To był zupełny obłęd – odpowiadała sobie – szaleństwo, w które wpędził mnie nieboszczyk mąż. Postanowiła więc wziąć się do rzeczy i to już, nie czekając jutra.

Swatka wysłuchiwała zapewnień pani Sanijji o wstąpieniu do życia małżeńskiego, ale nie wzięła ich sobie do serca. „Nie nabierze mnie pani na swoje sztuczki” – pomyślała.

– Przesadza pani, pani Sanijjo – powiedziała karcąco. – Za pierwszym razem się pani nie udało, ale przecież wszędzie pełno jest szczęśliwych małżeństw.

– Człowiek rozumny nie powinien sprzeciwiać się losowi, kiedy pokazuje mu chmurne oblicze – odparła pani Sanijja, odstawiając filiżankę po kawie.

– Co też pani mówi, taka mądra kobieta – zaprotestowała Umm Hamida. – Dostyc już tej samotności! Dostyc!

Ale pani Sanijja, pełna wewnętrznej radości, uderzyła się w wyschniętą pierś i próbowała dalej zaprzeczać.

– Co to, to nie! Chce pani, żeby ludzie powiedzieli, że jestem wariatka?

– Jacy ludzie? Starsze od pani wychodzą za mąż.

Pani Sanijja trochę się zdenerwowała na to „starsze od pani”.

– Nie jestem taka stara, jak pani myśli – powiedziała głosem trochę zgaszonym – to wszystko przez te kłopoty, niech je Bóg przeklnie.

– Nie to miałam na myśli, pani Sanijjo, nie mam wątpliwości, że jest pani ciągle młodą kobietą, ale z własnej woli poddała się pani kłopotom.

Pani Sanijja odetchnęła, lecz postanowiła dalej grać rolę tej, która w końcu daje się namówić na małżeństwo, ale bez chęci czy entuzjazmu.

– Czy mnie nie potępią, jeśli wyjdę za mąż po tylu latach wdowieństwa? – zapytała z wahaniem.

„Dlaczego ona przyszła z tym do mnie” – zastanawiała się Umm Hamida w duchu, a głośno powiedziała:

– Jak może ktokolwiek panią potępić? Przecież małżeństwo to prawo, to obowiązek wiernego, kochana. Pani jest taka mądra, taka uczciwa, przyzwoita, wszyscy to widzą. Małżeństwo ustanowił Pan nasz, nakazał Prorok, pokój mu i modlitwa...

– Pokój mu i modlitwa... – powtórzyła z wiarą pani Sanijja.

– No więc dlaczego nie, kochana pani Sanijjo. Prorok arabski je ustanowił, Bóg kocha swoje sługi.

Serce pani Sanijji wypełniła radość, a twarz pod różową maską makijażu stała się jeszcze bardziej czerwona.

– Ale kto zechce się ze mną ożenić? – spytała, wyciągając paczkę papierosów.

Umm Hamida podniosła wskazujący palec lewej ręki do brwi w geście ogromnego zdumienia.

– Tysiąc i jeden mężczyzn, pani Sanijjo! Tysiąc i jeden mężczyzn – krzyknęła.

– Wystarczy jeden! – pani Sanijja roześmiała się z całego serca.

– Każdy mężczyzna marzy w głębi serca o ożenku – powiedziała Umm Hamida z przekonaniem – a jak się ożeni, to narzeka. A ilu jest kawalerów, którzy twierdzą, że nie chcą się żenić, ale szepnij im tylko: „Mam dla ciebie narzeczoną”, od razu oczy im błyszczą, twarz się śmieje i pytają, nie kryjąc pożądaniami: „Naprawdę, a kto to taki, powiedz, kto?” Każdy mężczyzna, nawet przykuty do fotela, kaleka, potrzebuje kobiety. Taka jest Boża mądrość.

– Mądrość Boża jest nieograniczona – pani Sanijja kiwała głową z zadowoleniem.

– Tak, pani Sanijjo, po to Bóg stworzył świat. Mógł przecież w swojej wszechmocy stworzyć samych mężczyzn albo same kobiety, ale stworzył płeć męską i płeć żeńską, i dał nam rozum, żebyśmy pojęli jego intencje. Nie ma ucieczki od małżeństwa.

– Pani słowa są jak cukier, pani Umm Hamido.

– Niech Bóg zawsze będzie z panią i niech uraduje pani serce dobrym małżeństwem.

– Tak, jeśli Bóg zechce – pani Sanijja zebrała się na odwagę – i pani pomoże.

– Ja, dzięki Bogu, mam szczęście. Moje małżeństwa się nie rozpadają! Ileż to już domów zaludniłam, ile serc uszczęśliwiłam, ile dzieci urodziło się dzięki mnie! Niech się więc pani zda na Boga i na mnie.

– Pani zasługi nie da się obliczyć w pieniądzech.

„O nie, kobieto – myślała Umm Hamida. – To się da obliczyć. To będzie dużo kosztowało. Idź szybko do kasy oszczędności i przynieś mi pieniądze, tylko nie skąp!” Po czym rzeczowym tonem, jak ludzie

interesu, którzy skończyli już wstępne rozmowy i przechodzą do rzeczy, zapytała:

– Myślę, że wolałaby pani mężczyznę raczej w pewnym wieku?

Pani Sanijja nie wiedziała, co odpowiedzieć. Nie miała ochoty na małżeństwo z młodzieńcem: zbyt młody mąż jej nie odpowiadał. Ale określenie „w pewnym wieku” jej nie zadowalało. Pokrywając więc zakłopotanie żartem, jako że doszły już w rozmowie do pewnej poufałości, odparła:

– Tyle się wypościłam i mam dostać na iftar tylko cebulę!

Umm Hamida roześmiała się, ale w jej śmiechu zadźwięczała nutka niepokoju. Pomyślała jednak o nagrodzie, jaką jej przyniesie ta umowa, i uspokoiła się, ale nie odmówiła sobie szczypty złośliwości.

– Ma pani rację, pani Sanijjo – powiedziała. – Doświadczenie mi mówi, że najszcześniejsze są małżeństwa, w których żona jest starsza od męża. Dla pani odpowiedni byłby mężczyzna około trzydziestki albo trochę powyżej.

– Ale czy taki mnie zechce?

– Zechce, zechce. Jeszcze jak! Jest pani kobietą piękną i bogatą.

– Niech panią Bóg uchroni od wszelkiego zła.

Ospowata twarz Umm Hamidy znowu przybrała poważny wyraz.

– Powiem mu – kobieta w średnim wieku, nie ma syna ani teściowej, kulturalna, właścicielka dwóch sklepów na ulicy Al-Hamzawi i dwupiętrowej kamienicy w zaułku Midakk.

– Chciała pani powiedzieć: trzypiętrowej – poprawiła ją pani Sanijja.

– Nie, tylko dwupiętrowej – odparła niezrażona Umm Hamida. – Bo za trzecie piętro, gdzie ja mieszkam, nie będę musiała płacić do końca moich dni.

– Wszystko pani oddam, Umm Hamido – powiedziała pani Sanijja z radością. – Co tylko pani zechce.

– Niech Bóg panią chroni, pani Sanijjo, i da nam to, co najlepsze.

– No i proszę! – pani Sanijja kiwała głową głęboko zdumiona. – Przyszłam do pani z taką sobie zwykłą wizytą i niech pani patrzy, czym się skończyła nasza rozmowa. Wyjdę od pani prawie jako mężatka.

Umm Hamida śmiała się też, udając zdziwienie, w duchu zaś myślała: „Wstydz się, kobieto, myślisz, że dam się nabrać na twoje sztuczki”.

– Taka jest wola Boga – powiedziała głośno. – Czyż wszystko nie dzieje się z jego wyroku?

Pani Sanijja wróciła do domu radosna, ale mruczała pod nosem: „Patrzcie tylko, komorne do końca życia, jaka to zachłanna baba”.

Rozdział 3

Zaraz po wyjściu pani Sanijji Hamida weszła do pokoju. Czesłała czarne włosy, z których rozchodził się zapach nafty. Umm Hamida popatrzyła na te włosy wspaniałe, błyszczące, sięgające kolan i powiedziała ze smutkiem:

– Szkoda, Hamido, że pozwalasz wszom paść się na takich pięknych włosach.

Czarne oczy Hamidy błysnęły spod gęstych czarnych rzęs. Popatrzyła na matkę ze złością.

– Jakim wszom! Tylko dwie znalazłam na grzebieniu.

– Zapomniałaś już, jak czesałam cię dwa tygodnie temu i złapałam chyba ze dwadzieścia!

– Bo nie myłam głowy dwa miesiące – powiedziała obojętnie. Usiadła obok matki i zawzięcie czesała gęste włosy.

Miała dwadzieścia lat. Była średniego wzrostu, zgrabna, o miedzianej cerze, twarz miała owalną i czyste, proste rysy. Jej piękne oczy o głębokiej, wspaniałej czerni czasami, gdy zacisnęła drobne usta, nabierały ostrego wyrazu i siły, jaką rzadko się widzi w oczach kobiet.

Gniewu jej nie lekceważono nawet w zaułku, a matka, która miała opinię kobiety silnej, unikała go jak mogła. Kiedyś pokłóciły się i wtedy jej powiedziała: „Zobaczysz, Bóg nie pobłogosławi cię mężczyzną, bo kto by chciał przycisnąć do serca rozżarzone węgle”. Kiedy Hamida wpadała w furję, matka nazywała ją „chamsin” – tak jak się nazywa ten znany wiatr. Kochała ją jednak, mimo że była to jej przybrana córka. Prawdziwa matka Hamidy była kiedyś jej współniczką. Handlowały razem mufattaką i mughasem, a w cięższych

czasach mieszkały razem w zaułku. Umarła, po prostu na jej rękach zostawiając niemowlę. Umm Hamida zaadoptowała je i oddała żonie właściciela kawiarni ma'allima Kirszy, która wykarmiła dziewczynkę razem z własnym synem. Husajn Kirsza był więc mlecznym bratem Hamidy.

Hamida czesała te swoje wspaniałe włosy czekając, aż matka jak zwykle zacznie opowiadać o wizycie. Ale tym razem cisza trwała długo i dziewczyna sama ją przerwała.

– O czym rozmawialiście tak długo?

– Zgadnij – matka uśmiechnęła się drwiąco.

– Podniosła komorne! – Hamida była bardzo zaintrygowana.

– Niech by spróbowała, wyjechałaby stąd karetką pogotowia. Chciała je obniżyć!

– Oszalałaś?

– Tak, oszalałam? No, domyśl się...

– Oj, męczysz mnie – westchnęła dziewczyna.

– Twoja przyjaciółka chciałaby wyjść za mąż!

– Chce wyjść za mąż?

– Tak, i to za młodego. Jakbym nie miała dosyć kłopotów z młodą, której nikt nie chce!

Hamida popatrzyła na matkę ironicznie.

– Nikt mnie nie chce? Znalazłoby się wielu, ale ty jesteś pechowa swatka. Co masz mi do zarzucenia? Wszystko zwalasz na mnie, żeby pokryć swoje niepowodzenia. Jak to mówią: szewc bez butów chodzi!

– Tak, jeżeli uda się wydać za mąż panią Sanijję Afifi, to żadna kobieta nie powinna tracić nadziei.

– Nie gonę za małżeństwem. To ono mnie goni. Już wiele propozycji odrzuciłam.

– No pewnie, księżniczka, córeczka księżniczki! Możesz sobie na to pozwolić.

– A kto jest godny uwagi w tym zaułku?! – krzyknęła Hamida ze złością.

W rzeczywistości matka nie wtrącała się do spraw Hamidy, bojąc się, że dziewczynie trudno będzie kogoś znaleźć. Była niewątpliwie piękna, ale próżna i zarozumiała. Powiedziała więc z niezadowoleniem:

– Nie strzép sobie języka na mieszkańcach zaułka. To poważni ludzie.

– A ty wielka dama! Na Boga, jesteście niczym, nikt z was się nie liczy z wyjątkiem jednego, którego zrobiliście moim bratem.

Miała na myśli Husajna Kirszę, mlecznego brata. Umm Hamida nie wytrzymała i krzyknęła ze złością:

– Kto go zrobił twoim bratem? Kim my jesteśmy, żeby kogoś robić czyimś bratem albo siostrą? Sam Bóg zrządził, że jest to twój mleczny brat.

– Nie mógł ssać jednej piersi, a ja drugiej?

– A niech cię Bóg zabije! – krzyknęła matka i uderzyła ją w plecy.

– Zaułek nicości, ludzi, którzy nic nie znaczą – mruzczała dziewczyna z pogardą.

– A ty byś zaraz chciała wielkiego urzędnika.

– A co to? Urzędnik to już Bóg?

– Och, żebyś ty chociaż trochę spuściła z tonu – westchnęła matka.

– Och, żebyś ty choć raz w życiu była sprawiedliwa.

– Żywię, ubieram i nawet nie powie dziękuję. Jeszcze ma pretensje, że musi ubierać się w galabiję.

– A co? Ubranie to sprawa nieważna? Co to za życie bez nowych sukienek. Dziewczyna, jak się nie ma w co ubrać, lepiej niech się da żywcem pogrzebać! Och, żebyś widziała dziewczyny, które pracują. Żebyś widziała żydowskie robotnice! Wszystkie chodzą w pięknych sukienkach. Po co żyć na tym świecie, jak się nie ma tego, czego się chce?!

– Straciłaś resztki rozsądku, patrząc na te pracujące dziewczyny. Oby Bóg przywrócił ci spokój.

Hamida nie zwracała już uwagi na to, co mówi matka. Wyciągnęła z kieszeni lusterko, oparła je o ścianę, pochyliła się i zaczęła się przeglądać.

– Szkoda mi ciebie, Hamido – mówiła do siebie. – Dlaczego urodziłaś się w tym zaułku? Dlaczego twoja matka nie odróżnia złota od piachu?

Podeszła do jedynej w salonie okna, które wychodziło na ulicę, przymknęła okiennice tak, że została wąska szpara, i przypatrywała się zaułkowi pełna ironii.

– Witam cię, zaułku szczęścia i dobrobytu – powiedziała. – Obyś trwał wiecznie, ty i twoi szlachetni mieszkańcy. Piękny jesteś i piękni są tu ludzie. Oto piekarka Husnijja siedzi na progu piekarni jak rzucony worek, jednym okiem obserwuje chleb, a drugim męża, który pracuje pilnie, cały w strachu, że zaraz spadną mu na głowę kopniaki i razy. A to ma'allim Kirsza z głową ciężką, pochyloną, jakby spał, choć nie śpi. I Amm Kamil pogrążony w śnie, podczas gdy muchy tańczą spokojnie po talerzu basbusy. Och, a to Abbas al-Helu, spogląda przekonany, że ten jego wzrok rzuci mnie przed nim na kolana. Niedoczekanie. Prędzej umrę. O, a to pan Salim Ulwan, właściciel przedsiębiorstwa, spojrział tu raz, o matko; a teraz znowu!

Powiedzmy, że za pierwszym razem był to przypadek, ale teraz znowu tu patrzy. Szanowny panie Salimie! Czego chcesz, ty bezwstydnym staruchu? Przypadek? Codziennie o tej samej porze? Gdybyś nie był mężem i ojcem, odpowiedziałabym ci takim samym spojrzeniem i powitała całym sercem. Oto i wszystko, cały zaułek. Więc niech wszy żrą twoje włosy, Hamido! Och, słysząc trepy szajcha Darwisza...

– Nikt nie jest bardziej godny zostać twoim mężem niż szajch Darwisz! – przerwała jej matka drwiąco.

Hamida nie zwracała na nią uwagi, tańczyła przed oknem, poruszając pośladkami.

– Podobno – ciągnęła – jest to człowiek zamożny. Mówią, że z miłości do Sajjidy Zajnab wydał tysiąc funtów, to na mnie nie poskąpiłby dziesięciu tysięcy! Jak mi ciebie żal, Hamido – westchnęła, znowu patrząc w lustro.

Rozdział 4

Przed południem w zaułku było zimno i wilgotno. Słońce zagłądało tu dopiero w samo południe, wtedy przedzierało się jakoś przez otaczające mury. Ale ruch trwał tu od wczesnego rana. Sunkur otwierał kawiarnię, ustawiał krzesła, palił w piecu. Potem zaczynali się schodzić, grupkami i pojedynczo, pracownicy przedsiębiorstwa, za nimi ukazywał się Dżada, niosący drewnianą misę z ciastem na chleb. Nawet Amm Kamil nie spał o tej porze, krzątając się przy otwieraniu sklepu i przyrządzaniu śniadania. Amm Kamil i Abbas al-Helu jadal śniadanie razem. Na miedzianej tacy stawiali talerz fulu, zieloną cebulę i kiszane ogórki. Abbas połykał pokarm w mgnieniu oka, Amm Kamil natomiast żuł długo i powoli, aż w ustach zrobiła się zupełna papka. Mawiał też często: „Jedzenie przynosi pożytek, gdy się je dobrze zetrze w ustach”. Al-Helu zwykle zdążył zjeść, wypić herbatę i wypalić nargile, a Amm Kamil ciągle przeżuwał i wciąż gryzł wolno cebulę. W obawie, aby Al-Helu nie naruszył jego porcji, Amm Kamil dzielił od razu ful na dwie części i czuwał, by młodzieniec mu nie podjadał. Mimo otyłości Amm Kamil nie jadł wiele. Jedynie słodczyce pożerał łapczywie. Był mistrzem w przygotowywaniu basbusy – ale nie uprawiał sztuki cukierniczej, chyba że na specjalne zamówienie As-Sajjida Ulwana, pana Radwana al-Husajniego lub ma'llima Kirszy. Słyszał z tego nie tylko w zaułku Midakk, ale też na As-Sanadikji, Al-Ghurijji i As-Sagha. Zarobki jego starczały mu jednak tylko na bardzo skromne życie i nie kłamał, skarżąc się Abbasowi al-Helu, że nie będzie go w czym pochować.

Tego ranka po śniadaniu zagadnął Abbasa:

– Mówiłeś, że masz dla mnie całun, jestem ci winien wdzięczność, ale może dałbyś mi go już teraz, co?

– A co chcesz z nim zrobić? – zapytał zdziwiony Abbas, który już dawno zapomniał o całunie, tak jak o wszystkich drobnych kłamstwach.

– Sprzedać! Nie słyszałeś, że mają podnieść ceny tkanin? – głos Amm Kamila był wysoki jak głos chłopca.

– Jesteś sprytniejszy, niż wyglądasz – roześmiał się Abbas. – Wczoraj się skarżyłeś, że nie masz na całun, a jak ci go sprawiłem, już chcesz go sprzedać. Ale nie dostaniesz go. Kupiłem całun, żeby godnie odziać twoje ciało po najdłuższym życiu, jeśli Bóg tak zechce.

– Założmy, że doczekam końca wojny i że wszystko wróci do stanu sprzed wojny ileż to stracimy, trzymając taki drogi całun w schowku!

– A jak umrzesz jutro?

– Nie daj Boże.

Al-Helu roześmiał się.

– Szkoda fatygi, nie przekonasz mnie. Całun pozostanie w bezpiecznym miejscu aż do dnia, który Bóg uzna dla ciebie za ostatni.

Śmiał się długo, aż w końcu i Amm Kamil zaczął mu wtórować.

– Co z ciebie za człowiek – odezwał się wreszcie Al-Helu. – Żadnej korzyści z ciebie nie mam. Czy w życiu zarobiłem na tobie choć millima? Broda ci nie rośnie, wąsy też nie, głowę masz łąsą. Na całym tym szerokim świecie, jak nazywasz swoje ciało, nie ma ani jednego włoska do ostrzyżenia. Niech ci Bóg przebaczy.

– Moje ciało jest czyste i nie potrzebuje oczyszczenia.

Rozmowę ich przerwał krzyk przypominający wycie.

Odwrócili się i zobaczyli, że piekarka Husnijja znów okłada swojego męża chodakiem. Mężczyzna osłaniał się, cofał i wrzeszczał wniebogłosy.

– Litości, ma'allimo – krzyknął Abbas ze śmiechem.

Ale kobieta nie przestała, dopóki mąż nie upadł na kolana, płacząc i błagając o przebaczenie.

– Przydałoby ci się dostać takim chodakiem, trochę tłuszczu by ci się stopiło – powiedział Abbas do Amm Kamila.

Tymczasem Husajn Kirsza wyszedł z domu ubrany jak zwykle w spodnie, koszulę i kapelusz. Pełen dumy i pychy popatrzył na zegarek na rękę i jego małe, złośliwe oczy zabłyśły. Pozdrowił swojego przyjaciela fryzjera i usiadł w jego salonie, żeby się ogolić na dzień wolny od pracy. Obydwaj ujrzeni światło dzienne i wychowywali się w zaułku Midakk w tym samym domu pana Radwana al-Husajniego, z tym że Abbas ujrzał je trzy lata wcześniej niż jego przyjaciel. Abbas mieszkał wtedy z rodzicami i nie znał jeszcze Amm Kamila, z którym potem przez piętnaście lat miał dzielić mieszkanie. Przyjaciele spędzili razem dzieciństwo i wczesną młodość. Kochali się bardzo i zostali przyjaciółmi nawet potem, gdy rozdzieliła ich praca. Jako chłopiec Abbas pracował w zakładzie fryzjerskim na ulicy As-Sikka al-Dżadida, a Husajn w sklepie z rowerami w Al-Dżamalija. Różnili się bardzo od dzieciństwa, ale być może właśnie to było najważniejszym powodem ich długotrwałej przyjaźni. Abbas al-Helu był spokojny, łagodny, z natury zgodny, przyjazny ludziom, wyrozumiały. Jedyne jego namiętności to spokojne zabawy, kawa, nargile i gra w kumi. Unikał kłótni i sprzeczek, a jeśli do nich dochodziło, uśmiechał się łagodnie i mówił: „Niech ci Bóg przebaczy, wujku”. Modlił się, pościł i nie opuszczał piątkowej modlitwy w meczecie Pana Naszego Al-Husajna. Zdarzało mu się czasami zaniedbać obowiązki religijne, ale nie robił tego z cynizmem, tylko po prostu z lenistwa. Nierzadko Husajn prowokował go do kłótni, ale wtedy Abbas stawał się jeszcze łagodniejszy i nigdy nie dochodziło między nimi do bójki. Al-Helu znany był z pogody ducha i niewielkich wymagań. Przez dziesięć pełnych lat pracował jako chłopiec u fryzjera, aż w końcu, dopiero pięć lat temu, zdecydował się otworzyć

własny mały zakład, co uznał za szczyt swoich pragnień. Zadowolenie i pogodę ducha wyrażały też jego spokojne, trochę wypukłe oczy, a radość była widoczna w całej jego ociężalej postaci i twarzy.

Husajn Kirsza natomiast był znanym w zaułku spryciarzem. Żywy i złośliwy, potrafił być niebezpieczny i agresywny, jeżeli go ktoś zaczepił. Początkowo pracował w kawiarni ojca, ale nie mogli się ze sobą dogadać, więc zrezygnował i podjął pracę w sklepie z rowerami, gdzie pracował za trzy piastry dziennie aż do wybuchu wojny. Wtedy dostał się na służbę do wojska brytyjskiego i jego dniówka wynosiła trzydzieści piastów, nie licząc dodatkowych „zarobków”, które zdobywał sprytem i zręcznością rąk. Sytuacja jego bardzo się poprawiła, a kieszenie napełniły pieniędzmi. Z ogromnym entuzjazmem podporządkował się nowemu trybowi życia, rzucił się w wir zabaw i uciech. Sprawił sobie nowe ubranie, jadał w restauracjach głównie mięso, które uważał za pożywienie wybrańców losu. Chodził do kin i kabaretów, pił alkohol i zabawiał się z kobietami. Upojenie życiem znalazło też wyraz w gościnności. Zapraszał często przyjaciół do siebie na taras, częstował ich różnymi potrawami, winem i haszyszem. Podobno kiedyś powiedział do któregoś ze swoich gości: „W Anglii takiego jak ja nazywają lardź”. I tak już zostało, nazywali go Husajn Kirsza Lardź. Potem ktoś się przejęzyczył i zamiast „lardź” nazwał go „garaż” i od tej pory mówiono na niego Garaż.

Abbas wziął maszynkę i zabrał się energicznie do głowy Husajna. Podstrzygł go, prawie nie ruszając kędzierzawych, gęstych włosów. Za każdym razem, kiedy spotykał dawnego przyjaciela, opanowywał go smutek. Niby ciągle byli przyjaciółmi, ale życie tak się zmieniło!

Husajn Kirsza nie bywał już jak dawniej w kawiarni ojca, więc spotykali się rzadko. Abbas nie mógł pozbyć się uczucia zazdrości, kiedy rozmyślał, co ich rozdzieliło. Ale uczucie to, tak jak i jego charakter, było łagodne i nie pozwalało mu zrobić fałszywego kroku.

Nigdy nie powiedział przyjacielowi złego słowa. Czasami pocieszał się w duchu: wojna się skończy i Husajn wróci do zaułka goły, tak jak z niego wyszedł.

Husajn – znany gaduła – zaczął opowiadać przyjacielowi o życiu „Lorensów”, o robotnikach, pensjach, drobnych kradzieżach, powtarzał anegdoty i żarty, jakie sobie opowiadają, a także mówił o tym, jak to żołnierze angielscy kochają go i podziwiają.

– Sierżant John powiedział mi kiedyś, że ja różnie się od Anglików tylko kolorem skóry! On mi często radzi oszczędzać. Ale co tam! Ręka – tu pokazał z dumą na swoje bicepsy – która potrafi zarobić podczas wojny, zarobi dwa razy tyle w czasie pokoju. Jak myślisz, kiedy wojna się skończy? Klęska Włochów nikogo nie zdziwi, oni nie mają pojęcia o wojnie, a Hitler będzie się jeszcze trzymał ze dwadzieścia lat. Sierżant John jest pełen podziwu dla mojej odwagi i ma do mnie ślepe zaufanie. Dzięki temu dopuścił mnie do swoich interesów. Handlujemy tytoniem, papierosami, nożami, widelcami, pościelą, pończochami, butami... Och, to jest życie.

– To jest życie! – powtórzył w zamyśleniu Abbas.

– A wiesz, gdzie teraz idę? – Husajn przeglądał się uważnie w lustrze. – No, wiesz? Do ogrodu zoologicznego. A wiesz z kim? Z dziewczyną jak śmietana, jak miód! – Tu cmoknął z podziwu. – Zaprowadzę ją do klatek z małpami. – Roześmiał się głośno. – Założę się, że chcesz zapytać, dlaczego do małp? To naturalne u takiego jak ty, który widział tylko małpę na łańcuchu. Dowiedz się więc, ośle, że małpy w ogrodzie zoologicznym żyją w klatkach w kupie i bardzo przypominają ludzi zarówno z wyglądu, jak i z zachowania; pieszczą się, flirtują, kłócą się, biją, wszystko to możesz zobaczyć. Jak zaprowadzę tam dziewczynę, mam sprawę załatwioną.

– To jest życie! – wymamrotał znowu Abbas, zabierając się do pracy.

– Kobiety to cały szeroki świat. Do tego staranna fryzura nie wystarczy.

– Ja jestem biedny człowiek! – Abbas roześmiał się i spojrział w lustro na swoje włosy.

– A co z Hamidą? – zapytał nagle Husajn trochę drwiąco, patrząc mu prosto w oczy.

Abbasowi serce zabiło, zaczerwienił się zaskoczony.

– Z Hamidą?!

– Tak, z Hamidą, córką Umm Hamidy.

Abbas milczał zakłopotany.

– Człowieku niemrawy, śpiący! – krzyknął Husajn. – Co ty masz z życia! Śpisz, całe życie prześpisz. Ten sklep śpi i wszyscy tutaj śpią, i ty śpisz otumaniony. Już mi się znudziło ciągle cię budzić. Myślisz, że w ten sposób do czegoś dojdiesz? Akurat! Żebyś nie wiem jak harował, nigdy nie zarobisz więcej niż na marny kawałek chleba.

– To jest dobre, co Bóg nam przeznaczył – powiedział Abbas spokojnie po głębokim namyśle.

– Amm Kamil, kawiarnia Kirszy, nargile, kurni – drwił Husajn.

– Czemu drwisz z tego życia?

– A bo to jest życie? Ten zaułek to same trupy. Jak tu jeszcze trochę posiedzisz, to wcale cię nie trzeba będzie grzebać. Niech się Bóg nad tobą zlituje.

– No to co ja mam robić? – zapytał Abbas po chwili wahania.

– Jak to co? – krzyknął Husajn. – Tyle razy już ci mówiłem, tyle razy radziłem. Rzuć to nędzne, brudne życie, zamknij sklep, wyprowadź się z zaułka; przestań się wpatrywać w tego trupa Amm Kamila. Zaciągnij się na służbę do wojska angielskiego, bo to jest

kopalnia złota, skarb Hasana z Basry. Tylko głupcy mówią, że ta wojna jest utrapieniem. To szczęście, które nam zesłał Pan Nasz, żeby nas wyciągnąć z dołów nędzy. Niech robią tysiące nalotów, niech zrzucają tysiące bomb, bo są to bomby ze złota. Już dawno ci mówiłem i powtarzam jeszcze raz: pracuj dla wojska angielskiego, bo to jest wspaniała okazja. To prawda, że Włosi ponieśli klęskę, ale jeszcze zostały Niemcy, a za nimi Japonia; zobaczysz, wojna potrwa jeszcze ze dwadzieścia lat. Mówię ci po raz ostatni: są jeszcze wolne miejsca w At-Tall al-Kabir, jedź tam!

Wyobraźnia Abbasa zaczęła pracować. Podniecony i rozgorączkowany ledwie mógł skończyć strzyżenie. I to nie słowa Husajna wprowadziły go w taki stan, ale jego własny wewnętrzny upór, który odczuwał zawsze, kiedy spotykał Husajna. Z natury bowiem zadowalał się małym, niechętnie się ruszał z miejsca, odczuwał lęk przed wszystkim co nowe, nienawidził podróżowania. Nawet gdyby mu dano możliwość wyboru, wybrałby zaułek Midakk. Nic by mu go nie zastąpiło, mógłby mieszkać tu całe życie i nigdy by się nie znudził ani nie przestał kochać tego miejsca. Ogarnęła go jakaś tęsknota płynąca nie tyle ze słów Husajna, ile z myśli o Hamidzie, której obraz dodawał mu odwagi do nowego życia i wzniecał nowe pragnienia. Bał się przyznać do tego sam przed sobą.

– Wyjazd to gówno – powiedział z udanym wstrętem.

– Sam jesteś gówno – Husajn tupnął nogą ze złości. – Wyjazd jest lepszy niż siedzenie w zaułku Midakk, lepszy niż Amm Kamil. Wyjeżdżaj stąd i zdaj się na Boga. Przecież ty się jeszcze nawet nie narodziłeś! Co jadłeś w życiu? Co piłeś? W co się ubierałeś? Co widziałeś? Wierz mi, ty się jeszcze nie urodziłeś.

– Szkoda, że się nie urodziłem bogaty – westchnął Abbas smutno.

– Szkoda, że nie urodziłeś się dziewczyną. Żyłbyś tak jak dawniej dziewczyny; dom i tylko dom, bez kina, bez ogrodu

zoologicznego, bez spaceru na Al-Muski, gdzie chodzi często po południu Hamida.

Imię to wprawilo Abbasa w jeszcze większe zmieszanie; sprawilo mu ból, że przyjaciel wymawia je z lekką drwiną, jakby to było słowo nieważne, nic nieznaczące.

– Twoja siostra Hamida to dziewczyna przyzwoita, nie szkodzi, że chodzi sobie na spacer na Al-Muski.

– Zgoda, ale jest to dziewczyna ambitna i nic u niej nie wskórasz, dopóki się nie zmienisz.

Twarz Abbasa płonęła, serce mu waliło, opanowywała go na przemian to miłość, to strach, to wzruszenie, to niepokój. Skończył strzyc Husajna i teraz czesał go w milczeniu. Wreszcie Husajn wstał, zapłacił mu i wyszedł, ale zaraz za drzwiami stwierdził, że zapomniał chusteczki do nosa i wrócił do domu. Abbas odprowadził go wzrokiem radosnym, powtarzając sobie w duchu słowa przyjaciela: „Nic u niej nie wskórasz, dopóki się nie zmienisz”. Husajn ma rację, żyję z dnia na dzień. To, co w trudzie zarobię w ciągu jednego dnia, starcza właściwie na ten dzień. Jeżeli chcę założyć rodzinę w tych trudnych czasach, to muszę znaleźć jakieś wyjście. Nie zrealizuję swoich marzeń, siedząc z założonymi rękami, muszę spróbować szczęścia jak inni. „Dziewczyna ambitna” – mówi Husajn i pewnie wie, co mówi. Tak naprawdę to on jej nie zna, patrzy na nią oczyma miłości. Jeżeli jest to dziewczyna ambitna, to i on musi być ambitny. Husajn na pewno pomyśli sobie – Abbas uśmiechnął się do siebie – że to on go obudził z letargu i wlał w niego nowe życie, ale on wie lepiej niż kto inny, że gdyby nie ukochana, nic nie zmusiłoby go do porzucenia stanu pokornej wegetacji. I w tej chwili, która okazała się przełomowa w jego życiu, odczuł Abbas, jak ogromną, magiczną siłę ma miłość. Podświadomie zawsze wyczuwał jej moc, która zdolna jest ludzi odmieniać. Wszak Bóg stworzył człowieka do miłości i z nią związał tajemnicę życia. Wzruszony i przejęty zapytywał sam siebie: „Niby dlaczego mam stąd nie wyjeżdżać? Żyję w tym zaułku

już prawie dwadzieścia pięć lat i co z tego mam?” Nie jest sprawiedliwa ta uliczka dla swoich mieszkańców, nie odpłaca im hojnie za miłość i przywiązanie. Uśmiechnie się czasem do zmartwionego albo zmartwi uśmiechniętego, ale dostatkami obdziela po kropelce, lejąc go obficie jedynie panu Salimowi. Wokół niego gromadzą się stosy banknotów, wydzielają czarowną woń, podczas gdy sam zaułek nie pachnie millimem. Tak, musi stąd wyjechać, musi zmienić życie.

Myśli jego błądziły daleko, gdy tak stał przed sklepem, patrząc na Amm Kamila, który już chrapał z packą na muchy na piersi. Z zamyślenia wyrwał go odgłos lekkich kroków w głębi zaułka. Odwrócił się i zobaczył Husajna pośpiesznie wychodzącego z domu. Opanował go strach i jednocześnie podniecenie, jak hazardzistę przed kołem ruletki. Husajn już go prawie wyminął, kiedy Abbas zdobył się na odwagę, położył mu dłoń na ramieniu i powiedział:

– Husajn, muszę z tobą pogadać w ważnej sprawie.

Rozdział 5

Późne popołudnie... Hamida owinięta w milaję schodziła po schodach, wsłuchując się w stukot własnych chodaków. Wiedziała, że każdy jej krok bacznie obserwują dwie pary oczu: pana Salima Ulwana, właściciela przedsiębiorstwa, i Abbasa al-Helu, fryzjera. Przeszła więc przez zaułek wyprostowana, dbając o każdy ruch. Lichym odzieniem, sukienką z taniego materiału, znoszoną i spłowiałą milają i trepami o zdartych obcasach nie zwróciłyby na siebie uwagi, toteż owinęła się milają tak, żeby podkreślić swoją piękną figurę. Starła się uwydatnić jędrne pośladki, wypięła pełne piersi, odsłoniła aż do połowy krągłe łydki i odkryła czarne uczesane z przedziałkiem włosy oraz śliczną, śniadą twarz. Umyślnie ani razu się nie odwróciła i wyszła z uliczki, kierując się najpierw w stronę As-Sanadikijji, potem Al-Ghurijji, a stamtąd prosto przez As-Sikka al-Dżadida na Al-Muski. Gdy tylko przestały za nią gonić świdrujące spojrzenia, odetchnęła z ulgą i z całym zapalem zaczęła przyglądać się rojnej, kipiącej życiem ulicy. Była dziewczyną biedną, nie mogła się poszczycić dobrym urodzeniem ani bogatą rodziną, ale nie brakowało jej pewności siebie. Być może jej źródło tkwiło w olśniewającej urodzie i jej silnym charakterze; nie zdarzyło się jeszcze, żeby pewność siebie ją opuściła. Niekiedy mówiły o tym jej piękne oczy, zdaniem jednych odbierając im ich piękno, zdaniem innych jeszcze je podwajając. Miała skłonność do dominowania, górowania nad innymi, co się przejawiało zarówno w jej zabiegach, aby oczarować mężczyzn, jak i w próbach podporządkowania sobie matki; najprzykrzejszą formą ujawniania się jej cech były wulgarne awantury i bójki, jakie prowadziła z kobietami zaułka, za co była przez nie znienawidzona, przeklinana i posądzana o najgorsze. Najdziwniejszą z plotek, jakie o niej krążyły, była ta, że nie cierpi dzieci, jest okrutna oraz pozbawiona wszelkich kobiecych uczuć.

Żona Kirszy, właściciela kawiarni, życzyła jej wręcz, żeby Bóg zesłał jej męża tyrana, który by jej na krok nie wypuszczał z domu, obarczył dziećmi i prał od rana do wieczora.

Hamida cieszyła się swoim codziennym spacerem. Zaglądała do sklepów, wciąż zła oglądania drogich strojów i przedmiotów. Mrzonkami podsycala w sobie żądzę posiadania. Silniejsza od wszystkich namiętności była w niej miłość do pieniędzy. Uważała, że są one magicznym kluczem do świata, że w nich skupiają się wszystkie tajemne moce. Marzyła o pieniądzach, aby zdobyć stroje i wszystko czego dusza zapragnie. Pełna niepokoju, zadawała sobie pytanie, czy możliwe, aby to się spełniło? Rzeczywistość nie napawała jej optymizmem. Pocieszała się historią pewnej dziewczyny z As-Sanadikijji, biednej jak ona. Do tamtej uśmiechnęło się szczęście – została żoną bogatego, poważnego przedsiębiorcy. On wyciągnął ją z dna i odmienił jej życie. A może historia się powtórzy? Może szczęście po raz drugi uśmiechnie się do kogoś w tej dzielnicy? Przecież nie ustępowała tamtej urodą, a łut szczęścia bez wątpienia pojawiać się może wiele razy. Ambicje Hamidy nie wybiegały poza ciasny światek kończący się na placu Al-Malika Farida. Nie wiedziała nawet, co jest za nim, jacy tam ludzie mieszkają, jakie losy kryje w sobie tamten szeroki świat, ilu ludzi zaznaje tam dobrobytu i osiąga szczęście, a ilu gnębi jak ją niepewność i niepokój.

Niedaleko spostrzegła swoje koleżanki wracające z pracy. Rzuciła się ku nim uszczęśliwiona, wolna od ciężkich myśli. Przywitały się i paplały o byle czym. Wpatrywała się w ich twarze, oglądała, jak są ubrane, i zazdrościła im w duchu wolności i swobody. Mieszkały na ulicy Ad-Darrasa. Trudne warunki wojenne sprawiły, że zerwały z odziedziczonymi tradycjami i naśladowując Żydówki, zaczęły pracować poza domem. Z początku były wynędzniałe, wychudzone, biedne, ale bardzo szybko przeobrażały się nie do poznania. Po latach głodu i nędzy, teraz odżywione i ubrane, zaczęły tak jak Żydówki dbać o swój wygląd i elegancję, niektóre potrafiły powiedzieć parę słów w obcym języku i nie

wstydzili się trzymać pod ramię ani chodzić po „podejrzanych” ulicach. Zdobyły pewną oglądę i rzuciły się w wir życia. A jej życie upływało monotonnie i nie wiedziała, jak z niego korzystać. Schlebiała im, ale żal przepelniał zakamarki jej duszy. Zazdrościła im ich wygodnego życia, haftowanych sukien i pełnych portmonetek. Żartowała i śmiała się z nimi, ale zazdrość zżerała jej serce. Czasem dokuczała im niby żartem, z byle powodu, a to jedna miała bezwstydnie krótką sukienkę, inna ubierała się bez gustu, trzecia dostała zeza od oglądania się za mężczyznami, a czwarta zapomniała, że kiedyś wszy jak mrówki łaziły jej po szyi. Spotkania te na pewno były głównym powodem jej buntu, ale także stanowiły największą rozrywkę jej dnia wypełnionego kłótniami. Dlatego kiedyś powiedziała z westchnieniem do matki:

– Żydówki to mają prawdziwe życie!

– Ty, diabelskie nasienie, nie chcę mieć z tobą nic wspólnego, jak tak mówisz...

Hamida próbowała rozdrażnić matkę jeszcze bardziej.

– A może ja jestem córką jakiego paszy, może nawet z nieprawego łoża, przecież to możliwe.

Matka pokiwała drwiąco głową:

– Niech się Bóg zlituje nad twoim biednym ojcem, sprzedawcą orzeszków z Margusz.

Szła ze swoimi przyjaciółkami dumna z własnej urody, uzbrojona w ostry język. Rozkoszowała się tym, że spojrzenia eleganckich przechodniów zatrzymywały się na niej, a nie na nich.

Gdzieś w połowie ulicy Al-Muski obejrzała się i zobaczyła nagle Abbasa al-Helu, który szedł w pewnej odległości za nimi, wpatrzony w nią jak zwykle. Co mogło go skłonić do zostawienia sklepu o takiej niezwykłej porze – pomyślała. – Czyżby szedł za nią? Nie wystarczają mu już spojrzenia? Mimo ubóstwa wyglądał elegancko, jak

większość mężczyzn jego fachu, nie przynosił więc jej wstydu. Żadna z jej towarzyszek nawet nie wyobrażała sobie lepszej partii. A ona żywiła do niego uczucie dziwne i skomplikowane. Z jednej strony był to jedyny młody człowiek w zaułku, który zasługiwał na to, żeby być jej mężem. Z drugiej strony jednak marzyła o kimś takim jak ten przedsiębiorca, którego złapała jej sąsiadka z As-Sanadikijji. Nie kochała Abbasa ani go nie chciała, ale już nie odrzucała go. Może cieszyły ją jego namiętne spojrzenia? Zwykle odprowadzała dziewczęta do końca, do Ad-Darrasy, a potem wracała sama do zaułka. Teraz szła wśród nich, zerkając ukradkiem w jego kierunku. Była pewna, że idzie za nią umyślnie, aby z nią wreszcie porozmawiać. Nie myliła się. Zaledwie pożegnała się z ostatnią dziewczyną i zawróciła, podszedł do niej trochę niepewnym krokiem, ze wzruszeniem na twarzy.

– Dobry wieczór, Hamido – powiedział, starając się dotrzymać jej kroku.

Odwróciła się gwałtownie, udając przerażenie i zaskoczenie, potem zmarszczyła brwi i przyśpieszyła kroku, nie odpowiedział. Abbas zaczerwienił się, ale powtórzył tonem, w którym brzmiały żal i wymówka:

– Dobry wieczór, Hamido.

Bała się, że jak będzie milczała, to bardzo szybko dojdą do placu pełnego ludzi i Abbas nie zdąży powiedzieć, czego od niej chce, a bardzo pragnęła to usłyszeć. Odezwała się więc, udając niezadowolone:

– Wstyd! Sąsiad, a zachowuje się jak obcy.

– Nie, nie zachowuję się jak obcy – zaprzeczył Abbas gorąco. – Jestem twoim sąsiadem, to prawda, ale czy sąsiadowi nie wolno rozmawiać z sąsiadką?

– Tak, ale sąsiad powinien otaczać opieką sąsiadkę, a nie zaczepiać ją na ulicy – zadrwiła Hamida.

– Wiem, jakie są moje obowiązki. Nie miałem zamiaru cię zaczepiać, uchowaj Boże. Chcę tylko z tobą porozmawiać, a w tym chyba nie ma nic złego.

– Jak to nie ma nic złego? Zaczepiasz mnie na ulicy i narażasz na skandal.

– Na skandal? Hamido! Boże broń! Mam czyste zamiary. Na życie Al-Husajna, zawsze miałem wobec ciebie uczciwe zamiary. Zobaczysz, że wszystko skończy się dobrze, jak Bóg da, a nie żadnym skandalem. Chcę tylko, żebyś mnie wysłuchała, chcę z tobą porozmawiać w bardzo ważnej sprawie. Skrećmy w ulicę Al-Azhar, dalej od ludzi, którzy nas znają.

– Co?! Daleko od ludzkich oczu?! – Hamida udawała oburzenie.
– Pięknie! Doczekałam się od dobrego sąsiada!

Sprzeczką z nią ośmieliła go.

– Czy to grzech być sąsiadem? Mam raczej umrzeć, niż wyjawic to, co mam na sercu?

– Jakie piękne, wielkie słowa – odparła drwiąco.

Abbas szedł za nią przerażony, że zbliżają się do ludnego placu, a on jeszcze nic nie powiedział.

– Mam szczerze serce, na Pana Naszego Al-Husajna. Nie śpiesz się tak, Hamido. Skrećmy w ulicę Al-Azhar. Mam ci coś bardzo ważnego do powiedzenia. Musisz mnie wysłuchać. Na pewno domyślasz się, co ci chcę powiedzieć. Tak?! Na pewno to czujesz. Serce jest najlepszym przewodnikiem.

– Tego już za wiele – powiedziała rozgniewana. – Zostaw mnie!

– Hamido, chcę ci powiedzieć, chcę...

– Jaki wstyd! Zostaw mnie, bo zrobię skandal przy wszystkich.

Doszli do placu Al-Husajna. Hamida przeszła na lewą stronę ulicy, skrećiła w Al-Ghuriję i jeszcze bardziej przyspieszyła kroku.

Uśmiechała się lekko. Oczywiście, że wiedziała, co jej chciał powiedzieć. Pamiętała, że był to jedyny godny jej mężczyzna w zaułku. Czytała w jego wyblakłych oczach wyrazy miłości teraz i jeszcze niedawno, kiedy patrzyła na niego przez okno. Ale czy to wszystko poruszy jej twarde, nieczułe serce? Jego sytuacja materialna, którą znała dobrze, nie budziła w niej entuzjazmu, ale skromność, małe wymagania i uległość rokowały raczej dobre nadzieje dla serca żadnego władcy. Mimo to czuła do niego jakąś niechęć, której przyczyny nie mogła ustalić. Czego chciała? Kto będzie dla niej lepszy niż ten dobry i skromny chłopiec? Na te pytania nie znajdowała odpowiedzi. Niechęć swoją do Abbasa przypisywała temu, że jest biedny! Jej kłótniwa i skłonna do awantur natura nie cierpiała ugodowości ani nie satysfakcjonowało jej zwycięstwo, które przychodziło łatwo. Serce Hamidy ciągle jeszcze drzemało, nie ujawniało swoich pragnień. Przepęłniały je niejasne, niezrozumiałe uczucia niepokoju i duchowej rozterki.

Abbas al-Helu zrezygnował z towarzyszenia jej w obawie przed ludzkimi językami i wycofał się z sercem pełnym żalu i rozczarowania, ale nie rozpaczy. Szedł z pochyloną głową, nie zwracając uwagi na to, co się działo wokół niego. „Jednak rozmawiała ze mną długo – myślał. – Gdyby chciała mnie odprawić od razu, nic by jej nie przeszkodziło, nie musiałaby się uciekać do wybiegów. Nie ma nic przeciwko mnie, może mnie tylko kokietuje i zwodzi, jak zwykle dziewczyny, a może to wstyd sprawił, że nie pozwoliła mi mówić o miłości i uciekła”. Był jak najdalszy od rozpaczy, przeciwnie, podsycał w sobie nadzieję i przygotowywał się do następnego skoku. Czuł się upojony jak starym winem, upojony i oczarowany jak nigdy przedtem. Kochał gorąco i szczerze. Czuł na sobie władcze, przenikliwe spojrzenie jej pięknych oczu. Poddawał mu się z całą pokorą, rozkoszą i bezgraniczną miłością. Był po prostu zakochany podobnie jak inni. Tylko że on jak gołąb krążył po niebie, aż w końcu osiadł na swojej wieży, zwabiony gwizdem swego pana. Hamida była całą jego nadzieją. Tak, nie mógł się skarżyć, nie czuł rozczarowania.

Uchyliła przed nim kielich kwiatu nadziei. Wracał do domu upojony radością miłości. Kiedy skręcił w As-Sanadikiję, zauważył szajcha Darwisza, który szedł od strony meczetu Al-Husajna. Spotkali się u wejścia do zaułka. Abbas podszedł przywitać się, ale szajch zatrzymał go w pewnej odległości od siebie i pogroził palcem, wpatrując się w niego wyblakłymi oczami zza złotych okularów.

– Nie chodź bez tarbusza! Nie chodź z gołą głową w taką pogodę po tym świecie! Bo głowa młodzieńca paruje i rozum ulatuje. Jest to fakt znany z tragedii, po angielsku *tragedy*, pisze się *t-r-a-g-e-d-y*.

Rozdział 6

Ma'allim Kirsza zajmował się znowu bardzo ważną sprawą. Nie było chyba roku, żeby nie pochłonęła go jakaś sprawa, powodując kłopoty i niepokoje. Mimo że był człowiekiem o silnej woli, haszysz nie pozwalał mu z tego przymiotu korzystać. W przeciwieństwie do większości kupców swojej branży był biedny. Nie dlatego, że jego towar był niechodliwy, ale dlatego, że on sam był rozrzutny. Trwonił wszystko, co zarobił, nie liczył pieniędzy, wydawał na różne zachcianki, a zwłaszcza na ten zgubny specyfik. Załedwie słońce obwieściło zachód, Kirsza owinięty w czarną abaję wyszedł z kawiarni, nie mówiąc nic Sunkurowi. Opierając się na sękatej lasce, szedł wolno, ciężko stawiał stopy. Jego ciemne oczy były prawie przysłonięte ciężkimi powiekami, co sprawiało wrażenie, że nie widzi przed sobą drogi. Serce biło mu mocno. Bo serce bije mocno w takich sytuacjach nawet temu, kto zbliża się do pięćdziesiątki. Życie ma'allima Kirszy biegło w sposób mocno odbiegający od normy, ale co najdziwniejsze, on uważał je za normalne, bo już od dawna przyzwyczał się do „tarzania się w błocie”. Jako handlarz narkotykami przywykł do pracy pod skrzydłami nocy, wygnaniec z normalnego życia, ofiara zboczeń, całkowicie oddany swoim żądzom, bez żadnych hamulców, bez żadnych skrupułów, bez żadnych wyrzutów sumienia. Potępiał rząd za to, że prześladowuje takich jak on, i przeklinał tych, którzy z jego namiętności robili przedmiot szyderstwa i pogardy. Mówił o rządzie, że pozwala na picie wina, czego zabronił Bóg, a zabrania palenia haszyszu, na co Bóg pozwolił. Otwierają winiarnie, te roznosicielki trucizny, a robią nagonkę na lekarstwo dusz i umysłów. Często kiwał smutno głową, mówiąc: „Czego chcą od haszyszu? To odprężenie dla umysłu, uroda życia, a ponadto wzmacnia potencję”. Jeśli chodzi o jego inne namiętności, to mówił o nich ze zwykłą sobie bezczelnością i bezwstydem: „Wy macie

swoją religię, a ja mam swoją”. Ale mimo że traktował swoje namiętności jako coś normalnego i powszedniego, serce biło mu mocno przy każdej nowej przygodzie. Szedł teraz wolno Al-Ghurijja, poddając się swoim myślom sercem pełnym nadziei. „Ciekawe, co też mi przyniesie ten wieczór?” Choć był zaintrygowany, dostrzegał sklepy po obu stronach ulicy i coraz to odpowiadał na pozdrowienia znajomych. Podawał w wątpliwość szczerść tych pozdrowień i zadawał sobie pytanie, co też się za nimi kryje: życzliwość czy złośliwość. Ludzie bezustannie rzucali na niego oszczerstwa. Od dawna mieli go na językach. I cóż mogło im przyjść z oczerniania go? Nic! Miał ochotę ich prowokować. Zbliżał się już do ostatniego sklepu po lewej stronie, tuż przy Al-Azharze. Serce zaczęło mu bić mocniej, zapomniał nawet odwzajemnić pozdrowienia, zresztą brzmiały mu nieszczerze.

Teraz przymrużone oczy zapłonęły złym blaskiem, usta uchylily się, dolna warga obwisła. Przeształ próg. W ciasnym sklepiku za małym biurkiem siedział stary szajch. W głębi, oparty o półkę pełną towarów, stał młody, urodziwy sprzedawca. Kiedy zobaczył wchodzącego, wyprostował się i powitał go z usługnym uśmiechem. Wtedy po raz pierwszy uniosły się ciężkie powieki ma'allima i wzrok spoczał na młodzieńcu. Pozdrowił go ciepło. Młodzieniec grzecznie odklonił się. W ciągu ostatnich trzech dni widział tego człowieka już trzykrotnie i dziwił się, dlaczego nie kupił wszystkiego za jednym razem?

– Pokaż mi, jakie macie skarpetki – poprosił ma'ailim.

Sprzedawca przyniósł kilka rodzajów i rozłożył je na ladzie. Ma'allim oglądał je, rzucając na ekspedienta ukradkowe spojrzenia. Nie uszły one uwagi chłopca, na jego wargach zaigrał lekki uśmiech.

Ma'allim celowo długo i uważnie oglądał towar, aż wreszcie odezwał się cicho:

– Przepraszam, synku, mam słaby wzrok, wybierz mi kolor według swojego gustu.

Błądził oczami po jego twarzy. Nic nie mówił, tylko się uśmiechał.

– Gust zapewne masz równie nieskazitelny jak twarz – dodał.

Młodzieniec wskazał na skarpetki, udając, że nie słyszy komplementu.

– Zapakuj mi sześć par, albo lepiej dwanaście. – Kirsza celowo przedłużał rozmowę. – Chwała Bogu, nie brakuje mi pieniędzy.

Młodzieniec zapakował mu bez słowa to, czego i ile żądał. Podając paczkę, rzekł:

– Proszę i dziękuję.

Ma'allim Kirsza uśmiechnął się, albo raczej jego usta uchylily się w krótkim przelotnym uśmiechu, w którym było coś z lekkiego zażenowania, i powiedział trochę złośliwie:

– To ja dziękuję, synku – i dodał cicho: – Chwała niech będzie Bogu.

Wyszedł ze sklepu wzruszony tak samo, jak kiedy tu wchodził. Skierował się w stronę ulicy Al-Azhar, przeszedł szybko na drugą stronę i zawrócił, żeby znaleźć się znów naprzeciwko sklepu. Przytulony do drzewa stał tak, niewidoczny w zapadającym zmroku, opierając się na lasce, w rękę trzymając paczuszkę i nie spuszczać wzroku z wnętrza sklepu. Chłopiec stał w tym samym miejscu z rękami skrzyżowanymi na piersiach. Ma'allim patrzył na niego, ale mógł widzieć tylko zarys postaci. Pamięć i wyobraźnia pomogły zmęczonemu oku. „Na pewno zrozumiał moje pragnienie” – pomyślał. Przypomniawszy sobie, jak delikatny, miły i grzeczny był młody sprzedawca, a w uszach wciąż dźwięczał mu jego głos, kiedy powiedział: „Dziękuję”. Serce waliło mu mocno, oddychał głęboko, spalał się z niepokoju i napięcia, aż zobaczył, że zamykają sklep. Stary szajch udał się w kierunku ulicy As-Sagha, a młodzieniec w kierunku ulicy Al-Azhar. Ma'allim wyszedł zza drzewa i poszedł za nim.

Zrównał się z nim dopiero przy trzeciej przecznicy, ale chłopiec nie zwrócił na niego uwagi i byłby przeszedł mimo, gdyby Kirsza nie zbliżył się i nie zagadnął:

– Dobry wieczór, synku.

– Dobry wieczór panu – odpowiedział chłopiec i uśmiechnął się lekko.

– Zamknąłeś sklep?

– Tak, proszę pana.

Chłopiec zauważył, że mężczyzna celowo zwalnia kroku, jakby go namawiał do zatrzymania się, ale udał, że tego nie spostrzega. Ma'allim podążał za nim, nie spuszczając z niego wzroku.

– Pracujesz długie godziny, oby ci Bóg dopomógł!

– Co zrobić? Żeby jeść, trzeba się namęczyć...

Ma'allim ucieszył się, że młodzieniec dał się wciągnąć w rozmowę.

– Oby Bóg ci wynagrodził twoje trudy, synku!

– Dziękuję panu.

– Całe życie się męczymy – powiedział starzec z werwą – ale rzadko kiedy dostajemy za nasz trud nagrodę, na jaką zasługujemy. A iluż pracujących jest wyzyskiwanych na tym świecie.

Słowa te poruszyły w sercu młodzieńca jakąś czułą strunę, bo odparł smutno:

– Tak, ma pan rację, ileż to robotników jest wyzyskiwanych na tym świecie.

– Cierpliwość jest kluczem do radości. Tak, wielu jest wyzyskiwanych, ale to jednocześnie znaczy, że wielu jest wyzyskiwaczy. Jednak dzięki Bożej dobroci nie brak na świecie także ludzi o miłosiernych sercach.

– A gdzie oni są?

Ma'allim już miał powiedzieć: oto masz przed sobą jednego z nich, ale się powstrzymał i rzekł z przyganą:

– Nie bądź pesymistą, synku, muzułmanie są dobrzy... – I dodał już normalnym tonem: – Dlaczego idziesz tak szybko? Spieszysz się?

– Muszę iść do domu przebrać się.

– A potem?

– Pójdę do kawiarni.

– Do której kawiarni?

– „Ramadan”.

– Dlaczego nie zaszczytisz naszej kawiarni? – Ma'allim Kirsza machinalnie uśmiechnął się, błyskając w ciemności złotymi zębami.

– A która to jest, proszę pana?

– Kawiarnia Kirszy w zaułku Midakk – powiedział ma'allim szorstko. – Ma'allim Kirsza, do usług.

– Zaszczyt to dla mnie, ma'allimie, to słynna kawiarnia – powiedział chłopiec z wdzięcznością.

– Przyjdiesz? – zapytał Kirsza z radością i nadzieją.

– Jeśli Bóg pozwoli!

– Wszystko według woli Bożej – powiedział ma'allim trochę niecierpliwie. – Ale czy naprawdę masz zamiar przyjść, czy tylko tak mówisz, żeby się mnie pozbyć?

Chłopiec roześmiał się.

– Ależ naprawdę przyjdę.

– Więc do wieczora! – A kiedy chłopiec nie odpowiedział, dodał z naciskiem, a serce skakało mu z radości: – Przyjdź koniecznie.

– Jeśli Bóg pozwoli – wymamrotał chłopiec.

Ma'allim oddychał głośno.

– Gdzie mieszkasz?

– W zaułku Agencji.

– Więc jesteśmy prawie sąsiadami... Żonaty?

– Nie, skąd, mieszkam z rodziną.

– Wygląda na to, że jesteś synem dobrych ludzi – powiedział ma'allim ciepło. – Z dobrego dzbana dobra woda. Musisz pomyśleć o swojej przyszłości, nie możesz przecież całe życie być zwyczajnym sprzedawcą.

Na pięknej twarzy chłopca odmalowało się zainteresowanie i ciekawość.

– Czyż taki jak ja może myśleć o czymś więcej?

– Znajdziemy jakieś wyjście – powiedział ma'allim, jakby lekceważąc trudności. – Dorośli też byli kiedyś dziećmi.

– Tak, ale niełatwo zostać dorosłym.

– Chyba że się ma szczęście! Uważajmy więc dzień, w którym się poznaliśmy, za dzień, który przyniesie szczęście. Czekam na ciebie dziś wieczorem, tak?

– Tylko niegodziwiec odrzuciłby taką szlachetność – odrzekł chłopiec ze śmiechem po krótkim wahaniu.

Pożegnali się przy Bab al-Mutawalli i ma'allim zawrócił, stukając chodakami w ciemnej ulicy. Jakby otrzeźwiał i obudził się z uśpienia, serce zalewała mu radość. Tylko wtedy opuszczał świat snu, kiedy uderzała weń fala brudnych namiętności. Przeszedł obok zamkniętego sklepu i rzucił mu długie, tęskne spojrzenie. Wrócił do zaułka, kiedy już wszystkie sklepy były zamknięte, a uliczka pogrążona w mroku. Jedynie światło z kawiarni nieco ją oświetlało.

W kawiarni było ciepło i przytulnie. Ciepło dawał dym z nargili, oddechy zebranych i płomień piecyka. Stali bywalcy siedzieli po turecku na kanapach, rozmawiając i sącząc kawę lub herbatę. Radio odkrywało swoje wnętrze, ale spotykało się z całkowitą obojętnością, jak uciążliwy mówca, który przemawia do głuchych. Sunkur uwijał się jak pszczoła, nie siadał ani na chwilę i bez przerwy pokrzykiwał. Ma'allim usiadł w spokojnym miejscu za kasą, unikając wzroku klientów. Kiedy wchodził, usłyszał, jak Amm Kamil prosił, żeby wyperswadowano Abbasowi al-Helu zakup całunu, ale nikt nie chciał o tym słyszeć.

– Nie lekceważ twojego ostatniego ubrania. Na ziemi człowiek może żyć bez odzienia, ale choćby był nie wiem jak biedny, nie może bez godowej szaty wejść w zaświaty – powiedział doktor Buszi.

Jeszcze wiele razy prostoduszny Amm Kamil ponawiał swoją prośbę, ale za każdym razem spotykał się z odmową i drwinami. W końcu umilkł rozczarowany, a Abbas al-Helu, korzystając z ciszy, obwieścił wszystkim, że postanowił wyjechać do pracy przy wojsku brytyjskim. Każdy miał dla niego dobrą radę i własne zdanie na ten temat, ale na ogół wszyscy uważali decyzję za słuszną i życzyli mu sukcesów i bogactwa. As-Sajjid Radwan pochłonięty był opowiadaniem historii pełnych wskazówek i nakazów moralnych:

– Nie mów, że się nudzisz! Nuda jest bezbożnością – mówił. – Nuda to choroba, która zubaża wiarę. A cóż ona może oznaczać, jeśli nie to, że ci się życie znudziło? A przecież życie jest dobrodziejstwem zesłanym przez Najwyższego, Najwspanialszego Boga, jakże więc wierzący może się nim znudzić lub mieć go dosyć? Jeśli mi powiesz, że masz czegoś dosyć, spytam cię, skąd to przyszło, jeśli nie od Boga, Władcy Największego? Zważaj na czyny dobre i nie buntuj się przeciwko dziełom Stwórcy. Wszystko w życiu ma jakieś piękno i jakiś smak, ale zgorzknienie duszy wiedzie do zła i może zepsuć najlepszy smak. Uwierz mi, że w bólu też może tkwić radość, w rozpaczy – rozkosz, a w śmierci sens. We wszystkim można doszukać

się piękna i słodczy. Jakże można odczuwać znużenie, kiedy niebo jest tak niebieskie, a ziemia cała w zieleni, a kwiaty tak cudowne, kiedy serce ma tę zadziwiającą zdolność kochania, a dusza wiarę nieskończoną? Jak może być nam nudno i źle na świecie, kiedy wśród nas są ci, których kochamy, i ci, których podziwiamy, i ci, którzy nas kochają i podziwiają. Niech cię Bóg broni przed szatanem przeklętym i nigdy nie mów: nudzę się...

Pociągnął ze szklanki łyk napoju cynamonowego i dodał jakby z wahaniem:

– Przeciwności losu zwyciężymy miłością. Miłość jest najskuteczniejszym lekiem na wszystko. W zakamarkach nieszczęść kryje się szczęście, jak we wnętrzach pustynnych kopalń – diamenty. Uczmy się więc mądrości w miłowaniu.

Biała twarz okolona brodą zaróżowiła się i promieniowała radością i światłem jak księżyc. W porównaniu z jego ogromnym spokojem wszystko dookoła wydawało się niespokojne i niepewne. Blask jego oczu wyrażał wiarę i miłość, dobroć i obojętność wobec spraw tego świata. Mówiono, że odmienił się po nieudanych studiach w Al-Azharze i że zważył w wieczność świata, kiedy pochował synów, i odtąd też szukał rekompensaty darząc innych miłością i dobrocią. A iluż takich jak on nieszczęśliwców popadło w obłęd, ilu obracało cały swój gniew przeciw światu i religii? Każde uczucie, które kryło się w jego duszy, było uczuciem prawdziwie szczerym. Był szczery w swojej wierze, szczery w miłości i szczery w dobroci. Najdziwniejsze, że ten człowiek, który służył z dobroci, był szorstki, surowy, a często nawet brutalny i na dodatek skąpy w domu. Być może dlatego, że stracił nadzieję na jakąkolwiek prawdziwą władzę na tym świecie, panował nad jedyną istotą podporządkowaną jego woli – żoną. W domu zaspokajał żądze władzy i głód panowania. Nie można jednak zapominać o moralności i tradycjach tych czasów i tych miejsc, a także o stosunku do kobiet oraz podporządkowanej temu filozofii, a więc i o tym, co większość

ludzi jego klasy uznawała za normy obowiązujące w traktowaniu kobiety. Powszechnie uważano, że kobietę należy traktować jak dziecko, jeżeli się chce, żeby była szczęśliwa. Jego żona nie narzekała na niego i gdyby nie ból po stracie dzieci, uważałaby się za kobietę szczęśliwą, dumną z męża i ze swojego życia.

Ma'allim Kirsza błędził po sali wzrokiem nieobecny i niespokojny, cierpiąc męki oczekiwania. Co parę minut wyciągał szyję w kierunku wlotu zaułka, po czym wracał na swoje miejsce za kasą, cierpliwie przekonując samego siebie: „Na pewno przyjdzie, tak jak przedtem przychodzili inni”. Stała mu przed oczami twarz chłopca i wyobraził go sobie siedzącego na krześle koło kanapy szajcha Darwisza. To go uspokoiło. Dawniej nie ośmielił się zaprosić żadnego młodego chłopca do kawiarni. Wstydził się i ukrywał swoją namiętność. Aż kiedyś wybuchł skandal i sprawa nabrała rozgłosu, więc zrzucił maskę i przestał ukrywać swój grzech. Między nim a żoną doszło do dramatycznych scen, co z radością wzięli na języki znajomi, zwłaszcza doktor Buszi i Umm Hamida. Ale on się tym nie przejmował. W końcu wszystko by ucichło, gdyby co pewien czas nie dolewał oliwy do ognia swoimi nowymi wyskokami. Wręcz jakby znajdował przyjemność w tym, że się ze swą skłonnością nie kryje i że go obgadują. Siedział teraz jak na rozżarzonych węglach, nie ukrywając obaw i niepokoju, wyciągał szyję, aż doktor Buszi spostrzegł jego zdenerwowanie i powiedział do Al-Helu złośliwie:

– Wszystko wskazuje na to, że znów jego czas nadszedł.

Tymczasem szajch Darwisz przerwał ciszę, intonując:

Serce twe do Raji ignęło przez czas cały,
Choć dusza twa spotkanie z lubą oddaliła.
Zbyt łatwo posiąść duszę to czyn zgoła mały.
Kochana, w służbie tobie jest miłości siła.

– Och, pani! Miłość jest warta milionów. Sto tysięcy funtów wydałem z miłości do ciebie, o pani, ale to drobna sumka.

* * *

Doktor Buszi zauważył, że ma'allim Kirsza, który wpatrywał się uważnie we wlot do zaułka, nagle wyprostował się i pojaśniało mu oblicze. Poszedł za jego wzrokiem i wnet spostrzegł młodego chłopca z wahaniem przyglądającego się kawiarnianym gościom.

Rozdział 7

Piekarnia znajduje się tuż za kawiarnią Kirszy i przylega do domu pani Sanijji Afifi. Jest to budynek w kształcie nieregularnego czworokąta. Wewnątrz po lewej stronie znajduje się piec. Wzdłuż ścian ciągną się półki, a między piecem i wejściem stoi ława, miejsce do spania dla właścicieli domu: pani Husnijji i jej męża Dżady. Jedynym źródłem światła jest palenisko, bez niego dzień i noc panowałyby tu ciemność. Na ścianie naprzeciwko wejścia znajdują się małe drewniane drzwiczki prowadzące do komórki, z której przenika zapach kurzu i brudu. Komórka ma maleńkie okienko wychodzące na podwórze starego domu. Chyba z łokcie od okna na długiej półce stoi lampa. W jej słabym świetle widać glinianą podłogę, pokrytą niczym śmietnik niezliczoną ilością odpadków. Oprócz lampy całą półkę, która sięga od ściany do ściany, zajmują jakieś małe i duże buteleczki, różne narzędzia oraz mnóstwo rzemieni i sznurków. Gdyby nie straszny brud i bałagan, można by pomyśleć, że to apteka. Pod oknem na podłodze leży jakiś tłumok, brudny, cuchnący, czarny, z trudem można się w nim dopatrzeć ludzkich kształtów. To Zajta, on wynajmuje tę komórkę od piekarki, pani Husnijji. Kto raz zobaczył tę skrajną nędzę, to chude czarne ciało w czarnej galabii, tę przerażającą biel dwóch błyszczących otworów – oczu, ten nie zapomni jej nigdy. Zajta nie jest Murzynem, z natury jest śniady jak każdy Egipcjanin. To brud zmieszany z potem, nawarstwiany latami, pokrył jego ciało niczym wołok. Kiedyś jego galabija nie była czarna, ale w tym obskurnym kącie czerń jest losem każdej rzeczy. Zajty nic nie wiąże z mieszkańcami tego zaułka. Nikogo nie odwiedza, nikt do niego bezinteresownie nie przychodzi. Nikomu nie jest potrzebny, jeśli nie liczyć ojców, którzy pokazują go niegrzecznym dzieciom. On nie potrzebuje też nikogo, z wyjątkiem doktora Buszi. Wszyscy jednak znają jego rzemiosło, dzięki któremu

zasłużył nawet na tytuł doktora, ale nie chciał go przyjąć z szacunku dla doktora Buszi. Zajta produkuje kaleki. Dzięki zadziwiającym umiejętnościom za pomocą narzędzi, które trzyma na półce, każdemu potrafi spreparować odpowiednie kalectwo. Przychodzą do niego ludzie zdrowi i cali, a wychodzą ślepi, garbaci, kulawi, krzywi, bez rąk i bez nóg. Mistrzem w swojej sztuce stał się przez lata doświadczeń, a głównie dzięki długiej pracy w cyrku objazdowym oraz przez swoje związki ze środowiskiem żebraków, jego rodzice bowiem parali się żebractwem. W cyrku nauczył się sztuki charakteryzacji, najpierw wykonywał ją po amatorsku, a potem, kiedy przycisnęła go bieda, profesjonalnie. Początkowo męczyło go to zajęcie, ale potem się przyzwyczał. Zaczynał pracę późnym wieczorem, a najczęściej około północy. W dzień praktycznie nie opuszczał swojej nory. Siedząc w kucki jadł lub palił, albo zabawiał się podglądaniem piekarza i piekarki. Jakaż uciechę sprawiło mu podsłuchiwanie ich rozmów albo podglądanie przez szparę w drzwiach, jak piekarka bije męża i wymyśla mu całe dni. Wieczorem nastawał spokój i piekarka podchodziła do tej małpy, swojego męża, zabawiała go i przymilała się mu. Zajta nienawidził Dżady, pogardzał nim, a twarz jego wydawała mu się wstrętą. Zazdrościł mu, że Bóg obdarował go dorodną żoną o pełnych kształtach, jak to określał, prawdziwą samicą. Często mówił o niej, że wyróżnia się wśród kobiet, jak Amm Kamil spośród mężczyzn.

Jednym z głównych powodów unikania Zajty przez mieszkańców uliczki był jego wstrętny odór. Woda nie gościła nigdy na jego twarzy, nie znało jej też jego ciało. Wolał raczej swoje odosobnienie niż kąpiel w hammamie. Ludzie nienawidzili go i on nienawidził ludzi. Tańczył z radości, słysząc, że ktoś umarł. „Przyszła twoja kolej – mówił – skosztujesz ziemi, której kolor i zapach na moim ciele napawał cię takim wstrętem”. Długie wolne chwile spędzał na obmyślaniu różnych rodzajów tortur, znajdując w tym niezrównaną przyjemność. Wyobrażał sobie, że piekarz Dżada jest celem dla dziesiątków toporów, że dziurawią one jego ciało jak sito, Salim

Ulwan zaś leży na ulicy, a po nim jeździ walec, krew płynie strumieniem aż do As-Sanadikijji. Wydawało mu się, że ciągnie As-Sajjida Radwana za siwą brodę i wpycha do rozpalonego pieca, skąd wyciąga go spieczonego na węgiel. To znów ma'allim Kirsza leży pod kołami tramwaju z pogruchotanymi kośćmi. Potem zbierają jego szczątki, krają brudnym nożem i sprzedają jako pokarm dla psów. Wiele jeszcze innych tortur wymyślał i nawet te najokrutniejsze uznawał za zbyt łagodne dla ludzi. Przy pracy nad nowym „kaleką” wyżywał się w swoim okrucieństwie. Kiedy słyszał jęki ofiary, w jego oczach zapalał się błysk szaleństwa. Żebracy byli najbliżsi jego sercu i często pragnął, żeby stanowili większość mieszkańców ziemi.

* * *

Zajta siedział pogrążony w swoich marzeniach o okrucieństwach, oczekując nadejścia godzin pracy. Około północy wstał i zgasił lampę. Zapanowała ciężka ciemność. Po omacku doszedł do drzwi i cichutko je otworzył. Przeszedł przez piekarnię i wyszedł na ulicę. Po drodze spotkał szajcha Darwisza wychodzącego z kawiarni. Często spotykali się tak około północy, ale nie zamieniali nawet słowa. Także z tego powodu w swoim trybunale inkwizycyjnym Zajta przeznaczył dla szajcha Darwisza los szczególnie niezwykły. Tymczasem skreślił do meczetu Pana Naszego Al-Husajna i drobnymi, wolnymi krokami posuwał się wzdłuż murów w czarnej ciemności. Ciągle jeszcze obowiązywało zaciemnienie i idący naprzeciwko niego nie zauważyłby go, gdyby nie jego oczy błyszczące jak metalowa klamra w pasku policjanta. Szedł ożywiony i wesoły, jaki bywał tylko wśród żebraków, bo oni uznawali jego władzę absolutną. Przeciął plac Al-Husajna, kierując się w stronę Bab al-Achdar. Zatrzymał się przed starą piwnicą i w stosach łachmanów leżących po obu stronach wejścia niespokojnie wypatrywał żebraków. Wreszcie odetchnął z ulgą władcy, który przekonał się o swojej potędze, i ulgą kupca, który widzi, że jego towar ma zbyt. Podeszedł do pierwszego z brzegu żebraka, który siedział w kucki z głową opartą o kolana i spał, głośno chrapiąc. Stał przed nim

chwile, jakby chcąc się przekonać, czy żebrak śpi naprawdę, czy tylko udaje, po czym kopnął go w rozczochraną głowę. Mężczyzna ocknął się zupełnie nieprzerażony, jakby poczuł łagodne dotknięcie, podniósł ciężko głowę i zaczął się drapać po bokach, plecach i głowie. Nagle zauważył przyglądającego mu się człowieka i mimo ślepoty poznał go od razu. Jakiś okrzyk jakby rzenie wyrwał mu się z piersi, po czym sięgnął za pazuchę, wyciągnął millima i włożył go w rękę Zajty. Producent kalek podszedł do następnego, potem do trzeciego, aż obszedł wszystkich po jednej stronie wejścia do piwnicy i przeszedł na drugą stronę. Potem obszedł wszystkie zaułki i uliczki wokół wielkiego meczetu. Ani jeden żebrak mu nie umknął. Ale Zajta nie ograniczał się tylko do zbierania pieniędzy. Jak dobry pasterz dbający o swoją trzodę doglądał swoich kalek i coraz to pytał: „Jak tam twoja ślepotą?” albo „Jak tam twoja kulawa noga?” A oni odpowiadali: „Dzięki Bogu, dobrze”. Potem obszedł meczet z drugiej strony, po drodze kupił chleb, chałwę, tytoń i wrócił do zaułka. Panowała tu cisza, z rzadka przerywana śmiechem lub kaszlem dochodzącymi z domu As-Sajjida Radwana al-Husajniego, w którym na najwyższym piętrze mieściła się melina Kirszy. Mężczyzna wszedł cicho do piekarni, żeby nie obudzić małżonków, i z największą ostrożnością pchnął drewniane drzwi. Jego śmietnik wcale nie był ciemny ani pusty. Palila się lampa, a na podłodze siedziało trzech mężczyzn. Nie zaniepokoiło go to ani zdziwiło. Błyszczącymi oczami przyglądał się przybyszom baczenie, podczas gdy oni wstawali na jego powitanie. Poznał doktora Buszi.

– Ci dwaj biedacy prosili, żebyś się za nimi wstawił u ciebie – odezwał się doktor Buszi.

Zajta udał znużenie i odparł obojętnie:

– O tej porze, doktorze?

– Noc jest dyskretna, a Pan Nasz nakazał dyskrecję – doktor Buszi położył mu rękę na ramieniu.

– Dzisiaj jestem zmęczony.

– Nie odmawiaj mi – prosił doktor Buszi.

Dwaj pozostali także zaczęli go błagać. Udał, że kosztuje go to dużo wysiłku, ale się zgodził. Położył żywność i tytoń na półce i stanął przed nimi, przypatrując się im z uwagą. Zatrzymał wzrok na wyższym, niemal olbrzymie.

– Taki byk i chce żebrać? Niczego ci przecież nie brakuje!

– Nie miałem nigdy szczęścia w pracy. Już wszystkiego próbowałem, nawet żebrania, ale mi nie wychodziło. Nie mam szczęścia, a i pomysłu mam ciężki. Niczego nie rozumiem, niczego nie potrafię się nauczyć.

– Powinieneś się urodzić bogaczem – odparł Zajta.

Mężczyzna nie zrozumiał żartu, zaczął udawać szlochanie i ryczeć jak ciele:

– Nic mi się nie udawało, nawet jako żebrak nie wzbudziłem litości w żadnym człowieku. Ludzie mówili: jesteś silny, powinieneś pracować. A byli tacy, co mnie przeklinali i obrzucali obelgami. Dlaczego?!

– Na Boga, nawet tego nie rozumiesz? – Zajta podrapał się po głowie...

– Niech cię Bóg pocieszy i oszczędzi, nie odpędzaj mnie.

Zajta przypatrywał mu się cały czas i zastanawiał się.

– Jesteś naprawdę silny i zdrowy. Ciekawy jestem, co ty jadasz?

– Chleb, jak znajdę, nic więcej.

– To jest bez wątpienia ciało szatana. Ciekawe, jaki byś był, gdybyś jadł tak jak inne zwierzęta boskie, które Bóg obdarza swoimi dobrodziejstwami.

– Nie mam pojęcia.

– No pewnie, pewnie, że nie masz pojęcia o niczym, to już wiemy. I lepiej, że nic nie pojmujesz, bo jakbyś cokolwiek wiedział, stałbyś się jednym z nas. Słuchaj no, z okaleczenia ciebie nie będzie żadnego pożytku.

Twarz olbrzyma skrzywiła się do płaczu, ale Zajta ciągnął dalej:
– Choćbym ci uciął nogę czy rękę, cokolwiek ci zrobię, nie wywołasz współczucia. Takie woły jak ty budzą tylko wściekłość, gdziekolwiek się znajdują. Ale nie martw się (doktor Buszi czekał na te słowa niecierpliwie), są różne sposoby. Nauczę cię sztuki robienia z siebie kretyna. Masz do tego wszystko, co potrzeba. Tak, zrobię z ciebie debila, i nauczę cię paru wersetów na cześć Proroka.

Twarz mężczyzny rozjaśniła się, dziękował mu gorąco.

– Dlaczego nie napadasz na drogach? – zapytał Zajta.

– Jestem dobrym, biednym człowiekiem. Nie chcę nikomu robić krzywdy. Kocham ludzi, Rodzinę Proroka – powiedział pokornie.

– Chcesz mnie nabrać na tę twoją politykę – zadrwił Zajta. Po czym zwrócił się do następnego mężczyzny, niskiego i chudego: – Dobry materiał – powiedział.

– Niech będą nieskończone dzięki Bogu – mężczyzna uśmiechnął się szczęśliwy.

– Jesteś urodzonym ślepcem.

– Tak, z łaski Pana Naszego.

– Operacja delikatna i niebezpieczna – Zajta pokiwał głową. – Przedstawię ci wszystkie najgorsze możliwości. Przypuśćmy, że z powodu błędu lub jakiegoś zaniedbania stracisz całkiem wzrok, co wtedy zrobisz?

– Będzie to dobrodziejstwo Boga – powiedział mężczyzna po krótkim namyśle. – Co mi z tego, że mam wzrok, po co więc żałować, że go stracę?

Zajta odetchnął z ulgą.

– Z takim sercem możesz naprawdę zmierzyć się ze światem – powiedział.

– Jeśli Bóg pozwoli, panie. Dusza moja należy do ciebie. Oddam ci połowę tego, co mi ofiarują dobrzy ludzie.

– Tego nie musisz mówić. Mój rachunek to dwa miliony dziennie oprócz zapłaty za operację. A ja już wiem, jak dochodzić moich praw, gdyby ci przyszło do głowy zwlekać.

Tu wtrącił się ostrożnie doktor Buszi:

– Nie wspomniałeś o swojej racji chleba.

– Tak, oczywiście, tak – poprawił się Zajta. – No, a teraz bierzemy się do roboty. Będzie to ciężka operacja i zarazem próba twojej wytrzymałości.

Wyobraził sobie, jak będzie cierpiało to ciało chude i wynędzniałe pod jego okrutnymi rękami, i na ustach pojawił mu się szatański uśmiech.

Rozdział 8

Przedsiębiorstwo As-Sajjida Ulwana było źródłem nieustającego hałasu. Robotnicy przerywali pracę tylko na krótką chwilę w czasie obiadu. Strumień nadchodzących i odsyłanych towarów biegł nieprzerwanie. Wielkie ciężarówki z głośnym warkotem posuwały się w stronę As-Sanadikijji i przyległych do niej A-Ghurijji i ulicy Al-Azhar. Potok klientów i robotników nie ustawał ani na chwilę. Firma zajmowała się handlem korzennym i przyprawami, zarówno w detalu, jak i w hurcie. Przerwanie dowozu surowca z Indii z powodu wojny niekorzystnie odbiło się na handlu, ale mimo to firma zachowała swoją sławę i pozycję, a może nawet w warunkach wojennych rozszerzyła jeszcze działalność i podwoiła zyski. Wojna bowiem skusiła pana Salima do zajęcia się handlem towarami, na które przedtem nie zwracał uwagi, jak na przykład herbata. Na nich właśnie na czarnym rynku robił ogromne interesy.

As-Sajjid Salim Ulwan siedział za dużym biurkiem w głębi ogromnej sieni, otoczonej magazynami i wychodzącej na wewnętrzny dziedziniec. Był to punkt centralny budynku, z którego mógł obserwować zarówno wewnątrz przedsiębiorstwa, jak i to, co się dzieje na zewnątrz, czyli kontrolować jednocześnie robotników, tragarzy i klientów. Dlatego wolał to miejsce niż odosobnienie w gabinecie, gdzie zwykle przesiadywali wielcy kupcy, jego konkurenci. „Prawdziwy kupiec – mawiał – powinien mieć wszystko na oku”. Zgodnie z tym postępował i radził sobie z wszystkimi sprawami swojego zawodu doskonale. Nie należał do nowobogackich, których wyniosła wojna, lecz jak często podkreślał: „był kupcem, synem kupca”. Z początku nie był bogaty. Ale zwycięsko wyszedł z pierwszej wojny światowej, a w drugiej obłowił się aż do niestrawności. Nie brakowało mu jednak kłopotów, jako że zmagał się ze wszystkim sam, bez pomocnika.

Faktem jest, że cieszył się dobrym zdrowiem i niespożytą energią i dlatego mógł lekko traktować wszelkie kłopoty. Ale pora była już pomyśleć o przyszłości bliskiej i dalszej, bo życie dobiegało końca, a interesy nie mogły pozostać bez następcy. Niestety, żadnemu z jego trzech synów nie przyszło do głowy pomagać ojcu w pracy; wszyscy uciekali od handlu i na nic się zdały jego wysiłki, żeby ich do niego nakłonić. Nie miał wyjścia, w wieku pięćdziesięciu lat musiał sam dźwigać wszystkie obowiązki. Niewątpliwie sam sobie był winien. Bo mimo całego kupieckiego rozsądku cenił hojność, wspaniałomyślność i przynajmniej jego rodzina z tego korzystała. Mieszkał w Al-Hilmijji, dom miał piękny jak pałac, z cennymi meblami i pełen służby. Przeprowadził się do niego zaraz po ślubie, porzucając stary dom w Al-Dżamalijji. Synowie wychowali się w nowym środowisku, odcięci od spraw handlowych i środowiska kupców. Bez wątpienia odczuwali coś w rodzaju pogardy dla zawodu kupca i siłą rzeczy hołdowali ideałom nowego środowiska, o czym ojciec, zajęty pracą i własnym życiem, nawet nie wiedział. A kiedy doszło do poważnej rozmowy, odrzucili jego rady i odmówili wstąpienia do szkoły handlowej. Wybrali prawo i medycynę. Jeden został sędzią, drugi adwokatem, a trzeci lekarzem w szpitalu Kasr al-Ajni. Mimo to życie As-Sajjida Ulwana płynęło szczęśliwie. W jego mocnym ciele, pełnej, różowej twarzy i młodzieńczej żywotności czuło się zdrowie i siłę. Wszystkie sprawy układały się pomyślnie: handel prosperował, zdrowie dopisywało, rodzina była szczęśliwa, każdy syn osiągnął sukces zawodowy i finansowy. Poza synami As-Sajjid Ulwan miał cztery córki, wszystkie zamężne i wszystkie Bóg pobłogosławił dziećmi. I gdyby nie to, że od czasu do czasu ogarniał go niepokój o losy przedsiębiorstwa, byłby zupełnie szczęśliwy. Z czasem synowie dostrzegli kłopoty ojca, ale oni patrzyli na nie inaczej. Bali się, że pewnego dnia ojciec wypuści z rąk lejce albo nagle zostawi wszystko im. I co wtedy zrobią? Muhammad Salim Ulwan, sędzia, był zdania, że ojciec powinien zlikwidować interesy i pójść, zgodnie z prawem, jakie mu przysługuje, na zasłużony odpoczynek. Ale As-Sajjid Ulwan przejrzał go i odpowiedział na to

nie ukrywając gniewu: „Chcesz mnie pogrzebać żywcem!” Sędziego zaskoczyła gwałtowność i strach w słowach ojca, a ponieważ on tak samo jak rodzeństwo kochał ojca prawdziwie, więcej już nikt do tego niebezpiecznego tematu nie wracał. Pewni, że nie wywołają tym jego gniewu, namawiali go do kupna ziemi albo inwestowania w budowanie domów, co było bez wątpienia lepsze niż gromadzenie pieniędzy w bankach. Rozumiał ich intencje i przyznawał im rację. Wiedział doskonale, że handel pomnaża pieniądze, ale też potrafi je połknać w jednym momencie. Dobrze jest więc zabezpieczyć sobie przyszłość, kupując nieruchomości, zwłaszcza na imię synów lub żony. Znał przecież historie wielkich kupców, którzy kończyli bankructwem lub ostatnią nędzą, albo jeszcze gorzej, bo samobójstwem lub atakiem serca. O tym wszystkim doskonale wiedział, wiedział też, że synowie mają rację i może nawet ich propozycje wcale nie były dla niego nowe, ale czy w czasie wojny można realizować takie plany? Oczywiście, że nie! Trzeba to odłożyć na dogodny czas. Już myślał, że uporał się z kłopotami, a tu syn sędziego zaproponował mu, żeby robił starania o uzyskanie tytułu beka. Dlaczego nie masz być bekiem, powiedział, skoro kraj jest pełen beków i baszów, którzy nie mają ani twojej fortuny, ani godności, ani pozycji?

To pochlebstwo go ucieszyło. W przeciwieństwie do zwykłych kupców był czuły na punkcie godności i honoru. Naiwnie rozpytywał więc tu i tam, co robić, żeby zdobyć ten tytuł. Całą rodzinę pochłoneła ta sprawa, wszyscy popierali ją entuzjastycznie, ale różne widzieli sposoby jej przeprowadzenia. Niektórzy radzili, żeby się zajął polityką. Ale po prawdzie, to pan Salim Ulwan poza handlem nic nie wiedział o sprawach tego świata, a jego poglądy i wierzenia nie różniły się od poglądów i wierzeń takiego na przykład Abbasa al-Helu. Podobnie jak on czcił grób Al-Husajna i jak on wychwalał szajcha Darwisza oraz ubiegał się o jego błogosławieństwo. Krótko mówiąc, jedyne jego atuty to zdrowy żołądek i eleganckie ubranie. Ale przecież często od polityka niczego więcej się

nie wymaga. Myślał więc nad tym usilnie i dopiero syn adwokat znając dobrze ojca, odradził mu politykę.

– Polityka jest zdolna zrujnować nasz dom i pożreć nasz interes – powiedział ostrzegawczo. – Może się okazać, że będziesz musiał wydać na jakąś partię dwa razy więcej, niż wydajesz na rodzinę i handel. Być może będziesz kandydował do parlamentu i tysiące utopisz w zdobyciu mandatu, który nic nie znaczy, bo czymże jest parlament w naszym kraju? To coś na kształt chorego na serce, któremu w każdej chwili grozi zawał. A poza tym, jaką partię wybierzesz? Jeśli nie będziesz popierał partii Wafd, to osłabisz swoją pozycję w środowisku, w którym pracujesz, jeżeli natomiast poprosisz wafdystów, to jaką masz gwarancję, że premier Sidki Pasza nie zniszczy twojego handlu?

Pan Salim zdenerwował się tym, co usłyszał, bo darzył synów wielkim zaufaniem. Coraz bardziej był skłonny odrzucić politykę, bo się na niej nie znał. Płatały mu się nazwiska jakichś ludzi, do których miłość lub nienawiść pozostała mu z czasów Sada Zaghlula. Niektórzy doradzali mu, aby przeznaczył część majątku na cele dobroczynne, co może dać mu tytuły i zaszczyty. Ale do tej propozycji od początku nie miał serca, kłóciła się ona z jego handlowym usposobieniem. Jednak myśli o zdobyciu tytułu nie porzucił. Domyślał się, że będzie go to kosztowało przynajmniej pięć tysięcy funtów. Co robić? Ostatecznej decyzji nie podjął, mimo że synom powiedział już „nie”. Sprawę zdobycia tytułu dodał do swoich stałych trosk, takich jak zarządzanie przedsiębiorstwem czy zakup nieruchomości, i wraz z nimi odłożył na dogodniejszą chwilę w przyszłości.

Kłopoty te nie były w stanie zakłócić pogodnego życia człowieka, który za dnia był pogrążony w pracy, a w nocy zaspokajał swe żądze. Kiedy pracował, nie myślał o niczym poza pracą. Siedział teraz za biurkiem całkowicie skoncentrowany na rozmowie z żydowskim pośrednikiem, czujny i ostrożny. Zadziwił delikatnością i zręcznością wyrażania się. Ktoś naiwny wziąłby go za serdecznego

przyjaciela rozmówcy, podczas gdy w rzeczywistości był to tygrys szykujący się do skoku. I biada temu, nad kim osiągnął przewagę. Doświadczenie nauczyło go, że taki klient to wróg, ale przyjaźń z nim jest konieczna, bo jest to, jak się wyrażał, „pożyteczny diabeł”.

Właśnie prowadził rozmowę w sprawie dostaw herbaty, trunku, który zawierał aromat jego namiętności. Podkręcał ogromnego węża i czekał, co robił zawsze, kiedy sprawa wymagała poważnego myślenia. Gdy skończyli z herbatą, al-chawadża próbował przedstawić mu propozycję korzystnego kupna nieruchomości, bo właśnie dowiedział się o takich jego zamiarach, ale As-Sajjid postanowił odłożyć te plany do zakończenia wojny i nawet nie chciał o tym słuchać. Opuścił więc biuro, zadowolając się jedną transakcją. Przyszedł inny al-chawadża i As-Sajjid pracował dalej ze zwykłą energią i sprawnością. Około południa poszedł na obiad. Jadał obiady w eleganckim saloniku, w którym stało także łóżko przygotowane do poobiedniej sjeisty. Obiad składał się zwykle z jarzyn, kartofli i talerza fariku. Po obiedzie kładł się na godzinkę lub dwie i w tym czasie zamierał ruch w przedsiębiorstwie, a spokój i cisza opanowywały cały zaułek. Talerz fariku miał swoją historię, którą znała cała uliczka. Było to danie i „specyfik”, a w jego przyrządzaniu celował jeden z bliskich współpracowników As-Sajjida. Istota tego dania pozostałaby tajemnicą ich obu, gdyby w ogóle można było utrzymać w zaułku jakąkolwiek tajemnicę. Farik była to prażona pszenica zmieszana z mięsem gołębi i mielonymi orzechami, w specjalny sposób przyprawiona. As-Sajjid zjadał to na obiad, a potem dwa albo trzy razy pił herbatę, co dwie godziny kubek. Farik zaczynał działać w nocy i jego magiczny wpływ trwał przez pełne dwie godziny, utrzymując As-Sajjida Ulwana w nieskończonej radości i błogości. Danie to pozostawało długi czas tajemnicą tych dwóch mężczyzn i ma'allimy Husnijji, piekarki, bo ona je zapiekała. Mieszkańcy zaułka uważali je za lekarstwo na wszystko. Niektórzy mówili, że dobre jest na zdrowie i szczęście, inni mamrotali: „dosypał trucizny, za pozwoleniem Boga”. Aż pewnego dnia ambicja zagrała w sercu Husnijji i przyszła jej do

głowy zła myśl, żeby wypróbować ten przepis na własnym mężu, piekarzu. Ukradła więc z talerza As-Sajjida sporą porcję, a puste miejsce wypełniła zwykłym farikiem. Od tego dnia systematycznie podkradała ten farik przekonana, że As-Sajjid Salim się nie pozna, a także zachęcona wynikami tego eksperymentu na mężu. Ale As-Sajjid Ulwan poznał się bardzo szybko, zauważył bowiem nagłą zmianę w swoim zachowaniu w nocy. Z początku obwinił tego, kto przygotowywał danie, ale kiedy człowiek przysięgał, że jest niewinny, podejrzenie padło na piekarkę. Bez trudu odkrył kradzież, wezwał piekarkę, zwymyślał ją i przestał posyłać do niej do zapiekania tacę z farikiem. Od tej pory piekł farik w europejskiej piekarni na As-Sikka al-Dżadida. Ale tajemnica zaczęła się rozchodzić, aż dowiedziała się o niej Umm Hamida i to właściwie wystarczyło. Wkrótce wiedzieli już o niej wszyscy mieszkańcy zaułka i patrzyli na potrawę As-Sajjida z przymrużeniem oka. As-Sajjid Ulwan pojął ze złością, że wszyscy znają jego sekret, ale niedługo się tym przejmował. Mimo że większość życia spędził w zaułku, nigdy nie należał do wspólnoty jego mieszkańców ani też żadnego z nich nigdy nie zauważał. Jedynie As-Sajjida Radwana al-Husajniego i szajcha Darwisza witał podniesieniem ręki. A potrawa stała się na pewien czas modna w zaułku i gdyby nie jej wysoka cena, każdy by się nią rozkoszował. Spróbował jej ma'allim Kirsza i doktor Buszi, a nawet As-Sajjid Radwan al-Husajni, kiedy się upewnił, że nie zawiera ona niczego, czego zabraniałoby prawo hanafickie. Co do As-Sajjida Salima, to spożywał ją regularnie z małymi wyjątkami. Prowadził bowiem nerwowy tryb życia, cały dzień poświęcając interesom, a nocą nie miał takich rozrywek jak inni: kawy, zabaw, kabaretu. Nic poza żoną. Ale za to w uciechach małżeńskich był mistrzem i nie znał umiaru.

* * *

Kiedy się obudził, był już prawie zachód słońca. Dopełnił ablucji, pomodlił się, włożył kaftan i dżubbę i wrócił do biura, gdzie znalazł przygotowany już drugi kubek herbaty. Wypił ją z rozkoszą i

beknął głośno kilka razy, a każde beknienie odbiło się echem w wewnętrznym podwórzu. Zabrał się do pracy z taką samą energią, z jaką przystępował do niej z rana, ale wydawało się, jakby go czasami dręczył niepokój. Zerkał w stronę zaułka, spoglądał na swój ogromny złoty zegarek i drapał się nieświadomie po nosie. Kiedy słońce wzniosło się na najwyższą ścianę po lewej stronie zaułka, usiadł na swoim obrotowym fotelu i zwrócił twarz ku uliczce. Minęły długie, ciężkie chwile, a on nie odwracał oczu od drogi. W pewnej chwili nastawił uszu, a oczy mu zajaśniały. Usłyszał stukot sabotów o kamienie opadającej w dół uliczki i przed bramą agencji przemknęła Hamida. Wszystko trwało kilka sekund. Troskliwie podkręcił węża, odwrócił fotel w kierunku biurka, a oczy zalśniły mu radością, choć nie doznał uczucia ulgi. Bo trudno przecież po godzinie oczekiwania pełnego niepokoju i pożądania zaspokoić się ulotną wizją. Nie miał innej okazji zobaczenia Hamidy, jedynie czasami zerkał ukradkiem w jej okna, kiedy ryzykował spacer po zaułku niby to w celu odprężenia się. Oczywiście robił to bardzo ostrożnie, mając na uwadze swoją pozycję i godność. Był przecież panem Salimem, a ona tylko biedną dziewczyną. No i w zaułku roiło się od ostrych języków i wścibskich oczu. Przerwał pracę i w zamyśleniu stukał palcem wskazującym w biurko. Tak, jest to biedna dziewczyna, ale pożądanie nie zna litości, niestety, duszę namawia do zła. Biedna dziewczyna, ale jej ciemna twarz, wyraz oczu, zgrabna postać, wszystkie te wdzięki lekceważyły różnice klasowe. Jaki więc pożytek z dumy? Pragnął tych czarujących oczu i pięknej twarzy, i ciała, które było czystą pokusą, i tych pośladków, które kpią sobie wyraźnie z nabożności starców. Hamida to coś cenniejszego niż sprowadzane przez niego wszystkie wonności Indii. Znał ją już jako małą dziewczynkę. Przychodziła często do niego po zakupy dla matki: po hennę i przyprawy do mughasu i mufattaki. Patrzył na jej piersi, kiedy były jeszcze jak paczki, widział, jak stawały się coraz pełniejsze, aż osiągnęły dojrzałość owoców granatu. Spoglądał na jej pośladki, kiedy były jeszcze płaskie i nieforemne, potem kiedy zaokrąglały się delikatnie, aż wreszcie

przeobraziły się w dwie kule uderzające gracją i kobiecością. Podsycał w sobie rosnący podziw, aż w końcu poczuł nieprzeparaną żądzę. Teraz już nawet nie próbował z nią walczyć. Długo sobie powtarzał: „Gdybyż była wdową jak pani Sanijja Afifi”. Gdyby była wdową, znalazłby wyjście z sytuacji. Ale ona była dziewczicą, należało więc porządnie się zastanowić. Zadawał sobie więc pytanie: czego on właściwie chce? Wtedy, ni stąd ni zowąd, przypominał sobie żonę i rodzinę. Jego żona była kobietą cnotliwą. Miała w sobie wszystko to, co podoba się mężczyźnie w kobiecie. W młodości piękna i płodna, była dobrą matką, wierną żoną i po mistrzowsku prowadziła dom. Nie znajdował w niej żadnej wady. Na dodatek pochodziła z szanowanej rodziny, której rodowód przewyższał znacznie rodowód jego własnej. Uznawał to wszystko i zachował dla niej szczerą miłość. Dręczył go tylko fakt, że młodość jej minęła i jako kobieta nie mogła już sprostać jego wymaganiom. W porównaniu z nią, dzięki swojej niezwyklej żywotności, był młodzieńcem o nienasyconych żądzach i nie znajdował już w niej tego, czego pragnął; nie dawała mu już rozkoszy. Sam nie wiedział, czy to właśnie było powodem pożądania Hamidy, czy też jego namiętna natura sprawiła, że zaczął odczuwać bolesną pustkę. Czuł nieprzewyciężoną potrzebę nowej krwi! „Dlaczego mam sobie odmawiać tego, na co Bóg pozwala?” – tłumaczył sobie w duchu. Był jednak człowiekiem honoru, dbał, aby każdy oddawał mu należny szacunek i bał się dostać na języki. Należał do ludzi, którzy przywiązują ogromną wagę do opinii. Zwykł być mawiać: „Jedz, co ci się podoba, ale ubieraj się w to, co się podoba ludziom”. Tak więc jadł swoją porcję fariku, ale Hamida... O Boże! Gdyby pochodziła z dobrej rodziny, nie wahałby się ani chwili poprosić o jej rękę. Ale jak może Hamida stanąć obok pani Afat jako druga żona! Jak mogłaby zwykła swatka, matka Hamidy, zostać jego teściową, tak jak była nią nieboszczka pani Alifat. Jak Hamida mogłaby stać się macochą Muhammada Salima sędziego i Arifa Salima adwokata!? A są jeszcze inne sprawy, nie mniej ważne, które należałoby wziąć pod uwagę. Konieczny byłby nowy dom i nowe wydatki, może nawet dwa razy wyższe niż dawniej, i nowi

spadkobiercy, którzy mogliby rozbić jedność tej dotychczas tak spójnej rodziny i splamić ją wrogością i nienawiścią. I w imię czego te wszystkie kłopoty? Słabości pięćdziesięcioletniego mężczyzny - męża i ojca - do dwudziestoletniej dziewczyny? Rozwahał wszystko, niczego nie przeoczył, bo był człowiekiem, którego ocenie nigdy nie uszła żadna sprawa związana z pieniędzmi lub pozycją społeczną. Wahał się, nie mógł podjąć decyzji. Uczucie do Hamidy stało się jednym z nierozwiązanych problemów jego życia i stanowiło ogniwo w łańcuchu takich spraw, jak prowadzenie przedsiębiorstwa, jego przyszłość, kupno nieruchomości, budowa domów, tytuł beka, było jednak najprzykrzejsze z nich i najbardziej dręczące. Ciągłe na nowo analizował wszystkie te sprawy, ale gdy Hamida zakołysała biodrami przed jego oczami albo pokazała się w oknie, nie potrafił już myśleć o niczym innym.

Rozdział 9

Umm Husajn, żona ma'allima Kirszy, miała prawdziwe, poważne zmartwienie. Oto ma'allim Kirsza zarzucił swój ulubiony zwyczaj zapraszania przyjaciół, amatorów haszyszu, na taras, gdzie przesiadywali od północy do wschodu słońca, a zaczął spędzać wieczory daleko od domu. Niewątpliwie musiała być w tym jakaś ważna przyczyna. Nawiedzały ją więc smutne wspomnienia i powracał ból, który zatruwał jej życie. No bo cóż go skłaniało do spędzania nocy poza domem? Na pewno ta dawna, zgubna choroba? Pewno rozpustnik powie, że to po prostu chęć zmiany albo poszukiwanie lepszego miejsca na zimę. Ale gdzieżby ona wierzyła w podobnie kłamliwe usprawiedliwienia? Wiedziała, o co chodzi, tak jak i wszyscy w zaułku. Dlatego postanowiła podjąć zdecydowane kroki bez względu na następstwa. Mimo swoich pięćdziesięciu lat była silna i nie brakowało jej odwagi. Należała do tych kobiet w zaułku, które jak piekarka Husnijja i Umm Hamida były znane z hardości i nieustępliwości. Wszyscy wiedzieli o awanturach, jakie urządzała mężowi z powodu jego nienormalnego sposobu życia. Słyszała też z wielkiego, grubego, zadartego nosa. Była kobietą płodną, urodziła sześć córek i jednego syna, którym był Husajn Kirsza. Wszystkie córki wyszły za mąż i miały burzliwe, pełne niekończących się nieszczęść pożycie małżeńskie. Tragedia najmłodszej była w swoim czasie na ustach wszystkich mieszkańców zaułka. W pierwszym roku małżeństwa znikła nagle, znaleziono ją w domu pewnego robotnika w Bulaku i ostatecznie oboje skończyli w więzieniu. Nieszczęście dziewczyny pograżyło rodzinę w wielkim smutku, ale nie było to jedyne nieszczęście. Starej tragedii Kirszy też nie było widać końca. Umm Husajn wiedziała, co się kryje za nowym zwyczajem męża. Wypytała Amm Kamila, potem chłopca Sunkura, i tak dowiedziała się o młodzieńcu, który zaczął bywać ostatnio w

kawiarni i którego ma'allim witał bardzo gorąco i sam mu podawał kawę! Zaczęła obserwować z ukrycia bywalców kawiarni, aż w końcu zobaczyła młodzieńca siedzącego po prawej stronie męża, widziała też, jak ma'allim mu usługuje. Opanowało ją szaleństwo, otworzyły się stare rany. Po piekielnie męczącej nocy wstała w bardzo złym humorze. Nie miała jeszcze sprecyzowanego poglądu na sprawę i choć wrzało w niej, nie bardzo wiedziała, jakie podjąć kroki. Dawniej wiele razy wszczyniała kłótnie, które do niczego nie prowadziły. Nie wahałaby się rozpocząć nowej, gdyby nie obawa przed plotkami.

Husajn Kirsza właśnie miał wychodzić do pracy, kiedy zwróciła się do niego wzburzona:

– Słyszałeś, synku, że ojciec szykuje nam nowy skandal?

Husajn natychmiast zrozumiał, o co chodzi. W jego małych oczach zapłonął gniew. Co za życie, ani jednego dnia bez kłopotów i awantur. I bez tych skandali miał powody do złości. Drażniło go wszystko dookoła i to właśnie pchnęło go do angielskiego wojska. Ale nowe życie wzmogło jeszcze jego gniew. Miał dość rodziny, domu i całego zaułka. Matka dolała teraz oliwy do ognia.

– No to co?! Czego chcesz ode mnie? – krzyknął. – Co ja na to poradzę? Już raz się wtrąciłem i co, o mało się nie pobiliśmy. Czy mam prowadzić ojca za rączkę?

Prawdę mówiąc tego, co robił ojciec, nie uważał za grzech, ale gniewała go atmosfera skandalu, którą wywoływał, mierzyły kłótnie, awantury i przekleństwa w domu. Sam „grzech” wcale go nie obchodził, co więcej, kiedy po raz pierwszy dowiedział się o nim, wruszył ramionami i powiedział obojętnie: „Jest mężczyzną, a mężczyźnie wszystko wolno”. Ale kiedy stwierdził, że rodzina stała się przedmiotem plotek i pośmiewiskiem, wpadł w gniew. Jego stosunki z ojcem były zawsze napięte, tak jak to zwykle bywa przy zderzeniu się dwóch natur podobnych; obaj byli gruboskórni, złośliwi i zapalczywi. Potem przyszedł ten skandal i rozdzwięki pogłębiły się, aż

stali się prawie wrogami. Czasami kłócili się, czasami żyli zgodnie, ale ich gniew nigdy nie wygasał.

Umm Husajn nie wiedziała, co odpowiedzieć. Nie chciała być powodem nowej fali wrogości między ojcem i synem. Zostawiła więc Husajna, który wyszedł z domu, klnąc i ciskając gromy. Dzień spędziła w jak najpodlejszym nastroju. Nie miała jednak zamiaru się poddać. Postanowiła dać mężowi nauczkę, nawet gdyby miało ją to narazić na złośliwe plotki. Przedtem jednak chciała go ostrzec, poczekała więc do północy, kiedy bywalcy kawiarni się rozeszli, a mąż zabierał się do jej zamknięcia. Zawołała go przez okno. Mężczyzna spojrzał w górę:

– Czego chcesz, Umm Husajn?

– Wejdz na górę – powiedziała. – Mam ważną sprawę.

Ma'allim dał znak młodzieńcowi, żeby na niego poczekał, ciężko wszedł na schody i dysząc, stanął na progu mieszkania.

– Czego chcesz? Nie mogłaś poczekać do jutra rana?

Stał nieruchomo na progu, jakby się bał zbezcześcić świętość obcego domu.

Umm Husajn patrzyła na niego oczami zaczerwienionymi od bezsenności i gniewu. Nie chciała jednak zaskakiwać go awanturą i powiedziała, opanowując wzburzenie:

– Wejdz, proszę.

– Mów, czego chcesz?

„Dlaczego zwleka, jeżeli rzeczywiście ma mi coś do powiedzenia” – myślał Kirsza.

„Co za niecierpliwy człowiek? Całe noce spędza spokojnie poza domem, nie nudząc się, a nie może wytrzymać dwóch minut rozmowy” – myślała Umm Husajn. To jest jej mąż przed Bogiem i ludźmi, ojciec jej dzieci. Dziwne, ale mimo całego zła, jakie jej wyrządził, nie

może go nienawidzić ani traktować obojętnie. Był jej mężem i panem, pragnęła mieć go wyłącznie dla siebie i walczyła o niego, ilekroć grzech wyciągał po niego rękę. Była dumna z niego, z jego powagi i pozycji w zaułku i władzy nad innymi ma'llimami. Gdyby nie ta jedna godna potępienia wada, nie znalazłaby mu równego w całym świecie. Oto teraz znowu odpowiada na wezwanie szatana i gdyby mógł się uwolnić od rozmowy z nią, umknąłby do niego natychmiast.

– Najpierw wejdź – powiedziała z gniewem. – Dlaczego stoisz na progu jak obcy?

Sapiąc z gniewu, ma'allim przekroczył próg i wszedł na korytarz.

– O co ci chodzi? – spytał ochrypłym głosem.

– Odpocznij chwilę, to nie potrwa długo – powiedziała, zamykając drzwi.

Spojrzał na nią podejrzliwie. „Czego chce ta kobieta? Znowu mi wchodzi w drogę”.

– Mów wreszcie, po co tracimy tyle czasu! – krzyknął.

– Spieszysz się, ma'allimie?

– Nie udawaj, że nie wiesz.

– A do czego ci tak spieszo?

Jego podejrzenia spotęgowały się, a serce wypełniła wściekłość. Za jakie grzechy ma znosić tę kobietę? Żył do niej uczucia niejasne i mieszane. Czasami ją kochał, czasami jej nienawidził. Ale zawsze kiedy go wzywała namiętność, nienawiść zwyciężała. Ogromniała jeszcze, kiedy dochodziło do awantury. W głębi ducha pragnął bardzo, żeby jego żona była kobietą rozsądną i aby pozostawiła go w spokoju. Oczywiście sobie nie miał nic nigdy do zarzucenia i dziwił się bardzo, że jego żona bez powodu sprzeciwia się jego poczynaniom. Czyż nie miał prawa robić, co mu się podoba?

Jej obowiązkiem jest być mu posłuszną, bo zaspokajał wszystkie jej potrzeby i dał jej dobrobyt. Nie myślał poważnie o pozbyciu się jej, bo stała się już jedną z jego życiowych potrzeb, jak sen, haszysz, dom. Gdyby chciał, nikt by mu w tym nie przeszkodził. Wypełniała jakąś lukę w jego życiu, dbała o niego i w końcu nie miał nic przeciwko temu, żeby była jego żoną. Mimo to w gniewie zadawał sobie często pytanie: „Jak długo jeszcze mam znosić tę kobietę?”

– Nie bądź głupia! – krzyknął groźnie. – Powiedz mi, o co chodzi, albo pozwól mi odejść.

– Nic innego nie masz mi do powiedzenia?

– No tak, teraz wiem, że to ty nie masz mi nic do powiedzenia; lepiej połóż się spać, jak wszystkie rozsądne kobiety.

– Dlaczego ty się nie położysz spać, jak wszyscy rozumni mężczyźni?

– O tej porze? Jak ja mogę spać o tej porze? – ma'allim aż klasnął w dłonie ze zdziwienia i gniewu.

– A po co Bóg stworzył noc?

– A czy ja kiedy spałem w nocy? Chory jestem czy co?

– Żałuj za grzechy, ma'allimie, Bóg przebaczy pokornemu grzesznikowi, jeszcze nie jest za późno.

Powiedziała to celowo, żeby go doprowadzić do furii. I dopięła swego. Ma'allim już był pewny, w czym rzecz, ale ciągle udawał, że nie wie, o co chodzi.

– Dlaczego człowiek, który nie śpi w nocy, musi się kajać przed Bogiem?

– Kajaj się za to, co robisz po nocach.

– Chcesz, żebym skończył z tym, co jest moim życiem?

– Twoim życiem!

– Tak, haszysz to jest moje życie!

– A ten drugi haszysz?

Oczy Umm Husajn sypały iskry, a ręce swędziały, żeby uderzyć tę ciemną twarz.

– Palę tylko jeden gatunek – odpowiedział drwiąco.

– Ty tylko mnie spalasz. Dlaczego nie spędzasz nocy jak zwykle, na tarasie?

– A dlaczego nie mogę spać tam, gdzie mi się podoba? Na tarasie, na posterunku policji w Al-Dżamalijja, w zarządzie miejskim. Co ci do tego?

– Ale dlaczego zmieniłeś miejsce nocnych libacji?

Ma'allim wznosił oczy do nieba i krzyknął:

– Boże, bądź moim świadkiem. Chroniłeś mnie dotychczas przed sądami, bo przydzieliłeś mi stały sąd w domu, ale dowiedz się – ma'allim opuścił głowę – że dom nasz stał się podejrzany i szpiedzy krążą wokół niego.

– Ciekawe, czy przypadkiem ten rozpustny młodzieniec nie jest jednym z tych szpiegów, którzy wypędzają cię z gniazda?

Och, to już była zbyt jasna aluzja. Twarz mu zbladła, stała się prawie szara.

– Który młodzieniec?

– Ten rozpustnik, któremu sam podajesz herbatę, jakbyś był kelnerem, jak Sunkur.

– A co w tym złego? Szef może obsługiwać klientów jak kelner.

– To dlaczego na przykład nie usługujesz Amm Kamilowi? – zapytała głosem drżącym z wściekłości. – Dlaczego nie usługujesz nikomu poza tym rozpustnikiem?

– Rozsądek nakazuje lepiej obsługiwać nowych klientów.

– Można tak powiedzieć, ale to, co ty z nim robisz, jest skandaliczne i rozpustne.

– Powstrzymaj język, ty wariatko – ma'allim pogroził jej pięścią.

– Wszyscy ludzie z wiekiem mądrzeją, ale ty...

Ma'aillim klął przez zęby, ale ona nie zwracała uwagi.

– Wszyscy ludzie z wiekiem mądrzeją, tylko ty im jesteś starszy, tym masz mniej rozsądku.

– Zwariowałaś, kobieto, na życie Al-Husajna, zwariowałaś, oby Bóg ci za to zapłacił.

– Tacy ludzie jak ty zasługują na tortury – krzyknęła. – Skończmy wreszcie z tymi skandalami, skończmy z tymi poniżającymi nas plotkami.

– Bóg ci za wszystko zapłaci. Bóg ci zapłaci.

– Dziś słyszą mnie tylko te cztery ściany – krzyczała z rozpaczą – ale jutro usłyszą mnie wszyscy!

– Grozisz mi?

– Tak, grozę tobie i twoim przyjaciołom. Jeszcze zobaczysz, do czego jestem zdolna.

– Wydaje mi się, że najpierw ci rozwalę ten szalony łeb.

– He, he, na Boga, haszysz i rozpusta nie zniszczyły ci sił? Przecież ty nawet ręki nie możesz już podnieść do góry. Jesteś skończony... skończony!

– Jestem skończony przez ciebie. Kto niszczy mężczyzn, jeśli nie kobiety!

– Jestem najbardziej godną pożałowania kobietą ze wszystkich.

– A to dlaczego? Urodziłaś sześć córek i syna... nie licząc poronień.

– Jak ci nie wstyd mówić tu o dzieciach? Nawet one nie powstrzymują cię od tarzania się w rozpuście.

Ma'allim uderzył pięścią w ścianę, wstał i skierował się do drzwi.

– Wariatka, szalona – powtarzał.

– Co, straciłeś już cierpliwość? – krzyknęła. – A może ci żal tego, który tam tak długo czeka? Zobaczysz, jeszcze spotka cię kara za tę rozpustę, ty bezwstydniku!

Ma'allim trzasnął drzwiami, aż zadzwoniło. Umm Husajn zaciśnęła pięści i postanowiła się zemścić.

Rozdział 10

Abbas al-Helu rzucił w lustro uważne spojrzenie i w jego oczach widać było ulgę: był starannie uczesany i miał dokładnie oczyszczone ubranie. Wszedł przed sklep i stanął w pozycji wyczekującej. To najprzyjemniejsza pora dnia, zmierzch. Niebo było czyste, o głębokim błękicie, powietrze świeże, po drobnym deszczu, który padał cały dzień, zmywając ziemię zaułka, co zdarza się tylko dwa lub trzy razy w roku. W niektórych zagłębieniach na As-Sanadikijji stało jeszcze błoto. Amm Kamil drzemał na krześle w swoim małym sklepiku. Twarz Al-Helu rozjaśnił łagodny uśmiech, miłość zagościła głęboko w jego sercu, więc podśpiewywał cicho:

Niech moje serce się uspokoi,
a znajdzie drogę do ukochanej.
Czas goi rany, taki już los,
uzdrowi cię nie wiadomo kiedy.
Ludzie doświadczeni mawiają często:
cierpliwość jest kluczem do szczęścia.

Amm Kamil otworzył oczy i ziewnął. Abbas roześmiał się, przeszedł do niego przez ulicę i uszczypnął go radośnie w pierś.

– Gdy się kocha, świat się do nas uśmiecha – powiedział wesoło.

Amm Kamil westchnął i odparł swoim dźwięcznym głosem: – Niech ci Bóg błogosławi, ale może byś mi dał najpierw ten całun, zanim go sprzedasz, by kupić żonę.

Abbas roześmiał się głośno i wolnym krokiem opuścił zaułek. Był w szarym garniturze, jedynym zresztą, jaki miał. Przenicował go rok temu, połatał tu i tam, a że dbał o niego, czyścił i prasował, więc wyglądał, można powiedzieć, elegancko! Rozpierała go energia, odwaga i upojenie, a jednocześnie odczuwał ucisk w sercu, co zwykle poprzedza wyznanie tego, co w nim ukryte. Żył miłością i dla miłości, jakby mu przypięto anielskie skrzydła. Jego miłość była uczuciem delikatnym, ale nie wolnym od niezaspokojonego pożądanego. Pragnął piersi Hamidy, gdy patrzył w jej oczy, wyczuwał żar ciała, choć chłonać mógł tylko głęboki, upojny czar jej spojrzenia. Kiedy zaczepił dziewczynę na Ad-Darrasa, poczuł już przedsmak zwycięstwa. Jej niechęć uznał za wybieg, którym posługują się kobiety, skrywając miłość. Zrazu owładnęło nim upojenie. Później, gdy minęło, nie wiadomo dlaczego narodziły się wątpliwości. Bo na jakiej podstawie wziął jej niechęć za kokieterię? Może to była niechęć prawdziwa? Ale przecież Hamida nie jest okrutna ani brutalna? Dlaczego ona, jego sąsiadka i rówieśnica, ma go źle traktować? Fakt, może trochę za wcześnie się cieszył, może zbyt wcześnie upajał. Nie załamywał się jednak w chwilach niepewności, bronił jak mógł swojego szczęścia. O świcie stawał przed sklepem i patrzył na Hamidę, jak otwiera okna, by nasłonecznić mieszkanie, a wieczorem siadał na krześle koło kawiarni, palił nargile i łowił jej spojrzenia przez szpary w okiennicach, za którymi rysowała się ukochana postać. Nie zadowolili się jednak tymi spojrzeniami i zaczepił ją znowu na Ad-Darrasa, ale potraktowała go tak, jak za pierwszym razem. Potem jeszcze raz powtórzył atak, ale także mu uciekła. Mimo to nadzieja go nie opuszczała. Mówił sobie, że szczęście czeka na niego, ale tymczasem musi zdobyć się na większą odwagę i cierpliwość. I tym razem wyszedł z zaułka pełen odwagi, wiary i miłości. Zobaczył nadchodzącą Hamidę z przyjaciółkami i odsunął się, aby je przepuścić, po czym szedł wolno za nimi. Zauważył, że oczy dziewcząt świdrowały go z podejrzaną złośliwością, i ogarnęła go radość. Przy końcu ulicy rozeszły się, więc

przyspieszył kroku, dogonił Hamidę i szedł za nią na odległość ramienia.

– Dobry wieczór, Hamido – trochę zmieszany wymamrotał wyuczone powitanie.

Nie było wątpliwości, czekała na to, ale sama także była zmieszana i niepewna. Nie kochała go ani nie nienawidziła. To był jedyny młodzieniec w zaułku, który na nią zasługiwał, i ten fakt sprawiał, że bała się go odprawić albo potraktować zbyt ostro i brutalnie. Nie obraziła się tym razem, jedynie zganiła go łagodnie i poszła dalej, nie zatrzymując się. Wiedziała, że ogromna przepaść dzieli tego skromnego chłopca od obrazu mężczyzny, jaki podsuwały jej wygórowana ambicja i niepoahamowana pycha. Wpadała w szal, kiedy schwytała czyjeś wyzywające spojrzenie lub czytała w czyichś oczach pewność siebie, ale także dobre i kochające spojrzenie oczu Al-Helu drażniło ją niewymownie. Doznawała wtedy uczucia zmieszania i niepokoju, nie wiedziała, czy przezornie zaakceptować go jako jedynego odpowiedniego dla niej młodzieńca w zaułku, czy też zdecydowanie odrzucić. Ani więc nie podkreślała skłonności do niego, ani nie odrzucała jego zalotów. Gdyby nie pewność, że małżeństwo jest jej naturalnym przeznaczeniem, nie wahałaby się być bezwzględna. Ale w takiej sytuacji wolą wybadać go, dać mu się wygadać, bo poza tym w słuchaniu jego wynurzeń znajdowała ukojenie swoich niepokojów i rozterek.

Młodzieniec przestraszył się, że cisza przeciągnie się aż do zakrętu, i wymamrotał znowu błagalnie:

– Dobry wieczór...

Piękna ciemna twarz Hamidy rozjaśniła się. Zwolniła kroku i odpowiedziała, udając niezadowolenie:

– Czego chcesz?

Abbas zauważył jej radość, więc nie przejął się niezadowoleniem w głosie.

– Skrećmy w ulicę Al-Azhar, tam jest ciemno, bezpiecznie i miło...

Bez słowa skręciła z ulicy Ad-Darrasa w Al-Azhar, a Abbas podążał za nią, nie posiadając się ze szczęścia. Brzmiało w niej echo jego słów: „ciemno, bezpiecznie i miło” i przyszło jej do głowy, że popełniła czyn, przed którym zawsze ją ostrzegano. Uśmiechnęła się wyzywająco, bo moralność była dla jej zbuntowanej duszy sprawą jak najbardziej godną lekceważenia. Wychowała się w środowisku, które nie dawało jej oparcia, z którym nie czuła się związana. Charakter miała nieposkromiony, a matka rzadko bywała w domu i mało o nią dbała. Folgowała swojej gwałtownej naturze, to pokłóciła się z kimś, to posprzeczała, nie zdając z niczego rachunku ani nie przywiązując wagi do żadnej wartości.

Abbas szedł tuż za nią, prawie jej dotykając, i mówił głosem pełnym szczęścia i radości:

– Jaka jesteś szlachetna!

A ona powtarzała ciągle niby ze złością:

– Czego chcesz ode mnie?

– Cierpliwość jest piękna, Hamido – powiedział wreszcie, wstrzymując ze wzruszenia oddech. – Bądź dla mnie miła, nie bądź okrutna...

– Nie powiedziałaś mi jeszcze, czego chcesz – odparła, odwracając się ku niemu z twarzą zakrytą końcem milai.

– Cierpliwość jest piękna... Chcę... pragnę, żeby ci było w życiu jak najlepiej...

– Nie chcesz nic powiedzieć, a oddalamy się coraz bardziej od naszej drogi, czas leci, nie chcę wrócić do domu zbyt późno.

– Zaraz wrócimy, nie martw się, nie niepokój, znajdziemy jakąś wymówkę dla twojej matki. Ty myślisz tylko o minutach, a ja o całym życiu, o całym naszym wspólnym życiu. To jest moja jedyna

troska. Nie wierzysz? Tylko o tym myślę, klnę się na życie Al-Husajna, który patronuje naszej świętej dzielnicy.

Mówił prosto i szczerze i Hamida poczuła nową falę gorąca. Znajdowała pewną przyjemność w słuchaniu go, ale jej twarde serce nie drgnęło. Starła się słuchać z jak największą uwagą, ale nie mówiła nic, bo nie wiedziała, co powiedzieć. Młodzieniec zachęcony jej zachowaniem ciągnął dalej ze wzruszeniem:

– Hamido, nie licz chwil i nie zadawaj mi tego dziwnego pytania. Poza tym pytaj, o co tylko chcesz. Przecież wiesz, co ci chcę powiedzieć. Dlaczego cię ciągle zaczepiam na ulicy? Dlaczego wodzę oczami za twoim cieniem, gdziekolwiek jesteś. Oddałbym ci wszystko, co zechcesz, czyż nie czytasz tego w moich oczach? Mówią, że serce wiernego jest najlepszym przewodnikiem. Co ci powiedziało? Zapytaj samej siebie. Zapytaj ludzi z zaułka, wszyscy o tym wiedzą.

Dziewczyna zmarszczyła brwi i nie wiedząc, co powiedzieć, wybąkała:

– Kompromitujesz mnie.

Przestraszył się tego, co powiedziała, i krzyknął wzburzony:

– Jak mógłbym cię kompromitować, przecież życzę ci jak najlepiej. Al-Husajn niech mi będzie świadkiem, on zna moje sekrety. Kocham cię, już dawno cię kocham, kocham cię bardziej niż ty swoją matkę, przysięgam na Al-Husajna i dziada Al-Husajna, przysięgam na Boga.

Hamida poczuła radość i rozkosz, napełniła ją duma. To, co mówił, schlebiało jej i zaspokajało jej kobiecą próżność oraz nieposkromioną żądzę dominacji. To prawda, że gorące słowa miłości zawsze cieszą ucho, nawet gdyby ich muzyka nie trafiła do serca. Ale Hamida nie potrafiła się nimi długo cieszyć. Wyobraźnia przeniosła ją nagle daleko w przyszłość. Ciekawe, jak by wyglądało życie u jego boku, gdyby spełniły się jego nadzieje. Abbas jest

biedny, zarabia tyle, ile trzeba, aby przeżyć dzień. Pewnie zabierze ją z drugiego piętra domu pani Sanijji Afifi na parter domu pana Radwana al-Husajniego. A najlepsze, co może dać jej matka, to stare łóżko, kanapa i trochę miedzianych naczyń. Potem zostanie już tylko sprzątanie, kuchnia, pranie i karmienie. I być może będzie chodziła boso i w połatanej galabii. Obraz takiej przyszłości przeraził ją. Odezwała się w niej znowu namiętność do strojów, a jednocześnie gwałtowna niechęć do dzieci, którą jej miały za złe kobiety z zaułka. Wróciły zwykle wątpliwości i dręcząca rozterka i już nie wiedziała, czy dobrze zrobiła, że posłuchała Abbasa i poszła z nim na spacer.

Abbas tymczasem patrzył na nią oczyma pełnymi miłości, tkliwości i nadziei. Tłumaczył sobie na swój sposób, jak mu dyktowała miłość, jej milczenie i wahanie.

– Dlaczego nic nie mówisz, Hamido? – zapytał wreszcie. – Jedno twoje słowo może uzdrowić serce i zmienić świat, wystarczy mi jedno słowo, powiedz coś, Hamido, przerwij milczenie.

Ale ona nic nie odpowiedziała – była pełna rozterki.

– Jedno twoje słowo napęlni moją duszę nadzieją i szczęściem – ciągnął Abbas. – Nawet nie wiesz, co uczyniła miłość do ciebie. Wstąpił we mnie nowy duch, jestem innym człowiekiem. Przestałem się bać, wyruszam na podbój świata, obudziłem się ze snu.

Hamida jakby się ocknęła i zwróciła do niego głowę. Ucieszył się jej zainteresowaniem i mówił dalej z entuzjazmem i dumą:

– Tak, oddałem się Bogu w opiekę i chcę spróbować szczęścia jak inni. Pójdę na służbę do wojska angielskiego i może w ten sposób coś osiągnę, tak jak twój brat Husajn.

– Naprawdę?... Kiedy? – spytała bezwiednie.

Wolałby usłyszeć co innego, myślał, że Hamida się wzruszy, a potem okaże zainteresowanie, liczył, że usłyszy słodkie słowa, od

których rozplywa się dusza. Ale i to wytłumaczył sobie, wziął wszystko za pozór skrywający gorące uczucie.

– Niedługo pojedę do At-Tall al-Kabir – powiedział z radością. – Na początku dostanę dniówkę dwadzieścia pięć piastrow, ale wszyscy, których pytałem, zapewniali mnie, że jest to minimum, jakie można zarobić w wojsku. Zrobię wszystko, żeby zarobić jak najwięcej. Jak wrócę tutaj po zakończeniu wojny – a mówią, że to jeszcze potrwa – otworzę nowy salon na ulicy As-Sikka al-Dżadida albo na ulicy Al-Azhar. Mógłbym wtedy prowadzić dostatnie życie... moglibyśmy się nim cieszyć... razem... jeśli Bóg pozwoli. Życz mi szczęścia, Hamido.

To było coś nowego, nigdy by jej to do głowy nie przyszło. Jeżeli chłopak mówi poważnie – przy jego pomocy mogłaby zrealizować wiele z tego, czego pragnie jej dusza. A natura taka jak jej, choćby nie wiem jak wolna, niezależna i buntownicza, do pieniędzy się garnie.

– Nie pobłogosławisz mnie, Hamido?

– Niech ci Bóg da szczęście – powiedziała cicho, głosem, który wydawał mu się piękny, choć był właśnie słabym punktem jej piękności.

– Niech się tak stanie! – odrzekł, odetchnawszy z ulgą. – Wysłuchaj jej, Panie. Uśmiechnie się do nas świat, z woli Boga. Ciesz się więc z tego, z czego wszyscy się cieszą. Niczego nie chcę, tylko żebyś ty się cieszyła.

Bardzo powoli zaczęło opuszczać ją zmieszanie. W dotychczasowej ciemności pojawiło się światełko, załśnił błysk złota. Nawet gdyby Abbas jej się nie podobał, gdyby nie podzielał na jej kobiecość, to ten blask emanujący teraz od niego zdolny był oczarować ją i ukoić jej pragnienie bogactwa i władzy. Przecież to jedyny godny jej młodzieniec w zaułku. Co do tego nie ma wątpliwości. Doznała ulgi.

– Słuchasz mnie, Hamido? – doszedł do niej jego głos. – Nie proszę cię o nic, tylko chcę, żebyś się cieszyła!

Na jej delikatnych wargach pojawił się uśmiech.

– Niech ci Bóg da dobrobyt – powiedziała.

– Nie musimy czekać aż do końca wojny – powiedział przepelniony upojeniem. – Już teraz możemy być najszczęśliwsi ludźmi w zaułku!

– W zaułku Midakk!

Zmarszczyła brwi z niesmakiem i nieświadomie z wielką pogardą powtórzyła tę nazwę.

Spojrzał na nią zmieszany, ale nie śmiał bronić zaułka, choć kochał go nad wszystko na świecie. „Ciekawe, czy też naprawdę pogardza tym dobrym zaułkiem jak jej brat Husajn – zadawał sobie pytanie w duchu. – Pewnie tak, przecież ssali jedną pierś”. I starając się zatrzeć niemiłe wrażenie, powiedział:

– Wybierzemy miejsce, które lubisz! Jest przecież Ad-Darrasa i Al-Dżamalijja i Bajt al-Kadi. Wybierzesz sobie dom, gdzie tylko zechcesz.

Zmieszła się, bo zrozumiała, że się zagalopowała. Zagryzła wargi.

– Dom? Jaki dom? Co mnie obchodzi jakiś dom?

– Jak możesz tak mówić? – w głosie Abbasa brzmiał wyrzut i nagana. – Nie wystarczy ci to, co wycierpiałem dotychczas? Nie wiesz, o jaki dom chodzi? Niech ci Bóg przebaczy, Hamido. Mam na myśli dom, który wybierzemy razem... który ty sama wybierzesz, bo to będzie twój dom, wyłącznie twój dom. To dlatego wyjeżdżam, wiesz. Przecież dałaś mi swoje błogosławieństwo, więc nasze szczęście stanie się prawdą. Dojdźmy do porozumienia i zakończmy sprawę.

Czy rzeczywiście doszli do porozumienia? Ależ tak! Gdyby nie, to nie szłaby z nim, nie rozmawiała i nie marzyła o przyszłości. Co jej szkodzi? W końcu jest to chłopiec jej przeznaczony. Ale mimo to opadły ją wątpliwości i niepokój. Czyżby straciła nad sobą kontrolę? Poczwała, jak rozżarzona ręka Abbasa dotyka jej dłoni, ściska ją i ogrzewa zimne palce. Wyrwać ją i powiedzieć: „Nie... nie chcę mieć z tym nic wspólnego”. Ale nie zrobiła tego ani nie powiedziała słowa. Szli dalej, jej dłoń w jego gorącej dłoni. Czwała, jak jego palce delikatnie i czule pieszczą jej rękę.

– Będziemy się zawsze spotykali. Prawda? – powiedział.

Nic nie odpowiedziała, a on zadowolili się jej milczeniem.

– Będziemy się często spotykać i mówić o naszych sprawach. Potem pójdę do twojej matki. Muszę mieć jej zgodę przed wyjazdem.

Hamida wyrwała nagle dłoń z jego ręki i krzyknęła przerażona:

– Straciliśmy dużo czasu i za bardzo oddaliliśmy się od domu. Wracajmy.

Zrobili w tył zwrot. Abbas śmiał się szczęśliwy, a echo głosiło jego szczęście. Przyśpieszyli kroku, aż wkrótce znaleźli się w Al-Ghurijji. Tu się rozstali. Ona skrećiała w Al-Ghurijję, a on skierował się w stronę Al-Azharu, aby wejść do zaułka od strony meczetu Al-Husajna.

Rozdział 11

Bóg ci wybaczy i zlituje się nad tobą” – mówiła Umm Husajn do siebie w ostatecznej rozpacz i gniewie, prosząc Boga o przebaczenie i litość. Szła właśnie do As-Sajjida Radwana al-Husajniego. Zmęczyło ją ciągle pouczanie męża i awantury, za słaba była, by powstrzymać go od rozpusty. Doszła do przekonania, że jedynym ratunkiem może być As-Sajjid Radwan. On jeden, dzięki swojej prawości i autorytetowi, znajdzie radę na to, czemu ona zaradzić nie potrafiła. Nigdy dotąd nie przychodziła do As-Sajjida z podobnie obrzydliwą sprawą. Przygnała ją tu rozpacz i lęk przed złą radością wrogów. To one kazały jej zapukać do tych drzwi po spokój i nadzieję. Przyjęła ją żona pana Radwana, usiadły na chwilę, żeby pogadać. Żona As-Sajjida była w połowie piętego dziesiątka lat, czyli w wieku, który wiele kobiet uważa za szczyt dojrzałości i chlubi się nim. Była to kobieta chuda i zniszczona, zarówno na jej ciele, jak i na duszy widoczne były ślady ran, jakie zadał jej czas, wyrrywając z jej ramion jedno dziecko po drugim. Wnosiła do atmosfery tego spokojnego domu smutek, którego nie potrafiła rozproszyć głęboka wiara As-Sajjida. Chuda i smutna, stanowiła przeciwieństwo męża, mężczyzny silnego, pogodnego i radosnego. Była kobietą słabą, ale nie straciła wiary, trwała przy niej mocno mimo ciągłych przeciwności losu. Umm Husajn wiedziała o jej nieszczęściach, mogła więc powierzyć jej swoje żale i problemy, spokojna, że znajdzie zrozumienie. Potem poprosiła o rozmowę z As-Sajjidem Radwanem. Kobieta zniknęła na krótko, a po chwili wróciła i zaprowadziła ją do pokoju męża.

As-Sajjid siedział na futrzaku z różańcem w ręku. Przed nim stała kadzielnica, a po prawej stronie imbryk z herbata. Pokój był mały i elegancki. Pod ścianami stały kanapy, a podłogę pokrywał dywan z Szirazu. Środek zajmował okrągły stolik, na którym leżały

pożółkłe książki, a nad nim z sufitu zwieszała się duża lampa gazowa. As-Sajjid był ubrany w obszerną szarą galabiję, a na głowie miał czarną, wełnianą takiję, spod której wyglądała biała zaróżowiona twarz, niczym księżyc w pełni. Często przebywał sam w tym pokoju, czytając, modląc się lub rozmyślając. Zbierali się tu też jego przyjaciele i uczeni, sufiowie, imamowie zikru. Dyskutowano, rozpamiętywano hadisy i omawiano różne wydarzenia i poglądy. As-Sajjid Radwan nie uchodził za uczonego w piśmie ani za wybitny umysł, ale nie zaliczano go także do tych, którzy nie znając swoich możliwości, zabierają głos w sprawach wybiegających poza granice ich rozumu. Był po prostu głęboko wierzącym, bogobożnym człowiekiem, który zawładnął duszami alimów dzięki wielkiemu sercu, szczodrości, prostocie, delikatności i miłosierdziu, człowiekiem rzeczywiście bliskim Bogu.

Na powitanie Umm Husajn wstał, spuszczać skromnie wzrok. Aby nie unieważnić jego ablucji, kobieta podeszła do niego owinięta w milaję i przez nią podała mu rękę.

– Witam, witam naszą dostojną sąsiadkę – powiedział As-Sajjid i poprosił, żeby usiadła na kanapie naprzeciwko niego, a sam usiadł po turecku na futrzaku.

– Niech Bóg będzie dla ciebie szczodry, As-Sajjidzie, i da ci długie życie, przez majestat Proroka.

Domyślał się, z czym przyszła, i dlatego nie pytał o zdrowie jej męża, ma'allima, jak tego wymagała gościnność. Znał, tak jak inni, życie i postępowanie ma'allima Kirszy i wiedział jeszcze o dawnych kłótniach małżonków. Pewny był, że mimo woli zostanie wciągnięty w nowy konflikt. Pokornie poddał się sytuacji i postanowił zająć się nową sprawą z całym sercem, jak wszystkimi innymi sprawami, których nie lubił. Uśmiechnął się więc łagodnie i zachęcając ją do mówienia, odezwał się:

– Mam nadzieję, że wszystko w porządku, z woli Boga.

Umm Husajn nie należała do kobiet niezdecydowanych ani wstydliwych, co więcej, zdolna była do złośliwości i bezczelności. W całym zaułku bogatsza w doświadczenia w tym względzie była tylko piekarka Husnijja. Dlatego odpowiedziała natychmiast:

– As-Sajjidzie Radwanie, jesteś człowiekiem dobrym i cnotliwym, najgodniejszym w naszym zaułku, dlatego chcę cię prosić o pomoc w przykrej sprawie, chcę się poskarżyć na mojego rozpustnego męża... – ostatnie słowa wymówiła głosem głuchym i ochrypłym.

As-Sajjid uśmiechnął się znowu i powiedział smutno:

– Mów, co masz na sercu, Umm Husajn, słucham cię uważnie...

– Niech Bóg doda ci siły i dostojności, o ozdobo mężczyzn – zaczęła kobieta. – Mąż mój zachowuje się w sposób bezwstydnym i nie ma zamiaru się kajać. Ilekroć myślałam, że wstąpił na prawą drogę, nieoczekiwanie ujawnia się nowy skandal. Nic nie hamuje namiętności tego rozpustnego człowieka, ani wiek, ani żona, ani dzieci. Być może słyszałeś o tym głupim chłopaku, którego co wieczór przyprowadza do kawiarni? To jest właśnie nasz nowy skandal.

As-Sajjid, w którego jasnych oczach pojawił się cień smutku, pochylił głowę i milczał, prosząc w duchu Boga o ratunek. Widząc to, kobieta zapalała jeszcze silniejszym gniewem i wzburzeniem.

– Ten rozpustny człowiek przynosi wstyd nam wszystkim – wrzasnęła. – Na Boga, gdyby nie dziesiątki lat, które z nim spędziłam, no i dzieci, opuściłabym ten dom na zawsze. Czy podoba ci się ta hańba, As-Sajjidzie? Czy podoba ci się to bezwstydne postępowanie ma'al-lima? Dawałam mu dobre rady, ale nie słuchał, ostrzegałam, ale nie czuł skruchy. Nie miałam innego wyjścia – przyszłam do ciebie. Nie chciałam kalać twoich czystych uszu tymi niechlubnymi wieściami, ale już nie wiedziałam, co robić. Wszak ty

jesteś panem całej dzielnicy i najgodniejszym w niej człowiekiem. Ciebie wszyscy słuchają. Może ty wpłyniesz na niego, bo ja nie dałam rady ani nikt inny. A jeśli się okaże, że twoje rady także nie odnoszą skutku, wtedy zacznę działać inaczej. Dzisiaj jeszcze powstrzymuję gniew, ale kiedy stracę wszelką nadzieję, wzniecę ogień w całym zaułku i rzucę ludziom na pożarcie nieczyste ciało ma'allima.

As-Sajjid spojrział na nią z naganą i powiedział z właściwym mu spokojem:

– Niech się pani uspokoi, Umm Husajn, podda woli Boga i nie pozwoli, żeby gniew nad nią zapanował. Jest pani dobrą kobietą, co każdy zaświadczy, nie trzeba dać się wziąć na języki. Dobra żona jest jak gęsta zasłona, która ukrywa to, co Bóg kazał ukrywać. Niech pani wraca spokojnie do domu i zostawi tę sprawę mnie, a Bóg nam pomoże...

– Niech Bóg będzie dla ciebie hojny, As-Sajjidzie, niech ci da szczęście i zaszczyty – powiedziała kobieta, powstrzymując wzruszenie. – Jesteś moją ucieczką i podporą. Powierzam ci tę sprawę i poczekam, a Pan Nasz będzie z nami.

Mężczyzna uspokajał ją dobrymi słowami, a kobieta wznosiła modły do Boga na jego intencję, rzucała przekleństwa na męża i opowiadała z takimi szczegółami o skandalu, że o mało nie wyczerpała cierpliwości As-Sajjida. Wreszcie pożegnał ją z szacunkiem i odetchnął głęboko. Wrócił na swoje miejsce zamyślony. Oczywiście wolałby nie wdawać się w tę sprawę, ale skoro już popadł w biedę, musiał wywiązać się ze swojej obietnicy. Zawołał służącego i kazał mu poprosić ma'allima Kirszę. Chłopiec poszedł natychmiast. As-Sajjid czekał spokojnie, myśląc o tym, że po raz pierwszy zaprosił do swojego pokoju człowieka rozpustnego. Dotychczas odwiedzali go tylko sufowie i uczeni duchowni. Westchnął głęboko i powiedział do siebie: „Zaprawdę ten, kto wskaże drogę prawdy grzesznikowi, jest lepszy od tego, który przestaje tylko z prawowiernymi”. Ale czy on

rzeczywiście zdoła wskazać temu człowiekowi drogę prawdy? Potrząsnął swoją dużą głową i zacytował święty werset: „Ty nie prowadzisz drogą prostą, kogo kochasz, lecz Bóg prowadzi drogą prostą, kogo chce”*. Dziwił się chytryści pokus szatana i jego sile, która potrafi odwieść człowieka od harmonijnie stworzonej przez Boga natury. Rozmyślania przerwało mu wejście służącego oznajmiającego przybycie ma'allima. Pozwolił mu wejść do pokoju i wstał na jego powitanie. Ma'allim Kirsza wszedł, wysoki i chudy, spojrzał na As-Sajjida z szacunkiem i czcią, i pochylił się na powitanie do jego ręki. As-Sajjid Radwan powiedział: „Witaj, ma'allimie” i poprosił go, żeby usiadł. Mężczyzna usiadł w miejscu, w którym dopiero co siedziała jego żona. As-Sajjid poczęstował go herbata. Ma'allim był spokojny, pewny siebie i nie okazywał żadnego zaniepokojenia. Nie miał pojęcia, po co wezwał go As-Sajjid. Z początku ogarnęło go takie zdumienie i zmieszanie, że nie czuł nawet strachu, prysnęła też jego ostrożność i podejrzenia. As-Sajjid wyczytał w jego półprzymkniętych oczach ten spokój i pewność siebie.

– Zaszczyciłeś nasz dom, ma'allimie – powiedział z uśmiechem.

– Niech ci Bóg wynagrodzi – odpowiedział, wyciągając rękę do imama.

– Przebacz, że cię wezwałem w czasie pracy, ale pomyślałem sobie, że powinniśmy porozumieć się w ważnej sprawie jak dwaj bracia. Nie znalazłem do tego celu lepszego miejsca niż własny dom.

– Jestem na twoje rozkazy – odparł ma'allim, grzeczniej pochylając głowę.

As-Sajjid nie chciał zbytnio przeciagać uprzejmości i przedłużać nieobecności ma'allima w kawiarni, a ponieważ nie brakowało mu odwagi ani szczerości, więc zaczął od razu, bez wahania:

* Koran, sura XXVIII, „Opowiadanie”, tłum. Józef Bielawski, PIW, Warszawa 1986.

– Chciałbym, żebyśmy porozmawiali jak bracia, między którymi panuje miłość i szczerść. Prawdziwy przyjaciel, kiedy zobaczy swojego przyjaciela, bierze go w ramiona albo, gdy widzi, że przyjaciel błądzi, wybacza mu jego błędy, lub też udziela rad, kiedy widzi, że jego przyjaciel ich potrzebuje.

Ma'allim stracił pewność siebie, zrozumiał, że wpadł w pułapkę. W jego mrocznych oczach pojawiło się zmieszanie...

– Prawdę powiedziałaś, As-Sajjidzie – odezwał się stropiony.

As-Sajjid zauważył od razu jego zakłopotanie, ale mówił dalej poważnie, patrząc na niego wzrokiem ciepłym i szczerym:

– Powiem ci szczerze, bracie, co mam na sercu, wybac mi moją szczerść. Nie zasługuje przecież na gniew ten, którego celem jest dobro, a motywem działania miłość i szczerść. Prawdę mówiąc, zauważyłem, bracie, w twoim postępowaniu coś, co sprawiło mi ból i co uważam za niegodne ciebie.

Ma'allim zmarszczył brwi zaniepokojony i powtarzał sobie w duchu: „A co tobie do tego”. Głośno natomiast powiedział:

– Uchowaj Boże, czyżby moje postępowanie sprawiło ci ból, As-Sajjidzie?

As-Sajjid nie zwrócił uwagi na jego udane zdziwienie i ciągnął dalej:

– Zaprawdę szatan znajduje wrota młodości otwarte i wchodzi przez nie skrycie lub jawnie, siejąc zło. Dlatego nie pozwalamy młodym otwierać drzwi i każemy, aby zamykali je szatanowi przed nosem. Ale cóż począć ze starcami, których wiek obdarował kluczami do czystości. Co począć, gdy zauważymy, że oni dobrowolnie otwierają drzwi i sami zapraszają szatana?

„Młodość, starcy! Wrota, klucze! Szatan, szatany! Dlaczegoż As-Sajjid zawraca sobie tym głowę i innym nie daje spokoju?” – Potrząsnął głową zmieszany i powiedział cicho:

– Nic z tego nie rozumiem, As-Sajjidzie Radwanie.

– Naprawdę? – As-Sajjid spojrział na niego znacząco, a w jego pytaniu brzmiała przygana.

– Naprawdę – wymamrotał ma'allim, który już zaczął odczuwać strach.

– Myślę, że wiesz, o co mi chodzi. Mam na myśli tego młodego hultaja.

Wszystkie drzwi zatrzasnęły się przed ma'allimem. Zawrzał gniewem, ale jak mysz w pułapce zaczął się miotać za tymi zatrzaśniętymi drzwiami.

– Jakiego hultaja, As-Sajjidzie?

– Znasz go dobrze, ma'allimie – odparł As-Sajjid głosem łagodnym, nie chcąc go prowokować. – Nie mówię o tym, żeby ci sprawić ból albo cię zawstydzić, uchwaj Boże, mówię dlatego, żeby ci wskazać drogę dobra i prawdy. Po co zaprzeczać? Wszyscy o tym wiedzą i wszyscy o tym mówią i to właśnie, na moje życie, boli mnie najbardziej. Boli mnie, że jesteś na ludzkich językach.

Ma'allim uniósł się gniewem, uderzył pięścią w udo i zaczął mówić głosem ochrypłym, aż się zapluwał:

– Co to kogo obchodzi? Dlaczego ludzie nie zostawią mnie w spokoju? Naprawdę słyszałeś, jak gadają? Zawsze tak było, od kiedy Bóg stworzył ziemię i wszystko, co na niej żyje. Oczerniają innych nie dlatego, że ich postępowanie uważają za brzydkie lub złe, ale żeby ich pognać. A gdyby nie znaleźli żadnego grzechu lub błędu, sami by go stworzyli, żeby o nim gadać. Myślisz, że szepczą między sobą, ponieważ czują do kogoś pogardę, wstręt? Nie, na Boga! To zawiść ich pożera...

Takie poglądy przestraszyły i zdziwiły As-Sajjida.

– Jesteś w błędzie! Uważasz, że twoje obrzydliwe postępowanie może wywołać czyjąś zawiść?

Ma'allim wybuchnął śmiechem i odparł złośliwie:

– Możesz wierzyć moim słowom, As-Sajjidzie Radwanie. To klika, która wszystko niszczy, a dobro nie ma dostępu do ich dusz. – Pojął nagle, że uznał zarzut i właściwie zaczyna się bronić, ale brnął dalej. – Wiesz, kto to jest ten młodzieniec? To biedak, któremu pomagam, aby ukryć jego nędzę.

Rozdrażniły As-Sajjida jego wybiegi i wpatrywał się w ma'allima wzrokiem, w którym można było wyczytać: „Czy to wypada tak mówić do mnie?”

– Ma'allimie Kirszo – powiedział. – Wydaje mi się, że się nie rozumiemy. Nie sądzę cię ani obwiniam. Obaj jednak potrzebujemy miłosierdzia Bożego i jego przebaczenia. Nie próbuj kręcić. Jeśli ten chłopiec jest biedny, zostaw go Stwórcy. Świat jest pełny potrzebujących, jeśli już zechcesz czynić dobro...

– A dlaczego nie mogę pomóc temu chłopcu? Szkoda, że mi nie wierzysz, jestem człowiekiem uczciwym.

As-Sajjid spojrział na tę ciemną twarz z ukrywanym niezadowoleniem i rzekł spokojnie:

– Ten hultaj ma złą sławę. Zrobiłeś błąd, próbując mnie oszukać. Byłoby lepiej, gdybyś docenił moją radę i zwracał się do mnie szczerze i otwarcie.

Ma'allim poznał, że As-Sajjid jest rozgniewany, choć nie było tego widać na jego twarzy, i zamilkł, tłumiąc gniew i myśląc o odejściu. Ale As-Sajjid mówił dalej:

– Zaprosiłem cię, aby z tobą porozmawiać dla twojego dobra i dla dobra twojego domu. Nie zrezygnuję z naprowadzenia cię na prawą drogę. Odpraw tego nieczystego chłopca, twórz szatana, i żałuj za grzechy. Pan Nasz jest miłosierny i przebaczący. Gdybyś należał do sprawiedliwych, byłbyś teraz bogaty ale ty zarabiasz dużo i

tracisz wszystko na ten brudny rynsztok. A biednego i potrzebującego zostaw światu.

Ma'allima ostatecznie opuściła duma i pewność siebie. Powtarzał sobie, że jest wolny, robi, co chce, i nikt nie jest jego władcą, nawet sam As-Sajjid Radwan al-Husajni. Ale ani przez chwilę nie pomyślał o tym, żeby rozgniewać As-Sajjida. Spuścił oczy i powiedział bardzo niezadowolony:

– To jest sprawa Boga.

– To jest sprawa szatana, nie Boga! Wstydz się, szajchu! – krzyknął As-Sajjid gniewnie.

– Bóg wskaże mi drogę prawdy – wymamrotał ma'allim.

– Nie słuchaj diabła, a Bóg ci na pewno wskaże, gdzie jest twoje dobro. Odpraw tego chłopca albo pozwól mi to zrobić.

Ma'allima ogarnął strach i już nawet nie starał się ukrywać swoich uczuć.

– Nie rób tego, As-Sajjidzie – powiedział stanowczo.

As-Sajjid popatrzył na niego wzrokiem pełnym złości i pogardy.

– Więc wolisz grzech niż prawą drogę?!

– Tylko Pan Nasz zna prawą drogę.

As-Sajjid zaczął już tracić nadzieję.

– Mówię ci po raz ostatni: odpraw tego chłopca albo ja to zrobię.

Ma'allim przesunął się na skraj kanapy, jakby chciał wstać.

– Nie, Sajjidzie – upierał się – błagam, zostaw tę sprawę, aż Bóg wskaże nam drogę prawdy.

– Nie wstydzisz się twojej żądzy, twoich brudnych postępków?

Ma'allim wstał, dość już miał As-Sajjida razem z jego kazaniami.

– Człowiek popełnia wiele brudnych czynów – powiedział. – To jest jeden z nich. Zostaw więc mi wybór dobrej drogi i nie gniewaj się na mnie. Przyjmij mój żal i skruchę. Człowiek przecież nie rządzi swoimi sprawami.

As-Sajjid uśmiechnął się smutno i wstał także.

– Rządziłby wszystkim, gdyby chciał. Ale ty nie pojąłeś sensu moich słów. Zostawmy sprawę Bogu. Do widzenia – powiedział, wyciągając do niego rękę.

Ma'llim opuścił dom As-Sajjida ze zmarszczonym czołem, przeklinając pod nosem ludzi, zaułek i As-Sajjida Radwana.

Rozdział 12

Umm Husajn odczekała dzień, dwa, cierpliwa, skamieniała; stojąc za okiennicami okna wychodzącego na kawiarnię obserwowała młodzieńca. Widziała go, jak wchodził, kołysząc biodrami, a potem o północy udawał się razem z jej mężem w kierunku Al-Ghurijji. Jej oczy stały się białe z gniewu i nienawiści. Czyżby rady As-Sajjida Radwana poszły na wiatr?

Odwiedziła go znowu.

As-Sajjid pokiwał smutno głową.

– Zostaw go sobie samemu, aż Bóg ześle to, co jest pisane – powiedział.

Wróciła do siebie, gotując się ze złości i obmyślając zemstę. Nie zwracała już żadnej uwagi na plotkarzy. Stała w oknie i czekała, aż wreszcie nadejdzie noc i pojawi się chłopiec. Owinęła się w milaję i jak szalona wypadła z domu. Zeskoczyła ze schodków i po minucie była przed kawiarnią. Zamykano już sklepy i mieszkańcy zaułka jak co wieczór szukali miejsca spoczynku w kawiarni. Ma'allim Kirsza stał oparty o kasę pół drzemiac i nie zauważył wejścia żony. Jej spojrzenie zatrzymało się na chłopcu popijającym herbatę. Przeszła obok ma'allima, który nawet nie podniósł na nią wzroku. Podeszła i z pasją uderzywszy pięścią w szklanke, wylała wszystko na kolana chłopca, który zerwał się z okrzykiem przerażenia.

– Pijesz sobie herbatę, co, ty skurwysynu! – wrzasnęła.

Wszystkie oczy tych, którzy ją znali z zaułka, i tych, którzy jej nie znali, zwróciły się w jej stronę. Ma'allim Kirsza obudził się nagle, jakby mu ktoś chlusnął kubłem wody na głowę, i usiłował ją wyprowadzić, ale kobieta odepchnęła go i krzyczała nieprzytomna z wściekłości:

– Nie dotykaj mnie, ty rozpustna świnio!

Potem odwróciła się do chłopca:

– Czego się boisz, ty spryciarzu, ty babo przebrana za chłopa, może mi powiesz, po co tu przychodzisz!

Ma'allim Kirsza stał za kasą, gniew spętał mu język, a twarz stała się szara jak popiół. Umm Husajn podskoczyła do niego.

– Gdyby ci przyszło do głowy bronić twojego kompana, to ci przy ludziach połamię kości – krzyknęła.

Chłopiec cofnął się i przytulił do szajcha Darwisza, kiedy kobieta znowu podeszła do niego, krzycząc:

– Chcesz zniszczyć mój dom, ty łobuzie, sukinsynu!

– Kim pani jest? Co ja takiego zrobiłem? – pytał chłopiec drżąc.

– Kim jestem? Nie wiesz?! Jestem twoją rywalką, drugą żoną twojego męża.

Rzuciła się na niego z pięściami. Chłopcu spadł tarbusz i poleciała krew z nosa. Ułapiła go za krawat i targwała nim tak silnie, że zaczął się dusić. Goście w osłupieniu przyglądali się temu. Ich serca tańczyły z radości jak na wesołym widowisku. Krzyk Umm Husajn zwabił piekarkę Husniję i jej męża Dżadę, który zjawił się jak zwykle z otwartą gębą. Po chwili jakby spod ziemi, która się przed nim rozstąpiła, wynurzył się Zajta, twórca kalek, i stanął z daleka, jak szatan. Otworzyły się także okna dwóch sąsiednich domów i wychyliły się z nich głowy ciekawe tego, co się dzieje. W ma'allimie Kirszy zawrzało, kiedy zobaczył młodzieńca wijącego się z bólu i na próżno usiłującego uwolnić się z rąk silnej kobiety. Rzucił się na nich z furją, z pianą na ustach, jak ogier, i targnął żoną mocno, krzycząc:

– Zostaw go! Dostyc tego skandalu!

Kobieta musiała puścić swojego rywala. Milaja opadła jej do stóp, szaleństwo jeszcze się wzmogło. Nie przestawała krzyczeć, trzymając teraz ma'allima za kołnierz:

– Bijesz mnie, ty rozpustniku, w obronie swojego przyjaciela. Wszyscy jesteście świadkami tego, co robi ten bezwstydnik!

Chłopiec skorzystał z okazji, wybiegł przed kawiarnię i pędził, nie oglądając się na nic. W kawiarni trwała walka między ma'allimem a jego żoną. Ona trzymała go za kołnierz, on usiłował ją uderzyć i uwolnić się, aż w końcu podszedł As-Sajjid Radwan al-Husajni i ich rozłączył. Kobieta zawinęła się w milaję, dyszała ciężko i wrzeszczała, aż drżały ściany kawiarni:

– Ty narkomanie, ty pętaku, brudasie, po stokroć sukinsynu, ty bydlaku, co spłodziłeś pięć córek i dwadzieścia wnuczek, ty szmato, ty obleśny grubasie! Patrz, pluję prosto w twoją czarną mordę.

Ma'allim patrzył na nią złym wzrokiem i drżał ze wzburzenia.

– Powstrzymaj swój język, kobieto! – krzyknął. – Zamknij ten sracz, który obrzuca nas brudami!

– To ty sobie utnij język, to ty masz sracz w gębie, ty pedale, kretynie, jawnogrzeszniku!

Pogroził jej pięścią i powiedział spokojnie:

– Bredzisz, jak zwykle. Jak mogłaś rzucić się na klientów kawiarni?

– Klientów kawiarni?! – Kobieta roześmiała się szyderczo. – O, przepraszam! Nie mam nic do klientów kawiarni. Rzuciłam się na jednego, specjalnego klienta ma'allima.

As-Sajjid Radwan wtrącił się po raz drugi i poprosił Umm Husajn, żeby przestała krzyczeć i poszła do domu. Ale ona odparła, z trudem zmieniając ton:

– Dopóki żyję, nie wrócę do domu tego rozpustnika.

As-Sajjid jednak nalegał, Amm Kamil postanowił mu w tym pomóc.

– Wróć do domu, pani Umm Husajn – powiedział łagodnie – wróć do domu, pomódl się do Boga, posłuchaj As-Sajjida Radwana.

As-Sajjid nie pozwolił jej opuścić zaułka i był przy niej, dopóki zagniewana nie wróciła do domu. Tymczasem Zajta już się schował do swojej nory, a piekarka Husnijja odeszła, popychając przed sobą męża, szturchając go w plecy i mówiąc:

– Narzekasz na swój los, mówisz, że jesteś jedynym mężczyzną, którego żona bije, no to teraz widzisz, jak się bije mężów.

Wrzawę walki zastąpiła ciężka cisza. Klienci wymieniali ironiczne lub wesołe spojrzenia. Najweselszy był doktor Buszi. Potrząsał głową i mówił z udaną powagą:

– Nie ma siły i potęgi nad Boga. Oby Bóg poprawił nasze życie.

Ma'allim Kirsza stał ciągle w miejscu, gdzie odbyła się walka. Nagle spostrzegł ucieczkę chłopca, niezadowolony zmarszczył brwi i wydawało się, że chce za nim pobiec, ale As-Sajjid Radwan, który stał w pobliżu, położył mu rękę na ramieniu i powiedział:

– Usiądź, ma'allimie, i odpocznij.

Sapał gniewnie, odwrócił się od As-Sajjida i mruzczał do siebie:

– Lwica, awanturnica, ale prawo jest po mojej stronie, zasługuję na więcej, niż mam. Głupi, kto nie bije żony.

– Módlcie się do Boga – rozległ się głos Amm Kamila.

Ma'allim Kirsza opadł na krzesło. Gniew go nie opuszczał, ogarnął go z nową siłą, aż zaczął uderzać się w czoło swoją potężną pięścią, krzycząc:

– Jestem urodzonym kryminalistą, mordercą, wszyscy w całej dzielnicy to wiedzą. Poję się krwią, jestem przestępcą, sukinsynem, bydlakiem, ale zasługuję na te wszystkie zniewagi, bo z własnej woli żałowałem za grzechy (tu podniósł głowę). Ale poczekaj, ty wstrętna babo, zobaczysz ty w nocy Kirszę takiego, jak za dawnych czasów.

As-Sajjid Radwan klasnął w dłonie i usiadł po turecku na kanapie.

– Módl się do Boga, ma'allimie Kirszo, chcielibyśmy w spokoju wypić herbatę!

– Musimy ich pogodzić – szepnął doktor Buszi na ucho Abbasowi al-Helu.

– Kogo? – spytał Abbas drwiąco.

– Myślisz, że wróci do kawiarni po tym, co się stało? – Doktor Buszi krztusił się ze śmiechu.

– Jeśli nie ten, to inny. – Abbas wzruszył ramionami.

W kawiarni znów zapanowała zwykła atmosfera. Ludzie wrócili do swoich gier i rozmów i już by prawie zapomniano o kłótni, gdyby ma'allim Kirsza znowu nie wybuchnął jak dzikie zwierzę.

– Nie, nie, nie można podporządkowywać się woli kobiety. Jestem mężczyzną wolnym, robię, co chcę, a ona niech idzie z domu lub niech się włóczy z żebrakami. Tak, jestem przestępcą... żywię się ludzkim mięsem...

Szajch Darwisz podniósł nagle głowę i powiedział, nie odwracając się do ma'allima:

– Ma'llimie, twoja żona jest kobietą silną, ma więcej męskości niż wielu mężczyzn, jest bardziej mężczyzną niż kobieta, dlaczego jej nie kochasz?

– Zamknij się! – krzyknął ma'allim.

– No, no, nawet szajch Darwisz – klienci pokiwali głowami.

Ma'allim odwrócił się plecami i zamilkł, a szajch Darwiz ciągnął dalej:

– Jest to stary grzech, po angielsku *homosexuality*, pisze się *h-o-m-o-s-e-x-u-a-l-i-t-y*. Ale to nie jest miłość. Prawdziwa miłość to miłość do rodziny. Chodź, moja kochana, chodź, pani domu... Jestem słaby, o matko słabych...

Rozdział 13

Spotkanie na ulicy Al-Azhar otworzyło nową epokę w życiu Abbasa al-Helu. Płomień rozpałał mu pierś, oczarowanie upajało umysł, namiętność przepalała mu nerwy. Chodził radosny, pijany ze szczęścia, dumny i pewny siebie, jak rycerz bez skazy.

Spotkali się jeszcze potem kilka razy i nie uciekali od rozmowy o przyszłości. Była to teraz ich wspólna przyszłość. Hamida nie zaprzeczała temu ani w jego obecności, ani wobec innych. „Ciekawe, czy któraś z przyjaciółek znajdzie lepszego?” – myślała często. Umyślnie spacerowała z nim w czasie, kiedy one szły do pracy, i łapała ich ukradkowe, badawcze spojrzenia, jakby się cieszyła z wrażenia, jakie na nich to robi. Któregoś razu zapytały ją wprost o chłopca, „którego z nią widziały”, a ona odpowiedziała po prostu:

– To mój narzeczony... właściciel salonu fryzjerskiego.

Powtarzała sobie: każda z nich uważałaby się za szczęśliwą, gdyby się zaręczyła z chłopcem z kawiarni lub od kowala, a to jest właściciel, szef, efendi! Cały czas była zajęta kalkulacjami i obliczeniami, wcale nie pociągał jej ten czarowny świat, którym zauroczony był Abbas. Mimo to nachodziło ją niekiedy ogromne wzruszenie, tak jakby była naprawdę zakochana. W jednym z takich momentów Abbas poprosił ją o pocałunek, a ona nie odpowiedziała ani tak, ani nie. Bardzo chciała zasmakować pocałunku, o którym tyle słyszała i tyle śpiewała. Abbas obserwował uważnie przechodniów, aż w całkowitej ciemności wieczoru znalazł jej usta. Drżąc, przycisnął do nich swoje wargi. Poczuela jego rozpalony oddech i przymknęła oczy.

Termin odjazdu zbliżał się i trzeba było poczynić zdecydowane kroki. Jako swojego wysłannika do matki Hamidy wybrał Abbas

doktora Buszi, który dzięki swojej profesji miał łatwy dostęp do domów w zaułku. Kobieta ucieszyła się, bo uważała młodzieńca za najodpowiedniejszego w zaułku kandydata dla córki. Imponował jej zawsze jako „właściciel salonu fryzjerskiego pan całą gębą”, ale bała się krnąbrnego charakteru dziewczyny i oczekiwała jej sprzeciwu. Jakże się zdumiała, kiedy Hamida przyjęła wiadomość z radością i pokorą.

– No i proszę, co zrobiło okno za moimi plecami – powiedziała, kiwając głową.

Abbas al-Helu zobowiązał Amm Kamila do zrobienia wspaniałej basbusy i posłania jej Umm Hamidzie. Potem poprosił o spotkanie i przyjaciele poszli do niej razem. Amm Kamil z trudem wspinał się po schodach, przystawał co dwa stopnie, opierał się o poręcz, dysząc ciężko, aż na pierwszym półpiętrze zażartował sobie:

– Nie mogłeś odłożyć zaręczyn do powrotu z wojska?

Umm Hamida przyjęła ich serdecznie. Usiedli, wymieniając grzeczności, aż zaczął mówić Amm Kamil:

– Oto Abbas al-Helu, syn naszego zaułka, twój syn i mój syn, prosi cię o rękę Hamidy.

– Witam, Al-Helu, jesteś słodki, prawdę mówi twoje imię. Moja córka, gdy będzie z tobą, to tak jakby mnie nie opuszczała.

Amm Kamil rozwodził się nad zaletami Abbasa i matki Hamidy, po czym powiedział:

– Młodzieniec opuści nas niedługo, niech mu Bóg ześle sukcesy. Wkrótce polepszy się jego sytuacja i za zgodą Boga wszystko skończy się po naszej myśli.

Matka Hamidy pobłogosławiła go, a potem zaczęła żartować z Amm Kamilem:

– A ty, Amm Kamilu, kiedy zamierzasz się ożenić?

Amm Kamil roześmiał się, a jego twarz stała się jak dojrzały pomidor, dotknął swojego ogromnego brzucha i powiedział:

– Ta nieprzystępna forteca mi przeszkadza.

Odczytali Al-Fatihe, popili słodkich napojów.

W dwa dni potem Abbas i Hamida spotkali się po raz ostatni na ulicy Al-Azhar. Szli w milczeniu i Al-Helu czuł dławienie w gardle i napływające do oczu łzy.

– Długo cię nie będzie? – zapytała Hamida.

– Służba może potrwać rok albo dwa, ale nie pomnę żadnej okazji, żeby cię odwiedzić – odpowiedział Abbas smutno.

– Tyle czasu!

Ucieszył się, mimo smutnej chwili, z jej reakcji, bo świadczyła o pewnym niepokoju, i odrzekł wzruszony:

– Jest to nasze ostatnie spotkanie przed wyjazdem, jeden Bóg wie, kiedy się znowu zobaczymy. Sam nie wiem, czy się cieszyć, czy martwić. Smutno mi będzie, że będę daleko od ciebie, ale jednocześnie cieszę się, bo długa droga, jaką wybrałem, jest jedyną, która prowadzi do ciebie. Sercem i myślami będę w zaułku. Wyobraź sobie człowieka, który podróżuje bez serca. Los rzuca go w dalekie strony, a serce odmawia towarzyszenia mu w podróży. Już jutro znajdę się w At-Tall al-Kabir. Każdego ranka o wschodzie słońca będę szukał ukochanego okna, w którym cię widywałem poprzez szparę w okiennicach, sprzątającą lub czeszącą włosy. A nasze spotkania na ulicy Al-Muski, co mi z nich pozostanie? Eh, Hamido, to mi właśnie rozrywa serce. Pozwól mi wziąć od ciebie to, co mogę. Daj mi rękę i ściśnij mocno moją dłoń tak, jak ja ściskam twoją. Kochana, droga, serce moje, Hamido! Jakie piękne imię! Kiedy je wymawiam, to tak jakbym pił miód.

Dziewczyna poddała się jego gorącym słowom, jej spojrzenie zmiękło.

– Sam wybrałeś ten wyjazd – powiedziała.

– Ale ty jesteś tego przyczyną – Abbas prawie płakał. – Ty, tylko ty jesteś tego przyczyną. Ja, na Boga, kocham nasz zaułek i dzięki Bogu zarabiam w nim wystarczająco na życie. Nie lubię oddalać się od meczetu Al-Husajna, którego imię ciągle mam na ustach. Ale niestety, nie mogę zapewnić ci życia, z jakiego byłabyś zadowolona. Pozostaje mi tylko wyjechać. Pan Nasz połączy nas w szczęśliwej sytuacji.

– Będę się modliła o twoje powodzenie – powiedziała Hamida z ogromnym wzruszeniem. – Pójdę do meczetu Pana Naszego Al-Husajna i poproszę go o opiekę nad tobą, o sukces. Cierpliwość jest chwalebna, podróże są błogosławieństwem.

– Tak, podróże są błogosławieństwem – westchnął głęboko Abbas – ale jakże będę nieszczęśliwy w miejscu, w którym nie znajdę nawet twojego cienia...

– Nie tylko ty będziesz nieszczęśliwy...

– Naprawdę? – szepnął zwrócony ku niej i kładąc jej rękę na swoim sercu.

Uśmiechnęła się słodko. Nieprzytomne ze szczęścia oczy Abbasa lśniły wewnętrznym blaskiem, spotęgowanym przez światła padające z okolicznych sklepów. W tym momencie nie istniało dla niego nic poza tą ukochaną twarzą.

– Jaka jesteś piękna, jaka delikatna, jaka słodka – szeptał. – Tak, to jest miłość, wspaniała, piękna. Hamido, świat bez niej nie byłby wart jednego millima.

Nie wiedziała, co mówić, milczała, ale jego słowa śpiewały w jej uszach. Ogarnęło ją radosne uniesienie i zapragnęła słuchać go bez końca.

– To jest miłość – mówił, odchodząc prawie od zmysłów w radosnym upojeniu – to wszystko, co mamy. To tyle, ile nam trzeba, a

nawet więcej. Ona nam daje radość, kiedy jesteśmy razem, cierpliwość, kiedy jesteśmy daleko, jest w naszym życiu czymś więcej niż samo życie. – Przerwał na chwilę, westchnął i mówił dalej: – Wyjadę z jej imieniem na ustach i dzięki niej wrócę, zarobiwszy dużo pieniędzy.

– Tak, dużo pieniędzy, jeśli Bóg pozwoli – powtórzyła nieświadomie Hamida.

– Jeśli Bóg pozwoli, a Al-Husajn pobłogosławi. Będą ci zazdrościły wszystkie tutejsze dziewczyny.

– Och, jakie to będzie przyjemne – Hamida roześmiała się radośnie.

Nie zauważyli, że doszli do zakrętu, zawrócili, śmiejąc się, pełni radości. Spotkanie ich zbliżało się ku końcowi. Abbasa opadły myśli o rozłące i pożegnaniu, zgasło uniesienie i ogarnął go smutek. W połowie drogi powrotnej zapytał gorąco:

– Gdzie cię mogę pożegnać?

Zrozumiała, o co mu chodzi, i usta jej zadrżały.

– Może tutaj – powiedziała niepewnie.

– Nie mogę cię pożegnać tak naprędce.

– Więc gdzie chcesz?

– Idź szybko do domu i czekaj na mnie na schodach.

Poszła szybkim krokiem, a on szedł wolno, aż doszedł do zaułka, kiedy były już zamknięte sklepy. Nie zwracając na nikogo uwagi, skierował się do domu pani Sanijji Afifi. Wszedł na schody ostrożnie, w gęstej ciemności. Wstrzymał oddech, jedną ręką trzymał się poręczy, a drugą badał drogę. Na drugim półpiętrze palce jego dotknęły skraju milai Hamidy. Serce zabiło mu mocno, a dawno tłumiona namiętność wyzwoliła się. Chwycił ją za rękę i przyciągnął ku sobie delikatnie, wziął w ramiona, przycisnął mocno do piersi i

zaczął całować z całą stęsknioną tkliwością. Najpierw jego usta trafiły na nos, a potem spadły na jej wargi, uchylone na jego przyjęcie. Oszołomiony miłością popadł w stan upojenia-snu, z którego obudziła go dopiero Hamida, wysuwając się lekko z jego ramion. Wchodziła na górę, a on, patrząc za nią, szeptał:

– Do widzenia.

Hamida jeszcze nigdy nie doznała takiego wzruszenia, jak tego wieczora na schodach, kiedy to w jednej krótkiej minucie przeżyła uczucie tkliwe i gorące. Poczwała teraz, że związała swoje życie z Abbasem na zawsze.

Tego samego wieczora Abbas poszedł się pożegnać z matką Hamidy, a potem zajrzał do kawiarni, by spędzić ostatni wieczór przed wyjazdem z Husajnem. Husajn wyglądał na zadowolonego i triumfował z powodu zwycięstwa odniesionego nad przyjacielem.

* * *

– Rzuć to brudne życie i zacznij żyć naprawdę – mówił głośno do towarzysza, jakby chciał, nie wiadomo dlaczego, kogoś sprowokować. Abbas uśmiechał się, ukrywając smutek, który chwycił go za serce z powodu rozłąki z zaułkiem i dziewczyną. Siedział między przyjaciółmi, cierpiąc skrycie i przyjmując słowa pożegnania i życzenia na drogę. As-Sajjid Radwan al-Husajni pobłogosławił go i udzielił mu dobrych rad:

– Oszczędzaj, ile możesz, wystrzegaj się rozrzutności, alkoholu i wieprzowiny. Nie zapominaj, że jesteś z zaułka Midakk i że do zaułka Midakk powrócisz...

– Wrócisz do nas bogaty, jeśli Bóg zechce – dodał doktor Buszi, śmiejąc się – będziesz więc musiał usunąć te swoje zepsute zęby i sprawić sobie całą złotą protezę, odpowiednią do twojej pozycji.

Abbas uśmiechnął się łagodnie. Czuł sentyment do doktora Buszi nie tylko za to, że pośredniczył między nim a Umm Hamidą,

ale też że odkupił od niego za niezłą cenę narzędzia i sprzęt z salonu fryzjerskiego, dzięki temu przecież miał zaopatrzenie na drogę.

Amm Kamil siedział poblady i smutny. Raniła mu serce ta bliska rozłąka, nie miał pojęcia, jak spotka nazajutrz samotność. Bał się odjazdu chłopca, z którym przez długie lata dzielił życie i którego kochał jak kogoś najdroższego. Za każdym razem, kiedy ktoś wychwalał Abbasa lub wyrażał żal z powodu rozłąki z nim, oczy Amm Kamila napełniały się łzami, aż się wszyscy z niego śmiali.

Szajch Darwisz odczytał nad głową Abbasa werset Al-Kursi i powiedział:

– Będiesz ochotnikiem w wojsku brytyjskim. Jeżeli wykazesz się odwagą, to kto wie, czy ci król angielski nie wykroi małego królestwa i nie mianuje cię wicekrólem, po angielsku *viceroi*, pisze się *v-i-c-e-r-o-y*.

Wcześniej rano Abbas wyszedł z domu, niosąc zawiniątko z ubraniem. Było zimno i wilgotno. Z wyjątkiem piekarki i Sunkura jeszcze nikt w zaułku się nie obudził.

Al-Helu spojrzał w ukochane okno – było zamknięte. Pożegnał je czułym spojrzeniem i poszedł wolno ze zwieszoną głową. Rzucił jeszcze okiem na swój salon. Na drzwiach napisano dużymi literami „do wynajęcia”. Zatrzymał wzrok na tym napisie, westchnął, oczy zaszyły mu łzami. Przyśpieszył kroku, jak gdyby chciał uciec od tęsknoty, która już go dopadła.

Rozdział 14

To Husajn Kirsza namówił Abbasa al-Helu do służby w wojsku angielskim. Ale kiedy tylko chłopiec wyjechał do At-Tall al-Kabir i jego salon wynajął pewien stary fryzjer, Husajna jakby ogarnęło szaleństwo i na nowo wybuchła w nim nienawiść do zaułka i jego mieszkańców. To prawda, że od dawna manifestował te swoje uczucia i zawsze pociągało go inne życie, ale nigdy nie widział jasno swojej drogi, dotąd nie powziął stanowczej decyzji. Wyjazd Abbasa popchnął Husajna w to szaleństwo. Nie mógł myśleć o tym, że Al-Helu będzie już żył inaczej, daleko od tego brudnego zaułka, a on zostanie tu wciąż, nie wiedząc, jak się od tego uwolnić. Pewnego ranka jednak zdecydował się i z właściwą sobie brutalnością zaczął rozmowę z matką.

– Słuchaj, powziąłem decyzję i od niej nie odstępę. Życie tutaj jest nie do wytrzymania i nie ma żadnego powodu, żebym się do niego zmuszał!

Matka była przyzwyczajona do jego wybuchów gniewu i przekleństw rzucanych na zaułek i jego mieszkańców. Uważała go za głupiego, tak jak i jego ojca, i nie przywiązywała wagi do ich słów.

– Panie, ulituj się nad moim przeklętym losem – szepnęła tylko. Ale Husajn nie przestawał mówić. Jego małe oczy ciskały iskry, twarz mu poszarzała.

– To życie jest nie do wytrzymania, mam już go dość.

Matka nie była w stanie dłużej milczeć wobec kogoś tak wzburzonego. Jej wąta cierpliwość prysnęła i krzyknęła głosem, który świadczył wymownie o tym, iż głos Husajn odziedziczył po niej:

– O co chodzi! Czego chcesz, ty podłe nasienie.

– Muszę wyjechać z zaułka – odpowiedział z pogardą.

– Chyba oszalałeś, ty synu wariata – patrzyła na niego z gniewem.

– Odwrotnie, właśnie oprzytomniałem po długim szaleństwie i odnalazłem właściwą drogę. – Husajn skrzyżował ręce na piersiach i mówił pewnie. – Zrozum mnie dobrze, nie rzucam słów na wiatr. Już się spakowałem i nie pozostaje mi nic innego, jak pożegnać się z tobą i polecieć cię Bogu. Pozostawiam brudny dom, śmierdzący zaułek, ludzi jak bydło.

Przyglądała mu się badawczo, chcąc wyczytać prawdę w jego oczach. Ta nagła decyzja zbiła ją zupełnie z tropu.

– O czym ty mówisz! – krzyknęła.

Ale on tylko powtarzał jakby do siebie:

– Brudny dom, śmierdzący zaułek, ludzie jak bydło.

– Aha, proszę, znalazł się bek! Witaj, o najdostojniejszy, witaj, synu baszy Kirszy – powiedziała drwiąco.

– Kirsza to menda. Kirsza to osoba podejrzana. Uff, uff, mam tego dość! Nie wiesz, że ten nasz skandal śmierdzi tak, że wszyscy zatykają nosy? Wszędzie ludzie wytykają mnie palcami, mrugają do siebie, trącają się znacząco. Mówią: „Siostra uciekła z jednym, a ojciec ucieknie z drugim”. – Tupał nogami, aż szyby brzęczały. – Więc co może mnie zmusić do pozostania tutaj? Zabieram swoje rzeczy i jadę, i nigdy tu nie wrócę.

– Ty naprawdę zwariowałeś! – kobieta uderzyła się pięścią w pierś. – Odziedziczyłeś szaleństwo po tym palaczu haszyszu. Ale ja go zawołam, niech ci przywróci rozum.

– A wołaj, wołaj mojego ojca, wołaj samego Al-Husajna. I tak wyjadę. Wyjadę! Wyjadę!

Husajn był tym razem poważny i uparty. Zajrzała więc do jego pokoju i zobaczyła, że rzeczywiście rzeczy są spakowane. Ogarnęła ją rozpacz i postanowiła za wszelką cenę ściągnąć na górę ojca. Husajn był jedynym człowiekiem, którego kochała, i nie mogła sobie wyobrazić, że on opuści dom i zostawi ją samą. Pragnęła nawet, żeby został z nią po ożenku. Nie mogła zapanować nad rozpaczą, posłała po ojca, a sama krzyczała, płakała i narzekała na swój los: „To ludzka zawiść przynosi nieszczęście. Czego nam zazdroszcza? Tych skandali? Rozczarowań?” Po chwili przyszedł ma'allim Kirsza. Zgrzytał zębami i wymyślał jej po drodze:

– Czego chcesz? Jaki świeży skandal? Nowy klient? Znowu widziałś jak komuś podawałem herbatę?

– Twój syn doprowadza do skandalu! – kobieta wymachiwała rękami, jak płaczka na pogrzebie. – Chce wyjechać, mówi, że ma nas dosyć. Zatrzymaj go!

Kirsza klasnął w dłonie i kręcił głową ze złością.

– I to z takiego powodu musiałem rzucić pracę i wejść na górę po stu stopniach. O, sukinsyny! Dlaczego prawo zabrania zabijać takich jak wy?! – wodził wzrokiem od syna do matki. – Pan Nasz pokarał mnie wami. Czy to prawda, co mówi twoja matka?

Husajn milczał, a matka odezwała się spokojnie i cierpliwie:

– Uspokój się, ma'allimie. Chwila wymaga, byś okazał rozum, a nie gniew. On spakował manatki i chce nas opuścić.

– Zwariowałeś, ty synu staruchy?!

Napięte nerwy matki nie wytrzymały.

– Wezwałam cię, żebyś go przywołał do porządku, a nie wymyślał mnie.

– Gdybyś nie była wariatką, twój syn też nie byłby wariatem.

– Niech ci Bóg przebaczy. Niech i tak będzie, że to ja jestem wariatką, córką wariatów. Zostaw już mnie, zajmij się lepiej tym, co jemu tak pomieszało w głowie.

– Dlaczego milczysz, ty synu starej baby? – zwrócił się do syna, zaplując sobie i wszystko dookoła ze złości. – Naprawdę chcesz wyjechać?

Chłopiec zwykle stawał w obronie ojca, nie atakował go, chyba że już nie mógł z nim wytrzymać. Ale tym razem postanowił stanowczo zerwać z przeszłością za każdą cenę. Nie wahał się ani wycofywał, wiedział, że decyzja, czy opuści dom, czy w nim zostanie, należy wyłącznie do niego. Ma do tego prawo, którego nikt mu nie odbierze. Odpowiedział więc ze stanowczym spokojem:

– Tak, ojciec.

– Dlaczego?

– Chcę prowadzić inne życie – odparł po namyśle.

– Rozumiem, rozumiem. Chcesz innego życia, odpowiedniejszego twojej pozycji – drwił ojciec. – Taki kundel jak ty, co wyrósł głodny i goły, głupieje, kiedy napelni kieszeń; a ty masz teraz pieniądze angielskie, więc naturalne, że szukasz innego życia, odpowiedniego do twojej wysokiej pozycji, ty gęsi konsulu!

– Nigdy nie byłem głodnym psem – Husajn powstrzymywał gniew – bo wychowałem się w twoim domu, a twój dom, chwała Bogu, nigdy nie zaznał głodu. Zamierzam jedynie zmienić swoje życie i mam do tego święte prawo. To nie powód do gniewu.

Ojciec nie rozumiał. Chłopiec cieszył się absolutną wolnością, nikt go nie pytał, co robi, dlaczego więc chce coś zmienić. Mimo wszystkich kłótni, wrogości, obrzucania się przekleństwami kochał syna, choć była to miłość przesłaniana oparami gniewu i wybuchami złości. Po prostu ma'allim Kirsza zapominał często, że kocha swojego jedynego syna. Nawet w tym momencie, kiedy chłopiec

ostrzegał, że odejdzie, jego miłość ojcowską przyćmił gniew i niezadowolenie.

– Masz swoje pieniądze, wydajesz je, jak chcesz, ku uciesze sprzedawców win, haszyszu i alfonsów. Czy prosiliśmy cię kiedyś choćby o jednego millima?

– Nie, nigdy, nigdy! Nigdy też na to nie narzekałem.

– Czy twoja matka, której chciwości chyba tylko śmierć położy kres, chciała kiedy od ciebie choć jednego millima?

Husajn marszczył brwi niezadowolony.

– Powiedziałem, na to nie narzekam. Chcę jedynie prowadzić inne życie niż to tutaj. Wielu moich kolegów mieszka w domach z elektrycznością!

– Elektryczność! Z powodu elektryczności rzucasz dom?! Dzięki Bogu twoja matka ciągłymi skandalami rozgrzewa dom bardziej niż prąd elektryczny.

– Jak możesz tak mówić? – jęczała Umm Husajn. – To niesprawiedliwość równa tej, jaka spotkała Al-Hasana i Al-Husajna.

– Wszyscy moi koledzy żyją inaczej, wszyscy stali się dżentelmenami, jak mówią Anglicy.

Ma'allim otworzył usta, ukazując złote zęby.

– Co ty mówisz? Dżel... dżelmenami? Co to jest? Nowy gatunek haszyszu?

– To znaczy ludźmi porzadnymi, czystymi.

– Ależ, jak może takie bydlę jak ty zostać czystym, porzadnym człowiekiem? Ty, ty dżelmenie!

– Ojczy, chcę zacząć nowe życie, to wszystko. I ożenię się z dziewczyną z porzadnego domu.

– Córka dżelmenów?

– Córka porządnych ludzi.

– Dlaczegoż to nie ożenisz się z psim pomiotem, jak to zrobił twój ojciec.

– Niech ci Bóg wybaczy – westchnęła kobieta – mój ojciec był poważnym mądrym fakihem.

– Fakihi! Zwykły posługacz pogrzebowy; za dwa millimy odczytywał surę z Koranu.

– Głosił słowo Boże. Zresztą już dosyć o nim!

Ma'allim odwrócił się od niej i podszedł do Husajna.

– Skończmy z tym gadaniem – powiedział gniewnie. – Szkoda mi czasu dla wariatów. Czy naprawdę chcesz wyjechać?

– Tak – odpowiedział Husajn krótko i zdecydowanie.

Ojciec wpatrywał się w niego, drżąc z gniewu, nagle zamierzył się, a chłopcu nie udało się uniknąć silnego uderzenia.

– Nie bij mnie, nie dotykaj, już mnie więcej nie zobaczysz – krzyknął Husajn i rzucił się do drzwi.

Kirsza skoczył za nim, ale zrozpaczona kobieta stanęła między nimi i zaczęła okładać go po twarzy i piersiach.

– Jazda! Zejdź mi z oczu z twoją czarną gębą – krzyknął – i więcej nie wracaj. Uznam, że umarłeś i smażyysz się w piekle. Wynoś się!

Chłopiec pobiegł do swojego pokoju, chwycił tobolek z ubraniami i zbiegł ze schodów. Przeciął zaułek i zanim dotarł do As-Sanadikijji, odwrócił się, splunął i krzyknął, drżąc z wściekłości:

– Jazda... Wynoś się! Niech cię diabli wezmą, ciebie i cały zaułek!

Rozdział 15

Pani Sanijja Afifi usłyszała pukanie do drzwi, otworzyła i ku swojej nieopisanej radości zobaczyła ospowatą twarz Umm Hamidy.

– Witaj, witaj, kochana – powiedziała serdecznie. Objęły się i przywitały gorąco, tak się przynajmniej wydawało. Pani Sanijja zaprowadziła Umm Hamidę do salonu i kazała służącej podać kawę. Usiadły blisko siebie na kanapie i zapaliły papierosa. Pani Sanijja cierpiała męki wyczekiwania, od kiedy Umm Hamida obiecała jej poszukać męża. Całe lata była sama i cierpliwie znosiła brak mężczyzny, a teraz nie miała dość sił, aby znieść tak krótki okres dzielący ją od małżeństwa. Zaczęła często odwiedzać Umm Hamidę, a ta uspokajała ją, zasypywała obietnicami i kazała czekać. W końcu pani Sanijja zrozumiała, że swatka gra na zwłokę, gdyż ma nadzieję, że tą drogą osiągnie więcej korzyści. Mimo to była dla niej hojna, anulowała jej czynsz za mieszkanie, odstąpiła kilka talonów na naftę i obdarowała kilimami, nie licząc tacy basbusy, którą zamówiła dla niej u Amm Kamila. Kiedy Umm Hamida opowiedziała jej o zaręczynach Abbasa al-Helu z Hamidą, pani Sanijja okazała radość, ale wiadomość ją zaniepokoiła. „Żeby tylko Umm Hamida nie musiała uczestniczyć w przygotowaniach do wesela dziewczyny, zanim zajmie się moim” – myślała. I tak przez cały czas oczekiwania walczył w niej strach przed Umm Hamidą z sympatią dla niej. Od czasu do czasu rzucała na nią pytające spojrzenia, chcąc przewidzieć, co przyniesie obecna wizyta: obietnice i nadzieje jak zwykle, czy radosną wiadomość, która rozpali jej serce. Starła się ukryć niepokój i była gadatliwa jak nigdy, a Umm Hamida milczała zagadkowo w tej najważniejszej sprawie. Mówiła o skandalu, jaki wywołał ma'allim Kirsza, o opuszczeniu domu przez Husajna, ganiła Umm Husajn za jej skandaliczne zachowanie. Potem rozmowa zeszła na Abbasa i pani Sanijja pochwaliła go bardzo:

– Co za miły i dobry chłopiec. Z pomocą Bożą zdobędzie majątek i zgotuje szczęśliwe życie narzeczonej, która zasługuje na wszystko najlepsze.

– To mi przypomina naszą sprawę – powiedziała Umm Hamida i uśmiechnęła się. – Jestem gotowa ciebie także wydać za mąż, narzeczono!

Serce pani Sanijji zabiło mocno. Już wcześniej coś jej mówiło, że dzisiejsza wizyta będzie ważna i że kobieta ukrywa jakiś sekret, który ujawni w odpowiednim czasie. Zaczerwieniła się, jakby w jej przywiedłym ciele popłynęła krew młodości. Nie okazała jednak podniecenia i zapytała z udanym wstydem:

– Co pani mówi, Umm Hamido? Zawstydzają mnie pani!

– Mówię, że chcę cię wydać za mąż, wielmożna pani – odpowiedziała swatka z uśmiechem triumfu i satysfakcji.

– Naprawdę?! Aż z tak poważną sprawą przychodzisz? Pamiętam, oczywiście, że rozmawialiśmy na ten temat, ale to tylko napędza mnie niepokojem i wstydem. Co za wstyd!

Umm Hamida dała się wciągnąć w grę pani Sanijji.

– Broń Boże! Czegóż miałyby się pani wstydzić? Czy to coś złego? A co to grzech wyjść za mąż zgodnie z prawem Boskim i nakazem Proroka?

Pani Sanijja westchnęła na znak podporządkowania się zrządzeniu losu, ale słowa „wyjdiesz za mąż” dźwięczały jej w uszach słodko i rozkosznie.

Umm Hamida zaciągnęła się głęboko papierosem i powiedziała spokojnie i pewnie:

– Urzędnik...

Pani Sanijja zdziwiła się niezmiernie i z niedowierzaniem patrzyła na rozmówczynię. Urzędnik?! Tego jeszcze nie było w zaułku.

– Urzędnik?!

– I owszem, urzędnik.

– Państwowy?

Umm Hamida odczekała chwilę, rozkoszując się swoim triumfem.

– Tak, państwowy, z samego posterunku policji.

Pani Sanijja zdziwiła się jeszcze bardziej.

– Czy na policji jest ktoś jeszcze oprócz oficerów i zwykłych policjantów?

– Tak, są urzędnicy – Umm Hamida popatrzyła na nią trochę z góry. – Ja wiem dobrze. Znam rząd, urzędy, urzędników, rangi i stopnie. To mój zawód, proszę pani.

– A więc to efendi! – w głosie pani Sanijji brzmiało zdumienie pomieszane z radością.

– Efendi w marynarce, spodniach, tarbuszu i butach!

– Niech Bóg zaszczyli twoje życie!

– Wybrałam dobre dla dobrego. Znam wartość każdego człowieka i gdyby nie miał przynajmniej dziewiątej grupy, nie wybrałabym go.

– Dziewiątej grupy?

– Urząd to są grupy. Każdy urzędnik należy do jakiejś grupy. A dziewiąta to jedna z nich. Ale grupa grupie nierówna, moja kochana.

– Jesteś moją drogą przyjaciółką – oczy pani Sanijji błyszczały.

– Siedzi za wielkim biurkiem, a otaczają go papiery i dokumenty aż do sufitu. Przynoszą mu kawę, ten go o coś prosi, ten pyta, a on na tego nakrzyczy, tego zeklnie. Policjanci go pozdrawiają, oficerowie okazują szacunek.

Pani Sanijja uśmiechnęła się rozmarzona.

– Pensja dziesięć funtów, ani millima mniej...

– Dziesięć funtów – przerwała pani Sanijja.

– To tylko mała część, bo pensja urzędnika jest tylko małą częścią jego dochodów. Przy odrobinie sprytu i inteligencji może zarobić dwa razy tyle, no i nie trzeba zapominać o dodatku drożyznianym, o dodatku małżeńskim i na dzieci.

Pani Sanijja roześmiała się nerwowo.

– Pani wybaczy, Umm Hamido, ja i dzieci!

– Bóg wszystko może...

– W każdym razie chwalmy go i dziękujmy mu za łaski, jakie na nas zsyła.

– Ma trzydzieści lat...

– O Boże – krzyknęła niezadowolona pani Sanijja – jestem od niego starsza o całe dziesięć lat.

Umm Hamida zauważyła, że pani Sanijja zapomniała o dziesięciu latach, ale powiedziała tylko z naganą:

– Ciagle jesteś młodą dziewczyną, pani Sanijjo. Powiedziałam mu otwarcie, że masz czterdzieści lat i był bardzo zadowolony.

– Naprawdę, ucieszył się? Jak ma na imię?

– Ahmad Efendi Tulba, mieszkaniec Al-Churunfusz, syn hadźdża Tulba Isy właściciela smażalni przy Umm Ghulam. Rodzina dobra, szlachetna, pochodzi z rodu Pana Naszego Al-Husajna.

– Rzeczywiście dobra rodzina, ja też pochodzę ze szlacheckiej rodziny, jak pani wie, Umm Hamido.

– Wiem, kochana. A poza tym on szuka przede wszystkim dobrych obyczajów, gdyby nie to, już dawno by się ożenił. Pogardza dzisiejszymi dziewczynami, zarzuca im bezwstyd. A kiedy mu opowiedziałam o twoich zaletach i twojej skromności, kiedy powiedziałam, że jesteś szlachecką panią, i to nie bez grosza, ucieszył się nadzwyczaj i odparł, że właśnie takiej pragnie. Poprosił mnie jednak o coś, co nie przekracza granic dobrego wychowania, o twoją fotografię.

Szczupła twarz pani Sanijji pokryła się rumieńcem.

– Na Boga, od dawna się nie fotografowałam.

– A nie ma pani starej?

Pani Sanijja wskazała wzrokiem fotografię na stoliku stojącym pośrodku pokoju. Kobieta wzięła ją do ręki i przypatrywała się jej badawczo. Była to fotografia sprzed pięciu lat, kiedy to osoba, którą przedstawiała, była pełniejsza i miała w sobie więcej życia. Przeniosła wzrok z fotografii na oryginał i z powrotem i powiedziała zdecydowanie:

– Jak oryginał, jakby robiono wczoraj.

– Oby ci Bóg osłodził życie – głos pani Sanijji trochę drżał. Umm Hamida schowała do kieszeni zdjęcie razem z ramką, a potem zapaliła papierosa, którego jej podała pani Sanijja.

– Rozmawialiśmy długo i dowiedziałam się też, czego on od pani oczekuje...

Pani Sanijja po raz pierwszy spojrzała na nią uważnie i czekała dalszego ciągu, ale kiedy kobieta milczała, zapytała z pełnym zdziwienia uśmiechem:

– Ciekawe, czego on ode mnie oczekuje?

Czyżby naprawdę myślała, że chce się z nią ożenić dla jej czarnych oczu? Umm Hamida trochę się rozzłościła, ale zapytała spokojnie:

– Myślę, że nie będzie pani miała nic przeciwko przygotowaniu sobie wyprawy ślubnej?

Pani Sanijja zrozumiała w jednej chwili. Mężczyzna nie ma zamiaru płacić za żonę i chce oczywiście, żeby ona wzięła na siebie ciężar przygotowania wyprawy ślubnej. Właściwie zdawała sobie z tego sprawę od samego początku, czyli od chwili, kiedy oładnęła nią chęć wyjścia za mąż. Już wcześniej Umm Hamida napomykała o tym w kilku rozmowach, a pani Sanijja nie próbowała protestować.

– Nasz Pan nam pomoże – powiedziała pokornie.

– Prośmy Boga o powodzenie i szczęście – uśmiechnęła się Umm Hamida.

Wstała, szykując się do wyjścia. Uściskały się gorąco i pani Sanijja odprowadziła gościa aż do drzwi wyjściowych. Stała na schodach, trzymając się poręczy, aż Umm Hamida zeszła do swojego mieszkania. Zanim zniknęła jej z oczu, pani Sanijja krzyknęła:

– Tysiąc pozdrowień dla Hamidy.

Wróciła do swojego pokoju z sercem odmłodzonym, rozplonionym nową nadzieją. Powtarzała wszystko, co powiedziała Umm Hamida, zdanie po zdaniu, słowo po słowie. Pani Sanijja była trochę skąpa, ale nie na tyle, żeby skąpstwo stanęło na drodze do jej szczęścia. Od wielu lat rozkoszowała się swoimi pieniędzmi, czy to tymi, które trzymała w kasie oszczędności, czy tym plikiem nowych, wspaniałych banknotów, które chowała w kasetce z kości słoniowej. Ale ani jedne, ani drugie nie były w stanie zaspokoić tęsknoty do mężczyzny, który za pozwoleniem Boga zostanie jej mężem. Tylko czy mu się spodoba zdjęcie? Krew jej uderzyła do głowy. Podeszła do lustra i przypatrzyła się swojej twarzy. Przeglądała się to z prawej, to

z lewej strony, aż wydała się sobie wcale niezła i nawet była zadowolona ze swojego odbicia.

– Tfu, tfu, żeby nie zauroczyć – mruzczała z zadowoleniem.

Usiadła i uspokoiła samą siebie: „Pieniądze pokryją wady”. Przecież swatka mu powiedziała, że mam pieniądze. Miała je rzeczywiście. A pięćdziesiąt lat to nie jest wiek skłaniający do rozpacz. Jeszcze ma przed sobą co najmniej dziesięć lat. Ileż to kobiet w wieku sześćdziesięciu lat jest szczęśliwych, jeżeli Bóg uchroni je od chorób! A małżeństwo na pewno ujędrni jej zwiędłe ciało i rozbudzi je. Tak sobie wesoło błędziła myślami, aż tu na ich czystym nurcie pojawiła się brudna piana. Zmarszczyła brwi. A co powiedzą ludzie? Och, zna ich doskonale, pierwsza Umm Hamida będzie plotkować. Powiedzą, że pani Sanijja zwariowała i wychodzi za mąż za mężczyznę trzydziestoletniego, który mógłby być jej synem. Długo będą gadali o pieniądzach, które reperują to, co zepsuł wiek, i będą gadali jeszcze o innych sprawach, co im tylko ślina na język przyniesie. A niech gadają, co chcą. Nie oszczędzali jej także, kiedy była wdową. Wzruszyła lekceważąco ramionami, ale w głębi ducha westchnęła: niech mnie Bóg chroni od złego oka.

Raptem przyszedł jej do głowy doskonały pomysł, który postanowiła zrealizować natychmiast. Pójdzie do szajchy Rabbahy, mieszkającej przy Bab al-Achdar, żeby jej powróżyła i dała kilka talizmanów. Jakże potrzebowała w obecnej sytuacji jakiegoś pożytecznego amuletu albo kadzidla.

Rozdział 16

Co ja widzę! Jaki poważny i dystyngowany człowiek”. Zajta przyglądał się staremu mężczyźnie średniego wzrostu, który stał przed nim w pokorze i uniżeniu. Był chudy, miał na sobie znoszoną galabiję, ale wygląd godny, co natychmiast spostrzegł producent kalek. Duża głowa o białych włosach, podłużna twarz, spokojne, pokorne oczy, wysoka, prosta sylwetka, godność. Wszystko to sprawiało, że można go było wziąć za wojskowego na emeryturze. Zajta ze zdziwieniem i cierpliwością przyglądał mu się w słabym świetle lampy.

– Jesteś poważnym człowiekiem, naprawdę chcesz popробować żebractwa?

– Faktycznie już jestem żebrakiem – powiedział mężczyzna spokojnie – ale nie mam szczęścia.

Zajta odkaszlnął, splunął na podłogę i wytarł wargi rękawem czarnej galabii.

– Jesteś za delikatny, żeby znieść ciężki zabieg – powiedział. – Prawdę mówiąc, nie wolno podejmować się robienia kaleki z człowieka po dwudziestce. Kalectwo naturalne czy spreparowane przynosi tyle samo cierpienia. Kiedy kość jest miękka, gwarantuje żebrakowi, że będzie w stanie wytrzymać długo swoje kalectwo. Ale ty jesteś stary, na progu śmierci, co ja mogę z tobą zrobić?

Zajta zamyślił się, a kiedy myślał, otwierał usta i obracał językiem, który wyglądał w jego ustach jak łeb żmii. Nagle błysnęły mu oczy i krzyknął:

– Godność jest twoim najcenniejszym kalectwem!

– Co pan mówi, ustaz?

– Ustaz?! Słyszałeś kiedy, żebym czytał modlitwy nad grobami?!
– Zajta rozgniewał się nie na żarty.

– Uchowaj Boże – odparł pojednawczo mężczyzna zaskoczony jego gniewem. – Chciałem tylko okazać ci uszanowanie.

Zajta splunął dwa razy i rzekł z dumą i podziwem:

– Nawet najwięksi lekarze w kraju nie podjęliby się tego, co ja robię. Czy wiesz, że zrobienie jednego kaleki jest tysiąc razy trudniejsze niż przypadkowe doprowadzenie do kalectwa? Kaleka prawdziwy, naturalny według mnie nie zasługuje na więcej niż na splunięcie w twarz.

– Przepraszam pana, Bóg jest litościwy i miłosierny.

Zajta trochę się uspokoił, ale jego głos zdradzał resztki irytacji.

– Powiedziałem, że godność to też kalectwo!

– Jak to, panie?

– Godność, jako rzecz rzadka wśród żebraków, gwarantuje ci sukces.

– Godność, panie?

Zajta sięgnął do garnka na półce i wyciągnął z niego pół papierosa. Zapalił od otworu w lampie, garnek odstawił na miejsce, zaciągnął się głęboko i odpowiedział ze spokojem:

– Kalectwo to nie jest to, czego ty potrzebujesz, przeciwnie, trzeba wygląd twój jeszcze upiększyć i ulepszyć. Upierz dobrze galabiję, zdobądź jakiś zużyty tarbusz i chodź tak wyprostowany. Pokornie i uniżenie podchodź do bywalców kawiarni, stój zawstydzony i wyciągaj rękę boleśnie, bez słowa. Mów oczami, znasz przecież język oczu. Będą ci się przyglądali ze zdziwieniem, będą mówili: „Oto jak nisko upadł były ulubieniec tłumów” i „Niemożliwe, żeby to był zawodowy żebrak”. Wiesz teraz, o co mi chodzi? Dzięki swojej godności zarobisz dwa razy tyle, co inni kalectwem.

Kazał mu wypróbować tę nową rolę. Obserwując go, stał w zamyśleniu z papierosem w ustach i marszczył brwi.

– Żeby ci czasem nie przyszło do głowy przywłaszczyć sobie moją dolę niby dlatego, że nie zasługuję na zapłatę, bo nie zrobiłem z ciebie kaleki. Jesteś wolny, rób, co chcesz, ale pod warunkiem, że będziesz pokazywał swoją twarz tylko w ludnej dzielnicy Al-Husajn.

– Uchowaj Boże, abym zdradził swojego dobrodzieja.

Rozmowa zakończyła się i Zajta wskazał mężczyźnie drogę, wyprowadzając go aż do drzwi wejściowych do piekarni. W drodze powrotnej zauważył, że ma'allima Husnijja siedzi sama na macie, a Dżady ani śladu. Zwykle kiedy ją spotykał, zamieniał z nią parę słów z sympatii i skrywanego dla niej podziwu.

– Widziałaś tego człowieka? – zapytał.

– Jakiś kandydat na kalekę, prawda?

Zajta roześmiał się i opowiedział jej swoją rozmowę z mężczyzną. Kobieta także się roześmiała i przeklęła jego szatańskie pomysły. Zajta skierował się do drzwi swojego schowka, ale na progu zatrzymał się:

– A gdzie Dżada?

– W łaźni.

W pierwszej chwili mężczyzna pomyślał, że piekarka wyśmiewa się w ten sposób z jego znanego wszystkim brudu, i spojrzał na nią badawczo, ale była poważna. Pewnie Dżada rzeczywiście poszedł do łaźni w Al-Dżamalijja, co zwykle robi dwa razy do roku, i wróci mniej więcej około północy. Pomyślał, że dobrze by było posiedzieć trochę z ma'allimą. Usiadł na progu swojej nory i oparł się plecami o drzwi. Nie zwracając uwagi na zdziwienie i niezadowolenie w oczach piekarki, wyciągnął chude nogi przypominające dwie kolumny z węgla. Kobieta traktowała go obojętnie, jak inni mieszkańcy zaułka. Zamieniała z nim tylko kilka słów, kiedy wychodził i kiedy wracał,

jako że była właścicielką jego nory. Nigdy nie przypuszczała, że stosunki między nimi przekroczą tę granicę. Nie miała też pojęcia, że Zajta zna szczegóły z jej życia intymnego, choć mogła się spodziewać, że taka kreatura znajdzie na pewno jakąś dziurę w ścianie, żeby zaspokoić swoją nienasyconą ciekawość i zwierzęce ciagoty.

Był jakby członkiem rodziny, świadkiem jej pracy i wypoczynku, a szczególną przyjemność sprawiało mu oglądanie piekarki wymierzającej mężowi razy za najmniejsze przewinienie. A przewinień Dżada popełniał wiele każdego dnia i każdego dnia otrzymywał karę, tak że w końcu stały się one jego chlebem powszednim. Znosił je cierpliwie, choć czasami płakał i krzyczał. Co raz to zdarzało mu się spalić parę krawców chleba albo ukraść kilka, żeby je połknąć po kryjomu, albo też kupić basbusy za pół piastra z pieniędzy zarobionych na chlebie dostarczonym do domów. Dzień w dzień mimo groźby surowych kar popełniał ciągle te małe przestępstwa, nawet nie próbując zacierać ich śladów. Zajta nie mógł nadziwić się jego pokorze, tchórzostwu i głupocie. Uważał go poza tym za brzydaka i wyśmiewał się z jego wyglądu. Dżada był wysoki aż do przesady, miał długie ręce, wysuniętą dolną szczękę, grube wargi i głęboko osadzone oczy. Zajta nienawidził go od dawna za to, że cieszył się taką grubą i dużą żoną, na którą on patrzył z podziwem i pożądaniem. Nienawidził go i pogardzał nim, i miał ochotę rzucić go do pieca razem z chlebem. Ucieszył się więc bardzo, że pod nieobecność tego bydlaka może trochę posiedzieć koło Husnijji. Usiadł i wyciągnął nogi, nie zważając na zdziwienie i niezadowolenie w oczach piekarki.

– Co tak siedzisz tutaj?

– Jestem gościem, ma'allimo, gości się nie lekceważy – powiedział na głos, a w duchu pomyślał: „Boże, oddal jej gniew”.

– Dlaczego nie wejdiesz do swojej nory i nie zejdziesz mi z oczu? – powiedziała z niesmakiem.

– Człowiek nie może całego życia spędzać wśród kalek, brudów i robactwa, czasami musi popatrzeć na ludzi weselszych i pogodniejszych.

– Ale to nie znaczy, że ludzie chcą znosić twój widok i wachać obrzydliwy zapach. Uff, uff! Włóż do swojej nory i zamknij za sobą drzwi.

– A jednak istnieją widoki jeszcze okropniejsze i zapachy jeszcze obrzydliwsze.

Piekarka zrozumiała, że Zajta ma na myśli jej męża, zbladła i powiedziała groźnie:

– Co masz na myśli, ty bracie robaka?

– Naszego przyjaciela Dżadę – odparł śmiało.

– Uważaj, co mówisz, ty przekłety, jak cię dostanę w swoje ręce, rozedrę na kawałki.

Zajta nie zlekceważył niebezpieczeństwa i spokorniał.

– Powiedziałem, że jestem gościem, ma'allimo, a gościem się nie pomiata. Nie miałbym nic przeciwko twojemu mężowi, gdybym się nie upewnił co do twojej dla niego pogardy i gdybym nie widział, jak go bijesz z najmniejszego powodu.

– Jeden paznokieć Dżady jest wart twojej szyi.

– A jeden twój paznokieć więcej niż tysiąc takich szyj jak moja, a co do Dżady...

– Chcesz powiedzieć, że jesteś więcej wart niż Dżada?

W twarzy Zajty pojawiło się zmieszanie. Otworzył usta ze zdziwienia nie dlatego, że we własnym mniemaniu był rzeczywiście lepszy od Dżady, ale już samo z nim porównanie było niewybaczalną obrazą. Gdzie takiemu bydlęciu do osoby tak potężnej – do króla świata.

– A co ty uważasz, ma'allimo?

– Uważam, że jeden jego paznokieć jest wart więcej niż twoja szyja.

– Tego bydlaka?

– To jest mężczyzna, nie byle kto, ty diabelska mordo! – krzyknęła z wściekłością.

– Ta kreatura, którą traktujesz jak bezpańskiego psa?

Kobieta wyczuła w jego głosie gniew i zazdrość i spodobało się jej to na tyle, że porzuciła zamiar uderzenia go, na co miała przemożną chęć. Udawała, że rozgniewała się jeszcze bardziej.

– Ty tego nigdy nie zrozumiesz. Nie jesteś godny nawet umrzeć z pragnienia do jednego uderzenia, którym go obdarzam.

– Być może, bicie to zaszczyt, jakiego nie pojmuję...

– Zaszczyc, o jakim ci się nie śni, ty glisto.

Zajta zastanawiał się długo, czy rzeczywiście życie z tym zwierzęciem sprawia jej przyjemność. Wiele razy zadawał sobie to pytanie, ale nie mógł w to uwierzyć. Nie może mówić nic innego, ale coś ukrywa, bez wątpienia. Ogarnął gorącym spojrzeniem jej ogromną, bujną postać i to przekonanie jeszcze wzrosło. Jego wyobraźnia zaczęła szaleńczo pracować i przyszłość przedstawiła mu się w jasnych barwach. Odosobnione miejsce pozwalało mu na gorączkowe majaki. Natomiast piekarka delectowała się jego zazdrością i wcale nie była zaniepokojona tym, że jest z nim sama, ponieważ była pewna własnej siły.

– Ty, ty prochu marny... Najpierw oczyść swoje ciało z tej ziemi, która je pokrywa, a potem rozmawiaj z ludźmi.

Nie była zła. Gdyby naprawdę była zła, już by go dawno zaczęła bić. Przekomarzała się z nim niewątpliwie, nie mógł więc dopuścić, żeby mu się taka okazja wymknęła z ręki.

– Nie odróżniasz ziarna od plew.

– Nie możesz zaprzeczyć przecież, że jesteś błotem.

– Wszyscy jesteśmy błotem – powiedział z prostotą.

– Daleko ci do tego! Ty jesteś błotem w błocie i brudem w brudzie. Dlatego nie ma dla ciebie innej pracy niż okaleczanie ludzi. To szatan cię wysłał, żeby sprowadzać ludzi do twojego poziomu.

Zajta śmiał się. Każde jej słowo dodawało mu nadziei.

– Ależ ja ulepszam ludzi, nie oszpecam ich. Nie zauważyłaś, że żebrak, który nie jest kaleką, nie jest wart ani millima. Kiedy ja go nim zrobię, jest wart tyle złota, ile waży. Człowiek sam stanowi o swojej wartości, a nie jego wygląd. A jeśli chodzi o naszego przyjaciela Džadę, to nie ma on ani wartości, ani wyglądu.

– Znowu wracasz do niego? – zapytała groźnie.

Udał, że nie zauważył tej groźby.

– A poza tym wszyscy moi klienci są zawodowymi żebrakami, co więc chcesz, żebym z nimi robił? Chcesz, żebym ich ozdobił, obwiesił biżuterią i rozstawił na drogach, aby byli pokusą dla uczciwych?!

– Co za diabeł. Mówi jak diabeł i wygląda jak diabeł.

– A przecież kiedyś byłem królem... – Zajta westchnął głęboko.

– Królem panów i ifrytów.

– Nie, właśnie ludzi – zaprzeczył spokojnie. – Każdego z nas świat przyjmuje pewnego dnia jak króla, a potem każdy staje się tym, czym go uczynił zły los. I to jest mądre oszustwo życia, bo gdyby nam powiedziano jasno u progu, co nas czeka, odmówilibyśmy opuszczenia macicy!...

– Wszak wiesz, ty skurwysynu, że wszystko dzieje się z woli Boga!

– Kiedyś byłem szczęśliwym dzieckiem, do którego wyciągały się ręce z radością i otaczały je troską i opieką. Wątpisz w to?

– Skąd, panie nasz i władco...

Zajta upojony własnymi słowami ciągnął dalej:

– Moje narodzenie było szczęściem i błogosławieństwem. Rodzice byli zawodowymi żebrakami i zwykle wypożyczali dziecko, które moja matka nosiła w czasie żebraczych wędrówek. A kiedy Bóg zesłał im mnie, pozbyli się wszystkich obcych dzieci i kochali jedynie mnie.

Husnijja nie mogła powstrzymać się od głośnego śmiechu, a Zajta opowiadał z jeszcze większym entuzjazmem:

– Och, wspomnienia mojego szczęśliwego dzieciństwa! Ciągłe jeszcze mam w pamięci to miejsce na chodniku. Chodziłem na czworakach, aby dostać się na skraj chodnika. Była tam dziura, gdzie zbierała się woda deszczowa albo z podlewania, albo uryna zwierząt. Na jej dnie było błoto, na powierzchni mnóstwo much, a po brzegach różne odpadki. Cudowny widok! Mętna woda, a na jej brzegach śmiecie w najróżniejszych kolorach: skórki od pomidorów, kawałki pietruszki, piasek, błoto i muchy krążące wokół i siadające na tym wszystkim. Podnosiłem powieki ciężkie od much i błądziłem wzrokiem po tym moim wspaniałym letnisku, a świat nie mógł pomieścić mojego szczęścia.

– Co za szczęście... co za wspaniały los! – krzyknęła piekarka kpiąco.

Sprawiło mu radość to, że go słucha, że się śmieje, więc mówił zachęcony:

– W tym tkwi sekret mojej miłości do tego, co nazywają niesprawiedliwie brudami, śmieciami. Człowiek jest zdolny przyzwyczać się do wszystkiego, nawet do rzeczy najdziwniejszej i

najbardziej nienormalnej. Dlatego boję się, że się przyzwyczaisz do tego bydlaka.

– Znowu do tego wracasz!

Ogarniała go żądza i czyniła ślepym i głuchym.

– Człowiek nie jest w stanie lekceważyć prawa do...

– Widać, że się wypościłeś w życiu...

– Już ci powiedziałem, że raz zakosztowałem rozkoszy jak jeszcze byłem w kołysce.

Potem wskazał ręką swoją norę i dodał:

– Serce mi mówi, że zakosztuję jej jeszcze raz w tym moim schronie.

Kiwnął głową w stronę swojej komórki, jakby ją zachęcał: chodź.

Jego śmiałość wywołała wściekłość piekarki.

– Uważaj no, ty diabelskie nasienie! – wrzasnęła.

– Jak może diabelskie nasienie odrzucać pokusy, które mu podsuwa ojciec?

– A jak ci połamię kości?

– Kto wie, może to będzie dla mnie rozkoszą?

Podniósł się nagle i cofnął trochę. Był pewien, że osiągnął cel i że ma już piekarkę w ręku. Drżał cały i wpatrywał się w Husniję wzrokiem pełnym olśnienia i zwierzęcej dzikości. Nagle schylił się i błyskawicznym ruchem zadarł do góry galabiję. Przez chwilę piekarka siedziała jak porażona, po czym wyciągnęła rękę, chwyciła garnek z półki i rzuciła nim z całej siły w brzuch Zajty. Rozległ się dziki ryk i Zajta upadł na ziemię, zwijając się w bólu.

Rozdział 17

As-Sajjid Salim Ulwan siedział jak zwykle u siebie za biurkiem, kiedy Umm Hamida przyszła po zakupy. Zawsze przyjmował ją miło, ale tym razem nie zadowolił się samym powitaniem. Poprosił, by usiadła obok niego na krześle, i polecił jednemu z pracowników, aby przygotował hennę, którą zamówiła. Te oznaki sympatii zrobiły duże wrażenie na Umm Hamidzie. Podziękowała więc i poleciła go Bogu. Prawdę mówiąc, sympatia, jaką jej okazał, nie była przypadkową improwizacją. Oto As-Sajjid powziął wreszcie nieodwołalną decyzję, bo trudno jest żyć człowiekowi z rozdartą duszą. Długo nie mógł się zdecydować, denerwowało go, że nad niebem swojego życia widział problemy, które wymagają rozwiązania, a nie znajdował tyle silnej woli, żeby to uczynić. To synowie nie dawali mu spokoju, to dręczyło go pytanie, czy będzie miał okazję wykorzystać nagromadzone zasoby, tym bardziej że chodziły niepokojące pogłoski, jakoby po wojnie miała spaść wartość pieniądza. I sprawa tytułu beka, która za każdym razem, kiedy już myślał, że stanowczo z nią skończył, wracała uporczywie, jak nabrzmiały wrzód. I stosunki z żoną pogorszyły się, od kiedy zwiędła jej młodość i wyczerpała żywotność. I wreszcie sprawa ostatnia, ale nie najmniej ważna, czyli uczucie, które nim owładnęło i przynosiło mu ból, cierpienia i wzmogło żądze. Był bezradny wobec tych wszystkich kłopotów, ale w końcu postanowił stanowczo pozbyć się przynajmniej jednego z nich. Postanowił zaspokoić swoją namiętność, choć był świadom przeszkód i nie ukrywał przed sobą, że po rozwiązaniu tego problemu wystąpią nowe, wcale nie mniej poważne niż poprzednie. Był zakochany i to uczucie zdominowało wszystko inne. Miłość przenikała jego duszę, opanowała myślenie i wolę, sprawiała, że wszystko, co stało jej na przeszkodzie, uznawał za nieważne. „Moja żona skończyła się jako kobieta – mówił sobie – a ja nie należę do mężczyzn, którzy w tym

wieku oddają się rozpuście. Nie ma też żadnego powodu, abym zadawał sobie tortury i się umartwiał. Bóg nam zsyła radość, dlaczego więc sami sobie utrudniamy życie?” W ten sposób usprawiedliwiał swoją nieodwołalną decyzję i zabrał się do jej zrealizowania. Dlatego poprosił Umm Hamidę, aby usiadła blisko niego, postanowił bowiem zagadnąć ją w tej sprawie. Trochę się bał tej rozmowy. Nie dlatego, że ogarnęły go wątpliwości, ale dlatego, że niełatwo było mu zniżyć się do takiej kobiety jak Umm Hamida. Nagle wkroczył służący, niosąc tacę ze sławetnym farikiem, i Umm Hamida uśmiechnęła się lekko, co nie uszło uwagi Salima Ulwana. Wykorzystał tę okazję i, zapominając o swojej godności i powadze, powiedział ze złością:

– Ależ mnie drażni ten farik!

– Dlaczego? Niech Bóg chroni cię od złego – odpowiedziała szybko.

– Mam tylko z nim kłopot!

– Dlaczego, panie beku? – kobieta nie wiedziała, o co mu chodzi.

– Moja druga połowa nie jest z niego zadowolona – odpowiedział As-Sajjid ośmielony tym, że rozmawia przecież ze swatką.

Umm Hamida zdziwiła się, przecież mieszkańcom zaułka leci ślinka na tę potrawę, czemu więc ta bogobojna kobieta jest niezadowolona.

– To dziwne! – powiedziała, śmiejąc się bezczelnie.

As-Sajjid pokiwał smutno głową. Jego żona nie przepadała za potrawą od samego początku. Prosta i skromna, odrzucała wszystko, co było niezgodne z naturą, ale znosiła jego wybryki, szanując namiętności męża i z obawy przed rozdrażnieniem go. Mimo to nie wahała się odradzać mu różnych praktyk, uważając je po prostu za niebezpieczne dla zdrowia. Z wiekiem stawała się coraz mniej cier-

pliwa i coraz bardziej ją to drażniło, tak że jawnie okazywała swoje niezadowolenie. Często też opuszczała dom męża, udając się do synów, niby to z wizytą, ale w rzeczywistości były to ucieczki. As-Sajjid miał już tego dosyć i stał się dla niej zimny i oschły. Ich dobre stosunki popsuły się i wspólne życie stało się trudne. On nie miał zamiaru uciszać swoich namietności ani litować się nad słabością żony. Jej nieposłuszeństwo, jak je nazywał, posłużyło mu za argument, aby zacząć myśleć o nowym małżeństwie. Pokiwał więc smutno głową i powiedział, aby Umm Hamida jasno zrozumiała:

– Ostrzegałem ją, że się ożenię z inną. I zrobię to, jeśli Bóg pozwoli.

Umm Hamida zainteresowała się serio jego słowami, obudziła się w niej swatka i patrzyła na niego jak kupiec na rzadkiego klienta. Ale miała ciągle trochę wątpliwości.

– Do tego stopnia, As-Sajjidzie? – zapytała.

– Ostrzegałem ją już dawno i już dawno chciałem po ciebie posłać. Co o tym myślisz?

Kobieta westchnęła głęboko. Opanowała ją radość nie do opisanego. Jak później mówiła, poszła kupić henkę i trafiła na skarb.

– Panie As-Sajjidzie – powiedziała. – Jesteś mężczyzną nie byle jakim, takich jak ty jest niewielu. Szczęśliwa będzie ta, którą wybierzesz. Ja jestem na twoje usługi. Mam do dyspozycji dziewice, wdowy i rozwódki, młode i w średnim wieku, bogate i biedne, możesz wybierać, jakie chcesz!

As-Sajjid podkreślił grubego wąsa i jakby trochę się zmieszał. Potem pochylił się do niej i powiedział zniżonym głosem, uśmiechając się:

– Nie ma potrzeby trudzić się szukaniem, bo to, czego pragnę, znajdzie się w twoim własnym domu.

– W moim domu?! – kobieta była tak zdziwiona, że zapomniała języka w gębie.

– Tak, w twoim własnym domu, z twojej krwi i kości, czyli twoja córka – Hamida.

Kobieta nie wierzyła własnym uszom. Oczywiście, wiedziała od samej Hamidy, że As-Sajjid wodzi za nią oczami, ale podziw to jedno, a małżeństwo drugie. Kto mógłby uwierzyć, że pan As-Sajjid Salim Ulwan, właściciel przedsiębiorstwa, poprosi o rękę Hamidy!?

– Nie ma godnej ciebie pozycji – powiedziała kobieta zaniepokojona.

– Jesteś dobrą kobietą, a twoja córka mi się podoba i wystarczy! Czy ludzie bogaci nie zasługują na szczęście? Po co mi pieniądze? Mam ich aż nadto.

Kobieta słuchała, ale zdumienie jej nie opuszczało. Nagle przypomniała sobie, że Hamida jest zaręczona, i aż krzyknęła przerażona.

– Co ci jest?

– Na Boga, zapomniałam panu powiedzieć, że Hamida jest zaręczona z Abbasem al-Helu. Zaręczyli się przed jego wyjazdem do At-Tall al-Kabir.

– Abbas Al-Helu?

– Na Boga, przecież czytaliśmy Al-Fatihę.

As-Sajjid zmarszczył brwi z niezadowoleniem i pogardą.

– Ten nędzarz, fryzjer!?

– Obiecał, że będzie pracował dla wojska, zbierze pieniądze – powiedziała kobieta, usprawiedliwiając się – i pojechał zaraz potem, jak odczytaliśmy Al-Fatihę.

Gniew As-Sajjida wzrósł jeszcze, bo poczuł się tym wepchnięty na jedną płaszczyznę z Al-Helu.

– Ten głupiec myśli, że wojsko to raj! Ale właściwie dziwię się, dlaczego akurat mnie opowiedziałaś tę historię.

– Po prostu nagle ją sobie przypomniałam. Nie marzyłyśmy nawet o takim wielkim zaszczycie i dlatego nie szukałyśmy pretekstu, żeby mu odmówić ręki Hamidy Niech mi pan wybaczy, As-Sajjidzie. Prośba kogoś takiego jak pan jest dla nas rozkazem. Nie marzyłyśmy nawet o takim wielkim zaszczycie. Proszę nam wybaczyć. Pójdę teraz i natychmiast wrócę. Nie gniewaj się na mnie, dlaczego aż tak cię to gniewa?

As-Sajjid rozpogodził się. Zauważył, że rzeczywiście zdenerwował się więcej, niż należało, jakby to Al-Helu wchodził mu w drogę, a nie odwrotnie.

– Nie mam prawa się gniewać? – zapytał.

Nagle wstał, jakby mu się coś przypomniało, twarz mu zbladła.

– Czy dziewczyna się zgodziła? – zapytał zaniepokojony. – To znaczy, czy go chce?

– Dziewczyna nie ma nic do powiedzenia! Stało się tak, że Al-Helu przyszedł pewnego dnia do mnie w towarzystwie Amm Kamila i odczytaliśmy Al-Fatihe.

– Dziwni, na Boga, są ci młodzi! Ledwie taki ma co włożyć do ust, a żeni się i mnoży, i zaludnia dzielnice dziećmi, które żywią się po śmietnikach. Zapomnijmy o tej całej historii.

– Tak, ja też tak uważam, As-Sajjidzie. Pójdę i wrócę, nie zwlekając. Bóg nam pomoże.

Kobieta wstała, schyliła się do jego ręki, aby się pożegnać, wzięła paczuszkę z henną, którą robotnik położył na biurku, i wyszła. As-Sajjid siedział nadal z twarzą ponurą, a jego wzrok świadczył o zdenerwowaniu i gniewie. Pierwsze potknięcie! Brudny

fryzjer nie wart nawet millima, a musi się z nim tłoczyć na jednym placu. Splunął na ziemię z pogardą, jakby pluł na samego Al-Helu. Już słyszał plotkarzy, którzy biorą go na języki i używają sobie na nim z całym sarkazmem i kpina. A żona powie, że wyrwał jakąś posługaczkę z salonu fryzjerskiego w zaułku. Tak, żona będzie gadała i ludzie, specjaliści od gadania, będą sobie ostrzyli języki, i wszystko to dojdzie do jego synów i córek, przyjaciół i wrogów. Zastanawiał się nad tym wszystkim, ale wycofanie się z całej sprawy nie przyszło mu nawet do głowy. Walka się skończyła już wczoraj, powziął decyzję, rozpoczął akcję i oddał się w ręce Boga. Bawił się wolno wąsami, kiwał głową z lekceważeniem i naraz ogarnęła go taka dzika żądza, że wszystko mu było jedno, co już ludzie mówią i co jeszcze powiedzą. Zawsze go obgadywali. Może nie stworzyli z fariku legendy, którą przenoszono z ust do ust? Niech sobie mówią, co chcą, niech robią, co chcą, on i tak pozostanie ich panem i będzie chodził pośród pochylonych głów. A co do rodziny, to majątek ma wystarczający, aby zaspokoić wszystkich jej członków. Nowe małżeństwo nie będzie kosztowało więcej niż godność beka, gdyby się o nią starał. Uspokoił się, twarz mu się wypogodziła i przestał się dręczyć. Przede wszystkim powinien zawsze pamiętać, że jest mężczyzną z krwi i kości, bo jeśli o tym zapomni, kłopoty go zjedzą. Po co mu ta cała wielka fortuna, jeżeli nie może osiągnąć czegoś, co leży w zasięgu jego ręki, musi wyrzec się ciała, które mógłby mieć na skinienie?

Rozdział 18

Umm Hamida pośpieszyła do domu i ledwie nieco oddaliła się od przedsiębiorstwa, jej wyobraźnią zawładnęły wspaniałe marzenia. Hamidę zastała siedzącą pośrodku pokoju i czeszącą włosy. Matka przyjrzała się jej badawczo, jakby ją widziała po raz pierwszy albo jakby chciała się przekonać o jej kobiecych zaletach, które pozbawiły rozsądku człowieka tak poważnego i wiekiem i majątkiem, jak As-Sajjid Salim Ulwan. Poczula nawet coś w rodzaju zazdrości. Była oczywiście pewna, że połowa każdego piasra, który przyniesie dziewczynie przyszłe małżeństwo, będzie należała do niej i każda rozkosz, jakiej zakosztuje Hamida, będzie w połowie także jej udziałem. Mimo to nie mogła pozbyć się dziwnego uczucia, które mąciło jej radość i przeszkadzało ambicjom. Czyżby rzeczywiście bogactwo było przeznaczone dla tej dziewczyny, która nie ma ojca ani matki? – myślała sobie. Czyżby As-Sajjid nie słyszał jej okropnego głosu, kiedy wrzeszczy na sąsiadów? Czyżby nie był świadkiem jej kłótni? Niech strzegą się mężczyźni ciała kobiety. A kiedy oderwała od niej wzrok, powiedziała:

– Na Al-Husajna, urodziłaś się w Noc Przeznaczenia!

Hamida przestała czesać czarne, lśniące włosy i zapytała ze śmiechem:

– Dlaczego? Co znowu wymyśliłaś?

Kobieta zdjęła milaję, rzuciła ją na kanapę i odpowiedziała spokojnie, obserwując wrażenie, jakie na córce robią jej słowa.

– Nowego narzeczonego!

W oczach dziewczyny pojawiło się zainteresowanie połączone ze zdumieniem.

– Naprawdę?

– Narzeczony wysokiej rangi, nawet ci się o takim nie śniło, ty suko!

Serce Hamidy zabiło mocno, a oczy zalsniły, tak że pojaśniała ich czern.

– Kto taki?

– Zgadnij!

– Kto taki? – zapytała niecierpliwie, intensywnie myśląc.

– As-Sajjid Salim Ulwan, mężczyzna jak się patrzy – Umm Hamida pokiwała głową i uniosła brwi.

Hamida tak ścisnęła w dłoni grzebień, że jego zęby wbiły się jej w skórę, i krzyknęła:

– Salim Ulwan, właściciel przedsiębiorstwa?

– Tak, właściciel przedsiębiorstwa. I właściciel majątku, jakiego ocean nie pomieści.

Twarz dziewczyny rozjaśniła się, choć mruzczała do siebie nieświadomie.

– Co za czarna wiadomość!

– Dobra wiadomość, wiadomość jak śmietanka. Nigdy nie uwierzyłabym, gdyby nie przydarzyło się to mnie samej.

Dziewczyna wpięła grzebień we włosy, podbiegła do matki i chwyciła ją za ramię.

– Co ci powiedział? – spytała. – Powiedz mi wszystko, co ci powiedział, ale tak słowo po słowie.

Słuchała z głębokim zainteresowaniem opowiadania matki. Serce jej biło mocno, twarz zaróżowiła się, a oczy lśniły radością. Oto bogactwo, o jakim marzyła, pozycja, jakiej pragnęła. Ta żądza

zdobycia lepszej pozycji trawiła ją jak choroba. Czym mogła ją zaspokoić, jeśli nie bogactwem? Nie знаła innego środka. Tylko ono dawało wysoką pozycję, potęgę, wpływy, a co za tym idzie, pełnię szczęścia. Czowała się jak żołnierz walczący samotnie, który w najbardziej krytycznym momencie znalazł nagle nową skuteczną broń, jak ptak z podciętymi skrzydłami, pogrążony w rozpacz robiący daremne wysiłki, by pofrunąć, któremu cudem odrosły skrzydła i może teraz wznieść się na szczyty gór.

Matka przypatrywała się jej skrycie.

– O czym myślisz? – zapytała.

Umm Hamida nie знаła odpowiedzi, ale była gotowa protestować w każdym wypadku. Gdyby dziewczyna powiedziała, że myśli o As-Sajjidzie, odpowiedziałyby: a Al-Helu? Gdyby myślała o Al-Helu, odparłyby: nie zależy ci na As-Sajjidzie?

Ale Hamida powtórzyła jej pytanie głosem pełnym niezadowolenia:

– O czym myślę?

– Tak, o czym myślisz? Nie jest to przecież sprawa łatwa do załatwienia. Czyż zapomniałaś, że jesteś zaręczona? Czytałam Al-Fatihę z Al-Helu.

– Al-Helu? – w głosie Hamidy brzmiała pogarda, ale i niepokój. Twarde spojrzenie przyćmiło piękność jej oczu.

Matka była zdumiona szybkością, z jaką dziewczyna podjęła decyzję w tak ważnej sprawie. Tak jakby Al-Helu w ogóle nie istniał. Znowu przekonała się, że jej córka to dziewczyna dziwna i przerażająca. To prawda, ona sama też nie miała żadnych wątpliwości co do finału sprawy, ale chciała, żeby Hamida miała chociaż skrupuły. Wolą, żeby córka wahała się i żeby to ona ją namawiała i przekonywała. Nie spodziewała się, że usłyszy od niej imię Al-Helu wymawiane z taką pogardą.

– Tak, Al-Helu, zapomniałaś już, że to twój narzeczony?

Nie, nie zapomniała, ale to nieważne. „Ciekawe, czy matka naprawdę broni Al-Helu?” Patrzyła w jej oczy i stwierdziła, że matka kłamie. Wzruszyła więc ramionami i rzekła z pogardą i lekceważeniem:

– Ofiara.

– Co ludzie o nas powiedzą?

– Niech mówią, co chcą.

– Poradzę się As-Sajjida Radwana al-Husajniego.

– A co mu do tego, to wyłącznie moja sprawa – dziewczyna za-protestowała ze strachem.

– Nie mamy w rodzinie mężczyzny. On jest naszym doradcą.

Zawinęła się w milaję i natychmiast wyszła.

– Poradzę się go i zaraz wrócę – powiedziała na odchodnym.

Dziewczyna odprowadziła ją złym wzrokiem, potem zauważyła, że jest jeszcze nieuczesana, więc zaczęła czesać włosy automatycznymi ruchami, zasłuchana w siebie, w swoje jasne marzenia. Po chwili wstała, podeszła do okna, popatrzyła przez okiennice na wielkie przedsiębiorstwo As-Sajjida i wróciła na stare miejsce.

Jej odwrót od Abbasa wcale nie był tak nagły, jak myślała matka. Pewnie, był moment, kiedy szczęśliwa łączyła swoje sprawy z jego sprawami. I to z miłości. Wyciągała go też na rozmowy o przyszłości, jakby to miała być przyszłość wspólna ich dwojga, obiecała odwiedzić meczet Al-Husajna i pomodlić się za niego. Modliła się za Abbasa, odwiedziła świątynię rzeczywiście, choć zwykle chodziła do meczetu tylko po jakiejś kłótni. Oczekiwała pełna nadziei na wspaniałe szczęście u boku Abbasa. Przecież to Al-Helu sprawił, że ze zwyczajnej dziewczyny stała się narzeczoną i Umm Husajn nie mogła już, trzymając się za skronie, mówić ze złą

radością: „Ogolę się na kolano, jeżeli ktokolwiek się z tobą zaręczy”. A jednak żyła jak wulkan w kraterze. Od początku nie zaznała ani chwili spokoju. Coś ją wewnętrznie niepokoiło i zatykało oddech. To prawda, Abbas al-Helu błysnął jej pewnym dobrobytem, ale on sam nie był mężczyzną, jakiego pragnęła, i od pierwszego z nim spotkania była niezdecydowana. Właściwie nie wiedziała, jaki ma być ten jej mężczyzna, ale w każdym razie Al-Helu nie chwycił jej za serce. Próbowwała jednak walczyć ze swoimi ambicjami. Mówiła sobie, że być może wspólne pożycie da jej szczęście, jakiego sobie nawet nie wymarzyła. Ale z drugiej strony zadawała sobie pytanie: Ciekawe, jakie będzie to szczęście, które jej zapewni Al-Helu? Czy nie przesadza w swoich marzeniach? Powiedział przecież, że wróci z majątkiem, otworzy salon fryzjerski na ulicy Al-Muski, ale czy to jej zapewni życie dostatniejsze, niż ma obecnie? I czy tego właśnie pragnie jej szalona dusza? Rozmyślenia powiększyły jeszcze jej rozterkę i nabierała przekonania, że Abbas jest kandydatem niezbyt poważnym, a jej niechęć do niego jest silniejsza niż myśli o ich wspólnym życiu. Ale co miała robić? Czyż nie związała się z nim na zawsze? O Boże, dlaczego nie miała żadnego zawodu, takiego choćby jak jej przyjaciółki? Mogłaby wtedy czekać, aż wyjdzie za mężczyznę, jakiego będzie chciała, albo w ogóle mogłaby nie wychodzić za mąż! Jej entuzjazm słabł, odwaga gasła. Spotkania z Al-Helu rozpały nowe nadzieje. Była w takim stanie ducha, kiedy As-Sajjid Salim poprosił o jej rękę. Dlatego odrzuciła bez wahania pierwszego narzeczonego, a uczyniła to tym łatwiej, że już dawno wyrzuciła go z serca.

Nieobecność matki trwała krótko. Wróciła z domu As-Sajjida Radwana z poważną twarzą.

– As-Sajjid nigdy się na to nie zgodzi – powiedziała, nie zdejmując milai.

Opowiedziała rozmowę z As-Sajjidem Radwanem. Porównywał on obydwu mężczyzn: Al-Helu jest młody, As-Sajjid Salim stary, Al-

Helu należy do jej klasy, As-Sajjid do innej. Małżeństwo człowieka takiego jak As-Sajjid z dziewczyną taką jak jej córka spowoduje na pewno wiele kłopotów i stworzy dużo problemów dla obu stron. I As-Sajjid Radwan tak zakończył:

– Al-Helu to dobry chłopiec, wyjechał na zarobek tylko ze względu na to małżeństwo, jest człowiekiem godnym, a ty musisz czekać. Jeżeli wróci, nie spełniwszy twoich nadziei, oby Bóg do tego nie dopuścił, wtedy będziesz miała prawo wydać Hamidę za tego, kogo wybierzesz.

Dziewczyna słuchała w milczeniu, a jej oczy sypały iskry złości. Wreszcie nie wytrzymała i krzyknęła suchym głosem, a gniew odkrył całą jego brzydotę:

– As-Sajjid Radwan to człowiek święty albo przynajmniej musi takiego udawać. W gruncie rzeczy nic go nie obchodzi dobro ludzi. Moje szczęście ani go ziębi, ani grzeje, ale wierzę, że był poruszony odczytaniem Al-Fatihy, jak przystało na człowieka bliskiego Bogu, który zapuszcza brodę długą na dwa metry. Nie pytaj więc As-Sajjida o moje małżeństwo. Jak chcesz, możesz go zapytać o komentarz do jakiegokolwiek wersetu z Koranu lub jakiejś sury. A poza tym, gdyby był taki dobry, jak twierdzicie, Bóg nie pokarałby go utratą wszystkich dzieci!

Przerażona Umm Hamida odpowiedziała z bólem i przyganą:

– Czy tak się mówi o ludziach najczcigodniejszych i najszlachetniejszych?

– Jest godny, jeśli chcesz, i prorok, jeśli tak ci się podoba, ale nie będzie kamieniem na drodze do mojego szczęścia.

Kobieta cierpiała nad lekceważeniem, jakie spotkało As-Sajjida, nie broniła jednak jego zdania, bo w głębi duszy z nim się nie zgadzała. Ale chcąc jeszcze bardziej rozgniewać dziewczynę i zemścić się na niej za jej niemoralność, powiedziała:

– Ale jednak jesteś zaręczona.

Hamida roześmiała się drwiąco.

– Do momentu małżeństwa każda dziewczyna jest wolna. Nic między nami nie było poza rozmową i tacą basbusy.

– A Al-Fatiha?

– Jakoś to przeżyjemy.

– Popelnisz ciężki grzech.

– Wypchaj się!!

– Och, ty źmijo – krzyknęła kobieta, uderzając się w pierś.

Hamida zauważyła już zwiastuny poddania się w oczach matki i krzyknęła wesoło:

– To ty wyjdź za niego!

Matka klasnęła w dłonie i przewyciężając śmiech, powiedziała złośliwie:

– Masz prawo sprzedać tacę basbusy za tacę fariku...

– Tak. I odrzucić młodego dla starego.

Umm Hamida zaczęła się śmiać, zapominając o sprzeciwie. Usiadła po turecku na kanapie i mruczała: „w starym piecu diabeł pali”. Wyjęła papierosa i zaciągnęła się z rozkoszą, jakiej nie odczuwała już dawno.

– Na Boga, cieszysz się bardziej z nowego narzeczonego niż ja, a sprzeciwiasz się i upierasz tylko, by mi dokuczyć. Niech ci Bóg wybaczy.

– Kiedy mężczyzna taki jak As-Sajjid Salim żeni się z dziewczyną, to w rzeczywistości poślubia całą jej rodzinę, jak Nil, kiedy wylewa, zatapia całą okolicę, rozumiesz? A może myślisz, że

przeprowadzisz się do nowego pałacu, a ja zostanę tutaj na łasce pani Sanijji Afifi i podobnych dobroczyńców?!

Hamida roześmiała się, zaczęła zaplatać włosy i rzekła z udaną dumą:

– Na łasce pani Sanijji Afifi i wielmożnej pani Hamidy.

– Oczywiście, oczywiście, ty znajdo, ty podrzutku, ty córko nieznanego ojca.

– Podrzutek, podrzutek, nieznany ojciec – śmiała się dziewczyna. – Ilu to znanych ojców nie jest wartych funta kłaków.

Nazajutrz wczesnym rankiem Umm Hamida szczęśliwa i z lekkim sercem poszła do przedsiębiorstwa As-Sajjida odczytać Al-Fatihę po raz drugi. Nie znalazła jednak As-Sajjida Salima w zwykłym miejscu. Wróciła więc do domu niezadowolona i zaniepokojona. Około południa po zaułku rozeszła się wiadomość, że As-Sajjid Salim Ulwan dostał w nocy ataku serca i leży w łóżku na granicy życia i śmierci. Cały zaułek pogrążył się w smutku. Na dom Umm Hamidy spadła ta wiadomość jak piorun z jasnego nieba.

Rozdział 19

Pewnego ranka zaułek obudziły krzyki i gwar, a jego mieszkańcy ujrzeni jakichś mężczyzn rozbijających wielki ozdobny namiot na wysypisku gruzu w As-Sanadikijji, akurat naprzeciwko zaułka Midakk. Amm Kamil bardzo się zaniepokoił, pomyślał, że to namiot dla zmarłego, i krzyknął głośno: „Wszyscy należymy do Boga i do Niego wrócimy, o Zwycięzający, o Wszystkowiedzący, o Panie”. Przywołał chłopca, który stał na ulicy, i zapytał, kto umarł, ale chłopiec roześmiał się i odpowiedział:

– To nie jest namiot dla zmarłego, to festyn wyborczy.

Amm Kamil pokiwał głową.

– Znowu będzie Sad i Adli.

Nie wiedział absolutnie nic o polityce, zapamiętał bezwiednie jedno lub dwa nazwiska. Co prawda w jego sklepiku wisiał na poczesnym miejscu wielki portret Mustafy Nahhasa, ale to tylko dlatego, że Abbas al-Helu kupił kiedyś dwa portrety przywódcy, z których jeden powiesił u siebie w salonie fryzjerskim, a drugi podarował przyjacielowi. Amm Kamil nie widział nic złego w powieszeniu obydwu, wiedział, że takie lub inne portrety tradycyjnie wieszają się w sklepach. W sklepie z ta'amijją na As-Sanadikijji wiszą portrety Sada Zaghlula i Mustafy Nahhasa, w kawiarni Kirszy portret chedywa Abbasa. Przyglądał się więc pracującym robotnikom z niezadowoleniem, spodziewał się bowiem dnia gwarnego i ciężkiego. Namiot rósł stopniowo. Najpierw dźwignięto maszty, potem przyniesiono płótno i naciągnięto je. Ziemię wewnątrz posypano piaskiem. Po obu stronach ustawiono rzędy krzeseł, między którymi wąskie przejście prowadziło do podwyższonej estrady umieszczonej w głębi. Na skrzyżowaniu między meczetem Al-Husajna a Al-

Ghurijją umieszczono dwa głośniki. Ale najpiękniejsze było to, że wejście do namiotu pozostawiono niezasłonięte żadną zasłoną, co bardzo ucieszyło mieszkańców zaułka Midakk, gdyż mogli uczestniczyć w festynie, pozostając we własnych domach. Wysoko nad estradą został powieszony wielki portret szefa państwa, a pod nim fotografia kandydata dzielnicy, Farhata, którego znała większość jej mieszkańców, bo był kupcem z ulicy An-Nahhasin. Chłopcy rozlepiali na ścianach afisze, na których było napisane jaskrawymi literami:

Głosujcie na waszego wolnego kandydata Ibrahima Farhata!

Wiernego zasadom Sada.

Niech skończy się epoka ucisku i łachmanów!

Niech nadejdzie epoka sprawiedliwości i sytości!

Chcieli także przykleić afisz na sklepie Amm Kamila, ale on przepędził ich z gniewem, bo nieobecność Abbasa al-Helu sprawiła, że zawsze był w złym humorze.

– Tylko nie tutaj, ludzie! – krzyczał. – To mi przyniesie nieszczęście, nie zysk.

– Ależ przeciwnie, przyniesie ci zysk – odparł jeden z nich – jak to zobaczy pan kandydat, to wykupi całą twoją basbusę i jeszcze ci da za nią podwójną cenę i podziękowanie.

Robotę skończono około południa. Wróciła zwykła cisza i spokój, które trwały do wieczora, kiedy to przyszedł sam As-Sajjid Ibrahim Farhat w otoczeniu świty, żeby osobiście dopatrzeć wszystkiego. Nie żałował wydatków, ale ponieważ był kupcem i swoje finanse znał na wylot, nic nie uszło jego uwagi i nic się nie mogło zmarnować.

Zaprezentował tłumowi swoją kulistą postać wciśniętą w dżubbę i kaftan. Obracał wkoło twarz śniadą, okrągłą, o naiwnych oczach. Jego chód świadczył o powadze i pewności siebie, a oczy mówiły o dobroci i prostocie. Cały jego wygląd wskazywał na to, że żołądek jest dla niego o wiele ważniejszy niż głowa. Pojawienie się kandydata wywołało ogromne zainteresowanie w zaułku i przyległych uliczkach. Patrzyli na niego jak na narzeczoną, po której „weselu” spodziewali się wiele dobrego, zwłaszcza że do tej pory nie otrząsnęli się od uderzenia, jakie spadło na nich w poprzednich wyborach, w których zwyciężył kandydat okręgu At-Tazkijja. W ślad za panem Farhatem ciągnęły grupy chłopców, wznosząc okrzyki mocne jak grzmoty: „Kto jest naszym reprezentantem?” „Ibrahim Farhat!” „Kto jest synem naszego okręgu?” „Ibrahim Farhat!” itd. itd. Wypełnili całą ulicę i wielu wśliznęło się do namiotu. Kandydat odpowiadał na okrzyki podniesieniem ręki do głowy, a potem skierował się w stronę zaułka. Za nim wyruszyła świta, której główną część stanowili ciężarowcy z klubu sportowego z Ad-Darrasa. Podszedł do starego fryzjera, który zajął miejsce Al-Helu, i wyciągnął do niego rękę: „Dzień dobry, obywatelu arabski” – powiedział. Mężczyzna pochylił się do jego ręki zawstydzony. Potem zwrócił się do Amm Kamila, mówiąc: „Nie wysilaj się, aby wstać, zostań na swoim miejscu, na Al-Husajna. Jak się miewasz? Bóg jest wielki, Bóg jest wielki! Oto basbusa jedyna w swoim rodzaju, tego wieczora wszyscy ludzie poznają jej zalety”.

Pozdrowiał każdego napotkanego, aż doszedł do kawiarni Kirszy, powitał ma'allima, usiadł i poprosił swoich towarzyszy, żeby usiedli. Do kawiarni pośpieszyło wielu mieszkańców zaułka, nawet piekarz Dżada i Zajta producent kalek. Kandydat wodził wzrokiem po obecnych z radością.

– Herbata dla wszystkich – krzyknął do Kirszy. Z uśmiechem przyjmował słowa podziękowania, które posypały się zewsząd, po czym zwrócił się do ma'allima:

– Chciałbym, żebyś podawał kawę w namiocie, jeżeli będzie potrzeba.

– Jesteśmy do usług – powiedział słabo ma'allim, a jego niezbyt ochoczy głos nie uszedł uwagi kandydata.

– Wszyscy jesteśmy synami jednej dzielnicy i wszyscy jesteśmy braćmi – powiedział miękko.

W rzeczywistości As-Sajjid Farhat przyszedł do kawiarni, aby się przypodobać ma'allimowi Kirszy. Kilka dni temu bowiem zaprosił go do siebie, chcąc uczynić z niego swojego popiecznika i zapewnić sobie jego głos oraz głosy ma'allimów i ich pracowników z otoczenia Kirszy. Zaoferował mu wtedy piętnaście funtów za ewentualne „kłopoty”, ale Kirsza nie chciał nawet ich tknąć, uważając, że nie jest gorszy od Fawwala, właściciela kawiarni na Ad-Darrasa, o którym chodzą słuchy, że wziął dwadzieścia funtów. W końcu przyjął te piętnaście funtów, kiedy As-Sajjid obiecał, że sumę uzupełni po wyborach. As-Sajjida nie opuszczał jednak niepokój, bał się, że ma'allim Kirsza zwróci się przeciwko niemu. Prawdę mówiąc, ma'allim nie całkiem się udobruchał i życzył jak najgorzej temu „nowicjuszowi w polityce”. W okresach wyborczych ma'allim Kirsza budził się ze swojego zwykłego uśpienia. W młodości zasłynął w polityce, podobnie jak potem w innych dziedzinach. Uczestniczył aktywnie w rewolucji 1919 roku i przypisywano jego działaniom ogromny pożar, który strawił Żydowską Kompanię do Handlu Papierosami na placu Al-Husajna. Był też bohaterem zaciętych walk, jakie toczyły się między rewolucjonistami a Ormianami i Żydami. Kiedy wygasła krwawa rewolucja, znalazł nowe ujście dla swojego entuzjazmu i aktywności w walkach wyborczych. Nie szczędził wysiłku, który okazał się bardzo owocny w wyborach 1924 roku, a jeszcze bardziej w 1925 roku, jeśli nawet, jak mówiono, wziął wtedy łapówkę od kandydata rządowego, a głos oddał na kandydata partii Wafd. Podobno chciał tak samo zagrać w kampanii wyborczej Sidkiego, wziąć pieniądze i zbojkotować wybory, ale w

dniu wyborów był bacznie śledzony. Wsadzono go razem z innymi na ciężarówkę i zawieziono do okręgu wyborczego, gdzie pod przymusem po raz pierwszy wystąpił przeciwko partii Wafd. Rok 1936 był ostatnim rokiem jego działalności politycznej. Wziął z nią rozbrat i zaraz potem zajął się handlem. W następnych okresach obserwował wybory tak, jak się obserwuje rynek towarów. Zostawał zwolennikiem tego, kto więcej płacił, a swoje odstępstwo od zasad usprawiedliwiał korupcją i zepsuciem, jakie rozpanoszyły się w życiu politycznym. „Jeżeli pieniądze są celem walczących o władzę, to nie ma szkody, jak będą także celem biednych wyborców” – mawiał. W końcu zawładnęła nim rozpusta; żądze wpędziły go w stan permanentnego uśpienia i obojętności na inne sprawy. Z dawnej rewolucyjności i buntowniczości pozostało w jego duszy tylko niejasne wspomnienie. Być może, niekiedy wracał do dawnych czasów i chwalił się swoimi wyczynami w chwilach szczerości, siedząc z kompanami wokół paleniska, ale w głębi ducha odrzucał wszelkie wartości prawego życia i nie przywiązywał wagi do niczego poza kifem i miłością. „A poza tym niech wszystko diabli porwą” – mawiał. Już nikogo nie nienawidził, ani Żydów, ani Ormian, ani samych Anglików. Nikogo też nie kochał. Dlatego dziwne się wydało jego nagle zaangażowanie w walkę wyborczą teraz, w czasach wojny. Był fanatycznym zwolennikiem Niemców. Interesował się szczególnie pozycją Hitlera, czy jest rzeczywiście zagrożona, czy nie lepiej byłoby dla Rosjan przyjąć szybko i z wdzięcznością pokój separatystyczny, jaki Hitler im oferuje? Jego podziw dla Hitlera opierał się nie tylko na tym, co mówiono o jego potędze i sile, uważał go za największego bohatera na świecie i życzył mu zwycięstwa tak, jak kiedyś życzył go Antarze i Abu Zajdowi. Z tym wszystkim pozostał ciągle niebezpieczny w walce wyborczej, ponieważ był przywódcą ma'allimów, którzy każdego wieczora siedzieli kręgiem przy jego palenisku, a także wszystkich ich pracowników i popleczników. Dlatego As-Sajjidowi Ibrahimowi Farhatowi zależało na pogodzeniu się z Kirszą i poświęcił aż całą długą godzinę swojego cennego czasu, zabiegając o jego sympatię.

– Zadowolony jesteś, ma'allimie – zapytał go cichutko.

– Chwała Bogu, niech ci Bóg da dobro i błogosławieństwo, As-Sajjidzie.

– Zrekompensuję ci to, co straciłeś.

Z rozjaśnioną twarzą, kierując wzrok na obecnych, Farhat powiedział łagodnie i z nadzieją:

– Jeśli Bóg pozwoli, wygramy.

Zebrani krzyknęli jednogłośnie:

– Bóg nam pomoże, As-Sajjidzie, jesteśmy z tobą!

– Jak wiecie, jestem niezależny – powiedział As-Sajjid z uśmiechem – ale opieram się na zasadach głoszonych przez Sada Zaghlula. Jaka korzyść mamy z partii? Nie słyszycie, jak się kłóca między sobą? Jak... – o mało nie powiedział: jak dzieci wychowane na ulicy ale przypomniał sobie w porę, że mówi do ludzi właśnie w taki sposób wychowywanych – jak... ale dajmy spokój porównaniom. Wybrałem niezależność dlatego, żeby mi nikt nie przeszkadzał, mówię prawdę, i nie będę nigdy niewolnikiem ministra ani żadnego przywódcy. W parlamencie powiem, jeśli Bóg dopuści do mojego zwycięstwa, że występuję w imieniu mieszkańców zaułka Midakk, Al-Ghurijji i As-Sanadikijji. Dotychczas panowała epoka próżnego gadania i hipokryzji, ale wy powitacie czasy, w których nic nie będzie ważniejsze od waszych potrzeb: więcej ubrań, cukru, nafty, oliwy. Nie będzie już czarnego chleba, spadną ceny mięsa...

– Naprawdę wszystko to dostaniemy jutro? – zapytał ktoś z ogromnym przejęciem.

– Bez wątpienia. I to jest tajemnica obecnych niepokojów. Wczoraj byłem z wizytą u premiera... – tu przypomniał sobie, że jest niezależny – który przyjmuje wszystkich kandydatów bez względu na ich przekonania i przynależność partyjną, i on zapewnił nas, że nastąpi epoka obfitości ubrań i żywności. Zobaczycie rzeczy

zadziwiające. Nie zapomnę o nagrodzie dla was, jeżeli zostanie wybrany.

– Nagroda po ogłoszeniu wyników, tak? – zapytał doktor Buszi.

– Także i przed ogłoszeniem wyników – As-Sajjid odczuł odrobinę niepokoju.

Szajch Darwisz przerwał swe milczenie i ocknął się z zamyślenia.

– Jak posag, który się daje przed ślubem i po ślubie, ale ty, pani nad paniami, nie masz posagu, bo twoja miłość, to dusza niebios.

As-Sajjid zwrócił się zaniepokojony w stronę szajcha, ale szybko pojał, gdy tylko spojrzał na jego strój – galabiję, krawat i złote okulary – że należy on do ludzi bliskich Bogu, i uśmiech pojawił się na jego okrągłej twarzy.

– Witaj, witaj, szajchu – powiedział miękko.

Ale szajch Darwisz nie odezwał się już ani słowem i pograżył w swoim zamyśleniu.

– Dostaniecie wszystko, czego zażądacie. Przysięgamy na Księgę Boga – odezwał się jeden ze zwolenników Farhata.

– Zgoda! – krzyknęła większość zebranych.

Następnie As-Sajjid zaczął pytać obecnych o ich karty wyborcze. Kiedy doszedł do Amm Kamila, ten odpowiedział:

– Ja nie mam karty i w ogóle nie uczestniczę w wyborach.

– A gdzie się urodziłeś?

– Nie wiem – odpowiedział obojętnie.

Zebrani roześmiali się, a As-Sajjid zawtórował im i mruzczał rozbawiony:

– Załatwię tę sprawę z szajchem dzielnicy.

Tymczasem wszedł chłopiec w galabii z plikiem reklamówek. Wszyscy myśleli, że są to ulotki przedwyborcze, i brali je. As-Sajjid Farhat wziął także i przeczytał:

Twojemu pożyciu małżeńskiemu czegoś brak,
powinieneś zażywać ambre As-Santuriego.

Ambra As-Santuriego

Produkt przygotowany w sposób naukowy,
nie posiada składników trujących,
dopuszczona do użytku przez Ministerstwo Zdrowia (nr 128).
Odświeża i regeneruje siły.
W ciągu pięćdziesięciu minut starcom wraca młodość.

Sposób użycia

Do kubka mocno osłodzonej herbaty
wrzuć ambre w ilości równej ziarnu pszenicy,
wypij, a poczujesz wzmożoną aktywność.
Dawka w ilości ćwierci garści
działa silniej niż wszystkie narkotyki.
Po niej krew krąży w żyłach niczym prąd elektryczny.
Żądaj próbki od rozprowadzającego reklamówki.

Cena opakowania: trzydzieści millimów.

Prawie darmo!

Doznasz szczęścia za jedne trzydzieści millimów!

Zebrani wybuchnęli śmiechem, kandydat trochę się zmieszał,
ale ktoś z jego świty krzyknął pocieszająco:

– To na szczęście, to dobry znak!

Po czym nachylił się do jego ucha i szepnął:

– Chodźmy przed nami jeszcze inne dzielnice.

As-Sajjid wstał i pożegnał zebranych:

– Żegnamy was w imię Boga. Do zobaczenia wkrótce, jeśli Bóg pozwoli. Oby Bóg sprzyjał naszym planom.

Tuż przed opuszczeniem kawiarni popatrzył na szajcha Darwisza i powiedział:

– Módl się za mną, szajchu!

Ale szajch, który niezupełnie wyszedł ze zwykłego stanu zamroczenia, rozpostarł ramiona i odpowiedział:

– Oby Bóg zniszczył twój dom!

Jeszcze zanim słońce obwieściło zachód, wielki namiot stał się za ciasny dla wszystkich pragnących do niego wejść. Rozeszła się wiadomość, że jakiś wielki polityk ma wygłosić bardzo ważne przemówienie. Chodziły też plotki, że poeci i recytatorzy zadźgali wystąpią na estradzie. W istocie nie czekano długo, na estradę wszedł recytator i odczytał kilka wersetów Koranu.

Zaraz po nim wystąpił zespół muzyczny, złożony z szajchów w porwanych, znoszonych ubraniach, którzy zagrali hymn narodowy. Ponieważ transmitowano to przez głośniki, zbiegło się tyle dzieci i młodych chłopców z sąsiednich uliczek i zaułków, że zakorkowano dokładnie As-Sanadikiję. Podniosły się krzyki i wrzawa. Hymn się skończył, ale muzycy nie zeszli z estrady. Myślano, że mówcy będą wygłaszali swoje przemówienia przy akompaniamencie muzyki. Ale oto radosna niespodzianka. Jeden z muzyków zastukał mocno w podłogę estrady, zapadła cisza i oczom zebranych ukazał się znany recytator. Zapanował entuzjazm, witano go okrzykami i brawami. Kiedy zakończył swój numer, wyszła na wpół rozebrana kobieta, która krzyczała rytmicznie: „As-Sajjid Ibrahim Farhat po tysiackroć, po tysiackroć”. Następnie jakiś człowiek reklamujący głośniki stanął przed mikrofonem i zaczął krzyczeć: „As-Sajjid Ibrahim Farhat jest najlepszym kandydatem! Firma Bahlul produkuje najlepsze

mikrofony”. Śpiewy, tańce i krzyki trwały długo w noc. Cała dzielnica bawiła się jak w święto Narodzin Proroka.

Kiedy Hamida wróciła ze swojej zwykłej przechadzki, zabawa była w pełnym rozkwicie. Myślała z początku, tak jak wszyscy mieszkańcy zaułka, że skończy się to na okrzykach i mowach wygłoszonych w języku literackim, jak mówili. Ale kiedy zobaczyła, co się dzieje, ogarnęła ją radość i podniecenie, i kręciła się na lewo i prawo, szukając miejsca, skąd mogłaby obejrzeć tańce i występy, które w jej życiu zdarzały się rzadko. Z trudem przeciskała się przez tłum chłopców i dziewcząt, aż dojrzała do zaułka. Obok salonu Al-Helu weszła na kamień znajdujący się tuż przy ścianie i patrzyła z ogromnym przejęciem i radością na namiot. Ze wszystkich stron otaczali ją chłopcy i dziewczęta. Wiele kobiet trzymało na rękach albo na ramionach dzieci. Śpiew mieszał się z okrzykami, rozmowy z krzykami, śmiech z płaczem. Radość błyszczała w jej zachwycających oczach, otwarte usta lśniły perłami zębów. Była cała owinięta w milaję, spod której wyglądała tylko jej brązowa twarz, trochę czarnych jak węgiel włosów i dolne części łydek. Serce jej tańczyło z radości, wszystkie zmysły rozbudziły się, a gorąca krew szybciej krążyła w żyłach. Słuchała recytatora z uczuciem szczęścia, jakiego nigdy przedtem nie doznała, nawet kłujące uczucie zazdrości na widok tancerki nie zakłóciło go. Stała tak pochłonięta tym, co widziała, nie zauważywszy, że zapadła noc. W pewnej chwili coś kazało jej odwrócić wzrok od estrady i spojrzeć w lewo. Niechętnie i z wysiłkiem oderwała wzrok od recytatora, spojrzała w lewo i spotkała oczy wpatrujące się w nią z bezwstydną natarczywością. Trwało to sekundę i wróciła do oglądania widowiska, ale nie mogła się nim rozkoszować tak, jak przedtem. Całą jej uwagę przyciągało to bezczelne spojrzenie, które kazało jej coraz to zerkać w lewo. Opanowały ją niepokój i wątpliwości. Spojrzała jeszcze raz i znów spotkała to samo natarczywe spojrzenie i do tego dziwny uśmiech. Z gniewem odwróciła głowę. Rozzłościł ją ten uśmiech, który wyrażał bezgraniczną pewność siebie i wyzwanie. To wyzwoliło jej złość i

agresję. Poczula nieposkromioną ochotę zagłębienia paznokci w szyi tego człowieka. Postanowiła nie zwracać na niego uwagi. Popsuł jej radość i była wściekła.

A właściciel tych oczu, jakby nie miał dosyć tego lub nie zwrócił uwagi na ogień, jaki w niej rozpałił, zaczął przedzierać się w jej stronę, by zatrzymać się przed nią. Stał tyłem do niej. Był wysoki, szczupły, szeroki w ramionach, z odkrytą głową o bujnych włosach. Ubrany w zielonkawy garnitur, wyglądał bardzo elegancko i dziwnie w tym tłumie. Zdumienie kazało jej szybko zapomnieć o gniewie i wściekłości, jakie ją opanowały na początku. Przecież to poważny efendi. Skąd w naszym zaułku taki pan!? Ciekawe, czy znowu na nią spojrzy? Nic nie stało mu na przeszkodzie i wkrótce posłał Hamidzie natarczywe spojrzenie. Miał twarz szczupłą, podłużną, migdałowe oczy, gęste brwi. Nie tylko wpatrywał się w nią przy wszystkich, ale wzrok jego bezczelnie błędził po niej od zniszczonych chodaków aż po włosy, a ona sama, nie wiedząc czemu śledziła jego wzrok, jakby chcąc wysondować, jaki ślad zostawiło to jego badawcze spojrzenie. Oczy ich spotkały się i wtedy zobaczyła taką bezczelną pewnością siebie i triumf, że z kolei zapomniała o olśnieniu i powróciły gniew, wściekłość i chęć kłótni. Miała ochotę zbesztać go publicznie. Tak, kilka razy miała ochotę to zrobić, ale nie zrobiła, bo ogarnął ją jednocześnie dziwny niepokój i wzburzenie. Poczula się nieswojo w miejscu, w którym stała. Zeszła z kamienia i pośpiesznie podażyła w głąb zaułka. W ciągu kilku sekund była koło domu, a kiedy miała już przekroczyć jego próg, zapragnęła odwrócić się raz jeszcze, ale wyobraziła sobie jego pewne, zwycięskie spojrzenie i uśmiech jeszcze bardziej bezwstydnym, więc odstąpiła od tego zamiaru. Szybko weszła po schodach, zła, że okazała słabość i pozwoliła na takie jej potraktowanie. Weszła do sypialni i zdjęła miłą, a potem podeszła do zamkniętego okna i spojrzała na ulicę przez szpary w okiennicach. Poszukała go oczami. Stał u wlotu do zaułka, uważnie penetrując okna. Z oczu zniknęła mu pewność siebie i bezczelność. Wyglądał na zdeorientowanego. Ucieszyło ją to. Stała przy oknie,

rozkoszując się jego zakłopotaniem, zaspokajając swoją żądze zemsty. Jest to poważny efendi, nie ma wątpliwości, i zupełnie inny niż poprzedni konkurenci. Na pewno mu się spodobała, bo inaczej by się nią tak nie interesował. A jego wzrok? Niech go Bóg zabije. Skąd taka bezgraniczna pewność siebie? Za kogo on się uważa? Za wielkiego bohatera lub księcia? Gniew mieszał się w niej z radością, a w głębi duszy czuła niejasną chęć sprowokowania go. Mężczyzna patrzył w okna, poszukując jej beznadziejnie, i Hamida przestraszyła się naraz, że w końcu zniechęci się, przestanie jej szukać i odejdzie z tłumem. Chwilę się wahała, po czym uchyliła okno i stanęła w wąskiej szparze, niby oglądając widowisko. Mężczyzna stał teraz tyłem do zaułka, ale była pewna, że znowu zacznie jej szukać i przeglądać okna. I rzeczywiście, odwrócił głowę i znowu spojrzął w okna zaułka. Zatrzymał wzrok na szczelinie, światło padło na jego twarz. Chwilę stał niezdecydowany, a potem... potem na jego ustach pojawił się ten sam bezczelny uśmiech i wróciło zadufanie jeszcze większe niż przedtem. Zrozumiała, że zrobiła niewybaczalny błąd, pokazując się w oknie, i wściekłość jej jeszcze się wzmogła. Znalazła bowiem w jego oczach coś, z czym się nie mogła pogodzić, wyraz, jakiego nie widziała nigdy przedtem u nikogo. Wydał się jej człowiekiem, którego nic nie powstrzyma. Wszedł do zaułka pewnym krokiem, aż w pierwszej chwili pomyślała, że idzie do jej domu, ale poszedł do kawiarni Kirszy. Wybrał miejsce między ma'allimem Kirszą a kanapą szajcha Darwisza, gdzie zwykle siadywał Abbas al-Helu, wypatrując jej sylwetki za okiennicami. To był krok brawurowy. Ale ona nie cofnęła się, stała w oknie oglądając zabawę, choć już nie bardzo wiedziała, co się tam dzieje. Jak dotknięcie prądu elektrycznego, czuła spojrzenie, które od czasu do czasu kierował w jej stronę. Siedział tam dopóty, dopóki nie skończył się spektakl i nie zamknęło się jej okno. A Hamida myślała o tym wieczorze przez następne noce i dni.

Rozdział 20

Odtąd mężczyzna nie porzucił zaułka. Przychodził popołudniami, siadywał w tym samym miejscu, palił nargile i popijał herbatę. Z początku nagłe pojawienie się eleganckiego gościa wywołało w kawiarni zdumienie, ale szybko przyzwyczajono się do niego, a wraz z tym przyszła obojętność. W końcu nie było nic nadzwyczajnego w tym, że jakiś efendi przychodzi do kawiarni otwartej dla każdego. Zmęczył jedynie ma'allima Kirszę, płacąc mu rachunki dużymi banknotami, często nie mniejszymi niż funt. Zawojował Sunkura bakszyszami, jakich ten nie dostawał nigdy przedtem. Hamida codziennie niecierpliwie oczekiwała jego przyjścia. Zaprzestała spacerów, głównie ze względu na swoje marne ubranie. Ale w końcu znudziło się jej i zdenerwowało ją siedzenie w domu. Uznała to za rodzaj tchórzostwa niezgodnego z jej naturą. Nie mogła znieść, że jakieś indywiduum narzuca jej postępowanie, którego nienawidzi. Nowy płomień rozgorzał w jej duszy, która i tak nigdy nie знаła spokoju. Zauważyła banknoty, jakie dawał Sunkurowi celowo tak, żeby widziała. Oczywiście domyśliła się, o co chodzi. W innym miejscu taki gest być może nic nie znaczył, ale w zaułku Midakk miał jednoznaczną wymowę. I mimo że mężczyzna był ogromnie ostrożny, żeby nie zrobić nic, co by wskazywało na prawdziwe motywy jego przesiadywania w kawiarni, nie opuścił żadnej okazji, aby ukradkiem spojrzeć w jej zasłonięte okna. Czasem zaciskał wargi na ustniku nargili, jakby go całując, i wypuszczał dym w górę, jakby wysyłał pocałunek ku niej, nieruchomo stojącej za firanką. Patrzyła na to z zainteresowaniem i uczuciami mieszanymi, niepozbawionymi rozkoszy, ale i gniewu. Miała ogromną ochotę iść na spacer wbrew obawom. A gdyby go spotkała, gdyby mu przyszła do głowy zła myśl zastąpienia jej drogi, w co zresztą ani przez chwilę nie wątpiła, bo już poznała jego bezczelność, to tak mu przygada,

taką awanturę zrobi, że jej nie zapomni do końca życia! To będzie najsprawiedliwsza zapłata za jego zarozumiałość i bezczelny, triumfujący uśmiech. Niech go diabli porwą! Co go upoważniło do takiego zarozumiałstwa i takiej arogancji? Nie uspokoi się, dopóki nie utrze mu nosa. Ale, och, gdyby miała choć jaką taką milaję i nowe chodaki...

Pojawił się w jej życiu w momencie, kiedy przeżywała gorzkie rozczarowanie. As-Sajjid Salim Ulwan walczył ze śmiercią, a tyle jej narobił nadziei. Wymazała całkowicie ze swoich snów Abbasa al-Helu i jego obietnice. Teraz wiedziała, że nie może mieć żadnej nadziei na małżeństwo z As-Sajjidem Salimem, i stała się znów wbrew sobie narzeczoną Al-Helu. To spotęgowało jeszcze jej nienawiść i niechęć do niego. Nie chciała się przyznać, że nie ma szczęścia do małżeństwa, i całą złość przelała na matkę. Oskarżała ją o zawiść i chęć zagarnięcia pieniędzy As-Sajjida, za co Bóg pokrzyżował jej plany. Znajdowała się w takim stanie ducha, kiedy na horyzoncie pojawił się nowy mężczyzna. Wywołał w jej duszy burzę szaloną, gwałtowną, która wyzwoliła wszystkie tkwiące w niej instynkty. Gniewała ją jego zarozumiałość, drażniły wyzywające spojrzenia, ale jednocześnie kusiła męskość, elegancja i uroda. Instynktownie lgnęła do niego, bo odnalazła w nim to, czego szukała, a dotąd nie widziała w żadnym innym mężczyźnie: pieniądze, męskość i zdecydowanie. Nie zdawała sobie jasno sprawy ze swoich uczuć, pełna była wewnętrznych sprzeczności: z jednej strony czuła nieprzeparty pociąg do niego, z drugiej gwałtowną chęć zbesztania go. W wyjściu z domu widziała nie tylko ucieczkę ze swojego więzienia, ale także od swoich rozterek. Pragnęła też wypróbować siłę swojego charakteru i moc swoich namiętności. Na pewno ją zaczepi, a wtedy będzie miała okazję się zrewanżować. Da wreszcie ujście wściekłości, ujawni ukrywaną dotąd wewnętrzną potrzebę walki.

* * *

Pewnego popołudnia umalowała się, zawinęła w milaję i wyszła, nie zwracając na nic uwagi. W minutę była na ulicy, przeszła zaułek i skierowała się w stronę As-Sanadikijji. Nie obejrzała się ani na moment, ale w głowie kłębiły się jej myśli: Czy on sobie czegoś nie pomyśli w związku z jej wyjściem z domu? Czy w swojej zarozumiałości nie dojdzie do wniosku, że wyszła umyślnie po to, żeby się z nim spotkać? Przecież nie zna jej zwyczaju codziennych spacerów, a od kiedy zaczął przychodzić do zaułka, ani razu nie opuściła domu. Pewnie pójdzie jej śladem i zaczepi ją w drodze. Starła się nie przywiązywać wagi do tego, co on sobie pomyśli, i paliła się do tego spotkania, obiecując sobie, że wymaże z jego twarzy ten głupi, zwycięski uśmiech. Wolnym krokiem szła w stronę ulicy As-Sikka al-Dżadida i wyobrażała sobie, jak on wstaje ze swojego miejsca w kawiarni, wychodzi pośpiesznie, żeby jej nie zgubić, i być może skręca teraz zamaszystymi krokami w Al-Ghurijję, rozglądając się wkoło uważnie, a zarazem bezczelnie. Prawie widziała jego smukłą sylwetkę za sobą, ale jakby nie zauważała drogi, ludzi ani samochodów. Ciekawe, czy już ją dojrzał? Czy znowu ma ten prowokujący, zwycięski uśmiech na twarzy? Bydlak, ja mu pokażę! Będę szła dalej, nie odwrócę się. Za żadne skarby się nie obejrzę. Jedno spojrzenie do tyłu – to klęska. On jest bezczelny i odważny, być może dzieli ich już tylko parę kroków. Ciekawe, co zrobi? Czy zadowolony się chodzeniem za nią jak pies, czy wyprzedzi ją trochę, aby na nią spojrzeć? A może będzie szedł obok niej i zacznie rozmowę?

Szła uważnie, niespokojna, wzburzona, za każdym krokiem spodziewając się niespodzianki. Wsłuchiwała się w kroki za sobą. W końcu znużyło ją oczekiwanie i czajenie się. Miała chęć się odwrócić. Ale zaciętrzewiona szła uparcie, nie zwracając uwagi na nic. Nawet nie zauważyła, że nadchodzą jej przyjaciółki robotnice. W ostatniej chwili ocknęła się, uśmiechnęła i przywitała z nimi. Zawróciła i szła z nimi kawałek. One pytały, dlaczego jej tak długo nie było. Wymówiła się chorobą. Badając ulicę i szukając wzrokiem tego człowieka, prowadziła rozmowę, ale oczy jej biegały od chodnika do

chodnika. Ciekawe, w jaki kąt się zaszył? Dzisiaj uciekła jej okazja dania mu nauczki. Pragnęła, żeby ją zaczepił ten arogant. Wtedy wylałaby cały gniew na niego, aż zadrżałby ze strachu, ale, niestety, wyrwał się z jej szponów. Gdzie on może być? Czy możliwe, że się spóźnia, że idzie za nią? Tym razem nie mogła się opanować i odwróciła się, badając ulicę uważnym wzrokiem, ale go nie było ani z tyłu, ani przed nią, ani z prawej, ani z lewej strony. Być może za późno wyszedł z kawiarni i ją zgubił. Opuściła ją odwaga i przygasł entuzjazm. Kiedy doszła do Ad-Darrasy, przyszło jej do głowy, że być może tutaj nagle się pojawi, tak jak kiedyś pojawił się tu Abbas al-Helu. Nadzieje odżyły. Pożegnała szybko przyjaciółki i wróciła wolno, rozglądając się po ulicy, ale była ona pusta, albo raczej nie było tego, kogo szukała. Weszła do zaułka ze złamanym sercem i uczuciem klęski. Rzuciła okiem na kawiarnię. Zobaczyła najpierw abaję, potem lewe ramię, nareszcie pochyloną głowę ma'allima Kirszy. A potem... O Boże, co to jest? On w ogóle nie ruszył się z miejsca, trzymał ciągle fajkę nargili. Serce jej zabiło mocno, a krew uderzyła do głowy. Szybko weszła do domu, nic nie widząc przed sobą, szła po schodach, zmieszana i zawstydzona, chociaż te uczucia były jej obce. Załedwie weszła do pokoju, wybuchła jak wulkan. Rzuciła milaję na podłogę i padła na kanapę. Dla kogo więc przychodził co wieczór do kawiarni? Z jakiej racji rzucał jej ukradkowe, obleśne spojrzenia? Dla kogo rysował w powietrzu sekretny pocałunek? Serce jej lkało z rozczarowania, zmieszania, wstydu i gniewu. A może nie ma żadnego związku między jego przychodzeniem do kawiarni a jej wyobrażeniami, a może to są tylko złudzenia? A może umyślnie zlekceważył ją dzisiaj, chce ją pomęczyć i dać jej nauczkę, może bawi się nią jak silny słabym. Och, żeby tak mogła rozbić mu na głowie dzban na wodę i nasycić się zemstą. Opanowała ją taka irytacja i złość, że sama siebie pytała, co się z nią dzieje. Na pewno wiedziała, o co jej chodzi. Była pewna, że chce, aby za nią chodził i ją zaczepiał. Musi wyladować na nim swój gniew, złość i groźby. Dlaczego? Bo jest pewny siebie, zarozumiały i ma wyraz triumfu na twarzy. Ten triumf, ten zwycięski uśmiech był

wszystkiego powodem. Jego sens pojęła całym ciałem i umysłem, całą duszą i instynktem. Ona jest zdolna, ba, jest stworzona do tego, żeby odpowiadać na takie uśmiechy. Żałowała bardzo, że ominęły ją zapasy. Tak długo na nie czekała, z takim żarem i namiętnością, tak bardzo pragnęła zmierzyć się z tym człowiekiem męskim, dumnym i odważnym.

Leżała na kanapie, poddając się wzburzeniu. Z boku spoglądała w okno, aż w końcu, aby nie być widzianą na zewnątrz, stanęła za okiennicą w mroku, który skrywał pokój. Zobaczyła go siedzącego spokojnie na swoim miejscu, palącego obojętnie nargile. W oczach miał pewność siebie i spryt. Zachowywał się tak, jakby był sam na świecie. Oto siedzi sobie spokojny, pewny siebie, podczas gdy ona się spala! Patrzyła na niego z gniewem, stojąc w swoim pokoju, dopóki matka nie zawołała jej na kolację. Spędziła potem ciężką noc i następny dzień pełen udreki oczekiwania. Poprzednio nie miała żadnych wątpliwości, że przyjdzie, ale teraz? Stała w oknie, obserwując niespokojnie ulicę i słońce, które opuszczało już ziemię zaułka i pozostawało tylko na ścianach kawiarni. Zbliżała się jego pora, a on wciąż nie nadchodził. Dłużyły się minuty. „Na pewno dzisiaj nie przyjdzie” – myślała. A może jest to celowa nieobecność? Uśmiechnęła się i odetchnęła głęboko. Właściwie nie miała realnego powodu do tego, żeby poczuć ulgę, ale instynkt jej szeptał, że jeżeli dzisiaj spóźnia się umyślnie, to nie ma wątpliwości, że wczoraj także celowo nie podążył za nią. Czyli nie jest to po prostu obojętność; przeciwnie – on chce rozegrać tę partię chytrze i po mistrzowsku, jest cierpliwy i wytrwały. Poczula prawdziwą ulgę, uspokoiła się i twardo postanowiła przystąpić do walki. Miała już dosyć siedzenia w domu, owinęła się w milaję i wyszła, nawet się nie malując jak wczoraj. Zimne powietrze orzeźwiło ją, przypomniała sobie niepokój ostatnich dni i szepnęła: „Ale jestem głupia. Po co ta cała męka? A niech go połknie śmierć!” Przyspieszyła kroku, żeby spotkać przyjaciółki. Wracała z nimi. Oznajmiły jej, że niedługo stracą jedną

koleżankę, bo wychodzi za mąż za Zunfula, chłopca ze sklepu z ta'amijją.

– Ty się pierwsza zaręczyłaś, ale ona wyjdzie za mąż przed tobą – zauważyła jedna z nich.

Trochę ją to zabolalo, więc odparowała z pewnością siebie:

– Mój narzeczony jest zajęty przygotowywaniem wspaniałej przyszłości.

Mimo wszystko chwaliła się Abbasem. Potem przypomniała sobie z przykrością As-Sajjida Salima Ulwana – niech go Bóg zabije, jak wszystkich niepotrzebnych jej ludzi – i posmutniała. Miała uczucie, jakby życie sprzeciwiało się jej, było od niej chytrzejsze. To jej jedyny wróg, którego nie wie, jak chwycić za łeb. Doszła z dziewczętami do Ad-Darrasy, po czym pożegnała się z nimi i skierowała się w drogę powrotną. Wtedy spostrzegła go przez ramię. To był na pewno on. Stał na chodniku, jakby czekając na nią. Zaskoczona i trochę zmieszana popatrzyła na niego przez chwilę. Znowu umknęła jej okazja do walki; zaskoczył ją. Nie była przygotowana do tego spotkania. Nie miała wątpliwości, że cały czas ją śledził. Był jak zawsze opanowany i spokojny, podczas gdy ona zmieszana i zdenerwowana. Próbowwała zebrać siły i zmobilizować swoją agresywność, ale czuła tylko ogromną przykrość, że nie umalowała się jak należy. Właśnie ściemniało się, ulica była wyludniona, a mężczyzna czekał na nią obojętnie, bez śladu prowokacji, bez zwycięskiego uśmiechu na twarzy. Kiedy zrównała się z nim, zagadnął ściszym głosem:

– Cierpliwość bywa zawsze nagrodzona, chociaż...

Nie dosłyszała końca tego zdania, bo wypowiedział je cicho, ale spojrzała na niego ostro i nic nie powiedziała. Poszła dalej, a on towarzyszył jej, mówiąc głosem spokojnym i głębokim:

– Dzień dobry! Wczoraj myślałem, że zwariuję, kiedy nie mogłem za tobą pójść. Bałem się, żeby czego nie zauważono. Tyle

dni czekałem na twoje wyjście, a kiedy nadarzyła się okazja, nie mogłem jej wykorzystać. Myślałem, że zwariuję!

Patrzył na nią wzrokiem łagodnym, miękkim, nie tym, który ją oburzał. Słowa jego przypominały skargę, ból i prośbę o wybaczenie. Przygotowana była na coś innego. Co miała zrobić teraz? Zlekceważyć wszystko, przyśpieszyć kroku i zakończyć sprawę? Mogła to zrobić, gdyby chciała, ale nie miała odwagi. Czekala na to spotkanie od pierwszego dnia, a wstyd obcy był jej naturze. Mężczyzna odegrał swoją rolę rzeczywiście po mistrzowsku i utkał kłamstwo znakomicie. To nie ze strachu nie podążył za nią wczoraj, ale intuicja i ogromne doświadczenie podpowiedziały mu, że przeczekanie będzie lepsze niż pośpiech, tak jak dzisiaj podpowiedziały mu to kłamstwo, wypowiedziane tak grzecznie i przekonująco.

– Zwolnij trochę – poprosił – mam...

Przerwała mu ostro:

– Jak śmiesz ze mną rozmawiać! Przecież mnie nie znasz, ty...!

– Jak to nie? Jesteśmy starymi przyjaciółmi. W ostatnich dniach widziałem cię więcej razy niż twoi sąsiedzi w ciągu długich lat. Myślałem o tobie więcej niż twoi najbliżsi przez całe życie. Jak możesz mówić po tym wszystkim, że cię nie znam?

Mówił łagodnie, ale pewnie i głos mu nie drżał. A ją coraz bardziej fascynowały jego słowa, ale wzmagaly też chęć pokłócenia się z nim. Mogła go w ogóle zlekceważyć, ale nie chciała uciekać się do „zwyczajnego udawania i odgrywania komedii”, więc zapytała niegrzecznie, ale pilnie bacząc, aby nie podnieść głosu, żeby nie zabrzmiał szorstko.

– Dlaczego za mną łazisz?

– Dlaczego? – mężczyzna uśmiechnął się ze zdziwieniem. – Dlaczego zaniedbuję swoją pracę i wysiaduję w kawiarni pod twoim

oknem? Dlaczego porzucam cały świat, żeby siedzieć w zaułku Midakk? I dlaczego czekałem na tę chwilę tak długo?

Zmarszczyła brwi i odparła z pogardą:

– Nie pytałam cię dlatego, żeby wysłuchiwać wszystkich tych głupot, ale nie życzę sobie, żebyś za mną chodził i zaczepiał mnie.

– Z natury rzeczy podążamy za pięknymi kobietami, gdziekolwiek one idą – odpowiedział z pewnością siebie i zręcznością.
– Już raczej byłoby coś nienaturalnego i zasługującego na naganą, gdyby nikt za nimi nie chodził. Inaczej mówiąc, jeśli idziesz i nikt cię nie goni spojrzeniem, to znak, że zbliża się koniec świata.

Mijała właśnie uliczkę Al-Awaridża, gdzie mieszkało kilka jej przyjaciółek, i żałowała, że nie widzą, jak ją uwodzi ten efendi. Niedaleko już było do placu, na którym stał meczet Al-Husajna.

– Odejdź, to jest dzielnica, w której mnie znają – powiedziała.

Spojrzał na nią badawczo i upewnił się, że pociąga ją rozmowa z nim. A może ona sama o tym nie wie, a zresztą może i wie? Na jego ustach pojawił się uśmiech. Gdyby Hamida go zobaczyła, nasunąłby jej niechybnie nieprzyjemne myśli.

– To nie jest twoja dzielnica – powiedział. – Ty nie należysz do jej mieszkańców. Jesteś inna, tak jakbyś była tutaj obca...

Poczuła się bezpieczniej i ucieszyła niezmiernie, a mężczyzna ciągnął dalej:

– Kiedy cię widzę w tej milai idącą z dziewczętami... Gdzie im do ciebie! Księżniczka w milai, a jej służba w nowych ubraniach.

– O co ci chodzi! Zostaw mnie już! Odejdź.

– Nigdy nie odejdę!

– Czego chcesz?

– Chcę ciebie i niczego więcej! – powiedział odważnie.

– Och, żeby cię diabli wzięli. Odczep się ode mnie!

– Niech ci Bóg przebaczy. Dlaczego się gniewasz? Czyż nie istniejesz po to, żebyś była wzięta, a ja po to, żeby cię wziąć.

– Ani kroku więcej, bo... – krzyknęła.

– Bo co... bo cię uderzę?

– Zgadłeś! – serce jej biło, a oczy błyszczały.

Mężczyzna uśmiechnął się przewrotnie:

– Zobaczymy... Dziś cię zostawię, choć niechętnie, ale będę na ciebie czekał codziennie. Nie wrócę do kawiarni, żeby nie budzić w zaułku podejrzeń, ale będę na ciebie czekał codziennie... codziennie. Do widzenia, najpiękniejsza, jaką nosi ziemia!

Poszła dalej, twarz jej się rozpogodziła i pojawił się na niej wyraz radości i dumy. „Jesteś inna”. Tak, i co on jeszcze powiedział? „Jesteś tu obca”. „Żyjesz po to, żeby być wzięta, a ja, żeby cię wziąć”. I co jeszcze? „Uderzę cię”. Szalona radość opanowała jej duszę. Nie wiedziała, kiedy wróciła do domu. Była dumna i pełna podziwu dla siebie, że potrafiła rozmawiać z obcym mężczyzną bez wstydu i zmieszania. Roześmiała się głośno z powodu nagłego przypływu bez troski. A chciała mu dać nauczkę! Przez moment znowu przemknęły jej przez głowę mroczne myśli. Zaczęła żałować, że nie spotkała go wtedy, kiedy miał twarz bezczelną i prowokującą. Teraz rozmawiał z nią grzecznie i delikatnie. Serce jej mówiło, że nie była to delikatność naturalna, że to jest tygrys, który czeka na okazję do skoku. Poczekajmy... Poczekajmy, aż odkryje karty. No i zobaczymy. Opanowała ją szalona, dzika radość.

Rozdział 21

Doktor Buszi szykował się do wyjścia, kiedy przyszła służąca pani Sanijji Afifi, prosząc go w imieniu pani o spotkanie. Twarz doktora Buszi spochmurniała. Czego chce ta kobieta – zapytywał siebie. – Zamierza podnieść czynsz? Ale szybko odsunął od siebie tę myśl. Pani Sanijja nie może przecież działać wbrew ustawom wojskowym, które określają wysokość czynszu podczas wojny. Niezadowolony szedł po schodach. Doktor Buszi, jak zresztą i inni mieszkańcy, uważał kontakty z panią Sanijją Afifi za męczące, a o jej skapstwie rozgłaszał wszem wobec. Powiadał zwykle, że pani Sanijja ma zamiar dobudować sobie drewnianą izbę na dachu domu, a swoje mieszkanie wynająć. Zwłaszcza wpadał w złość, kiedy, a zdarzyło się to nie raz, nie udało mu się uniknąć zapłacenia czynszu, jako że w sytuacji krytycznej prosiła ona o pomoc As-Sajjida Radwana Al-Husajniego. Zapukał do drzwi, szepcząc: „A niech się dzieje, co chce”. Otworzyła mu sama pani Sanijja Afifi, owinięta w woal, i zaprosiła do salonu.

Doktor Buszi wszedł, usiadł i wypił podaną mu przez służącą kawę.

– Wezwałam pana, żeby pan obejrzał moje zęby – odezwała się pani Sanijja.

W oczach doktora pojawiło się zainteresowanie i radość z powodu takiej niespodzianki i po raz pierwszy poczuł sympatię do pani Sanijji.

– Czy panią coś boli, broń Boże?

– Nie, chwała Bogu, ale straciłam kilka zębów, a kilka jest zepsutych.

Doktor Buszi nie posiadał się z radości. Przypomniał sobie, co mówiono w zaułku, że pani Sanijja wkrótce będzie narzeczoną, i odezwała się w nim chciwość.

– Najlepiej by było założyć nową protezę.

– Właśnie o tym myślałam, ale czy to długo potrwa?

Mężczyzna podniósł się i podszedł do niej.

– Niech pani otworzy usta.

Pani Sanijja otworzyła usta, a doktor Buszi stwierdził zdziwiony i nieco rozczarowany, że kilka zębów zostało.

– Trzeba paru dni, żeby usunąć te zęby – powiedział po namyśle – a potem być może trzeba będzie poczekać z sześć miesięcy, zanim się założy protezę, bo dziąsła muszą się wygoić i odpocząć.

Pani Sanijja uniosła z niezadowoleniem swoje umalowane brwi. Miała zamiar wziąć ślub w ciągu najbliższych dwóch, najwyżej trzech miesięcy.

– Nie, nie, muszę to mieć szybko, w ciągu jednego miesiąca.

– W ciągu miesiąca, pani Sanijjo? To niemożliwe.

– W takim razie do widzenia.

Doktor Buszi zawahał się.

– Jest jedno wyjście – jeśli pani się zgodzi – powiedział.

Pani Sanijja zrozumiała, że targuje się z nią jak sprytny, przebiegły kupiec, i ogarnął ją gniew, ale powściągnęła go, bo doktor Buszi był jej potrzebny.

– A co to za sposób? – zapytała.

– Mogę pani założyć złotą protezę, a to można zrobić zaraz po wyrwaniu zębów.

Pani Sanijja przestraszyła się na myśl o cenie złotej protezy. Chętnie odrzuciłaby propozycję, ale pan młody już czeka. Nie może przecież pokazać mu się z takimi zrujnowanymi ustami. Jak będzie miała odwagę się uśmiechnąć? Wszyscy w zaułku wiedzieli, że doktor Buszi nie jest drogi i że tu i ówdzie sprytnie kupuje protezy, a potem sprzedaje je po niskich cenach. Nikt nie pytał, skąd je ma, właśnie z powodu niskiej ceny. Ale złota szczęka to była mimo wszystko sprawa poważna i dlatego kobieta się przestraszyła.

– A ile by to kosztowało? – zapytała obojętnie, jakby nie zwracając uwagi na jego propozycję.

– Dziesięć funtów.

– Dziesięć funtów! – powtórzyła panii Sanijja niezadowolona, choć nie miała pojęcia o cenach złotych protez.

– U dentystów, którzy potrafią należycie sprzedawać swoją sztukę, kosztuje to nie mniej niż pięćdziesiąt funtów, ale my, niestety, jesteśmy ludźmi biednymi i nie mamy szczęścia.

Targowali się o cenę, on starał się ją utrzymać, ona – obniżyć. Stańło na ośmiu funtach i doktor Buszi opuścił panią Sanijję, przeklinając w duchu starą babę chcącą się odmłodzić.

W tych dniach pani Sanijja Afifi wychodziła życiu naprzeciw z nową twarzą, ale życie także pokazało jej nową twarz. Szczęście było już na jeden strzał z łuku albo i bliżej. Samotność miała już bardzo krótki cień i szykowała się do odejścia, a chłód osiadły w jej duszy stopniał i stał się ciepłą wodą. Szczęścia nie pije się jednak za darmo, przeciwnie, kosztuje ono ciężkie pieniądze. Poznała tę cenę, chodząc po sklepach z meblami na ulicy Al-Azhar i po straganach z ubraniami na bazarze Al-Muski. Zaczęła wydawać to, co nagromadziła przez długie lata, i to wydawać hojną ręką. Umm Hamida nie opuszczała jej prawie na moment i pani Sanijja na każdym kroku przekonywała się o jej sprycie i zaradności. Przekonała się, że jest to skarb bezcenny, ale i kosztowny.

Meble i ubrania to nie było wszystko. Nie tylko dom trzeba było odnowić, także sama narzeczona wymagała zadbania i remontu. Raz zapytała Umm Hamidy, śmiejąc się z zakłopotaniem:

– Nie zauważyła pani, Umm Hamido, że przez te kłopoty posiwiały mi skronie?

– Usuniemy kłopoty farbą – powiedziała Umm Hamida, która wiedziała, że to nic wielkiego. – Czy w naszych czasach są jeszcze kobiety, które nie farbują sobie włosów?

– Niech ci Bóg błogosławi, o najlepsza z kobiet. Co ja bym zrobiła bez pani? Na Boga, czy to wysuszone ciało spodoba się młodemu narzeczonemu? Ani piersi, ani pośladków, nic, co pociąga mężczyzn.

– Niech pani nie pomniejsza swoich zalet. Przecież teraz chudość jest w modzie, i to jeszcze jak! Ale jeśli pani chce, zrobię cudowne pastylki, dzięki którym utyje pani w krótkim czasie. Dopóki Umm Hamida jest z panią, może się pani niczego nie obawiać. Umm Hamida to jest cudowny klucz, który otwiera wszystkie drzwi. Jutro w łaźni sama pani poczuje, co ja potrafię.

W ten sposób płynęły dni na przygotowaniach, wypełnione pracą i zmęczeniem, radością i nadzieją, malowaniem włosów i przygotowywaniem wywarów z ziół, usuwaniem połamanych zębów i wprawianiem złotych. Płynęły też pieniądze. Pani Sanijja przezwyciężyła skąpstwo i rzuciła złote bożyszczce pod nogi wspaniałemu jutru. W drodze do upragnionego celu odwiedziła meczet Al-Husajna, dała na ofiarę i rozdała cienką polewkę biednym, którzy otaczali meczet, a także ofiarowała czterdzieści świec na grobowiec Asz-Szaraniego. Wszystko to wprawiło w podziw Umm Hamidę. Obserwowała ogromną zmianę, jaka zaszła w pani Sanijji, i uderzając dłonią o dłoń, mówiła:

– Czy mężczyźni zasługują na takie starania? O Panie, wielka jest twoja mądrość! Ty, z którego woli kobiety służą mężczyznom.

Rozdział 22

Na dźwięk dzwonka Amm Kamil ocknął się ze swojej ciągłej drzemki. Otworzył oczy, przez chwilę nasłuchiwał, po czym wyciągnął szyję tak, że jego głowa pojawiła się przed sklepem. Zobaczył w zaułku znany powóz i aż podniósł się, mamrocząc z radości i zdumienia: „Na Boga, czyżby As-Sajjid Salim Ulwan wrócił naprawdę?” Woźnica zszedł już ze swojego miejsca i pośpieszył do drzwi powozu, aby pomóc As-Sajjidowi zejść. As-Sajjid oparł się na jego ramieniu i wolniutko schodził na ziemię. Najpierw ukazał się jego tarbusz z rozsypanym pomponem, potem zgięte na wpół ciało i wreszcie stanął na ziemi, doprowadzając do porządku eleganckie ubranie. Choroba złapała go w środku zimy, a na początku wiosny przyszło ozdrowienie. Przyjemna fala ciepła oddaliła dokuczliwe zimno, wprawiając cały świat w taniec radości. Ale co to było za ozdrowienie! As-Sajjid wrócił jako inny człowiek. Brzuch, który niemal przebijał dżubbę i kaftan, zniknął, pełne, czerwone policzki zapadły się, ukazując bladość skóry na wystających kościach. Oczy straciły blask, niepokoiło w nich spojrzenie zgasłe, trochę mętne pod zmarszczonym gniewnie czołem.

Z początku Amm Kamil, który miał słaby wzrok, nie dostrzegł tej zmiany, dopiero kiedy As-Sajjid zbliżył się do niego, zmieszał się i chcąc to ukryć, pochylił się do jego ręki i krzyknął:

– Chwała niech będzie Bogu za twoje ozdrowienie. Szczęśliwy to dzień! Na Boga i na Al-Husajna, zaułek nie jest wart łupiny z cebuli bez pana.

– Niech cię Bóg błogosławi, Amm Kamilu – powiedział As-Sajjid, cofając rękę. I poszedł dalej wolno, opierając się na lasce, a tuż za nim woźnica i Amm Kamil kołyszący się na boki jak słoń.

Widocznie dzwonek ogłosił przybycie As-Sajjida, bo przed bramę przedsiębiorstwa wyszli tłumnie jego pracownicy. Przed kawiarnią stali ma'allim Kirsza i doktor Buszi. Wszyscy otoczyli go, wydając radosne okrzyki na powitanie, aż woźnica krzyknął:

– Proszę was, zostawcie As-Sajjida, dajcie mu chociaż usiąść, a potem witajcie.

Zebrani rozstąpili się i As-Sajjid poszedł w stronę swojego biurka, gotując się z gniewu, że musi oglądać te twarze. Usiadł za biurkiem, a pracownicy podchodzili kolejno, aby go powitać. Nie pozostawało mu nic innego, jak podawać im rękę do całowania. Cierpiał przy każdym dotyku ich ust, myśląc w duchu: „Banda kłamców i hipokrytów. To wy, na Boga, jesteście przyczyną całego nieszczęścia”. Robotnicy odeszli, a do As-Sajjida podszedł ma'allim Kirsza. Uścisnął mu rękę i powiedział:

– Witaj, panie całej dzielnicy! Tysiącuroc dzięki Bogu za twoje wyzdrowienie!

As-Sajjid podziękował mu.

Co do doktora Buszi, to pocałował As-Sajjida w rękę i rzekł tonem mówcy:

– Mamy prawo się cieszyć, od dzisiaj będziemy żyli w spokoju, bo nasze modły zostały wysłuchane.

As-Sajjid podziękował mu, ukrywając odrazę, jako że nie lubił jego małej, okrągłej twarzy. Odetchnął głęboko, kiedy sobie wszyscy poszli.

– Psy, same psy, kąsali mnie swoimi zawistnymi oczami – powiedział prawie na głos.

Pomstował na nich w duchu, aby oczyścić serce z gniewu i złości.

Niezbyt długo był sam. Wkrótce przyszedł jego zastępca, Kamil efendi Ibrahim, a wraz z jego przyjściem As-Sajjid zapomniał o wszystkim z wyjątkiem kontroli rachunków.

– Księgi! – krzyknął rozkazującym tonem.

Zastępca rzucił się, żeby mu je przynieść, ale As-Sajjid zatrzymał go, nagle przypomniało mu się coś ważnego.

– Powiadom wszystkich, że od dzisiaj nie zniosę zapachu tytoniu (lekarz zabronił mu kategorycznie palenia papierosów). Powiedz też Ismailowi, że kiedy zażadam wody, niech mi przynosi kubek wody zwykłej zmieszanej pół na pół z gorącą. Palenie kategorycznie zabronione! Szybko, księgi!

Zastępca poszedł ogłosić nowe zarządzenie. Kłął w duchu, jako że był nałogowym palaczem. Po chwili wrócił z księgami. Zauważył zmiany, jakie spowodowała choroba w charakterze As-Sajjida. Był pewny, że czeka go ciężka przeprawa. Usiadł naprzeciwko i otworzył pierwszą księgę. As-Sajjid był w pracy niezwykle dokładny i bystry, nie uszedł jego uwagi nawet najmniejszy szczegół. Sprawdzał księgę po księdze bez zmęczenia ani znużenia, nie litując się nad sobą ani nad innymi. Jednocześnie wezwał kilku agentów, sprawdził godziny ich przybycia do pracy, porównał to, co mówili, z tym, co było zaksięgowane. A Kamil Efendi siedział cierpliwie z twarzą nachmurzoną, nie śmiał protestować. Myśli jego zaprzętała nie tylko ta kontrola, ale przede wszystkim zakaz palenia. Zarządzenie to nie tylko zabraniało mu palenia papierosów na terenie przedsiębiorstwa, ale także pozbawiało go wspaniałych papierosów Cotarelli, które mu często As-Sajjid ofiarowywał. Patrzył na tego człowieka pochylonego nad księgami, myśląc gniewnie: „O, Boże, ależ się zmienił, to zupełnie obca osoba, nieznana”. Podziwiał jego wąsy, które pozostały ogromne i wspaniałe, i w twarzy wyniszczonej ciężką chorobą sterczały jak smukła palma na gołej pustyni. Był trochę wyprowadzony z równowagi. „Kto wie – myślał – może on zasługuje na to, co mu się przydarzyło? Zaprawdę, Bóg nikogo nie krzywdzi”.

Po trzech godzinach As-Sajjid zakończył sprawdzanie ksiąg i oddał je zastępcy, patrząc na niego dziwnym, świdrującym wzrokiem, jak ktoś, kto nie znalazł nic podejrzanego, ale nie może uwolnić się od podejrzeń. „Jeszcze nieraz sprawdzę te księgi – myślał – aż znajdę to, co się w nich ukrywa. To psy, tyle że wzięli od psów ich nieczystość, ale nie wierność”.

– Nie zapomnij, o czym ci przedtem mówiłem: palenie papierosów i ciepła woda.

Potem przyszło kilku zagranicznych agentów, pozdrowili go, i przystąpili z miejsca do rozmów. Kiedy jeden z nich zaproponował odłożenie swojej sprawy na później, chcąc mu dać odpocząć, As-Sajjid powiedział z niezadowoleniem:

– Gdybym nie mógł pracować, nie przyszedłbym tu.

W samotności opadały go myśli nieprzyjemne i uciążliwe i jak zwykle ostatnio wylewał swój gniew na innych. Wciąż podkreślał, że ludzie zazdrozczą mu wszystkiego: zdrowia, przedsiębiorstwa, powozu, fariku, i przeklinał ich w głębi duszy. Często nachodziły go te myśli jeszcze podczas choroby w domu i do grona zawistnych zaliczał nawet swoją żonę. Kiedyś siedziała ona na brzegu jego łóżka, a on, patrząc na nią ze złością, powiedział głosem drżącym ze słabości, a zarazem z wściekłości:

– Ty też masz w tym swój udział! Doprowadziłaś mnie do mdłości tym swoim gadaniem, że czasy fariku się skończyły, tak jakbyś zazdrościła mi zdrowia. Teraz rzeczywiście wszystko się skończyło, więc masz, czego chciałaś.

Kobieta wzruszyła się tym bardzo i długo płakała, ale on nie zmiękł.

– Zazdrościli mi, wszyscy mi zazdrościli, nawet moja żona, matka moich synów zazdrościła mi! – powtarzał.

I podczas gdy cugle rozsądku wysuwały się coraz bardziej z jego rąk, widmo śmierci stawało mu przed oczami coraz bliżej. Nigdy nie zapomni tej przerażającej chwili, w której dostał ataku. Kładł się właśnie spać, gdy poczuł ciężar ugniatający mu piersi i ogromną potrzebę wzięcia głębokiego oddechu. Niestety, nie mógł odetchnąć. Za każdym razem, kiedy ponawiał próbę, chwycił go porażający ból. Przyszedł lekarz, dał mu lekarstwo, ale jeszcze długie dni pozostawał między życiem a śmiercią. A kiedy wreszcie podniósł ciężkie, zmęczone powieki, zobaczył nieprzytomnym wzrokiem żonę, córki i synów, wpatrujących się w niego oczami czerwonymi od łez. Popadł w ten dziwny stan, kiedy człowiek traci kontrolę nad swoim ciałem i umysłem i widzi świat jako ciemny film, zlepek wspomnień urywanych, niejasnych, między którymi nie ma związku. W nielicznych momentach świadomości, przeniknięty zimnym dreszczem zadawał sobie pytania: „Czy ja umrę? Jak tu umierać, kiedy cała rodzina tak mnie kocha?” Ale człowiek zwykle rozstaje się ze światem wyrwany z rąk swoich najbliższych. Co umarłym z tego, że ich rodzina kocha? W takich momentach pragnął się modlić i odmawiać na głos szahadę, ale słabość mu nie pozwalała. Wznosił więc modły i odmawiał szahadę w duchu, zwilżywszy suche gardło śliną. W chwilach, w których ciało całkowicie poddawało się chorobie, nawet jego głęboka wiara nie wyzwoliła go z lęku. I jego dusza czepiała się frędzli życia ze strachem i niepokojem. Oczy zachodziły mu łzami, wzrokiem błagał o pomoc i ratunek. Ale życie jeszcze się w nim tliło i przebrnął jakoś najniebezpieczniejszy okres. Powoli, powoli wracało do niego, a z nim nadzieja, że przyjdzie i zdrowie, i będzie mógł prowadzić dawny tryb życia. Ostrzeżenia i zalecenia lekarza wprowadziły jednak ograniczenia. Już niewiele mógł korzystać z życia. Tak, tak. Uratował się przed śmiercią, ale stał się człowiekiem o słabym ciele i chorej duszy. Z czasem zrobił się zły, rozdrażniony, ponury i pełen nienawiści. Był zdumiony tym, co stało na drodze do jego szczęścia, i zadawał sobie pytanie, za jakie grzechy tak go Bóg pokarał. Należał bowiem do ludzi, którzy nie widzą skazy na swym sumieniu, natomiast zawsze mają dużo do zarzucenia innym,

innych pouczają, jak należy postępować, a na własne błędy przymykają oczy. Kochał życie, cieszył się swoim majątkiem i pozwalał, żeby cieszyła się nim rodzina. Szanował prawa boskie, jak mu się wydawało, i żył sobie spokojnie, aż do momentu tego silnego wstrząsu, który zabrał mu zdrowie i odmienił charakter. Za jakie grzechy to go spotkało? Oczywiście, że on jest bez grzechu, to tylko ludzie ściągnęli na niego nieszczęścia. Zazdrościli mu, a zazdrość niszczy wszystko. I tak pozbawił swoją duszę ciepła, stał się zły i nerwowy.

Siedział teraz na swym zwykłym miejscu i zastanawiał się, czy rzeczywiście nie pozostało mu już nic innego w życiu, jak tylko tkwić tu i sprawdzać księgi. Oblicze życia wydało mu się bardziej ponure niż jego własne, zastygł jak pomnik. Nie wiedział, ile czasu spędził teraz pogrążony w myślach, aż usłyszał lekki szmer u wejścia i zobaczył ospowatą twarz Umm Hamidy. Dziwnego wyrazu nabrały jego oczy. Pozdrowił ją, niby słuchał jej powitań i życzeń, ale pochłonęły go wspomnienia. Czy to nie dziwne, że zapomniał o Hamidzie, jakby nigdy jej nie było? Podczas rekonwalescencji nieraz krążyły wokół niej jego myśli, ale teraz nie zostało po nich nawet śladu. Nie żałował, że ją stracił, tak samo jak, że jej kiedyś pożałował. Zapomniał o niej, jakby nigdy nie istniała, albo była jedynie kroplą zdrowej krwi, która krążyła w jego żyłach, a kiedy zdrowie odeszło, uleciała, znikła. Uspokoił się, stał się znowu chłodny. Podziękował kobiecie za to, że przyszła i za życzenia, i poprosił, żeby usiadła. Czuł się nieswojo w jej obecności, był jej coraz bardziej niechętny. Ciekaw był, co ją naprawdę sprowadziło, czy rzeczywiście chciała dać wyraz radości z jego powrotu do zdrowia, czy też przyszła przekonać się o jego zamiarach wobec córki. Ale Umm Hamida nie kryła żadnych złych myśli, bo już dawno pogrzebała związane z nim plany matrymonialne.

– My chcieliśmy jednego, a Bóg chciał czego innego – powiedział mimo to.

Kobieta zrozumiała, co ma na myśli, i odpowiedziała szybko:

– Nie myśl o tym, As-Sajjidzie. Prosimy Boga tylko o twoje zdrowie.

Jeszcze raz pozdrowiła go i odeszła, pozostawiając go w coraz gorszym stanie ducha. W tym momencie jeden z robotników upuścił worek z henną i As-Sajjid wybuchnął gniewem.

– Niedługo zamknę interes i będziecie sobie szukali nowego żywiciela.

Długą chwilę trząsał się ze złości i ten wybuch gniewu przypomniawszy mu o tym, co ostatnio proponowali mu synowie: zlikwidować interesy i przejść na odpoczynek. To go jeszcze bardziej rozwścieczyło, gdyż podejrzewał, że kryje się za tym nie tyle troska o niego, ile chęć zagarnięcia jego pieniędzy. Przecież proponowali mu to już dawniej, kiedy był jeszcze w pełni sił. Pieniądzy jego chcą, a nie jego zdrowia i odpoczynku! On ulokował wszystkie swoje nadzieje w pracy w przedsiębiorstwie i nie miał w życiu innej przyjemności niż zdobywanie pieniędzy, którymi nie mógł się już cieszyć. Zanim ochłonał z gniewu i wzburzenia, usłyszał dźwięczny głos, głęboki i łagodny:

– Bogu dzięki, że wyzdrowiałeś... Witam cię, bracie!

Odwrócił się i ujrzał wchodzącego As-Sajjida Radwana al-Husajniego, jego długie, zwaliste ciało i pogodną twarz. Po raz pierwszy twarz mu się rozjaśniła i chciał wstać, ale As-Sajjid powstrzymał go, kładąc mu rękę na ramieniu.

– Na Al-Husajna zaklinam cię, nie wstawaj.

Uścisnęli sobie ręce gorąco. As-Sajjid Radwan odwiedzał kilka razy bogaty dom As-Sajjida podczas jego choroby, a kiedy nie mógł go zobaczyć, przysyłał pozdrowienia i życzenia powrotu do zdrowia. Usiadł teraz blisko Salima Ulwana i zaczęli rozmawiać uprzejmie.

– Cudem się uratowałem – powiedział As-Sajjid Ulwan ze wzruszeniem.

– Chwała Bogu, Panu Świata. Uratowałeś się cudem, żyjesz dzięki cudowi. Wszyscy, jeśli chcesz wiedzieć, żyjemy cudem. Jedna sekunda życia ludzkiego wymaga wielkiego cudu Boskiej potęgi. Życie każdego człowieka to łańcuch boskich cudów. A cóż mówić o życiu wszystkich ludzi i wszystkich żywych istot! Dzięki składamy Bogu rankiem i wieczorem, dniem i nocą. Jakże nasza wdzięczność jest nieznacząca wobec łaski boskiej.

As-Sajjid słuchał nieporuszony, po czym powiedział:

– Choroba to jest najgorsze zło.

– Być może sama w sobie tym jest, ale z drugiej strony jest to doświadczenie, które Bóg zsyła, a w tym tkwi jej dobro.

As-Sajjidowi nie podobała się ta filozofia i nagle rozzłościł się na mówiącego. Dobry nastrój i wzruszenie, które wniosło przybycie As-Sajjida Radwana, znikły.

– Co takiego zrobiłem, że spotkała mnie taka kara? – powiedział ze skargą w głosie. – Nie widzisz, że straciłem zdrowie na zawsze?

As-Sajjid Radwan gładził swoją piękną brodę.

– Gdzie naszej płytkiej wiedzy do tej wspaniałej mądrości! To prawda, że jesteś człowiekiem dobrym, pobożnym, szlachetnym, przestrzegasz obowiązków wobec wiary, ale Bóg doświadczył przecież swojego sługę Hioba, który był prorokiem. Nie smuć się i nie rozpaczaj, bądź dobrej myśli.

Ale mężczyznę rozdrażniło to jeszcze bardziej.

– Widziałeś ma'allima Kirszę? Jest ciągle zdrowy jak byk.

– Ty chory jesteś silniejszy od niego w pełni zdrowia.

– Mówisz o tym ze spokojem, nakazujesz pobożność i pokorę, ale nie zakosztowałeś jeszcze tego, czego ja zakosztowałem, i nie straciłeś nic z tego, co ja straciłem.

As-Sajjid Radwan spuścił głowę na piersi, po czym podniósł ją i spojrzał na niego z uśmiechem, oczyma tak czystymi i głębokimi, że szybko uspokoił się jego gniew i osłabło wzburzenie. Jakby po raz pierwszy zdał sobie sprawę, że rozmawia z najbardziej doświadczonym spośród sług bożych. Zaczerwienił się, zamrugął oczami i powiedział cicho:

– Przepraszam, bracie, jestem zmęczony.

– Niech ci Bóg da siłę i spokój. Myśl dużo o Bogu, bo to daje ukojenie. Nie pozwól, żeby smutek zapanował nad twoją wiarą. Prawdziwe szczęście opuszcza nas, w miarę jak odchodzimy od wiary.

– Zazdrościli mi pieniędzy i pozycji. Zazdrościli mi wszystkiego, As-Sajjidzie.

– Zazdrość jest gorsza niż choroba. To jest najsmutniejsze. Dużo jest takich, którzy zazdroszczą swoim braciom powodzenia i dóbr przemijających. Nie rozpaczaj, nie smuć się i módl się do Boga, który jest litościwy i wybaczący.

Rozmawiali długo. As-Sajjid Ulwan uspokoił się, ale wkrótce znowu zaczęło powracać rozdrażnienie. Znudziło go długie siedzenie, więc wstał i podszedł do drzwi z rękami skrzyżowanymi na plecach. Słońce stało wysoko na niebie, powietrze było ciepłe, przyjemne. O tej porze zaułek był pusty, jedynie szajch Darwisz siedział przed kawiarnią, wygrzewając się na słońcu. As-Sajjid stał dłuższą chwilę, po czym starym zwyczajem spojrzał w okno Hamidy. Było otwarte, puste. Wrócił smutny na swoje miejsce za biurkiem.

Rozdział 23

Nie wrócę już do kawiarni, żeby nie budzić podejrzeń”. Tak powiedział jej na pożegnanie. Hamida przypomniała sobie to następnego dnia i pełna radosnych wspomnień i nadziei zadawała sobie pytanie: „Czy mam iść dzisiaj na spotkanie z nim?” A serce jej odpowiadało bez wahania: „Tak”. Odpowiadała mu jednak z uporem: „Nie, to on powinien przyjść do kawiarni”. Nie wyszła na zwykłą przechadzkę, stała w oknie, czatując na niego i czekając, co będzie. Słońce już zaszło i noc rozpościerała swoje skrzydła, kiedy mężczyzna wszedł do zaułka, kierując spojrzenie w stronę szpary w okiennicach. Uśmiechał się pokornie i usiadł na swoim zwykłym krześle. Hamida obserwowała go ze zwycięskim uśmiechem na twarzy, rozkoszując się zemstą za ten dzień, kiedy ją zaskoczył na ulicy Al-Muski. Ich oczy spotkały się. Patrzyli na siebie długo, nie cofnęła się ze swojego miejsca ani nie poruszyła. A jego twarz ozdobił uśmiech, jakiego nie знаła. Ciekawe, czego on chce? Pytanie wydało się jej dziwne, bo przecież ta natarczywość mogła mieć tylko jeden cel, ten, który przedtem prowadził Abbasa al-Helu i kierował poczynaniami As-Sajjida Salima Ulwana, zanim los wymierzył mu ten cios. Dlaczego temu dystyngowanemu efendi miałyby przyświecać inny cel? Przecież jej powiedział: „Żyjesz po to, żeby być wzięta, a ja po to, żebym cię wziął”. A cóż to może oznaczać, jeśli nie małżeństwo? Tym razem nic nie stanie na przeszkodzie jej marzeniom. Stojąc za uchylonymi okiennicami, przyjmowała jego ukradkowe spojrzenia spokojna, pewna i bez wahań. Była to rozmowa oczu głęboka, mówiąca o uczuciach i o zmysłach. Już chyba kiedyś doznała tego szczerego, głębokiego uczucia, może wtedy, kiedy po raz pierwszy poczuła na sobie jego bezczelne spojrzenie i zobaczyła ten zwycięski uśmiech, który ją tak pociągał. Fakt, że dopiero w jego oczach poznała swoją wartość i nie czuła się już zablakana w labiryncie życia ani

zmieszana łagodnym spojrzeniem Abbasa al-Helu czy onieśmielona ogromnym bogactwem As-Sajjida Ulwana. Czowała, że ten mężczyzna jej pragnie i że uczucia wzruszenia, podziwu i podniecenia, jakie wywołuje w jej sercu, dają jej rozkosz. Jej natura lgnie do niego, jak igła busoli do bieguna. Przy tym on nie jest biedny, o czym świadczy jego wygląd i banknoty, którymi płaci. Patrzyła więc na niego oczami błyszczącymi miłością i entuzjazmem. Nie odeszła od okna, dopóki nie opuścił kawiarni, przesyłając jej na pożegnanie lekki uśmiech. Odprowadziła go wzrokiem, który mówił: „jutro”.

Następnego dnia po południu stęskniona wyszła z domu. Zaledwie przeszła As-Sanadikiję, zobaczyła go stojącego na rogu Al-Ghurijji i As-Sikka al-Dżadida. Była pewna, że będzie za nią chodził w tę i z powrotem, aż znajdą dla siebie odpowiednie miejsce na Ad-Darrasa. Szła wolno, bez wstydu czy skrępowania. Zbliżyła się do niego, udając, że go nie widzi, i przeszła obok. Wtedy zdarzyło się coś, czego się nie spodziewała. Podszedł do niej, wyciągnął rękę z nieopisaną odwagą i uściśnął jej dłoń, mówiąc spokojnie i nie zwracając uwagi na przechodniów ani stojących na ulicy ludzi:

– Dobry wieczór, ukochana.

Próbowała cofnąć rękę, ale nie udało się, bała się szarpać z nim, żeby nie zwrócić na siebie uwagi. Zmieszała się i rozgniewała. Miała do wyboru: albo wybuch gniewu i skandal, no i co za tym idzie zerwanie, albo, czego nie chciała, poddanie się, a to oznaczało gwałt zadany sobie. Wściekła, powiedziała cicho, drżącym głosem:

– Jak śmiesz? Natychmiast puść moją rękę.

Odparł ze spokojem, idąc obok niej, jakby byli przyjaciółmi:

– Uspokój się, uspokój! Po co te ceregiele między przyjaciółmi.

– Ale ludzie... ulica...

– Nie zwracaj uwagi na tych ludzi. To biedacy, którzy myślą tylko o tym, skąd wziąć pieniądze. Chodźmy do jubilera, wybiorę ci coś, co będzie odpowiadało twojej piękności!

Jego lekceważenie jeszcze bardziej ją rozgniewało.

– Wydaje ci się, że możesz na nic nie zwracać uwagi?

– Nie chciałem cię urazić, ale czekałem na ten spacer. Dlaczego się gniewasz?

– Nie znoszę takiego sposobu zaczepiania ludzi. Uważaj, żebyś mnie nie wyprowadził z równowagi.

Obserwował jej zagniewaną twarz i wreszcie powiedział z prośbą w głosie:

– Obiecujesz, że ze mną pospacerujesz?

– Niczego nie obiecuję! – krzyknęła. – Puść moją rękę!

Uwolnił jej rękę, nie oddalając się od niej.

– Co za despotka! Masz swoją rękę. Ale się nie rozstaniemy, prawda?

– Wstrętny zarozumialec!

Przyjął obelgę z uśmiechem, nic nie mówiąc. Szli obok siebie i Hamida pomyślała, że wczoraj tak bardzo pragnęła go spotkać na ulicy, ale teraz nie chce już o nim myśleć, wystarczy, że zmusiła go do uwolnienia jej ręki, chociaż, kto wie, czy protestowałaby, gdyby próbował chwycić jej rękę jeszcze raz. Wyszła z domu tylko z jedną myślą: żeby go spotkać. Ale drażniło ją, że wydawał się bardziej pewny siebie i bezczelny niż ona. Szła obok niego, nie zwracając uwagi na przechodniów, wyobrażając sobie, jaki podziw pomieszany z zawiścią wzbudzi jego widok wśród dziewcząt. Wnet znowu opanowała ją żądza i zawładnęła nią nieodparta chęć przygody.

– Przepraszam, że byłem szorstki. Ale już nie wiem, co robić. Dręczysz mnie, a przecież zasługuję raczej na twoją sympatię w zamian za szczere uczucie.

Co miała mu powiedzieć? Chciała z nim rozmawiać, ale nie wiedziała o czym, ostatnie jej słowa były przecież obelgą. Nagle zobaczyła idące w ich stronę przyjaciółki i powiedziała z udanym zmieszaniem:

– Moje przyjaciółki!

Mężczyzna spojrział przed siebie i zobaczył dziewczyny obrzucające go zaciekawionym spojrzeniem. Hamida, kryjąc radość, zaczęła mu znowu robić wymówki.

– Kompromitujesz mnie!

– A co ty masz z nimi wspólnego, nie zwracaj na nie uwagi! – powiedział z pogardą, ucieszony, że została obok niego i rozmawiała z nim jak z przyjacielem.

Dziewczęta zbliżyły się. Wymieniły znaczące spojrzenia i minęły ich, chichocząc.

– To są twoje przyjaciółki? Ależ to niemożliwe! Gdzie im do ciebie. Dziwi mnie tylko, że cieszą się taką swobodą, podczas gdy ty siedzisz w domu. One paradują w jasnych strojach, podczas gdy ty zawijasz się w tę czarną milaję. Jak to się dzieje, moja piękna? Czy to jest szczęście? Ale ty jesteś cierpliwa i twarda jak skała.

Hamida zaczerwieniła się. Wydało jej się, że słucha własnego serca. Oczy jej zabłysły, serce użyczyło im entuzjazmu i uczucia. Mężczyzna mówił dalej:

– Twoja piękność godna jest gwiazd.

Skorzystała z okazji, żeby włączyć się do rozmowy, zwróciła ku niemu głowę z uśmiechem, bo wróciła jej wrodzona odwaga.

– Gwiazd?

– Tak. Nie chodzisz do kina? Piękne aktorki nazywa się gwiazdami.

Rzadko, ale od czasu do czasu chodziła z matką do kina „Olimpia” na filmy egipskie, więc pojęła ten komplement od razu. Radość zaróżowiła jej policzki.

– Jak masz na imię? – zapytał po chwili ciszy.

– Hamida.

– Jeśli chodzi o tego, którego oczarowałaś, to Faradž Ibrahim. W podobnych sytuacjach imiona poznaje się na końcu, kiedy obydwie strony są sobie pewne, prawda, o pani piękności?

Ach, gdyby umiała tak pięknie mówić, jak umiała przeklinać i klócić się. On mówił pięknie, nie potrafiła mu dorównać w rozmowie. Krępowano ją to, nie zadowalała rola słuchacza, która cieszyłaby wiele dziewczyn jej klasy. Pragnęła czegoś innego niż oczekiwanie, milczenie i zawstydzenie. Nie umiała wyrazić tych niełatwych doznań i opanował ją niepokój i obawy. Patrzyła na niego przenikliwie, aż skończyła się ulica i jej niepokój jeszcze się zwiększył. Nie wiadomo kiedy doszli do placu Al-Malika Farida.

– Wracamy – powiedziała z ukrytym smutkiem.

– Jak to wracamy?

– Kończy się ulica.

– Ale świat się nie kończy na ulicy Al-Muski. Dlaczego nie mamy pospacerować po placu?

– Nie chcę się spóźnić do domu, matka będzie się niepokoiła.

– Jeśli chcesz, weźmiemy taksówkę i będziemy na miejscu za parę minut.

Taksówkę! Dziwnie zabrzmiało to słowo w jej uszach. Dotąd jeździła tylko wozem „karo”. Upłynęła chwila, zanim minał czar tego słowa, i wtedy zawładnęła nią wątpliwość: jak może wsiąść do

taksówki z obcym mężczyzną. Ale ponad tym było podniecenie i wróciła znowu chęć przeżycia przygody. Nie miała pojęcia, co za siła ją popycha, czy ten mężczyzna, który poruszył jej duszę, czy smak nieznanego, a może jedno i drugie. Spojrzała na niego i zobaczyła, że patrzy na nią uwodzicielsko, ale na ustach ma ten uśmiech, który ją zawsze oburzał.

– Nie chcę się spóźnić – powiedziała.

– Boisz się? – w jego głosie był smutek i rozczarowanie.

– Nie boję się niczego!

Twarz mu się rozjaśniła, jakby już wiedział wszystko.

– Zawołam taksówkę – powiedział.

Przestała protestować i jej wzrok padł na taksówkę, która właśnie stanęła przed nimi. Otworzył jej drzwi. Pochyliła się z bijącym sercem, chwyciła milaję i wsiadła. Mężczyzna wsiadł za nią, mamrocząc do siebie z ulgą: „To nam zaoszczędzi dwa albo trzy dni fatygi”, a potem zwrócił się do szofera:

– Ulica Szarif Basza.

Szarif Basza! Nie Al-Midakk, nie As-Sanadikijja ani Al-Ghurijja, nawet nie Al-Muski, ale Szarif Basza! Dlaczego akurat ta ulica?

– Gdzie jedziemy?

– Pospacerujemy trochę i wrócimy – powiedział, dotykając jej ramienia.

Taksówka ruszyła i Hamida zapomniała na moment o wszystkim, nawet o tym mężczyźnie, który siedział prawie przyklejony do niej. Oczy jej biegały między światłami, które mijali. Przez szybę ukazał jej się nowy świat, radosny i wesoły. Jazda upajała ją, wydawało się jej, że lata jak ptak, że szybuje po niebie. Oczy jej błyszczały, a otwartymi ustami chłonięła wszystko w podziwieniu i zdumieniu. Taksówka płynęła lekko wśród oceanu wozów

i samochodów, tramwajów i ludzi, a z nią płynęły marzenia Hamidy. Z upojenia obudził ją głos szepczący jej do ucha:

– Spójrz na te piękne kobiety, w jakich wspaniałych sukniach chodzą.

Tak. Kołysały biodrami, spacerując tu i ówdzie jak błyszczące gwiazdy. Jakie piękne! Jakie cudowne! Przypomniała sobie o swojej milai i chodakach, serce jej się ścisnęło, i to w brutalny sposób obudziło ją ostatecznie. Czuła się jak śpiący, którego budzi z jego wspaniałych snów ukąszenie skorpiona. Zauważyła, że mężczyzna siedzi bardzo blisko niej, i dopiero teraz poczuła jego dotyk elektryzujący jej ciało i wzmagający bicie serca. Przyglądał się jej, jakby chcąc wysondować, na co może sobie pozwolić. Potem wziął delikatnie jej rękę i trzymał w swoich dłoniach. Wreszcie zachęcony brakiem oporu nachylił się do jej ust. Ona, jakby broniąc się, odrzuciła głowę do tyłu. Nie znalazł w tym ruchu protestu i dotknął ustami jej ust. Poczula dziką żądzę, miała ochotę gryźć jego wargi, ale on cofnął usta. Płomień szaleństwa pozostał w jej sercu, zapragnęła rzucić się na niego i zatopić paznokcie w jego szyi. Uratował się jednak przed tym, mówiąc:

– To jest ulica Szarif Basza, a parę kroków stąd jest moje mieszkanie. Chcesz je zobaczyć?

Spojrzała cała w napięciu tam, gdzie pokazywał palcem, i zobaczyła wieżowce. Nie wiedziała, o którym z nich mówi.

– Przed tym domem – rozkazał szoferowi.

Hamida zobaczyła wielki, wysoki budynek z wejściem szerszym niż cały zaułek Midakk. Zmieszana zapytała cicho:

– Które piętro?

– Pierwsze. Nie będzie cię to kosztowało wiele trudu, gdybyś chciała je odwiedzić.

Spojrzała na niego złym wzrokiem.

– Strasznie szybko wpadasz w gniew – powiedział. – Mimo to chciałbym cię zapytać, co jest w tym złego. Od kiedy cię zobaczyłem, odwiedzałem cię bez przerwy, dlaczego ty nie możesz odwiedzić mnie jeden raz?

Czego on chce? Czy uważa ją za łatwą zdobycz? Czyżby pocałunek, na który pozwoliła, zaostrzył jego apetyt? A może zaślepiła go pewność siebie i uczucie zwycięstwa? Czyżby ona sama straciła z miłości kontrolę nad sobą? Znowu zawrzała gniewem i zebrała wszystkie siły do walki. Postanowiła iść z nim, dokąd zechce, żeby mu pokazać siebie taką, jakiej nie zna, i żeby go w ten sposób przywołać do porządku. Duch przekory i buntu wzywał ją do podjęcia ryzyka tej walki. Czyż była w stanie nie odpowiedzieć na to wezwanie? Nie chodziło jej o takie sprawy, jak cnota czy moralność. Nie przywykła wybuchać gniewem z ich powodu. Był to gniew wywołany dumą, próżnością, poczuciem własnej siły i szalonym pragnieniem walki i kłótni, nie mówiąc już o obłędnym pragnieniu przygody, które ją pchnęło do taksówki. Mężczyzna patrzył na nią przymilnie, myśląc w duchu trochę drwiąco: „Moja ukochana należy do tych niebezpiecznych kobiet, które wybuchają przy lada dotknięciu i wymagają wiele zachodu oraz zręcznego podejścia”. A głośno powiedział:

– Chciałbym cię poczęstować sokiem cytrynowym.

– Rób, co chcesz – odpowiedziała, patrząc na niego prowokująco.

Zadowolony, otworzył drzwi taksówki i wyszedł na ulicę. Hamida wyszła za nim obojętnie, przyglądając się miejscu, podczas gdy mężczyzna płacił szoferowi. Myśli jej pobiegły do zaułka, który dzisiaj opuściła, i zdumiona uświadomiła sobie, na co się odważyła. Kto by w to uwierzył? Co by na przykład powiedział As-Sajjid Radwan al-Husajni, gdyby ją zobaczył przed tym wielkim budynkiem? Uśmiechnęła się i zdała sobie sprawę, że ten dzień jest najszcześniejszym dniem w jej życiu.

Mężczyzna podszedł szybko, wziął ją za rękę i wprowadził do budynku. Po szerokich schodach weszli na pierwsze piętro, a potem długim korytarzem doszli do drzwi mieszkania po prawej stronie. Wyjął z kieszeni klucz i otworzył drzwi. „Zarobiłem dziś dzień albo dwa” – myślał sobie. Wpuścił ją do środka, wszedł za nią i zamknął drzwi. Hamida znalazła się w długim korytarzu, który dzielił wnętrze na dwie części. Po obu jego stronach znajdowały się pokoje. Oświetlała go lampa elektryczna o silnym świetle. Mieszkanie nie było puste. Lampa paliła się już przed ich przyjściem, a zza zamkniętych drzwi dochodziły głosy, rozmowa, śpiew i krzyki. Faradz Ibrahim pchnął drzwi naprzeciwko wejścia i zaprosił ją do środka. Weszła do pokoju, w którym stały skórzane ni to krzesła, ni kanapy, na podłodze leżał ozdobny dywan, a na środku stało błyszczące lustro sięgające sufitu, oparte na małym, podłużnym stoliku o złoconych nóżkach. Mężczyzna z radością obserwował jej zdumione i zmieszane spojrzenie.

– Zdejmij miłaję i usiądź, proszę.

Hamida usiadła wygodnie w miękkim fotelu nie rozbierając się.

– Nie mogę się spóźnić – powiedziała ostrzegawczo.

Mężczyzna podszedł do eleganckiego stołu pośrodku pokoju, na którym stał termos, otworzył go i nalał dwie szklanki napoju cytrynowego z lodem, podał go Hamidzie i powiedział:

– Odwiozę cię taksówką za parę minut.

Wypili sok i odstawili kubki na stolik. Hamida ukradkiem przyglądała się jego wysokiej, eleganckiej sylwetce. Zatrzymała wzrok na jego ręce i poraziła ją jej piękność, była kształtna, elegancka, O smukłych palcach, mocna i piękna zarazem. Zafascynowała ją jak nic dotąd. Długo na nią patrzyła, uśmiechając się lekko, jakby ją ona uspokajała i dodawała jej odwagi. Nie odczuwała cienia strachu, chociaż jej nerwy były nieco napięte na skutek ostrożności, skrępowania i podniecenia. Przypomniała sobie głosy, które

słyszała, wchodząc do mieszkania, i zdziwiła się, że tak szybko o nich zapomniała.

– Co to za hałas? – zapytała.

– Rodzina, poznasz ją w odpowiednim czasie. Dlaczego się nie rozbierzesz?

Kiedy zaprosił ją do domu, myślała, że mieszka sam, i była mile zdziwiona, że przyprowadził ją do domu pełnego ludzi. Udała, że nie słyszy tego ostatniego pytania, i ciągle przyglądała mu się spokojnie i nieco wyzywająco. Nie powtórzył pytania, ale podszedł do niej blisko, aż czubki jego butów dotknęły jej chodaków, nachylił się, a potem wziął ją za rękę, uścisnął i powiedział, pociągając za sobą:

– Chodź, usiądźmy na kanapie.

Nie protestowała, wstała i poszła za nim. Usiedli na kanapie blisko siebie. Nie wiedziała, jak się zachować, bo ogarnęły ją mieszane uczucia. Z jednej strony skłonności ku mężczyźnie, w którym była zakochana, z drugiej agresja w stosunku do tego, który być może kpi sobie z niej. Faradz przysunął się jeszcze bliżej i delikatnie objął ją w pól, a ona poddała się, nie wiedząc, kiedy powinna zacząć stawiać opór. Lewą ręką chwycił ją za brodę i przysunął wolno usta do jej ust, jak spragniony, który pije wodę ze strumienia. Wiedział, że całą siłę i żar musi włożyć w ten pocałunek, jeżeli chce zrealizować to, co zamierzał. Hamida była upojona i oczarowana, ale jej czujność i napięcie przeszkadzały jej trochę. Poczula, jak jego ręka wędruje w górę do ramienia i zsuwa z niego milaję. Serce zabiło jej mocno, wyprostowała się, odsuwając się od niego, poprawiła nerwowym ruchem milaję i powiedziała sucho:

– Nie.

Spojrzał na nią ze zdziwieniem i napotkał jej wzrok twardy, mówiący o zdecydowanej odmowie i uporze. Uśmiechnął się, jakby nie wiedząc, o co chodzi, a w myśli dodał: „Jest męcząca, nawet bardzo męcząca”.

– Przepraszam, kochanie, zapomniałem się – powiedział.

Odwróciła głowę, żeby ukryć triumfujący uśmiech. Nagle wzrok jej padł znowu na jego rękę i w tej chwili dostrzegła ogromną różnicę między jego piękną dłonią a jej grubą, prostą ręką. Zawstydziała się.

– Po co mnie tu przyprowadziłeś? Przecież to głupie! – powiedziała.

– Jest to najpiękniejsza rzecz, jaką zrobiłem w życiu! – Dlaczego boisz się mojego domu. Przecież to będzie także i twój dom.

Spojrzał na jej włosy, które wysunęły się spod milai, zbliżył do nich głowę i ucałował je.

– Na Boga, jakie piękne włosy, najpiękniejsze, jakie widziałem.

Powiedział to z prawdziwym przekonaniem, mimo że uderzył go zapach nafty. Ta pochwała sprawiła jej przyjemność. Mimo to spytała:

– Jak długo tu zostaniemy?

– Dopóki się nie poznamy. Mamy sobie przecież mnóstwo rzeczy do powiedzenia. Boisz się? Niemożliwe. Myślałem, że się niczego nie boisz.

Ogarnęła ją radość, aż miała ochotę go pocałować. Zauważył to i pomyślał: „Teraz cię rozgryzłem, ty lwico”.

– Moje serce cię wybrało – powiedział głosem drżącym, gorącym. – A serce nie kłamie. Kogo miłość złączy, nic nie jest w stanie rozłączyć. Jesteś moja, a ja twój.

Pochylił ku niej twarz, jakby pytając o pozwolenie. Usta ich spotkały się w długim, namiętym pocałunku.

– Moja ukochana, moja ukochana – szeptał jej do ucha.

Odetchnęła głęboko i poprawiła się na siedzeniu.

– Tu jest twoje miejsce i tu jest twój dom, a tu (pokazał na swoją pierś) jest twoje schronienie.

Roześmiała się.

– Zdaje się, że mi przypominasz, że teraz powinnam już wrócić do domu.

W rzeczywistości realizował plan nakreślony już wcześniej i odparł z niezadowoleniem:

– O jakim domu mówisz? Tym w zaułku? Och, mogłabyś już przestać myśleć o całej tej dzielnicy. Co ci się podoba w tym zaułku? Dlaczego do niego wracasz?

– Jak możesz o to pytać? – dziewczyna śmiała się. – Przecież tam jest mój dom i moja rodzina.

– Ten dom nie jest twoim domem ani ta rodzina twoją rodziną. Jesteś ulepiona z innej gliny, ukochana. To herezja, żeby zdrowe, świeże ciało żyło w grobie pełnym gnijących kości. Nie widziałaś, jak te piękne dziewczyny chodzą ubrane? A ty jesteś piękniejsza niż one i bardziej czarująca, dlaczego więc nie masz chodzić jak one, w pięknych szatach i biżuterii? Bóg zesłał mnie, abym ci przywrócił właściwą postać, twoją cenną istotę, zagrabione ci prawo. Dlatego mówię, że to jest twój dom i koniec.

Jego słowa targnęły jej sercem jak palce muzyka strunami skrzypiec. Siedziała nieruchomo, odrętwiała z przymkniętymi oczami. Mimo to nieufnie zadawała sobie w duchu pytania: Ciekawe, co on naprawdę ma na myśli? Jeśli rzeczywiście jej pragnie, to jaką drogą ma zamiar zrealizować swoje pragnienie? Dlaczego nie powie jasno, czego chce, i nie odkryje swoich zamiarów? Wyraża w najwspanialszy sposób wszystkie jej nadzieje, pragnienia i marzenia, przemawia jej najskrytszym językiem i odkrywa jej duszę, wynosi na światło to, co ukryte, i nadaje mu kształt w taki sposób, jakby to wszystko widziała własnym okiem, i tylko jednej sprawy nie porusza. Dlaczego się waha? Spojrzała na niego odważnie i zapytała:

– Co masz na myśli?

Mężczyzna poczuł, że przechodzi do najważniejszego etapu swojego planu.

– Chcę powiedzieć, że zostaniesz w domu, który jest dla ciebie odpowiedni, i że będziesz się cieszyła najszcześniejszym, najlepszym życiem...

Hamida roześmiała się zmieszana.

– Nic nie rozumiem.

Dotknął czule przedziałka jej włosów, żeby wypełnić ciszę i zebrać myśli.

– Pewnie zadajesz sobie pytanie: w jaki sposób mam zostać w jego domu? Pozwól, że cię zapytam z kolei. Po co wracać do zaułka i czekać tam, jak inne biedne dziewczyny, aż jakiś mężczyzna zlituje się i ożeni z tobą, i zniszczy twoją świeżą urodę i soczystą młodość, a potem rzuci na śmietnik? Nie rozmawiam przecież z dziewczyną głupią, do której słowa jednym uchem wchodzi, a drugim wychodzą. Wiem z całą pewnością, że takich jak ty jest niewiele. Jesteś piękna, a poza tym masz cechę, która sama jedna wystarczy za wszystkie. Jesteś odważna, a takie jak ty, jeżeli czegoś pragną, mówią: niech się stanie. I staje się.

Twarz jej zbladła i rysy stwardniały.

– To są żarty, niemające ze mną nic wspólnego! – powiedziała ze złością. – Zacząłeś żartem, a skończyłeś tak, jakbyś mówił poważnie.

– Żarty! Nie, na Boga, przysięgam na miłość do ciebie. Nie mam ochoty na żarty z osobą taką jak ty, dla której mam szacunek i respekt, i miłość. Jeśli moja intuicja mnie nie myli, masz wielkie serce, które pokona wszystkie przeszkody na drodze do szczęścia. Ja pragnę towarzyski, współpracownicy na całe życie, a ty nadajesz się do tej roli, jak nikt na świecie.

– Jaka towarzyska?! Jaka współpracownica?! – Hamida krzyknęła z oburzenia. – Jeżeli naprawdę tego chcesz, to proszę bardzo, droga wolna, jest tyle innych. Ale jeśli chcesz...

Chciała powiedzieć, ożenić się ze mną, ale się powstrzymała i patrzyła na niego pełna podejrzeń.

Zrozumiał dobrze, co chciała powiedzieć, uśmiechnął się drwiąco w głębi ducha, ale ciągnął dalej, wiedząc, że wycofywanie się już nie ma sensu.

– Pragnę towarzyski ukochanej, z którą razem zaatakujemy życie – powiedział teatralnym głosem. – Życie szczęśliwe, bogate i dostojne, życie gwiazd, o których ci mówiłem, nie nędzną wegetację, od ciąży do ciąży, pełną dzieci i brudu.

Hamida aż otworzyła usta z wściekłości, zbladła, a oczy jej błyszczały przerażająco.

– Namawiasz mnie do rozpusty, ty podły, śmierdzący łotrze!

Była wściekła bynajmniej nie z powodu urażonego poczucia moralnego, po prostu nie spodziewała się takiego obrotu sprawy, doznała rozczarowania. Faradz uśmiechnął się trochę żartobliwie:

– Jestem tylko mężczyzną...

– Nie jesteś żadnym mężczyzną, jesteś zwykłym alfonsiem! – przerwała mu, krzycząc gwałtownie.

Roześmiał się głośno.

– Czyż alfons nie jest mężczyzną? Ależ jest, i to jeszcze jakim, przysięgam na twoją urodę i czar. Cóż takiego poza migreną znajdziesz u zwykłego mężczyzny. A alfons to handlarz szczęściem tego świata. Nie zapomnij poza tym, że cię kocham. Nie pozwól, żeby gniew zniszczył naszą miłość. Zapraszam cię do szczęścia, miłości i życia na odpowiedniej stopie. Gdybyś była głupia, tobym cię oszukiwał. Ale doceniam twoją inteligencję i wolę być z tobą szczerzy. Jesteśmy stworzeni z tego samego kruszcu, Bóg przeznaczył nas do

miłości i współpracy. Jeżeli się połączymy, połączymy miłość, pieniądze i pozycję społeczną. Jeżeli się rozłączymy, dopadnie nas nędza, bieda i poniżenie, przynajmniej jedno z nas...

Nie odrywała od niego oczu, oszołomiona, pytając samą siebie, jak mogła dać się wciągnąć w coś takiego. Była na niego wściekła i miała do niego ogromny żal, ale co najdziwniejsze, nie pogardzała nim i ani na chwilę nie przestała go kochać! Co więcej, nie mogła zapomnieć nawet w chwili największego oburzenia, że jest to człowiek, który nauczył ją miłości. Wstała zdecydowanie i powiedziała gniewnie:

– Nie jestem taka, jak myślisz.

Odpowiedział z trochę sztucznym smutkiem, tak żeby nie zdradzić pewności siebie, jaka charakteryzuje ludzi interesu:

– Trudno mi uwierzyć, że omyliłem się co do ciebie. Mój Boże, czyżby to było możliwe, że pewnego dnia zostaniesz w zaułku panną młodą? Cięża i poród, cięża i poród, karmienie dzieci na chodniku, muchy, ful i bisara, zwiędłe i zwiotczałe ciało. Nie, nie! Nie chcę w to uwierzyć.

– Dosyć! – krzyknęła Hamida, nie panując nad sobą.

Podbiegła do drzwi, a on podniósł się szybko i podążył za nią, mówiąc czule:

– Uspokój się, uspokój!

Nie przeszkadzał jej jednak, otworzył drzwi i wyszli razem. Przyszła tu szczęśliwa i bez strachu, wychodziła rozbita i rozczarowana. Stali chwilę przed bramą, aż chłopiec przyprowadził im taksówkę. Weszli, każde innymi drzwiami. Taksówka jechała szybko. Hamida siedziała pogrążona w myślach, jakby nieobecna. On zerkał na nią i nie przerywał jej zamyślenia. W połowie bazaru Al-Muski kazał zatrzymać. Ocknęła się na dźwięk jego głosu, rzuciła okiem na ulicę i poruszyła się, chcąc wyjść. Położył rękę na klamce,

żeby jej otworzyć, ale zawahał się chwilę, po czym pocałował ją w ramię i powiedział:

– Czekam na ciebie jutro.

– Nie – odpowiedziała gniewnie.

– Czekam na ciebie, kochanie... wrócisz do mnie. Nie zapomnij – dodał, kiedy wychodziła już z taksówki – jutro zaczniemy nowe, wspaniałe życie. Kocham cię, kocham cię, bardziej niż własne życie.

Patrzył na nią, kiedy się oddalała pośpiesznie, uśmiechając się ze złośliwą ironią. „Piękna, nie ma co. Niemożliwe, żebym się pomylił. Urodzona kurwa... Będzie rzadką perłą”.

Rozdział 24

Dlaczego tak późno? – zapytała matka.

– Zajnab mnie zaprosiła i poszłam do niej – odpowiedziała obojętnie.

Matka miała dla niej radosną wiadomość: wkrótce będą na weselu pani Sanijji Afifi. Pani Sanijja podaruje jej suknię, aby miała się w co ubrać na tę okazję. Hamida udała, że się cieszy. Długo słuchała plotek matki, potem zjadły kolację i poszły spać. Hamida spała na starej kanapie, matka rozesłała sobie matę na podłodze i po chwili cały pokój wypełnił się jej chrapaniem. Hamida patrzyła w zamknięte okno. Przez szpary w okiennicach sączyło się światło z kawiarni. Przywołała w pamięci wydarzenia tego dziwnego dnia, każdy ruch, każde słowo, każdy moment ciszy. Nie mogła uwierzyć, że to wszystko jej się przydarzyło. Mimo niepokoju odczuwała radość, dumę i ogromne podniecenie. Pamiętała, że po powrocie do zaułka powiedziała o tym człowieku: „Bodajbym go nie spotkała”. Ale były to tylko słowa, które nie znajdowały echa w jej sercu. Tego jednego dnia dowiedziała się więcej o życiu i świecie niż przez całe dotychczasowe bytowanie. Tak jakby ten człowiek wszedł jej w drogę tylko po to, żeby mogła poznać samą siebie. Powiedziała mu jednak „nie” i odeszła, i być może nie będzie mogła się już cofnąć. Co to oznacza w praktyce? Oznacza to, że będzie siedziała w domu, czekając na powrót Abbasa al-Helu. O, Boże! Dla niego nie ma już miejsca w jej duszy, wymazała jego ślad i stłumiła jego echo. Al-Helu to nędzne małżeństwo, cięższe i bachory, karmienie dzieci na ulicy, muchy itd. Znienawidzony, przerażający obraz. Uczucia macierzyńskie jeszcze nie opanowały jej tak jak inne dziewczęta w jej wieku i nie bez powodu kobiety z zaułka oskarżały ją o oziębłość i odmienność. Czego więc chciała? Serce jej biło, gryzła wargi prawie

do krwi. Wiedziała, czego chce i do czego dąży. Do dziś jej niespokojne uczucia biegły między światłem i ciemnością. Ale dzisiejszy dzień przebił zasłonę ciemności i odkrył światło. Nie ma już mroku ani niejasności. Choć nie zdawała sobie z tego sprawy, w rzeczywistości wybrała już drogę, i to tam, u tego mężczyzny, w jego domu! Jej język przeklinał, ale serce skakało z radości. Miała twarz gniewną i nachmurzoną, ale jej marzenia były radosne. Ani przez jeden moment nie nienawidziła go, nie pogardzała nim. Był jej życiem, jej chwałą, jej siłą i szczęściem! Irytowała ją tylko jego pewność siebie w słowach: „Wrócisz do mnie”.

Tak, wróci. Ale on drogo zapłaci za tę bezczelną pewność. Dla niej miłość nie była poddaniem się, niewolą, była walką, zagorzałą walką. Tyle czasu dusiła się w domu, w zaułku. Teraz nic nie może powstrzymać jej od ucieczki do światła, lepszej pozycji, korzystania z życia. Ale czy ucieczką od tej pętli ma być tylko ten człowiek, który rozświetlił jej marzenia? Przecież nie pobiegnie do niego posłusznie i pokornie, wołając: „Jestem twoją niewolnicą, uczyni ze mną, co chcesz”. Takiej miłości ona nie zna. Ani też nie dopadnie go jak strzała z krzykiem: „Jestem twoją panią, padnij mi do nóg”. Daleka była od miłości z kochankiem słabym, uległym. Pójdzie do niego z sercem pełnym nadziei i pragnień, mówiąc: „Przyszłam. Jestem silna i ty bądź silny, będziemy razem walczyć. Daj mi szczęście, które obiecałeś”. Dzięki niemu jej droga stała się jasna, jakże mogła ją porzucić, nawet gdyby miała zapłacić za to życiem.

Ale przychodziły jej też do głowy myśli, które trochę psuły radość z podjęcia decyzji. „Co o mnie powiedzą jutro?” – zadawała sobie pytanie. I wciąż nasuwało się tylko jedno słowo: „kurwa”. Serce wtedy zaczynało bić, w ustach zasychało, kiedy myślała, co to będzie, gdy spotka którąś z przyjaciółek. Przecież sama zarzucała im kiedyś, że pracują jak mężczyźni i włóczą się po ulicach jak dziwki. Pełna była smutku i niepokoju, ale nie zamierzała zmienić swojej decyzji. Całym sercem i duszą pędziła do tego, co jej przeznaczone, i żadne drobne kamyczki nie mogły zatrzymać jej w tym pędzie. Nagle

pomyślała o matce, popatrzyła na nią i wsłuchiwała się w jej chrapanie, którego przez długie godziny w ogóle nie słyszała. Wyobraziła sobie, jak będzie jutro na nią czekała, jak będzie rozpacziała. Wiedziała, że matka kocha ją szczerze, nie daje jej odczuć, że nie jest jej prawdziwą matką. Ona też ją kochała mimo licznych kłótni i sprzeczek. Jakby bojąc się ulegania sentymentom, przezwyciężyła wzruszenie i powtarzała sobie: „Nie mam ojca ani matki, nikogo na świecie poza nim”. Odwróciła się od przeszłości i myślała już tylko o tym, co może się wydarzyć jutro. Była zmęczona bezsennością, powieki piekły, gorączka rozsadzała mózg, marzyła, żeby sen uratował ją od tej męki, żeby otworzyła oczy dopiero ze światłem dnia. Przywoływała sen całą siłą woli, żeby wypędzić z głowy myśli, które się w niej roily, i nawet jej się to czasami udawało. Niestety, głosy dochodzące z kawiarni Kirszy denerwowały ją i płoszyły sen. Słyszała wszystko: „Sunkur, zmień wodę w nargilach” – to głos tego rozpustnego palacza haszyszu, Kirszy. „As-Sajjidzie, Bóg to rozsądzi” – to Amm Kamil, tępe zwierzę. „Gdyby zaś... wszystko ma swoje źródło...” – to ten brudny, ślepowy doktor Buszi. I nagle wyobraziła sobie swojego ukochanego, siedzącego na zwykłym miejscu między ma'llimem Kirszą i szajchem Darwiszem, przysyłającego jej całusy, i serce zabiło jej mocno. Potem przywołała w pamięci ogromny budynek, wspaniały pokój i znowu zadzwieczał jej w uszach jego szept: „Wrócisz do mnie”. O Boże, kiedy sen się nade mną zlituje? „Pokój wam, bracia” – to głos As-Sajjida Radwana al-Husajniego, który doradzał matce odrzucenie ręki As-Sajjida Ulwana, zanim go powaliła choroba. Ciekawe, co powie o niej jutro, jak się dowie. Niech sobie mówi, co chce! Niech Bóg przeklnie wszystkich mieszkańców zaułka! Hamida przewracała się z boku na bok, to na plecy, to na brzuch, a noc wlokła się ciężka, męcząca, wyczerpująca. Grozy dodawała jej jeszcze powaga oczekiwanego jutra. Przed świtem zapadła w ciężki sen, z którego obudziła się wczesnym rankiem, z jasną głową. Nie wahała się już i niecierpliwie oczekiwała zachodu słońca. Myślała, że jest teraz przechodniem, gościem w zaułku i „ani ona dla niego, ani on dla niej” – jak mówił

jej ukochany. Wstała i jak zwykle otworzyła okno, zwinęła materac matki i ułożyła go w kącie pokoju. Potem zamiotła mieszkanie razem z przedpokojem i zjadła śniadanie sama, bo matka już wyszła w swoich niekończących się sprawach. W kuchni znalazła soczewicę, którą matka przygotowała na obiad. Oczyszczyła ją i umyła i napaliła w piecu. „Ostatni raz gotuję w domu – mówiła do siebie – a być może ostatni raz w życiu... Ciekawe, kiedy znowu będę jadła soczewicę?” Nie żeby jej nie lubiła, ale wiedziała, że jest to pożywienie biednych, główne danie ich stołów. Nic nie wiedziała oczywiście o posiłkach bogatych poza tym, że jest to mięso, mięso i mięso. Wyobrażenia podsuwała jej rozkoszne obrazy dań, które ją czekają, strojów, kosmetyków, aż twarz jej się rozjaśniła. Około południa wreszcie wyszła z kuchni i poszła się umyć. Potem długo i starannie czesała włosy, zaplotła je w gruby, długi warkocz, który opadł jej na plecy, sięgając końcami pośladków. Założyła najlepsze ubranie, jakie miała, ale niezadowolona była z bielizny znoszonej i zniszczonej. Zaczerwieniła się ze wstydu, myśląc, jak spędzi noc poślubną w takim ubraniu. Twarz jej spochmurniała znowu, serce biło ze zdenerwowania. Postanowiła, że nie odda mu się, dopóki nie zamieni starego stroju na nowy, jasny i piękny. Podobała się jej ta myśl, zwłaszcza że miłość i rozkosz odczuwała jedynie w walce. Stała w oknie, aby rzucić pożegnalne spojrzenie dzielnicy. Jej wzrok przechodził po kolei od jednego miejsca do drugiego: piekarnia, kawiarnia Kirszy, sklep Amma Kamila, zakład fryzjerski, przedsiębiorstwo, dom As-Sajjida Radwana al-Husajniego. Stała zimna i obojętna, a serce jej nie drgnęło nawet z sympatii do zaułka i jego mieszkańców. Więzy przyjaźni między nią a większością kobiet w zaułku były już dawno zerwane: Umm Husajn – jej mamką, piekarką, a nawet żoną As-Sajjida Radwana al-Husajniego, która także nie uchroniła się przed jej językiem. Dowiedziała się kiedyś i ona, że Hamida obgadała ją w nieprzyzwoity sposób. Wyczekała moment, kiedy dziewczyna wieszała bieliznę na dachu, a dachy ich przylegały do siebie, podeszła do muru oddzielającego posesję i zaczęła robić Hamidzie wymówki: „Szkoda, Hamido, że masz taki zjadliwy język.

Nie zasługujesz na to, żeby obcować z zacnymi kobietami z zaułka, córkami paszów!” Ale Hamida wołała nie podejmować kłótni i wyszła, milcząc. Oczy jej zatrzymały się dłużej na przedsiębiorstwie, przypomniała sobie, jak As-Sajjid Salim Ulwan prosił o jej rękę i jak przez kilka godzin była upojona snami o bogactwie. Jakże żałowała, że ten człowiek wymknął się z jej rąk. Ale ta różnica między mężczyzną a mężczyzną! As-Sajjid Salim Ulwan poruszył dzięki swojemu bogactwu część jej serca, ten człowiek zawładnął całym jej sercem, pochłoniął je prawie zupełnie. Popatrzyła na salon fryzjerski i przypomniał jej się Abbas al-Helu. „Ciekawe, co zrobi po powrocie – myślała – kiedy nie znajdzie śladu po mnie w zaułku”. Wspomniała ostatnie pożegnanie na schodach. Nie mogła się sobie nadziwić, że dała mu wtedy usta do pocałowania. Odeszła od okna, usiadła na kanapie jeszcze bardziej umocniona w swojej decyzji.

W południe przyszła matka i zjadły razem obiad. „Mam na oku ważne małżeństwo – powiedziała w czasie obiadu. – Jeżeli uda mi się je skojarzyć, Bóg da nam szczęście”. Pytała o to budzące nadzieje matki małżeństwo obojętnie, prawie nie zwracając uwagi na to, co ona mówi. Często zresztą matka mówiła w ten sposób, a cała nadzieja kończyła się na kilku funtach i posiłku z mięsa, a jeśli chodzi o Hamidę, jedynie na posiłku z mięsa. Po obiedzie matka położyła się trochę, a Hamida usiadła na kanapie, patrząc na nią długo; może już nigdy więcej jej nie zobaczy? Po raz pierwszy ogarnęło ją uczucie czułości dla tej kobiety, która ją przygarnęła, wychowała i kochała, która była jej jedyną matką. Miała wielką ochotę pocałować ją na pożegnanie. Nadszedł zmrok, Hamida owinęła się w milaję, włożyła chodaki, a ręce jej drżały ze wzruszenia i wzburzenia. Nie mogła zostawić matki bez pożegnania. Denerwowała się. Spojrzała na nią niczego nieprzeczuwającą i jeszcze bardziej się zdenerwowała. Musiała już wyjść. Popatrzyła na nią długo i powiedziała:

– Bądź zdrowa.

– Do widzenia – odpowiedziała, paląc spokojnie papierosa – nie przychodź późno.

Hamida wyszła z domu poważna i zamyślona. Przeszła po raz ostatni przez zaułek, nie oglądając się na nic, i poszła w stronę As-Sanadikijji, a potem Al-Ghurijji. Skręciła w As-Sikka al-Dżadida idąc wolno i rozglądając się bez zażenowania. Czekał na nią w tym samym miejscu co wczoraj. Poczowała żar na policzkach, fala wściekłości i gniewu uderzyła jej do głowy. Zapragnęła zemsty za to jego zwycięstwo, to by jej przywróciło trochę spokoju. Opuściła wzrok i pomyślała: ciekawe, czy znowu zobaczy ten jego bezczelny uśmiech. Podniosła nerwowo wzrok i zobaczyła, że jest poważny i spokojny, a w jego migdałowych oczach widać nadzieję i skupienie. Uspokoilo ją to trochę. Przeszła obok niego, myśląc, że zacznie z nią rozmawiać lub weźmie ją za rękę, tak jak to zrobił wczoraj. Ale on udał, że jej nie widzi. Poczekał chwilę, aż znikła za zakrętem, a potem poszedł za nią wolno. Zrozumiała, że jest bardzo ostrożny. Doszła prawie do końca As-Sikka al-Dżadida, zatrzymała się nagle, jakby sobie coś przypomniała, i zawróciła. Poszedł za nią zaniepokojony, mówiąc szeptem:

– Dlaczego zawróciłaś?

– Dziewczęta, robotnice... – odpowiedziała po chwili wahania, jakby mówienie sprawiło jej trudność.

– Idź na ulicę Al-Azhar, tam nikt nas nie zobaczy – odetchnął z ulgą.

Przeszli na drugą stronę, każde osobno, szli ulicą Al-Azhar w głębokim milczeniu. Zrozumiała, że odezawszy się do niego, ostatecznie ogłosiła swoją kapitulację. W milczeniu dotarli do placu Al-Malika Farida. Zatrzymała się, nie wiedząc, gdzie dalej pójść. Przywołał taksówkę, a kiedy nadjechała, otworzył jej drzwi. Podniosła nogę, żeby wejść, i był to ruch, który zadecydował o całym jej życiu. Zaledwie taksówka ruszyła, powiedział drżącym głosem, z niesłychanym mistrzostwem:

– Bóg tylko wie, jak cierpiałem, Hamido. Ani chwili nie spałem tej nocy. Nie wiesz, ukochana, co to znaczy miłość. Ale dzisiaj jestem szczęśliwy, szaleję z radości. Boże, ledwie wierzę własnym oczom. Dziękuję, ukochana, dziękuję ci. Na Boga, sprawię, że rzeka szczęścia popłynie pod twoimi stopami. Jak pięknie będzie wyglądał diamentowy naszyjnik na tej szyi – dotknął delikatnie jej szyi – a jak wspaniale złoto na tym ramieniu – pocałował ją w ramię – jak czarująco szminka na tych wargach – pochylił się, aby pocałować ją w usta, ale odchyliła głowę i pocałował ją w policzek. – Ty wstydliva czarodziejko!

Odetchnął chwilę i mówił dalej:

– Czasy cierpienia już minęły od jutra będziesz miała życie bez smutków! Twoje piersi będzie otulał jedwabny biustonosz.

Słuchała tego wszystkiego z zadowoleniem, bez złości i gniewu, choć jej policzki pałały. Poddała się kołysaniu taksówki, którą uciekała od całej przeszłości.

Taksówka zatrzymała się przed budynkiem, który teraz był miejscem jej schronienia. Szybko weszli do mieszkania, w którym tak jak przedtem rozbrzmiewały głosy, potem przeszli do wspaniałego pokoju i roześmiali się.

– Zdejmij milaję, spalimy ją zaraz.

Zaczerwieniła się i odpowiedziała:

– Nie przyniosłam ubrania.

– Bardzo dobrze zrobiłaś, niczego z przeszłości nie potrzebujemy. Kazał jej usiąść, a sam chodził po pokoju, potem podszedł do eleganckich drzwi po prawej stronie wysokiego lustra, otworzył je i oczom jej ukazało się wytworne łóżko.

– Oto nasz pokój! – powiedział.

– Nie, nie, ja będę spała tutaj.

Popatrzył na nią przenikliwie.

– Ale możesz spać tam, a ja będę spał tutaj – zgodził się. Postanowiła sobie, że nie da się wziąć jak cielę. Nie podda się bez oporu. Widocznie przewidział sprytnie i to, bo ukrył drwiący uśmiech, okazał posłuszeństwo, a potem powiedział z radością i dumą:

– Wczoraj, ukochana, nazwałaś mnie alfonsem. Pozwól, że przedstawię ci prawdę: twój kochanek jest dyrektorem szkoły. Wszystkiego dowiesz się w swoim czasie.

Rozdział 25

Husajn Kirsza zbliżał się do zaułka Midakk i myślał: „Teraz akurat wszyscy będą w kawiarni, zobaczą mnie i zaraz powiedzą ojcu, że wróciłem, jeżeli on sam mnie nie zobaczy”. Noc już zapuściła zasłonę, sklepy w zaułkach pozamykano i zaległa cisza. Jedynie kawiarnia Kirszy rozbrzmiewała wieczorną wrzawą. Szedł ciężko, z twarzą pochmurną i sercem zgnębionym. Za nim szedł chłopiec mniej więcej w jego wieku i młoda dziewczyna. Husajn miał na sobie koszulę i spodnie, w prawym ręku niósł wielką walizę, taką samą jak chłopiec, który szedł za nim. Dziewczyna była ubrana w elegancką suknię, nie miała na sobie płaszcza ani milai. Była pełna gracji i wdzięku, choć pewna wulgarność w twarzy świadczyła o jej pochodzeniu. Husajn poszedł od razu w kierunku domu As-Sajjida Radwana al-Husajniego, nie odwracając się w stronę kawiarni. Weszli na trzecie piętro. Zapukał do drzwi, a twarz jeszcze bardziej mu spochmurniała. Usłyszał kroki i po chwili drzwi otworzyły się, i matka zapytała zachrypłym głosem:

– Kto tam?

W ciemności nie poznała go.

– Husajn!

– Husajn, synu mój! – krzyknęła, nie wierząc własnym uszom.

Podbiegła do niego, objęła go i całowała gorąco.

– Wróciłeś, synu. Chwała Bogu, chwała Bogu, który ci przywrócił rozsądek i uchronił cię od pokus szatana. Wejdz – śmiała się wzruszona – wejdz, ty zdrajco, pozbawiłeś mnie snu i zraniłeś serce.

Husajn wszedł, pochylił się do jej rąk, ciągle z twarzą nachmurzoną, jak gdyby jej gorące powitanie nie ulżyło jego kłopotom. Chciała zamknąć drzwi, ale przeszkodził jej.

– Chodźcie, wejdź, Sajjido, chodź, Abduhu! – powiedział. – To jest moja żona, mamó, a to jej brat.

Kobieta osłupiała. Patrzyła na przybyłych w pomieszaniu, a zauważywszy wyciągniętą na powitanie rękę, opanowała się i przywitała.

– Jak to, Husajn, jesteś żonaty? Witamy cię, panno młoda. Ożeniłeś się, nie powiadając nas o tym? Jak mogłeś się cieszyć na weselu, na którym nie było twoich rodziców? Przecież my jeszcze żyjemy.

– Szatan jest przebiegły – odpowiedział Husajn zażenowany. – Byłem zły, wściekły na ojca... Takie było przeznaczenie.

Kobieta wzięła ze ściany lampę, zaniósła ją do salonu i postawiła na parapecie zamkniętego okna. Przyglądała się żonie syna.

– Na Boga, wasza nieobecność bardzo nas martwiła – powiedziała dziewczyna – ale nic nie mogliśmy na to poradzić.

Jej brat także wyraził ubolewanie. Kobieta uśmiechnęła się, choć jeszcze nie ochłonęła ze zdumienia.

– Witajcie, witajcie wszyscy – mamrotała.

Zaniepokoił ją ponury i surowy wygląd syna. Zauważyła, że od chwili, gdy wszedł, z jego ust nie padło ani jedno miłe, przeznaczone dla niej, słowo.

– Więc przypomniałeś sobie o nas nareszcie – powiedziała.

Husajn smutno pokiwał głową.

– Wyrzucili mnie.

– Wyrzucili cię? Czy to znaczy, że teraz jesteś bez pracy?

Zanim zdążył otworzyć usta, usłyszeli mocne pukanie do drzwi. Matka z synem wymienili znaczące spojrzenia, po czym wyszli z pokoju jedno za drugim.

– To na pewno ojciec.

– Chyba tak, widział cię, chciałam powiedzieć, widział was?

Młodzieniec nie odpowiedział, podszedł do drzwi, otworzył je i do mieszkania wszedł wzburzony ma'allim Kirsza. Zobaczył syna i krew mu uderzyła do głowy z wściekłości.

– To ty? Mówili mi, ale nie wierzyłem. Po co wróciłeś?

– Nie jesteśmy sami, porozmawiamy w twoim pokoju – powiedział cicho Husajn.

Poszedł szybko do pokoju ojca, a ma'allim Kirsza podążył za nim, klnąc. Matka poszła z nimi i zapaliła lampę.

– W drugim pokoju jest żona twojego syna i jej brat – powiedziała ostrzegawczo i zarazem z prośbą w głosie.

– Co ty mówisz, kobieto? – ma'allim Kirsza aż podniósł ciężkie powieki ze zdumienia. – Naprawdę, ożeniłeś się?

Husajn był niezadowolony, że matka powiedziała o tym ojcu bez żadnych wstępów, i przyznał się.

– Tak, ojczy, ożeniłem się.

Ma'allim Kirsza milczał chwilę, zgrzytając zębami, ale nie miał zamiaru robić synowi wymówek za to, że ożenił się bez jego wiedzy, wymówka w jego mniemaniu byłaby okazaniem miłości. Postanowił zlekceważyć wydarzenie, tak jakby w ogóle o nim nie słyszał.

– To mnie absolutnie nie obchodzi – powiedział. – Pozwól natomiast, że cię zapytam, dlaczego wróciłeś do domu, dlaczego pokazałeś mi swoją twarz, kiedy Bóg mnie już od niej uwolnił?

Husajn wolał nie odpowiadać i siedział, podparłszy brodę.

– Wyrzucili go z pracy, ma'allimie – rzekła matka.

Młodzieniec po raz drugi spojrział na nią wrogo. Po co ten pośpiech! Natomiast Kirsza wpadł w jeszcze większy gniew i krzyknął tak, że kobieta pośpiesznie zamknęła drzwi.

– Wyrzucili cię! Bóg tak chciał! Czy mój dom jest przytułkiem? Porzuciłeś nas, ty odważniaku, dopiekleś nam do żywego, ty sukinsynu. Po co teraz wracasz? Zejdź mi z oczu! Wracaj do swojego czystego życia z wodą i elektrycznością. Jazda stąd!

– Uspokój się, ma'allimie, i pomódl do Boga.

– Jeszcze go bronisz, ty córko diabła! Wszyscy jesteście diabelskie nasienie i zasługujecie na bat i piekielne tortury. Czego chcesz, ty matko wszelkiego zła? Może mam go przygarnąć z całą rodziną? Może ci powiedzieli, że jestem alfonsem i że pieniądze wala do mnie drzwiami i oknami? No to wiedzcie, że policja krąży wokół nas. Wczoraj aresztowali czterech moich przyjaciół, a jutro może być jeszcze gorzej, jeśli Bóg zechce.

Kobieta robiła, co mogła, żeby zachować cierpliwość.

– Módl się do Boga, ma'allimie, uspokój się – powiedziała z niezwykłą u niej delikatnością.

– Zapytaj go, po co przyszedł.

– Nasz syn był lekkomyślny, stracił głowę, szatan go opętał i sprowadził na złą drogę. Nie ma teraz nikogo poza tobą.

– Prawdę powiedziałaś, ty matko zła, nie ma teraz nikogo poza mną. Poza mną, którego przeklinał, kiedy mu było dobrze, i do którego wraca, kiedy mu jest źle.

Popatrzył na Husajna z ogromną pogardą i zapytał:

– Dlaczego cię wyrzucili?

Kobieta odetchnęła głęboko, bo zrozumiała instynktownie, że to pytanie – mimo gorzkiego tonu – jest wstępem do upragnionego porozumienia.

– Wyrzucili nie tylko mnie, bardzo wielu – odpowiedział cicho zrezygnowanym głosem Husajn. – Mówią, że wojna już jest prawie skończona.

– Kończy się wojna w polu, zaczyna w moim domu. Dlaczego nie pójdziesz do domu rodziny swojej żony?

– Ona ma tylko brata.

– To dlaczego nie pójdziesz do niego?

– Jego też wyrzucili.

– Proszę, bardzo proszę. Oczywiście, że nie znajdziesz dla tej szlachetnej rodziny, doświadczonej przez los, innego schronienia niż moje dwa pokoje. Proszę bardzo, proszę. Nie uzbierałeś czasem majątku? – ma'allim śmiał się złośliwie.

– Nie – odparł Husajn gniewnie i odetchnął.

– Dobrze ci się powodziło. Żyłeś jak król. Elektryczność, woda, rozrywki. I wróciłeś, jak zaczynałeś, jak żebrak.

– Mówią, że wojna się nie skończy, że Hitler jeszcze będzie walczył dziesiątki lat, zanim przystąpi do ostatecznego ataku.

– Ale jeszcze nie zaatakował i ukrył się (jeszcze na razie nie mówią, że umarł), pozostawiając takiego jednego naiwnego z pustymi rękami. A szanowny brat pani?

– On jest w takiej samej sytuacji.

– Wspaniale, wspaniale. Twój ojciec ma szczęście. Przygotuj dom, pani Umm Husajn, nawet jeżeli jest on nędzny i nie odpowiada ich pozycji. Założę wodę bieżącą, elektryczność, a może nawet odkupię powóz As-Sajjida Ulwana do waszej dyspozycji.

– Dosyć, ojcze, przestań już.

– Przepraszam, uraziłem cię? – powiedział ma'allim ironicznie. – Delikatne stworzenie. Powaga i godność. Upadłym ulubieńcom tłumów należy się szacunek. Wstydz się, ma'allimie Kirszo, z panami należy rozmawiać językiem panów. Proszę, rozbierz się, a ty, Umm Husajn, otwórz ten skarbiec w ubikacji i ugość jak należy jego dostojność beka.

Husajn nie powiedział ani słowa, choć drżał z gniewu. Burza przeszła. Matka wzdychała: „O, Boże litościwy, o Boże miłosierny”. Ma'allim mimo wściekłości odstąpił od zamiaru wypędzenia syna z domu. Może nawet w tej chwili odczuwał coś w rodzaju ulgi ze względu na jego powrót i radość z jego małżeństwa. Dlatego zaprzestał drwin i mruzczał:

– Wszystko w ręku Boga, wynagrodzi mi za was. Co zamierzasz na przyszłość? – zapytał Husajna.

Husajn poczuł, że najgorsze minęło, i odpowiedział:

– Znajdę pracę, jeśli Bóg pozwoli. Mam na razie biżuterię żony.

– Kupiłeś jej? – matka jakby obudziła się na słowo: biżuteria.

– Trochę kupiłem, trochę kupił jej brat.

Zwrócił się do ojca:

– Poszukamy pracy, Abduh także będzie jej szukał. W każdym razie on zostaje z nami tylko parę dni.

Umm Husajn skorzystała z chwili spokoju po burzy i powiedziała do męża:

– Chodź, ma'allimie, przywitaj się z rodziną twojego syna.

Spojrzała na syna ukradkiem i mrugnęła.

– Nie zaszczycisz mojej rodziny? – zapytał Husajn szorstko jak ktoś, kto nie lubi sentymentów.

Ma'allim wahał się chwilę.

– Chcesz, żebym uznał to małżeństwo, którego nie pobłogosławiłem?

Nie usłyszał odpowiedzi, podniósł się więc niechętnie, a kobieta otworzyła drzwi i poprowadziła go do drugiego pokoju. Przywitali się. Ma'allim złożył życzenia żonie syna i jej bratu. Wszyscy poczuli ulgę, wymieniali serdeczności i komplementy. Ma'allim uznał fakt dokonany, ale nie był pewny, czy nie popełnił błędu, i długo nie opuszczał go zły nastrój. W trakcie rozmowy przyjrzał się uważnie bratu dziewczyny i wkrótce zainteresował się młodym chłopcem tak, że zapomniał o niezadowoleniu, gniewie i niepokoju. Chłopiec był piękny i bardzo sympatyczny. Ma'allim patrzył na niego ogromnie podekscytowany. Rad był nowej rodzinie i po raz drugi powitał ich serdecznie w swoim domu.

– Nie masz mebli, Husajn? – zapytał syna serdecznie.

– Zagracony pokój u sąsiadów.

– To idź i pozbieraj graty.

Husajn długo jeszcze rozmawiał z matką o swoich planach. Wreszcie na koniec kobieta przypomniała sobie coś:

– Wiesz, co się stało? Hamida zniknęła.

– Jak to zniknęła? – zapytał ze zdumieniem.

Matka opowiedziała mu o wszystkim, nie ukrywając, że potępia dziewczynę.

– Pewnego dnia wyszła jak zwykle po południu na spacer i nie wróciła. Jej matka obeszła domy wszystkich znajomych i sąsiadów, była na posterunku w Al-Dżamalijji i w szpitalu na Kasr al-Ajni. Wszystko na nic.

– Ciekawe, co się z nią stało?

– Po prostu uciekła – powiedziała kobieta z przekonaniem. –
Opętał ją jakiś mężczyzna, zawładnął jej umysłem i uprowadził. Była
piękna, ale niedobra.

Rozdział 26

Hamida otworzyła oczy zaczerwienione od snu i zobaczyła uderzającej białości sufit, pośrodku którego wisiała wspaniała lampa elektryczna w kształcie dużej czerwonej kuli z przezroczystego kryształu. Ogarnęło ją zdumienie, które jednak trwało tylko sekundę. Przypomniała sobie wydarzenia poprzedniego wieczora. Spojrzała na zamknięte drzwi, a potem na szafce stojącej obok łóżka zobaczyła klucz, który tam wczoraj położyła. Postawiła na swoim. Spała sama, a on także spał sam w innym pokoju. Uśmiechnęła się do siebie i odrzuciła miękką kołdrę całą w jedwabnych koronkach, wobec której jej suknia wydała się czymś żalnym. Jakże ogromna przepaść dzieli ją od przeszłości. Przez zamknięte okiennice wpadały promienie słońca, oświetlając pokój lekkim, bladym światłem. Obudziła się późno, ale nie dziwiło jej to, przecież nie spała do świtu. Usłyszała lekkie pukanie do drzwi i spojrzała zaniepokojona w ich kierunku, nie ruszając się z miejsca. Potem podeszła do toaletki i stanęła przed lustrem zdziwiona i zmieszana. Lekkie pukanie do drzwi powtórzyło się i Hamida krzyknęła:

– Kto tam?

Usłyszała jego głęboki głos:

– Dzień dobry... nie otworzysz mi?

Zobaczyła w lustrze swoje potargane włosy, zaczerwienione oczy i ciężkie powieki. „O Boże! Czy tu nie ma wody, żeby umyć twarz? Czy on nie poczeka, aż się ubiorę?” Znowu zapukał trochę niecierpliwie, ale udała, że nie słyszy. Przypomniała sobie, jak ją zaczepił po raz pierwszy na Ad-Darrasa, kiedy właśnie zapomniała się umalować; dzisiaj odczuwa z tego powodu jeszcze większy niepokój. Zobaczyła butelki perfum na stoliku, ale nie wiedziała, jak ich

używać. Wzięła grzebień z kości słoniowej, uczesała się pośpiesznie, a potem wytarła twarz końcem sukienki. Rzuciła okiem w lustro i westchnęła niezadowolona, ale wzięła klucz i poszła otworzyć drzwi, wzruszając ramionami. Stali przed sobą twarzą w twarz. Uśmiechnął się delikatnie i słodko.

– Dzień dobry, Titi! – powiedział – Dlaczego kazałaś mi czekać tak długo? Chcesz zrobić z dnia noc i podobnie spędzić go z dala ode mnie?

Odsunęła się, nie powiedziawszy ani słowa, ale on wszedł za nią ciągle z tym samym uśmiechem.

– Dlaczego nic nie mówisz, Titi?

Titi! Czy to ma być imię pieszczotliwe? Kiedy matka zwracała się do niej pieszczotliwie, nazywała ją Hamdamad. Ale Titi?

– Titi! – powtórzyła z dezaprobatą.

Wziął jej rękę w swoje dłonie i pokrył pocałunkami.

– To twoje nowe imię. Zapamiętaj je dobrze, a zapomnij Hamidę, bo ona już nie istnieje. Imię, moja ukochana, to nie jest sprawa błaha, przeciwnie, ono jest wszystkim. Gdybyś знаła świat, tobyś wiedziała, że to są właściwie tylko imiona.

Zrozumiała, że on uważa jej imię, tak jak i jej stare ubranie, za coś, z czym należy zerwać, złożyć w grobowcu zapomnienia. Nie miała nic przeciwko temu, bo na ulicy Szarif Basza powinna się nazywać inaczej niż w zaułku Midakk. A poza tym czuła głęboko, choć nie bez obaw, że jej więzy z przeszłością zostały raz na zawsze zerwane. Dlaczego ma więc zostać przy swoim imieniu? Och, gdyby mogła zamienić swoje ręce na ręce nowe, piękne, jak jego, zamienić swój głos, którego wysokie tony były brzydkie i wulgarne, na głos delikatny, miękki. Ale co mu przyszło do głowy wybrać jej takie dziwne imię? Nie mogła się powstrzymać, żeby nie zwrócić mu na to uwagi.

– Dziwne imię, całkiem bez sensu.

– Piękne imię – odpowiedział, śmiejąc się – właśnie dlatego, że nic nie znaczy. A imię, które nic nie znaczy, ma mnóstwo znaczeń, co więcej, jest to imię stare – czarowne, miłe dla Anglików i Amerykanów i łatwe do wymówienia dla ich pokręconych języków.

W oczach jej pojawiło się zmieszanie, a jednocześnie gotowość do oporu i walki. Uśmiechnął się łagodnie i mówił dalej:

– Titi, kochanie, bądź cierpliwa, niedługo dowiesz się wszystkiego. Już jutro staniesz się wspaniałą panią, piękną i sławną. To jest cud tego domu. Myślałaś, że to niebo daje deszcz w postaci złota i diamentów? Nie, kochanie, niebo w naszych czasach zsyła tylko odpadki. Teraz przygotuj się na przyjęcie krawcowej. Ach, przepraszam, przypomniała mi się ważna sprawa. Muszę ci towarzyszyć w zwiedzaniu naszej szkoły. Jestem jej dyrektorem, kochanie, a nie stręczycielem, jak mnie wczoraj nazwałaś. Włóż szybko sukienkę i sandały. Wziął z toaletki pękata niebieską butelkę z czerwoną gumową rurką i skierował na jej policzek strumień o mocnym aromacie. Drgnęła i krzyknęła, ale po chwili z przyjemnym zdziwieniem poddała się jego dobroci. Podał jej sukienkę i sandały, po czym wziął ją pod rękę i zaprowadził do innego pokoju, a następnie przez przedpokój do pokoju po prawej jego stronie.

– Pamiętaj, nie okazuj wstydu ani niepokoju. Wiem, że jesteś odważna i niczym się nie przejmujesz.

Ta uwaga otrzeźwiła ją. Popatrzyła na niego hardo i lekceważąco, z podniesioną głową.

– Oto pierwsza klasa – powiedział, otwierając drzwi. – Klasa tańca arabskiego.

Był to pokój średniej wielkości, elegancki, z błyszczącą, drewnianą podłogą, prawie bez mebli, jeśli nie liczyć kilku krzeseł pod lewą ścianą i dużego wieszaka w najdalszym kącie. Na krzesłach siedziały dwie dziewczyny, a pośrodku pokoju stał chłopiec w białej,

jedwabnej, bardzo cienkiej galabii, przewiązanej pasem. Głowy obecnych zwróciły się w stronę drzwi i na ich twarzach pojawił się uśmiech powitania.

– Dzień dobry – powiedział Faradz Ibrahim głosem władcy. – To jest moja przyjaciółka, Titi.

Dziewczęta pochyliły głowy w powitaniu, a młodzieniec odpowiedział kobiecym głosem:

– Witaj, ślicznotko.

Titi oddała powitanie trochę zażenowana, a spojrzenie jej spoczęło na dziwnym młodzieńcu. Miał, choć na to nie wyglądał, chyba około czterdziestki, był brzydki, zezowaty, umalowany jak kobieta kulem, różem i pudrem, a jego ufryzowane włosy błyszczały od brylantyny.

Faradz Ibrahim uśmiechnął się, przedstawiając go:

– To jest Susu, nauczyciel tańca.

A Susu, tak jakby chciał przedstawić się jej sam w specjalny sposób, mrugnął na dziewczęta, a one zaczęły klaskać rytmicznie, Susu tańczył, wijąc się jak wąż ze zdumiewającą swobodą, lekkością i miękkością, jakby nie miał kości ani stawów, albo jakby był z gumy.

Drgały mu: pośladki, talia, pierś, szyja, brwi. Rzucił wokół powłóczyście spojrzenia i uśmiechał się uwodzicielsko złotymi zębami. W końcu ostatnim mocnym drgnięciem zakończył taniec, wyprostował się, a dziewczęta przestały wybijać rytm.

– Nowa uczennica? – zapytał Faradza Ibrahima.

– Myślę, że tak.

– Tańczyła już?

– Nie, skąd!

– To bardzo dobrze, panie Faradž. Będzie to świeże miękkie ciasto, które wmodeluję, jak będę chciał. Najgorzej uczyć te, które tańczyły już kiedyś bez żadnych reguł.

– Czy uważasz, że taniec jest zabawą, ślicznotko? – zwrócił się do Titi, wyciągając szyję to w prawo, to w lewo. – Och, przepraszam, kochanie. To jest sztuka nad sztuki, a jej nauczycielom należy się raj za trudy nauczania. Spójrz!

Rzucił nagle biodrem z zadziwiającą szybkością, po czym zatrzymał się, patrząc na nią:

– Zdejmij tę suknię, chcę obejrzeć twoje ciało.

Ale Faradž Ibrahim wtrącił pośpiesznie:

– Nie teraz... nie teraz...

Susu zrobił smutną minę.

– Wstydzisz się mnie, Titi? Jestem twoją siostrą! Nie podoba ci się mój taniec?

Hamida wszelkimi siłami starała się zwalczyć skrepowanie i zażenowanie, okazać chłód, spokój, obojętność, a nawet zadowolenie.

– Twój taniec jest wspaniały, Susu – powiedziała.

Susu klasnął w ręce z radości.

– Jesteś szlachetną dziewczyną. Życie przemija, Titi, i najpiękniejsze w nim są słodkie słowa. Co jest pewnego na tym świecie? Kupujesz pudełko brylantyny i nie wiesz, czy będzie ona służyła twoim włosom, czy włosom twojego potomka.

Wyszli z pokoju, czy też klasy, i przez przedpokój przeszli do następnego pomieszczenia. Faradž zauważył, że dziewczyna patrzy na niego pytająco, ale udał, że tego nie widzi.

– Klasa tańca zachodniego – powiedział, wskazując drzwi. Hamida milczała, wiedziała, że wycofać się już nie może, że

teraźniejszość całkowicie przekreśliła przeszłość i że nie pozostaje jej nic innego, jak podporządkować się losowi.

„Czy rzeczywiście zdobędę to upragnione szczęście?” – zapytywała siebie w duchu. Następny pokój wydał się jej podobny do poprzedniego zarówno pod względem kształtu, jak i wyglądu, ale był bardziej żywy, pełen ruchu i hałaśliwy. Z gramofonu płynęła melodia dziwna i trudna do przyjęcia dla jej ucha. Tańczono parami, po dwie dziewczyny, a elegancko ubrany młody człowiek obserwował je uważnie i udzielał im rad. Mężczyźni wymienili powitanie, podczas gdy dziewczęta, nie przerywając tańca, patrzyły badawczo na Hamidę wzrokiem krytycznym i przenikliwym. Hamida rozglądała się po sali, podziwiała wspaniałe suknie tańczących i ich staranny, dziwny makijaż. Znikły jej niepokoje i podejrzenia, a ich miejsce zajęło oszołomienie i bolesne uczucie upokorzenia. Ale minęło i to, opanował ją entuzjazm i zapał. Spojrzała na Faradża, jak zwykle zachował spokój, a jego oczy wyrażały siłę i nieustępliwość. Jakby go ściągnęła wzrokiem, bo nagle obejrzał się i twarz mu się wypogodziła.

– Podoba ci się? – zapytał.

– Bardzo – odpowiedziała z prostotą, przewyciężając wzruszenie.

– Który taniec wolisz?

Uśmiechnęła się, ale nie odpowiedziała. Zostali jeszcze chwilę, milcząc, a potem poszli w stronę trzeciego pokoju. Ciekawość nie zniknęła z twarzy Hamidy. Za ledwie uchylły się drzwi trzeciego pokoju, stanęła zdumiona i zmieszana. Na środku pokoju stała naga kobieta. Hamida przez kilka sekund nie odrywała od niej oczu, nie widząc nic poza nią. A najbardziej zdziwiło ją, że kobieta stała tak, naga, na swoim miejscu, lekceważąc zupełnie ich wejście. Patrzyła na nich spokojnie i cynicznie, z lekkim uśmiechem powitała ich oboje, ale przede wszystkim jego. Wtedy dopiero Hamida posłyszała głosy. Rozejrzała się na prawo i lewo, stwierdziła, że w pokoju jest

pełno ludzi. Po lewej stronie zobaczyła rząd krzeseł, na którym siedziały ładne dziewczyny rozebrane do połowy lub właściwie rozbierające się, a obok nagiej kobiety stał mężczyzna w eleganckim garniturze z pałeczką opartą o czubek buta. Faradz zauważył osłupienie Hamidy i chcąc je rozproszyć, powiedział:

– To jest klasa nauki początków języka angielskiego.

Hamida nie mogła ukryć dezaprobaty jakby chciała powiedzieć: „Nic z tego nie rozumiem”. Faradz gestem poprosił ją o cierpliwość i zwrócił się do mężczyzny z pałeczką:

– Proszę kontynuować lekcję, profesorze.

– Jest to lekcja wymowy – powiedział posłusznie nauczyciel i podniósł pałeczkę do głowy rozebranej kobiety. Kobieta wymówiła dziwne słowo: „hiir”. Następnie pokazał czoło, a kobieta krzyknęła: „frant”. Po czym przeszedł kolejno do brwi, oka, ust i pozostałych części ciała, a ona odpowiadała na te milczące pytania słowami dziwnymi, jakich Hamida nigdy przedtem nie słyszała. To pogłębiło jej zdumienie i niepokój. „Jak może ta kobieta stać goła przed wszystkimi? – zadała sobie pytanie. – Jak może Faradz patrzeć tak obojętnie na to nagie ciało?” Krew w niej zawrzała, policzki zapłonęły. Rzuciła mu szybkie spojrzenie, ale on kiwał głową, zadowolony z pojętej uczennicy, i powtarzał: „Brawo! Brawo!”

– A może coś z flirtu – poprosił nauczyciela.

Mężczyzna odłożył pałeczkę na bok i zbliżył się do kobiety, mówiąc coś po angielsku, a ona odpowiadała. Rozmawiali kilka minut płynnie i potoczycie, aż Faradz krzyknął:

– Wspaniale, wspaniale. A jak inne?

– Coraz lepiej – odpowiedział nauczyciel. – Ciągłe im powtarzam, że języka obcego nie należy uczyć się na pamięć w szkole, ale w praktyce. Kawiarnie i pensjonaty – to są prawdziwe

domy nauki, a ta lekcja jest tylko utrwaleniem rozproszonych wiadomości.

– To prawda, masz rację – odpowiedział Faradz, patrząc na dziewczynę.

Pożegnał profesora skinieniem głowy, wziął Hamidę pod rękę i wyszli.

Hamida szła z twarzą stężoną, ustami zaciśniętymi, a w oczach jej widać było niepewność i zmieszanie. Szukała pretekstu do wybuchu, chciała jakoś wyładować swoje wzburzenie. Mężczyzna milczał i dopiero gdy znaleźli się w pokoju, odezwał się z czułością:

– Cieszę się, że mogłem ci pokazać moją szkołę. Być może jej program wydał ci się trudny, ale na własne oczy widziałaś wspaniałe uczennice, a żadna z nich nie dorównuje tobie ani inteligencją, ani urodą.

Hamida spojrzała na niego zimno.

– Chcesz, żebym robiła to, co one? – zapytała.

Uśmiechnął się łagodnie i chytrze.

– Nikt nie chce ci niczego narzucić ani kierować twoim losem. Sama będziesz panią swoich czynów. Moim obowiązkiem jest wyjaśnić ci pewne sprawy, wskazać to, co jest dla ciebie najlepsze. Miałem szczęście, bo znalazłem w tobie piękną, ambitną i inteligentną współpracowniczkę, której wystarczy tylko jedna wskazówka. Jeżeli dzisiaj w tobie obudzę entuzjazm, to być może jutro ty obudzisz go we mnie. Znam cię dobrze i czytam w twoim sercu jak w otwartej książce. Radzę ci więc szczerze: zabierz się do nauki tańca i języka angielskiego, a wkrótce nauczysz się świetnie jednego i drugiego. Od początku jestem z tobą szczerzy, odrzucam kłamstwa i krętactwa, bo cię kocham szczerze. Od pierwszej chwili wiedziałem, że nie można cię oszukać ani przechytryć. Rób, jak chcesz, kochanie! Ćwicz

taniec lub wypnij się na wszystko! Wracaj do siebie lub zostań! O nic nie będę miał do ciebie pretensji.

Jego tyrada nie padła w próżnię. Hamidę opuścił niepokój i zezłżało jej napięcie. Podeszedł do niej, wziął jej ręce w swoje i uściskał czule.

– Jesteś największym szczęściem, jakie mi przyniosło życie, jesteś piękna... jaka ponętna... – szeptał.

Patrzył jej w oczy uważnie i uwodzicielsko. Podniósł jej ręce do ust i zaczął okrywać pocałunkami końce jej palców, a ona nie protestowała. Czowała, jak przy każdym pocałunku przeszywa ją prąd. Oczy jej zaszły mgłą czułości i miłości, a z ust wyrwało się gorące westchnienie. Otoczył ją ramieniem i powoli przycisnął do siebie, czując na sercu ucisk jej dziewiczej, twardej i pełnej piersi. Dotykał jej pleców, pieścił ją, a Hamida ukryła twarz na jego piersi.

– Usta – szepnął.

Podniosła wolno głowę i uchyliła usta, a on przycisnął je wargami w długim pocałunku. Zamknęła powieki, omdlała. Podniósł ją i niósł jak niemowlę na rękach w stronę łóżka. Zrzucił jej chodaki z nóg i położył ją na łóżku, pochylając się nad nią podparty na rękach, wpatrzony w jej zaróżowioną twarz. Otworzyła oczy i spotkała jego spojrzenie. Uśmiechnął się czule, a ona patrzyła mu w oczy spokojnie. Panował nad sobą, wbrew temu, co się mogło wydawać, i jego głowa pracowała dużo aktywniej niż serce. Nakreślił sobie plan i nie chciał od niego odstąpić. Wyprostował się i powstrzymując chytry uśmiech, powiedział do siebie, chcąc opanować namiętność: Spokojnie, Faradz... spokojnie... Oficer amerykański zapłaci jak nic pięćdziesiąt funtów za dziewicę!

Spojrzała na niego osłupiała i błyskawicznie zniknął z jej oczu wyraz słabości. Usiadła na łóżku, zsunęła się szybko na podłogę i stanęła przed Faradzem rozwścieczona. Poniósł ją temperament. Wyciągnęła rękę i z całej siły uderzyła go w policzek, aż echo poszło

po pokoju. Faradž stał chwilę jak skamieniały, po czym uśmiechnął się drwiąco i oddał jej mocny policzek, a zanim się ocknęła, drugi. Hamida zbladła, usta jej drżały, ciałem wstrząsały dreszcze. Rzuciła się na niego, wpijając paznokcie w jego szyję. Przyjął ten atak spokojnie, nie próbował się bronić. Po chwili chwycił ją mocno za rękę. Rozluźniła ucisk wokół szyi, ale uczepiła mu się ramion i wisiała na nim z twarzą zaognioną, ustami drżącymi z namiętności.

Rozdział 27

Ciemność rozpostarła swoją zasłonę nad zaułkiem i głęboka cisza zapanowała wokół. Nawet kawiarnia Kirszy zamknęła podwoje i opuścili już ją wieczorni goście. Zajta, producent kalek, wysunął się z piekarni, przeciął zaułek i udał się w stronę As-Sanadikijji na swoją nocną wędrówkę. Niedaleko meczetu Al-Husajna prawie wpadł na mężczyznę wyłaniającego się z ciemności. Dopiero kiedy słabe światło gwiazd oświetliło jego twarz, Zajta krzyknął zdumiony:

- Doktor Buszi?! Skąd pan wraca o tej porze?
- Szedłem właśnie do ciebie – odparł doktor Buszi pośpiesznie.
- Ma pan zamówienie na kaleki?
- Mam coś ważniejszego. Zmarł Amm Abd al-Hamid at-Talibi.

Oczy Zajty zablęskły w ciemnościach.

- Kiedy? Już jest pochowany?
- Tak, dziś wieczorem.
- Wie pan, gdzie jest jego grób?
- Między Bab an-Nasr a Tarik al-Dżabal.

Zajta wziął go pod pachę i poszli w stronę wskazaną przez doktora.

- Trafimy po ciemku?

– Tak. Bardzo uważałem na pogrzebie i zapamiętałem dobrze drogę. A poza tym jest to droga dobrze nam znana, już wiele razy nią szliśmy w podobnych ciemnościach.

- Ma pan narzędzia?

- Tak, w bezpiecznym miejscu koło meczetu.
- Grób jest odkryty czy pod dachem?
- U wejścia do grobowca jest dach, ale sam grób znajduje się na małym, odkrytym dziedzińcu.
- Znał pan nieboszczyka?
- Niewiele. Sprzedawał mąkę w Al-Mida.
- Cała proteza czy tylko parę zębów?
- Cała.
- Nie przypuszcza pan, że rodzina wyjęła mu protezę przed pogrzebem?
- Skąd! To są ludzie ze wsi, bardzo pobożni, jak mogliby coś takiego zrobić!
- Gdzie te czasy, kiedy ludzie powierzali grobom biżuterię swoich zmarłych – powiedział smutno Zajta.
- Gdzie te czasy! – westchnął doktor Buszi.

W gęstej ciemności i całkowitej ciszy przeszli przez Al-Dzamaliję, minęli po drodze dwóch policjantów i zbliżyli się do Bab an-Nasr. Zajta wyciągnął z kieszeni pół papierosa i zaciągnął się łapczywie.

- Nie mogłeś wybrać lepszego momentu do palenia papierosa – odezwał się doktor Buszi, bojąc się, że światło zapalki może ich zdradzić. Ale Zajta nie przejął się jego słowami.

- Z żywych nie ma żadnej korzyści, ale za to ze zmarłych czasami trochę jest – mówił jakby do siebie.

Za Bab an-Nasr skęcili w prawo na wąską drogę, wzdłuż której po obu stronach znajdowały się groby.

Cisza panowała tu jeszcze większa i bardziej przerażająca.

– Oto meczet – powiedział Zajta, gdy przeszli mniej więcej jedną trzecią drogi.

Doktor Buszi rozejrzył się uważnie dokoła, chwilę nasłuchiwał, po czym ostrożnie, by nie hałasować, podszedł do meczetu. Pomacał ziemię pod ścianą tuż przy wejściu do meczetu i znalazł duży kamień. Odsunął go i wyciągnął z dziury małą motykę i zawiniętą w papier świeczkę. Z tym wrócił do towarzysza.

– To jest piąty grobowiec przed drogą pustynną – powiedział szeptem.

Szli szybko, a oczy doktora Buszi penetrowały lewą stronę drogi. Serce biło mu mocno. Nagle nieco zwolnił i powiedział tylko: „to ten grobowiec”, po czym ponaglił towarzysza do jeszcze szybszego marszu.

– Od tej strony mur jest wysoki – powiedział – a droga niezbyt bezpieczna. Lepiej podejść od strony pustyni i wejść od tyłu.

Zajta nie protestował. W milczeniu dotarli do drogi pustynnej i tu Zajta zaproponował, żeby usiedli na chwilę i obejrzelik okolice. Siedli na ziemi blisko siebie i czworo oczu obserwowało drogę. Ciemność była zupełna, miejsce bezludne. Za nimi bezładnie rozrzucone groby zajmowały szmat ziemi, którego nie można było ogarnąć wzrokiem. Mimo że doktor Buszi nie pierwszy raz podejmował taką ryzykowną wyprawę, nie mógł opanować nerwów i niespokojnego bicia serca. Wpatrywał się w ciemność napięty, ślina mu wysychała w ustach. Zajta tymczasem siedział zupełnie spokojny i opanowany, prawie obojętny. Kiedy się upewnił, że droga jest pusta, powiedział do doktora Buszi:

– Niech pan zostawi narzędzia, podejdzie do tylnej ściany grobowca i poczeka tam na mnie.

Doktor Buszi, chcąc nie chcąc, podniósł się i przemknął między grobami do grobowców. Szedł wzdłuż nich, trzymając się ścian w ciemności, której nie rozjaśniało nic poza gwiazdami. W ten sposób

dotarł do piątego grobowca, rozejrzał się wokół okiem złodzieja i usiadł po turecku. Oczy jego nie napotkały niczego podejrzanego ani do uszu nie dotarł żaden dźwięk, a mimo to nie opuszczał go niepokój i strach. Po krótkim czasie zobaczył wyłaniającą się z ciemności postać Zajty na odległość ramienia. Wstał więc i czekał. Zajta obejrzał dokładnie mur.

– Niech się pan schyli, wejdę po pana plecach.

Doktor zgiął się w pałąk, opierając ręce na kolanach, a Zajta wspiał się po jego plecach, zręcznie i lekko wskoczył na mur. Następnie rzucił na dziedziniec grobowca motykę i świeczkę i wyciągnął rękę do doktora, żeby mu pomóc wdrapać się na górę. Zeskoczyli razem i chwilę stali, odpoczywając. Oczy przyzwyczyły się już do ciemności, oswoiły ze słabym światłem gwiazd. Zajta podniósł narzędzia, patrzył na dziedziniec grobowca, gdzie tuż koło nich wznosiły się dwa groby. W głębi widać było drzwi, wychodzące na drogę, którą niedawno szli.

– Który grób?

– Ten po prawej.

Zajta podszedł do grobu bez wahania, za nim doktor Buszi, drżąc na całym ciele. Schylił się, macając ziemię, stwierdził, że jest jeszcze świeża i wilgotna. Zagłębił w niej motykę uważnie i ostrożnie zaczął odkopywać grób, tworząc kopiec ziemi między nogami. Robotę znał, nie było to dla niego nic nowego i szybko odkrył schodki, które tworzyły daszek komory grobowej. Podwinał galabiję, zawiązał ją w pasie, podszedł do pierwszego stopnia i z wysiłkiem odsunął go, a potem przy pomocy doktora Buszi zwałił na ziemię. To samo zrobił ze stopniem drugim. Otwór był wystarczający, aby mogli obydwaj wsunąć się do wnętrza.

– Niech pan idzie za mną – rozkazał doktorowi Buszi, który usiadł na schodach, zapalił świecę i umocował ją na najniższym stopniu, po czym zamknął oczy i wtulił głowę między kolana. Nie

miał ochoty schodzić do grobu i długo prosił Zajtę, żeby się nad nim zlitował i nie kazał mu tego robić. Zajta, rozkoszując się w duchu dręczeniem go, nie miał zamiaru wyświadczać mu takiej przysługi. Stanowczo odmawiał jakiegokolwiek pracy, jeżeli nie będą jej wykonywali razem. Knot świeczki rozpałił się na dobre i oświetlił wnętrze grobu. Zajta spojrzawszy kamiennym wzrokiem na trupy zawinięte w całuny ułożone w porządku. Zajmowały całą przestrzeń, leżały równolegle jeden za drugim, zgodnie z biegiem historii i upływem czasu. Przemawiały przerażającą wieczną ciszą, która jednak nie robiła na Zajcie żadnego wrażenia. Natychmiast spostrzegł nowy całun leżący tuż przy wejściu i usiadł przy nim po turecku. Znalazł głowę trupa, wymacał usta, brudząc sobie palce, wyciągnął z nich sztuczną szczękę i włożył ją do kieszeni. Nakrył z powrotem głowę trupa całunem i odwrócił się w stronę wejścia. Doktor Buszi siedział ciągle z głową między kolanami, świeczka paliła się na ostatnim schodku.

– Niech się pan ocknie – powiedział Zajta, rzucając mu spojrzenie pełne pogardy.

Doktor podniósł głowę, wziął świeczkę, zgasił ją i rzucił się po schodkach w górę, jakby go kto gonił. Zajta ruszył za nim, ale nim wyszedł z grobu, do uszu jego dobiegł przeciągły krzyk doktora Buszi: „Litości!” Na chwilę zamarł, po czym cofnął się w dół nie wiedząc, co robić. Chciał już zmieszać się z trupami, ale zanim zrobił ruch, dopadło go oślepiające światło. Zamknął oczy i usłyszał silny głos człowieka, mówiącego w dialekcie górnego Egiptu:

– Wychodź, bo będę strzelał.

Nie widział innego wyjścia, poddał się i wyszedł, zapominając o złotej szczęce w kieszeni.

Wiadomość o aresztowaniu doktora Buszi i Zajty w grobowcu At-Talibiego dotarła do zaułka dopiero po południu następnego dnia. Rozeszła się szybko i wprawiała ludzi w zdumienie i zaniepokojenie. Pani Sanijja Afifi jęczała i wyła przerażona, wyciągnęła z ust złotą

protezę i wyrzuciła ją. Biła się po policzkach do utraty przytomności. Mąż właśnie się kąpał, a usłyszawszy jej krzyk, ogarnięty przerażeniem, włożył na mokre ciało galabiję i pośpieszył na pomoc.

Rozdział 28

Amm Kamil siedział na krześle przed sklepem, jak zwykle pogrążony we śnie, z głową zwieszoną na piersi i packą na muchy na kolanach. Ruszył ręką machinalnie, chcąc odgonić rzekome owady, i trafił na czyjaś rękę, którą chwycił mocno, rozgniewany, westchnął parę razy ze złością i podniósł głowę, żeby zobaczyć, co to za głupi żartowniś przerwał mu rozkoszny sen. I oto zobaczył, nie wierząc własnym oczom, Abbasa al-Helu. Wpatrywał się w niego osłupiały, po czym twarz mu poczerwieniała z radości i chciał wstać, ale Abbas mu nie pozwolił.

– Jak się masz, Ammie Kamilu? – pozdrowił go wzruszony.

Objęli się i ucałowali serdecznie.

– A ty, jak się masz? Witaj, witaj u nas. Brakowało mi cię, ty łobuzie!

Al-Helu stał uśmiechnięty, a Amm Kamil przyglądał mu się z zainteresowaniem.

Abbas miał na sobie białą koszulę i szare spodnie, był z gołą głową, włosy miał uczesane. Wyglądał elegancko i kwitnąco.

– No proszę, proszę, wyglądasz wspaniale, Johnny!

Abbas roześmiał się dźwięcznie, z głębi serca.

– Thank you... Od dzisiaj nie tylko szajch Darwisz będzie gadał po angielsku.

Powiódł wzrokiem po ukochanej uliczce. Zatrzymał spojrzenie na swoim dawnym sklepie, w którym jego nowy właściciel zajęty był właśnie goleniem klienta. Patrzył na zakład z tkliwością. Następnie wzrok jego pobiegł w górę ku oknu, które było zamknięte, tak jak w

dzień wyjazdu. Ciekawe, czy jest w domu, czy wyszła? Co zrobi, kiedy otworzy drzwi na pukanie i stwierdzi, że to on? Spojrzy na niego zdumiona i zmieszana, a on nasyci oczy jej wspaniałą urodą. Będzie to najpiękniejszy z nielicznych pięknych dni w jego życiu. Ocknął się na dźwięk głosu Amma Kamila.

– Rzuciłeś pracę?

– Nie, wziąłem tylko krótki urlop.

– Pewno nie wiesz, co się przydarzyło twojemu przyjacielowi Husajnowi Kirszy. Ojciec go wypędził z domu, a on się ożenił, potem go wyrzucili z pracy, więc wrócił do domu i jeszcze przyprowadził ze sobą żonę i jej brata.

– A to pech! Ostatnio wyrzucili sporo ludzi. Jak go przyjął ma'allim Kirsza?

– Ciągłe narzeka, kręci nosem na wszystko, a syn z rodziną mieszka nadal tutaj.

Amm Kamil przez chwilę milczał, ale zaraz przypomniało mu się coś ważnego, bo poderwał się na krześle.

– A wiesz, że doktor Buszi i Zajta siedzą w więzieniu?

I opowiedział mu, jak złapano ich w grobowcu At-Talibiego na gorącym uczynku, kiedy kradli złotą szczękę. Abbas posmutniał. Po Zajcie można było się spodziewać, że zdolny jest popełnić najstraszniejsze przestępstwo, ale doktor Buszi? Skąd mu przyszło do głowy popełnić tak obrzydliwy czyn? Przypomniał sobie, że zamówił u niego protezę, aż mu wykręciło usta ze wstrętu.

– Pani Sanijja Afifi wyszła za mąż – ciągnął dalej Amm Kamil.

I już chciał powiedzieć „daj Boże i tobie”, ale powstrzymał się w ostatniej chwili i serce mu się ścisnęło. Przypomniał sobie Hamidę! Ileż to razy później wspominał tę sytuację, dziwiąc się, że o tym zapomniał. Jednak Al-Helu nie zauważył zmiany w twarzy Amma Kamila. Zajęty był własnymi myślami, nadziejami i radością.

– Pozwól, że cię na chwilę zostawię – powiedział do przyjaciela.

Amm Kamil przestraszył się, że wiadomość o Hamidzie zaskoczy Abbasa nieprzygotowanego, i zapytał szybko:

– A dokąd się wybierasz?

– Do kawiarni, przywitać się z resztą przyjaciół.

Amm Kamil oparł ręce na kolanach, podniósł się z trudem i podążył majestatycznie za nim. Była to pora popołudniowa i w kawiarni nie znaleźli nikogo poza ma'allimem Kirszą i szajchem Darwiszem. Abbas przywitał się z ma'allimem i uścisnął dłoń szajcha Darwisza, który milcząc, spojrział na niego z uśmiechem spoza okularów. Amm Kamil smutny, z ciężkim sercem myślał, jak przekazać Abbasowi tę bolesną wiadomość.

– Może pójdziemy do mnie do sklepu? – zaproponował.

Abbas wahał się, czy zrobić przyjemność Ammowi Kamilowi, którego lubił, czy spełnić swoje marzenie o wizycie u Hamidy, na którą czekał z takim niepokojem od kilku miesięcy. W końcu zdecydował, że chwila z Ammem Kamilem niczemu nie przeszkodzi, i wrócił z nim do sklepu, pokrywając znudzenie miłym uśmiechem. Usiedli obok siebie w głębi sklepu i gawędzili.

– Wspaniałe jest życie w At-Tall al-Kabir. Praca jest ciężka, ale zarobek dobry. Nie tracę pieniędzy, żyję skromnie, prawie tak jak tu w zaułku. Nawet haszyszu spróbowałem tylko parę razy, mimo że tam to jak powietrze i woda. Zobacz. Zobacz, co kupiłem. Daj Boże i tobie! – Wyciągnął z kieszeni spodni małe pudełeczko i je otworzył. W środku był złoty łańcuszek z delikatnym serduszkiem. – Prezent ślubny dla Hamidy. Wiesz, w czasie tego urlopu chcę się ożenić.

Oczekiwał od Amma Kamila, że się ucieszy, że coś powie, a tymczasem on milczał i unikał jego wzroku. Abbas spojrział na niego uważnie i dostrzegł jego smutek i przygnębienie. Amm Kamil nie należał do ludzi, którzy potrafią ukryć to, co się dzieje w ich sercu,

wszystko miał wypisane na twarzy. Al-Helu zaniepokoił się, zamknął pudełko, schował je do kieszeni i patrzył w oczy przyjaciela, czując, jak serce zaczyna mu dygotać. Obawiał się, że rozczarowanie, na które nie był przygotowany, ugasi płomień jego serca. Ale smutne przeczucie, które wyczytał z oczu zmieszanego, przygnębitego mężczyzny, nie pozwoliło mu trwać w niepewności, zapytał więc z wahaniem:

– Co ci jest, Ammie Kamilu? Jesteś inny niż zwykle, nie patrzysz mi w oczy, co cię odmieniło?

Amm Kamil podniósł wolno głowę, spojrzał na Abbasa smutnymi oczami, otworzył usta, chcąc mówić, ale język go zdradził, odmówił mu posłuszeństwa. Abbas przestraszył się na dobre, czuł, jak trwoga gasi ostatnie blaski jego radości i nadziei.

– O co chodzi? – zapytał stanowczo. – Co chcesz mi powiedzieć? Masz mi, zdaje się, dużo do powiedzenia, nie zabijaj mnie swoimi skrupułami. Chodzi o Hamidę? Na Boga, Hamida! Nie torturuj mnie, gadaj, co masz mi do powiedzenia.

Amm Kamil przełknął ślinę i powiedział ledwie dosłyszalnie:

– Nie ma jej tu. Nie wróciła. Zniknęła. Nikt o niej nic nie wie.

Słuchał go w pomieszeniu z przerażeniem i każde słowo zapadało w świadomości, ale docierało do niego jakby przez gęstą mgłę, czuł się tak, jakby miał wysoką gorączkę.

– Nic z tego nie rozumiem – powiedział wreszcie. – Nie wróciła? Zniknęła? O czym ty mówisz?

– Weź się w garść, Abbasie. Bóg widzi, jak bardzo mnie to boli, jak ciężko mi było przekazać ci tę wiadomość, ale nic na to nie poradzę, Hamida zniknęła i nikt o niej nic nie wie. Wyszła pewnego popołudnia jak zwykle na spacer i nie wróciła. Szukano jej wszędzie bez rezultatu. Powiadomiliśmy posterunek w Al-Dżamaliji, pyta-

liśmy o nią w szpitalu Kasr al-Ajni, ale nigdzie nie natknęliśmy się nawet na jej ślad.

Abbas stał poważny i milczący, jak skamieniały, nic nie mówił, nie ruszał się, nic nie widział. Czyż serce nie przeczuwało tragedii? Tak. I sprawdziło się. Dziwne. Co ten człowiek mówi? Hamida zniknęła? Czy człowiek może zginąć, tak jak igła albo moneta? Gdyby powiedział – umarła, albo – wyszła za mąż – mógłby znaleźć dla swojego cierpienia jakiś kres, bo rozpacz lepsza jest od niepewności. Ale co ma robić w takim wypadku? Nagle wyszedł z osłupienia, wzdrygnął się, wpatrzył się zaczerwienionymi oczami w Amm Kamila i zaczął krzyczeć:

– Hamida zginęła, tak?! A co wyście robili? Zawiadomiliście posterunek w Al-Dżamaliji, szukaliście w szpitalu Kasr al-Ajni. Niech wam Bóg wynagrodzi, to wszystko?! Wróciliście do swoich zajęć, jak gdyby nic się nie stało?! O Boże miłosierny! Koniec ze wszystkim. Ty wróciłeś do swojego sklepu, matka znowu zaczęła pukać do drzwi narzeczonych. Hamida się skończyła i ja także. Koniec. Powiedz mi wszystko, co wiesz. Jak się dowiedziałeś o jej zniknięciu? Jak to się stało, kiedy?!

Amm Kamil stał osłupiały, bo nie spodziewał się takiej reakcji przyjaciela.

– Już będzie ze dwa miesiące, synku. Była to dla nas straszna wiadomość. Bóg świadkiem, że nie szcędziliśmy wysiłku, żeby ją odszukać, ale to nie w naszej mocy.

Abbas uderzył dłonią o dłoń, krew mu uderzyła do głowy, a oczy wyszły na wierzch.

– Dwa miesiące! Na Boga, przecież to strasznie dawno. Teraz już pewnie nie ma żadnej nadziei, że się odnajdzie. Nie żyje? Może utonęła? Może została porwana? Skąd ja mogę wiedzieć? Powiedz mi, co mówili ludzie.

– Różne były domysły. Przeważało zdanie, że uległa jakiemuś wypadkowi. A teraz to już nic nie mówią.

– No, oczywiście! Oczywiście! Nie była niczyją córką ani kuzynką, nawet Umm Hamida nie była jej prawdziwą matką. Ciekawe, co jej się przydarzyło? Przez te dwa miesiące byłem najszcześniejszym z ludzi i oto złośliwy los zgotował mi przebudzenie, zaśmiał się szyderczo i okrutnie. Może miło spędzałem wieczór, kiedy ona leżała zmiażdżona pod kołami lub tonęła w głębinach Nilu. Dwa miesiące! Hamido! Nie ma większej potęgi nad Boga.

Abbas podniósł się i skierował do drzwi.

– Zostań z Bogiem.

– Co zamierzasz?

– Pójdę do jej matki.

Przypomniawszy sobie, że frunął tutaj niby ptak i oto wychodzi teraz złamany, zniszczony. Zagryzł wargi, nie mógł zrobić kroku. Spojrzał na przyjaciela, który stał z oczami pełnymi łez, i rzucił mu się na pierś nieprzytomny, zrozpaczony, łkając jak dziecko.

Czyżby nie nachodziły go żadne wątpliwości co do jej zniknięcia? Czyżby nie miał żadnych podejrzeń, jakie miałyby zakochany w jego sytuacji? Co prawda, raz przemknął mu przez głowę cień wątpliwości, ale nie zastanawiał się nad nim. Z natury miał do ludzi wiele zaufania, nie myślał o nich źle, miał dobre serce. Zawsze znajdował usprawiedliwienie dla najgorszych uczynków innych, nigdy nikogo nie oskarżał. Miłość nie zmieniła tej cechy jego charakteru, może nawet umocniła ją jeszcze. Zazdrość, podejrzliwość nie miały dostępu do jego serca. Kochał Hamidę głęboko i w prostocie swojej natury wierzył, że jest to najlepsza dziewczyna na świecie, na którym, prawdę mówiąc, widział niewiele rzeczy wartych wspomnień.

Poszedł jeszcze tego dnia do jej matki, ale Umm Hamida, połykając łzy, opowiedziała mu historię, którą znał już od Amma Kamila.

Zapewniła go ponadto, że dziewczyna wspominała go ciągle i z niecierpliwością czekała na jego powrót i tym kłamstwem jeszcze bardziej wzmogła jego ból. Wyszedł od niej ze złamanym sercem, zamęt w myślach, duszą rozdartą. Było późne popołudnie i zachód słońca złocił już niebo, godzina, w której kiedyś widywał ukochaną wychodzącą na codzienny spacer. Powlókł się ciężko jej „trasą”. Nie wiedział, co się dokoła niego dzieje. Co chwila wydawało mu się, że widzi jej postać owiniętą w czarną milaję i jej piękne oczy, które tak kochał. Wspomnił ostatnie pożegnanie na klatce schodowej i westchnął głęboko. Ciekawe, gdzie ona teraz jest? Co robi? Co Bóg z nią uczynił? Czy chodzi jeszcze po powierzchni ziemi, czy też śpi w jakimś grobie, który ją przygarnął? Boże, jak jego serce mogło być tak twarde przez cały ten czas i nie dać mu żadnego znaku, żadnego ostrzeżenia? Jak mógł spać pogrążony w rozkosznych marzeniach i pracować, nie wiedząc o tym, co kryje przed nim jutro? Skręcił w Al-Muski i tłum obudził go z rozmyślań. To ulubiona ulica Hamidy. Sklepy, ludzie, wszystko pozostało na swoim miejscu, tylko jej brak, zniknęła, a przecież jeszcze niedawno wypełniała świat swoją urodą. Zachciało mu się znowu płakać, ale tym razem się opanował. Wypłakał się już na piersi Amma Kamila i napięcie nerwowe ustąpiło, a pozostał cichy, głęboki smutek. Myślał teraz o tym, co powinien robić. Czy ma krążyć po posterunkach i szpitalu Kasr al-Ajni? Po co? Ma krążyć po ulicach i wołać ją jej imieniem? A może pukać do każdych drzwi? Jakże czuł się słaby. Ma więc wrócić do At-Tall al-Kabir i zapomnieć o wszystkim? Ale po co będzie tam wracał? Dlaczego ma sobie narzucać ból wygnania? Po co harować i zbierać pieniądze? Życie bez Hamidy to bezsensowny ciężar, wszystkie uczucia zgasły w jego sercu, opanowała go obojętność i niechęć do wszystkiego. Życie wydawało mu się smutną pustką, przestrzenią otoczoną murem rozpacz. Dotychczas żył zgodnie z naturą, prze-

strzegął jej naturalnych praw i w miłości znalazł esencję życia. A teraz, kiedy stracił Hamidę, stracił to, co go łączyło z życiem, i miotał się jak zagubiony atom w przestrzeni. Gdyby nie to, że życie, które przysparza tyle bólu, jednocześnie tak bardzo potrafi przywiązać do siebie swoich synów i kusić nawet w najczarniejszych momentach, na pewno by z nim skończył. Tymczasem szedł dalej w pomieszeniu. Czuł, że stracił cel i sens życia na zawsze. Jednak ciągle jeszcze jego świadomość związana była delikatną cienką nicią z tym, co się dzieje, bo oto dostrzegł wracające z pracy robotnice, przyjaciółki Hamidy. Nie wiedząc, jak to się stało, podszedł do nich, a one stanęły zdziwione, poznając go bez trudu.

– Dobry wieczór, dziewczęta – odezwał się bez wahania. – Przepraszam, że was zaczepiam. Czy pamiętacie waszą przyjaciółkę, Hamidę?

– Tak, wszystkie ją pamiętamy. Znikła któregoś dnia i więcej jej nie widziałyśmy.

– Nic nie wiecie na temat jej zniknięcia?

– Nie wiemy nic pewnego – odpowiedziała jedna z nich ze sprytnym błyskiem w oczach – tylko to, co powiedziałam jej matce, kiedy przyszła do nas w dniu zniknięcia Hamidy, że widziałyśmy ją parę razy spacerującą po bazarze Al-Muski z jakimś efendi.

– Widziałaś ją w towarzystwie jakiegoś efendi?

– Tak, proszę pana.

Wygląd i mina Abbasa sprawiły, że z ich oczu znikło złośliwe szyderstwo i spoważniały.

– Powiedziałaś o tym jej matce?

– Tak.

Abbas podziękował dziewczynom i poszedł w stronę zaułka. Nie miał wątpliwości, że całą drogę był przedmiotem ich rozmów. Może nawet śmiały się z głupca, który wyjechał do At-Tall al-Kabir, żeby

zebrać pieniądze dla ukochanej, a tymczasem ona wolała innego i uciekła z nim. Co z niego za idiota! Pewnie wszyscy mieszkańcy uliczki gadali o jego głupocie, a Amm Kamil zlitował się nad nim i ukrył przed nim prawdę, tak samo jak matka Hamidy. Ale co mieli zrobić! „Serce mi to mówiło od pierwszej chwili” – myślał, kiedy już oprzytomniał. Ale nie była to prawda. Wątpliwości ogarnęły go tylko na jedną krótką chwilę. Kurczowo zaciskał i rozprostowywał palce i zapytywał siebie z niedowierzaniem: „Boże, jak ja mogę tak myśleć? Hamida miałyby uciec z jakimś mężczyzną? Kto w to uwierzy? Więc nie umarła ani nie miała wypadku? Wszyscy byli w błędzie, szukając jej po posterunkach i w szpitalu Kasr al-Ajni. Ona spokojna i szczęśliwa leżała wtedy w ramionach mężczyzny, który ją porwał. Ale przecież mu przyrzekała. Czyżby kłamała? Czyżby się mylił, uważając, że jest mu przychylna? Jak poznała tego efendi? Kiedy się w nim zakochała? Jaki diabeł ją skusił, aby z nim uciec?” Abbas szedł z pobladłą twarzą, wstrząsany zimnymi dreszczami. Spojrzenie miał mroczne, od czasu do czasu w jego oczach pojawiał się błysk gniewu. Rozglądał się po domach stojących wzdłuż ulicy, zaglądał do okien, pytając sam siebie, w którym z tych domów leży teraz przytulona do tego mężczyzny? Miejsce bólu i rozterki zajął gniew, a okrutna nienawiść i zazdrość zżerała mu serce. Najgorsze było jednak uczucie rozczarowania, które pojawiło się, kiedy odeszła nadzieja i bóstwo unurzało się w błocie. To było gorsze niż sama zazdrość. Duma i próżność podsycają zazdrość, ale on był pozbawiony tych cech, za to miał ogromne rezerwy nadziei, która teraz zniknęła. Zastąpił ją gniew, potem ciężki smutek, a w końcu pragnienie zemsty, jakiegokolwiek zemsty, choćby oplucie Hamidy i okazanie jej pogardy.

Myśl o zemście opanowała go całkowicie. Teraz dopiero pojął tajemnicę jej wytrwałych popołudniowych spacerów, w czasie których narażała się na zaczepki tych głodnych wilków ulicznych. Musiała oszaleć, musiała z pewnością oszaleć dla tego efendi, skoro wybrała rozpustę z nim zamiast ślubu z Abbasem! Zagryzł wargi.

Poczuł, że ma dosyć samotnego spaceru. Jego ręka wyczuła w kieszeni pudełeczko z naszyjnikiem. Roześmiał się gorzko i drwiąco. Z jaką ochotą udusiłby ją tym ślicznym łańcuszkiem. Przypomniał sobie, jak w sklepie jubilerskim wybierał naszyjnik, a serce skakało mu z radości. Wspomnienie to było niczym lekki wietrzyk, ale żar jego serca zmienił go w gorący wiatr pustynny.

Rozdział 29

Zaledwie As-Sajjid Salim Ulwan podpisał umowę leżącą na biurku, a już kontrahent, al-chawadża, ścisnął mu dłoń.

– Gratuluję, Salimie beju, zrobił pan świetny interes – mówił wychodząc.

As-Sajjid odprowadzał go wzrokiem, dopóki nie zniknął za bramą. To był naprawdę dobry interes. Samo to, że pozbył się zapasów herbaty, którą al-chawadża kupił hurtem. Zysk był duży, transakcja bezpieczna, co nabrało znaczenia, od kiedy jego stan zdrowia nie pozwalał mu narażać się na niepokoje czarnego rynku. Mimo to As-Sajjid mruzczał do siebie z gniewem: „Przeklęty świetny interes, wszystko w moim życiu jest przeklęte”. To prawda, że z dawnego As-Sajjida został tylko chudy starzec, mocne nerwy osłabły, jakby szykowały się na śmierć i kazały mu myśleć o niej bez przerwy. Z natury nie był słabej wiary ani tchórzliwy, ale obecny stan nerwów kazał mu zapomnieć o religijnym wychowaniu i zachwiał jego odwagą. Nie przestawał myśleć o momencie agonii, której okrucieństwa już sam popróbował w czasie choroby; nie schodził mu też z myśli widok śmierci bliskich, której był świadkiem. Widział ten bolesny stan niby snu, wznoszenie się i opadanie piersi, to urywane charczenie, ciemność obejmująca powieki, a między jednym a drugim czuł uchodzące z ciała życie i duszę żegnającą się z nim. Było to niełatwe do zniesienia. Przecież człowiek wariuje z bólu, kiedy mu się wyrywa paznokieć, a co dopiero kiedy mu się wyrywa duszę i życie?! I nikt, poza tym, który kona, nie zna naprawdę tego bólu. My widzimy tylko zewnętrzne objawy agonii, ale jej echo w duszy i ciele to tajemnica zmarłego ukryta w jego sercu, zabrana przez niego do grobu razem z ostatnimi, najokropniejszymi, najbardziej bolesnymi wspomnieniami z tego świata. Gdyby człowiek znał tortury agonii,

nie miałby jednej przyjemnej godziny w życiu i umarłby ze strachu, nim nadeszłaby jego ostatnia chwila. Ileż razy pragnął, żeby Bóg zaliczył go do tych, którzy mają umrzeć na atak serca. Jakże są szczęśliwi ci spośród żywych i umarłych, którym dane jest umrzeć podczas rozmowy, jedzenia, wstawania lub siadania. To tak jakby przechytrzyli moment agonii, prześliznęli się, omijając ją, do bram wieczności. Ale on nie miał prawie nadziei na taką szczęśliwą śmierć, bo agonia jego ojca, a przedtem dziadka, trwała pół dnia; ojciec czuł umierającym sercem, jak śmierć po niego idzie, a synowie czuwający przy jego łożu osiwiali z bólu i strachu. Kto by pomyślał, że As-Sajjid Salim Ulwan, człowiek silny i szczęśliwy, padnie ofiarą takich myśli i lęków? Ale strach przed agonią nie był jedynym, jaki odczuwał, jego myśli przyciągało także śmiertelne łoże; długo na ten temat myślał i filozofował. Wydawało mu się, i tak mu mówiła jego wiedza przekazana przez przodków, że niektóre uczucia będą mu towarzyszyły także po śmierci. Przecież mówi się, że oczy zmarłego widzą tego, kto na niego patrzy. Był przekonany, że zobaczy jasno zbliżającą się śmierć i że jego zmysły poczują ciemność i samotność grobu, szkielety, kości i całuny, nawet ciasnotę i duszność, i tęsknotę do świata i rodziny, która często nawiedza dusze zmarłych. A jeszcze zmartwychwstanie, rachunek sumienia, tortury, och, i Bóg wie co. Serce mu się ścisnęło, a pot obficie zraszał czoło, kiedy myślał o tym wszystkim. Jakaż przepaść dzieliła śmierć od rajy!

Dlatego trzymał się życia całą siłą, jaką daje strach i rozpacz, mimo że było to życie jałowe, pozbawione przyjemności, życie, w którym jego rola ograniczała się do sprawdzania ksiąg i podpisywania kontraktów. Po okresie rekonwalescencji stosował się skrupulatnie do rad lekarza, który przyrzekł mu całkowite pozbycie się śladów *anginy pectoris*, pod warunkiem zachowania ostrożności i umiaru. Narzekał wielokrotnie na bezsenność i lęk, więc polecono mu zasięgnąć rady neurologa. Potem zaczął odwiedzać specjalistów od serca, płuc i głowy i otworzył się przed nim świat nie mniejszy od naszego, ani nie mniej zatłoczony, tyle że bakteriami i różnymi

sekretnymi żyjątkami. Właściwie nigdy nie miał zaufania do lekarzy ani do medycyny, ale przekonał się do nich, kiedy popadł w kłopoty. Być może ta jego wiara była jeszcze jednym objawem choroby, na którą cierpiały jego nerwy.

Piekło niepokojów wypełniało prawie całe jego życie. Wydawało się, że nieliczne chwile spokoju i cały czas pracy zużywa na to, by popsuć sobie stosunki z ludźmi. Pozostawał w stanie wojny ze sobą samym i z wszystkimi, którzy go otaczali. Pracownicy przedsiębiorstwa od razu pojęli, że ich pan stał się kimś zupełnie innym, dziwnym i nienawistnym. Po długich dwudziestu pięciu latach służby opuścił go jego zastępca, a pozostali cierpieli męki strachu i żywili do niego nienawiść. Mieszkańcy zaułka mówili, że As-Sajjid traci coraz bardziej rozum, a piekarka Husnijja twierdziła złośliwie, że to wszystko przez ten farik, niech nas Bóg przed nim broni.

Któregoś dnia Amm Kamil odezwał się do As-Sajjida w dobrej wierze:

– Zamówiłby pan u mnie tacę basbusy, toby panu wrócił zdrowy wygląd, za pozwoleniem Boga.

As-Sajjid wybuchnął strasznym gniewem.

– Nie kracz, ty idioto, co masz ślepe serce i oczy – krzyknął. – Tylko takie bydlaki jak ty mają zdrowy żołądek aż do śmierci.

Od tej pory Amm Kamil nie odezwał się już do niego dobrym ani złym słowem. Najłatwiejszym celem jego ataków gniewu była żona. Coraz to dawał upust swemu przekonaniu, że to, co się mu przydarzyło, sprawiła jej zawiść.

– Tak mi źle życzyłaś, tak mi zazdrościłaś zdrowia i siły, że teraz marnieję w oczach. Ciesz się, ty żmijo! – krzyczał.

Jeszcze większą nienawiścią zapalał do niej, kiedy przyszło mu do głowy, że pewnie dowiedziała się o jego zamiarach wobec Hamidy. Takie sprawy interesowały przecież wielu ludzi, którzy postarali się

na pewno w tajemnicy przed nim powiadomić ją o wszystkim. Z zazdrości pewnie chwyciła się jakichś „praktyk”, które zrujnowały mu zdrowie. Nie był w stanie podejść do tej sprawy rozsądnie. Podejrzenie z czasem przemieniło się w pewność i postanowił się zemścić. Maltretował ją w sposób nieludzki, wymyślał i przeklinał, ale kobieta przyjmowała wszystko posłusznie, cierpliwie i w milczeniu. Pragnął wywołać jej bunt, chciał, żeby narzekała, rozpaczała, wylewała potoki łez. Aby to osiągnąć, powiedział jej kiedyś:

– Mam już dosyć twojego towarzystwa i nie ukrywam, że zamierzam się ożenić. Jeszcze raz spróbuję szczęścia!

Kobieta uwierzyła i straciła wreszcie zimną krew. Zaalarmowała synów, przedstawiła im sprawę. Przeraziło ich to i zaskoczyło, a zarazem upewniło, że to, do czego zmierza ojciec, może mieć niekorzystne i dla nich konsekwencje. Mając na uwadze jego zdrowie, któregoś dnia zaproponowali, aby zrezygnował z handlu i odpoczął. Ale starzec uniósł się takim gniewem i tak brutalnie ich potraktował, że osłupieli.

– Moje życie należy do mnie – krzyknął – i zrobię z nim, co mi się będzie podobało. Jak będę chciał, to będę pracował. Schowajcie wasze rady dla siebie. Nie mówiła wam matka, że postanowiłem się ożenić po raz drugi? – śmiał się drwiąco, wpatrując się w ich twarze wyblakłymi oczami. – To prawda. Wasza matka chce mnie zabić, muszę więc się schronić pod skrzydła kobiety trochę bardziej litościwej. I nawet gdyby się przez to podwoiła liczba moich dzieci – mojego majątku starczy, aby zaspokoić ambicje was wszystkich.

Po czym ich ostrzegł, że umywa ręce, jeśli chodzi o ich sprawy finansowe i że każdy z nich musi odtąd polegać na własnych zasobach.

– A więc, jak wiecie, nie mam zamiaru zażywać tylko goryczy lekarstw, podczas gdy inni będą korzystali z moich pieniędzy.

– Jak możesz do nas mówić tym tonem – odezwał się najstarszy syn. – Przecież jesteśmy twoimi synami, zawsze ci posłusznymi.

– Jesteście synami swojej matki.

Spełnił groźbę i od tej pory nie posyłał niczego do domów swoich synów. Co więcej, w swojej kuchni, która słyndęła ze wspaniałych dań, zabronił gotować cokolwiek ponad to, co sam jada.

Chciał zmusić w ten sposób domowników, a zwłaszcza żonę, do dzielenia z nim tego, do czego zmusił go los. Mówił też często o ponownym małżeństwie, od kiedy zauważył, że tylko tą strzałą może przebić pancierz cierpliwości i milczenia, w jaki uzbroiła się jego żona.

Synowie naradzali się między sobą, współczuli mu i pragnęli ulżyć jego doli.

– Zostawmy go i niech Bóg decyduje – radził starszy.

A adwokat ostrzegał:

– Na Boga, wszystko tylko nie rzucenie go na pastwę chciwych ludzi, chyba że rzeczywiście się ożeni...

Zniknięcie Hamidy było i dla niego strasznym ciosem. Od choroby nie myślał o niej, a mimo to zrobiło to na nim wrażenie i z niepokojem śledził poszukiwania. Tego dnia, kiedy doszły go słuchy, że uciekła z jakimś mężczyzną, wpadł w taką wściekłość, że nikt nie miał odwagi do niego podejść. Wrócił do domu wieczorem roztrzęsiony i ze strasznym bólem głowy, który nie dał mu spać do rana. Serce zżerały mu gniew i zazdrość, życzył jej wszystkiego najgorszego. Pragnął zobaczyć ją na szubienicy z wywalonym językiem i wybałuszonymi oczami. Właściwie nie wiadomo dlaczego uspokoił się dopiero, gdy Abbas al-Helu wrócił z At-Tall al-Kabir. Nie mógł się oprzeć chęci, by zaprosić młodzieńca do siebie, porozmawiać z nim o jego sprawach, unikając jednak tematu

Hamidy. Abbas bardzo się ucieszył z przychylności As-Sajjida, rozmawiał z nim szczerze i dziękował za okazaną sympatię. As-Sajjid obserwował go bacznie zapadniętymi oczami.

Wkrótce po ucieczce Hamidy zdarzyło się coś, co samo w sobie może nieistotne – stało się pamiętne dla zaułka Midakk. Wczesnym rankiem As-Sajjid Salim Ulwan, idąc do biura, spotkał szajcha Darwisza. As-Sajjid należał do przyjaciół szajcha i nawet obdarowywał go często. Od czasu choroby jakoś go omijał i nie zwracał na niego uwagi, jakby stracił dla niego sentyment. Kiedy się spotkali, szajch krzyknął:

– Hamida zniknęła!

As-Sajjid stanął zaskoczony i nie mógł się powstrzymać, żeby nie odpowiedzieć:

– A co mi do tego!?

– Właściwie nie zniknęła – ciągnął szajch – ale uciekła, i nie tylko, że uciekła, ale uciekła z mężczyzną, po angielsku *elopement*, pisze się e...

I zanim dokończył, As-Sajjid wybuchnął:

– Kiedy zobaczę cię rano, mam cały dzień popsuty. Zejdź mi z oczu, ty idioto, i niech cię Bóg przeklnie.

Szajch Darwisz stanął jak skamieniały, a w oczach pojawił mu się przestרח dziecka, któremu pogroźono kijem. Potem wybuchnął płaczem, a As-Sajjid poszedł do biura. Szajch stał, płacząc głośno, aż zbiegli się do niego ma'allim Kirsza, Amm Kamil i stary fryzjer, pytając, o co chodzi. Zaprowadzili go do kawiarni, posadzili na kanapie, dali mu wody, uspokajali jak dziecko.

– Módl się do Boga, szajchu Darwiszu – mówił Amm Kamil, obejmując go. – On odsunie od nas zło. Żeby nas Bóg nie pokarał za płacz niewinnego.

Ale szajch zanosił się łkaniem i drżał cały, szarpał na sobie krawat, a mieszkańcy zaułka patrzyli na niego ze zdumieniem i niepokojem. Przybiegła piekarka Husnijja. Łkanie i szloch szajcha docierały aż do biura As-Sajjida Ulwana. Słuchał go zły i wzburzony, nie mógł doczekać się, kiedy wreszcie przestanie. Na próżno próbował nie zwracać na niego uwagi, szajch się uparł, żeby go męczyć. Wydawało mu się w końcu, że cały świat wokół niego płacze. Gniew i wzburzenie opuściły go. Ten płacz poruszył w jego sercu jakieś struny, które drgnęły współczuciem i bólem. Dlaczego nie potrafił zapanować nad sobą i zwymyślał biednego szajcha? Bodajby go nie spotkał na swojej drodze. Mógł przecież przejść obok i potraktować go jak powietrze. Westchnął smutno. „Człowiek w mojej sytuacji – myślał – powinien raczej schlebiać Bogu, a nie obrażać ludzi mu bliskich”. Przemógł dumę, podniósł się i poszedł do kawiarni Kirszy Zbliżył się do szajcha Darwisza, nie zwracając uwagi na zdziwione spojrzenia, położył dłoń na jego ramieniu i powiedział przepraszająco:

– Wybacz mi, szajchu Darwiszu...

Rozdział 30

Abbas al-Helu siedział zatopiony w myślach w mieszkaniu Amma Kamila, kiedy zapukano mocno do drzwi. Podniósł się, otworzył i ujrzał Husajna Kirszę ubranego w koszulę i spodnie, ożywionego, z błyszczącymi oczami.

– Już drugi dzień siedzisz w zaułku i nawet się nie pokazałeś – napadł na niego. – Jak się masz?

Abbas wyciągnął rękę, uśmiechając się blado.

– Jak się masz, Husajn. Przepraszam cię, jestem zmęczony, nie zapomniałem o tobie ani cię nie lekceważę. Chodźmy się przejść.

Abbas spędził bezsenłą noc i cały dzień na rozmyślaniach, więc szedł z bolącą głową i ciężkimi powiekami. Z wczorajszego uniesienia nie pozostał nawet ślad, wściekły gniew znikł, minęło wzburzenie i znikły myśli o krwawej zemście. Na dnie jego duszy gromadził się smutek i czarna rozpacz.

– Wiesz, że zaraz po tobie opuściłem dom? – zapytał Husajn.

– Naprawdę?!

– Tak, i ożeniłem się, i zacząłem wspaniałe życie.

Al-Helu próbował okazać zainteresowanie tym, co mówi przyjaciel.

– Chwała Bogu, wspaniale, wspaniale.

Dochodzili już do Al-Ghurijji, kiedy Husajn nagle tupnął nogą i krzyknął z gniewem:

– I gówno wszystko! Wyrzucili mnie z pracy i chcąc nie chcąc, musiałem wrócić do zaułka. Ciebie też wyrzucili?

– Nie, wziąłem tylko krótki urlop.

– No tak – Husajn roześmiał się zimno, pełen zazdrości – ja, który cię pchałem do tej pracy, jestem bezrobotny, a ty, który jej nie chciałeś, korzystasz z niej nadal.

Abbas, który lepiej niż ktokolwiek inny wiedział, ile zazdrości i zła kryje charakter Husajna, odparł szybko:

– W każdym razie niedługo to potrwa, tak nas zapewniają.

– Myślisz, że wojna skończy się tak szybko? Kto w to uwierzy?

Abbas pokiwał głową, nic nie mówiąc. Było mu wszystko jedno, czy wojna będzie trwała, czy się skończy, czy będzie miał pracę, czy ją straci. Nie obchodziło go absolutnie nic. Rozmowa z przyjacielem drażniła go trochę, chociaż łatwiejsza była do zniesienia niż samotność i rozmyślanie. A poza tym znosił ją, jak zwykle, broniąc się w ten sposób przed złością Husajna.

– Jak to, wojna ma się skończyć tak szybko? – powtarzał Husajn. – Wszystkie nasze nadzieje pokładaliśmy w tym, że Hitler szybko nie spocznie, a to dopiero pech, że chce ją już skończyć.

– To prawda.

– Jesteśmy biedni. Kraj jest biedny. Czyż to nie smutne, że możemy zakosztować trochę szczęścia tylko wtedy, kiedy cały świat jest pogrążony w krwawej wojnie?! Tylko szatan ma nad nami litość na tej ziemi.

Zamilkł na chwilę, kiedy przedzierali się przez tłum na ulicy As-Sikka al-Dżadida. Robiło się ciemno.

– Tak bardzo chciałem być żołnierzem. Wyobraź sobie takie życie: dzielny, wspaniały żołnierz rzucony w wir walki idzie od zwycięstwa do zwycięstwa, lata samolotami lub jeździ na czołgach, walczy, zabija, bierze do niewoli kobiety, ma pełno forsy, pije i robi burdy, nie zwracając uwagi na prawo. To jest życie! Nigdy nie marzyłeś o tym, żeby być żołnierzem?

Prawdę mówiąc, Abbasowi zawsze drżały kolana, kiedy słyszał syrenę alarmową, i pierwszy pędził do schronu. Jak mógł marzyć o życiu żołnierza, o walce? Czasami jednak żałował, że nie został stworzony żołnierzem okrutnym, żądnym krwi, tak żeby móc łatwo zemścić się na tych, którzy sprawili mu ból i rozpraszcili jego sny o szczęściu i łatwym życiu.

– Kto o tym nie marzył? – odparł.

Patrzył na ulicę, a myśli kłębiły mu się w głowie. Boże – jak może czas zatrzeć wspomnienia tej ulicy? Przecież ta ziemia ciągle nosi ślady jej kochanych stóp, powietrze ciągle jest przesycone jej ukochanym oddechem. Miał przed oczami jej zgrabną, ponętą sylwetkę. Jak mógłby o tym wszystkim zapomnieć? Zmarszczył brwi, zły na siebie za obdarzenie taką czułością osoby niezasługującej na to. Zacisnął usta, a twarz przybrała wyraz surowy i twardy. Znowu wróciło wczorajsze wzburzenie. Musi przestać o niej myśleć, musi wyrzucić z serca tę, która go zdradziła. Nie może pozwolić, żeby jego serce spłonęło ze smutku i gniewu przez kogoś, kto leży spokojnie w ramionach rywala.

Obudził go głos Husajna:

– Dzielnica żydowska. – Husajn zatrzymał ręką Abbasa. – Znasz winiarnię „Vita”? Nie pijesz wina w At-Tall al-Kabir?

– Nie – odparł Abbas krótko.

– Jak to, żyłeś z Anglikami i nie pijesz wina? Co za baran z ciebie. Wino pobudza umysł, ożywia. Chodź.

Wziął Abbasa pod rękę i skręcili w dzielnicę żydowską. Winiarnia „Vita” znajdowała się niedaleko od wejścia, po lewej stronie, i przypominała sklep. Była to sala średniej wielkości, kwadratowa. Po prawej stronie mieścił się długi bufet z marmurowym blatem, za którym stał al-chawadża Vita, właściciel winiarni. Z tyłu za nim na długiej półce stały rzędy butelek, a w głębi ogromna beczka. Na bufecie ustawiono dzbany, turmus i

kielichy, a wokół nich tłoczyli się pijący: woźnice, robotnicy i inni mieszkańcy okolicznych uliczek. Bosi i na wpół nadzy, wyglądali na żebraków. Oprócz tego znalazło się miejsce na kilka drewnianych stolików, przy których siedziała elita tych ulic i tacy, którzy nie mogli stać z powodu wieku lub opilstwa. Husajn zobaczył wolny stolik w końcu sali i zaprowadził tam przyjaciela. Abbas rozglądał się po gwarnej sali w milczeniu i z pewną obawą. Zauważył chłopca w wieku może czternastu lat, niskiego i grubego, w brudnej galabii, z umazaną twarzą i bosymi nogami, który popijał wino z pełnego kielicha, a głowa mu się już kiwała. Abbasowi oczy otworzyły się szeroko ze zdziwienia. Husajn zauważył to i zrobił obojętną minę:

– To Awkal, sprzedawca gazet – powiedział. – W dzień sprzedaje gazety, a w nocy pije. To jeszcze dzieciak, ale niewielu mężczyzn mu dorówna. Oj, ty naiwniaku! – Nachylił się trochę do Abbasa. – Kielich wina za półtora piastra to rozkosz dla bezrobotnego jak ja. Przed miesiącem piłem whisky w barze Fincha. No cóż, raz się jest na wozie, raz pod wozem. Nie szkodzi.

Zamówił dwa kielichy. Al-chawadża przyniósł je i postawił na stoliku z talerzem turmusu. Abbas spojrział niepewnie na kielich.

– Mówią, że to szkodzi – powiedział.

– Boisz się o siebie?! – Husajn drwił z przyjaciela. – No to niech cię zabije, pal diabli, nie masz przecież nic do stracenia. Twoje zdrowie!

Trącił kieliszkiem o kielich Abbasa, po czym wypił wino duszkiem, obojętnie. Abbas podniósł kielich, spróbował odrobinę i odsunął ze wstrętem. Poczul w gardle niby język ognia, a twarz mu się wykrzywiła, jak lalce z kauczuku zgniecionej palcami dziecka.

– Obrzydliwe! Gorzkie! Piekące!

Husajn śmiał się pogardliwie.

– Odwagi, dziecko, życie jest bardziej gorzkie niż ten napój i bardziej szkodliwe! – powiedział. Wziął kielich Abbasa i przytknął mu do warg. – Pij, bo wyleje ci się na koszulę.

Abbas wypił wszystko aż do dna i wzdrygnął się z obrzydzenia. Poczuł w żołądku żar, który z zadziwiającą szybkością rozchodził się po ciele. Zaintrygowany zapomniał o niesmaku i wsłuchiwał się, jak wino rozchodzi się po jego żyłach, przenika do krwi, wreszcie dochodzi do głowy, łagodząc ból życia.

– Dzisiaj wystarczą dwa kieliszki – powiedział Husajn protekcjonalnie i zamówił jeszcze jeden kieliszek dla siebie. – Siedzę teraz u ojca z żoną i jej bratem, ale on znalazł pracę w warsztatach i dziś albo jutro wyjeżdża. Ojciec proponuje mi prowadzenie kawiarni za trzy funty miesięcznie, czyli harowałbym od świtu do północy za trzy funty! Ale czy można rozmawiać z tym wariatem, narkomanem!? Jak widzisz, świat mnie prowokuje, wzmagają we mnie gniew i nienawiść. A jaką mam na to radę? Albo będę żył tak, jak mi się podoba, albo zginę.

Abbas zaczynał się odprężać, po całodziennym myśleniu i kłopotach odczuwał teraz dziwną, przyjemną ulgę.

– Nazbierałeś trochę pieniędzy? – zapytał.

– Ani millima. Mieszkałem w ładnym, czystym mieszkaniu w Al-Wailija, z elektrycznością i bieżącą wodą. Miałem małą służącą, która z całym szacunkiem mówiła do mnie „proszę pana”. Chodziłem do kina i do teatru. Dużo zarabiałem i dużo wydawałem i to było życie. – Czas leci szybko, życie upływa, po co trzymać pieniądze. Ale powinno się je mieć do końca. Biada Egipcjom, jeżeli jego mieszkańcom nie będą do końca życia towarzyszyły pieniądze. Teraz mam tylko parę funtów, nie licząc biżuterii żony. – Zamówił trzeci kieliszek i dodał smutno: – A najgorsze, że żona w zeszłym tygodniu miała wymioty.

– I cóż z tego.

– A gównu, moja matka twierdzi, że to objawy ciąży, to tak jakby sam embrion rzygał ze wstrętu przed życiem, które go czeka, i zaraził tym wstrętem matkę.

Abbas słuchał nieuważnie, nie potrafił już nadażyć za tokiem jego opowiadania. Po chwili błogości opanował go nagły smutek. Husajn zauważył jego roztargnienie.

– Co ci jest? Wcale mnie nie słuchasz.

– Zamów mi jeszcze jeden kieliszek – poprosił Abbas.

Husajn zrobił to z radością, ale patrzył na niego podejrzliwie.

– Jesteś przygnębiony – powiedział wreszcie. – Chyba znam powód twojego przygnębienia.

– Nic mi nie jest – odparł Abbas szybko, z bijącym sercem. – Słucham cię, mów dalej.

Ale Husajn zlekceważył jego słowa.

– Hamida... – powiedział pogardliwym tonem.

Serce Abbasa zaczęło bić mocno, jakby wypił trzeci kieliszek wina. Krew w nim zawrzała, wróciła miłość, a jednocześnie opanował go smutek i gniew.

– Tak, Hamida, uciekła, porwał ją jakiś facet. Wstyd i hańba.

– Nie martw się, głupi, myślisz, że życie tych, od których kobiety nie uciekły, jest przyjemniejsze?

– Ciekawe, co ona teraz robi?

Husajn zaczął się śmiać.

– Robi to, co każda kobieta, która uciekła z gachem.

– Kpisz sobie z mojego bólu.

– Bo to jest głupi ból. Więc kiedy się dowiedziałeś, że uciekła? Wczoraj wieczorem, tak? No to już powinieneś o tym zapomnieć.

W tym momencie Awkał – pijany sprzedawca gazet – zrobił coś, co zwróciło na niego uwagę wszystkich. Zatoczył się na próg winiarni, spojrzał krzywo na obecnych, odchylił głowę do tyłu i krzyknął:

– Jestem Awkał, najsprytniejszy i najważniejszy z ludzi, upijam się i bawię, a teraz idę do kochanki, może ktoś ma coś przeciwko temu? Ahraam, Misrii, Al-Bakuka...!

Zniknął za progiem, zostawiając za sobą gromki śmiech. Ale Husajn Kirsza siedział zły, ze zmarszczonymi brwiami. Splunął w to miejsce, gdzie stał chłopiec, i zaczął wściekle kłać. Niewiele trzeba było, żeby rozpałcić jego gniew i wyzwolić głęboko ukrytą agresję. Gdyby chłopiec był jeszcze w zasięgu jego ręki, uderzyłby go albo kopnął, albo złapał za kołnierz. Pił wolno drugi kieliszek wina i nagle, jakby zapominając, o czym mówili przedtem, krzyknął ze złością:

– Życie to nie jest zabawka, musimy je jakoś przeżyć, nie rozumiesz tego?

Abbas nie słuchał, zatopiony we własnych myślach. „Hamida nie wróci nigdy, zniknęła z mojego życia. Po co miałyby wracać? Ale jak ją kiedy spotkam, napluję jej w twarz, to będzie gorsze, niż gdybym ją zabił. A ten efendi niech się mnie strzeże, uduszę go”.

Husajn ciągnął dalej:

– Opuściłem zaułek i szatan mnie do niego sprowadził znowu. Podpałę go, to najlepszy sposób, żeby się od niego uwolnić.

– Nasz zaułek jest najprzyjemniejszy i nigdy nie pragnąłem niczego więcej, niż żyć szczęśliwie właśnie tu.

– Ty baranie. Można by cię legalnie zarznąć na Święto Ofiar. Czemu płaczesz? Pracujesz, masz pieniądze, a z twoją oszczędnością będziesz ich miał jutro jeszcze więcej. Czemu narzekasz?

– Ty narzekasz więcej ode mnie i jeszcze nigdy nie podziękowałeś Bogu za życie.

Husajn spojrział na niego okrutnym wzrokiem, który spowodował, że Abbas dodał szybko tonem łagodniejszym:

– Nie mam nic przeciwko tobie. Ty masz swoją wiarę, a ja mam swoją.

Husajn ryknął śmiechem, aż się zatrzęsała winiarnia. Wino uderzyło mu niezły do głowy.

– Najlepiej, gdybym pracował jako winiarz. Zarobek niezły, a poza tym wino za darmo.

Abbas uśmiechnął się słabo, musiał wysilać się, żeby zrozumieć, co mówi przyjaciel, bo wino szło mu do głowy i był w stanie myśleć jedynie o swoim nieszczęściu.

– Wspaniały pomysł – krzyknął Husajn. – Przyjmę obywatelstwo angielskie. W Anglii wszyscy są równi, nie ma różnicy między baszą a synem śmieciarza. Syn właściciela kawiarni może nawet zostać premierem.

– Świetna myśl – krzyknął Abbas z entuzjazmem. – Ja także przyjmę obywatelstwo angielskie.

Ale Husajn wydał pogardliwie wargi i odparł ironicznie:

– Niemożliwe, ty jesteś za głupi; najlepsze byłoby dla ciebie obywatelstwo włoskie. Zresztą jakkolwiek będzie, popłyniemy tym samym statkiem. Chodźmy!

Wstali, zapłacili rachunek i wyszli.

– Gdzie idziesz teraz? – zapytał Abbas.

Rozdział 31

Być może jedynym zwyczajem, jaki zachowała Hamida z dawnych czasów, był codzienny spacer późnym popołudniem. Tymczasem siedziała przed sięgającym do sufitu błyszczącym lustrem w złotej oprawie. Ubrała się już i teraz robiła makijaż. Stała się zupełnie inną kobietą, można powiedzieć, że urodziła się po raz drugi, i to w luksusie. Na głowie miała biały turban przypominający hełm, pod którym kryły się ufryzowane i uperfumowane włosy. Policzki i usta umalowała na czerwono, a resztę twarzy pozostawiła w kolorze naturalnym. Doświadczenie wykazało, że jej ciemna, brązowa skóra bardziej pociąga alianckich żołnierzy. Oczy uczerniła kuhlem, rzęsy, natłuszczone, jedwabiste, miała starannie rozczesane i podwinięte do góry, a na powiekach położyła fioletowe cienie. Zręczną ręką namalowała w miejscu brwi regularne półksiężyce. W uszach wisiały dwie perły na platynowych łańcuszkach, a na ręku widniał złoty, zegarek. Turban ozdabiała złota zapinka z diamentem w kształcie półksiężyca. Była ubrana w białą sukienkę z przezroczystą górą, która ukazywała różową bieliznę, a dół pozwalał się domyślać śniadości jej bioder. Szare pończochy z prawdziwego jedwabiu wkładała tylko dlatego, że były bardzo drogie. Pachy, dłonie i szyję namaściła mocno perfumami. Jakże bardzo to wszystko ją odmieniło.

Wybrała tę drogę z własnej woli. Po przykrych doświadczeniach odkryła na jej horyzoncie blaski i radości, a jednocześnie gorycz rozczarowań. W rezultacie czuła się ciągle jak na rozdrożu, zdezoorientowana, rozdarta. Już pierwszego dnia zrozumiała, czego od niej chcą. Wpadła w furję nie dlatego, że miała nadzieję złamać w ten sposób żelazną wolę swojego kochanka, ale wziął w niej górę wrodzony instynkt walki. Wkrótce jednak opamiętała się i pojęła jasno, także dzięki elokwencji Faradża Ibrahima, że jeśli chce tonać w złocie, musi najpierw unurzać się w błocie. Nie miała nic przeciwko

temu, otworzyła serce na przyjęcie nowego życia, rzuciła się w nie z entuzjazmem i radością, udowadniając w ten sposób to, co powiedział kiedyś jej kochanek, odwożąc ją taksówką do domu, że „jest urodzoną kurwą”. Wkrótce też zabłysły jej talenty i umiejętności malowania się i ubierania, choć na początku trochę podśmiewano się z jej złego gustu. Uczyła się szybko, naśladowała wspaniale. Najgorzej jej szło z zestawianiem kolorów. Miała też nieprzeparte skłonności do obwieszania się biżuterią. Gdyby jej pozwolono robić, co chce, i ubierać się, jak lubi, wkrótce wyglądałaby jak egipska pieśniarka-kurtyzana: biżuteria przykryłaby chyba całe jej ciało. Szybko nauczyła się dwóch rodzajów tańca i opanowała łatwo angielskie słownictwo seksualne. Sukcesy te zresztą nie były niczym dziwnym. Żołnierze lecieli na nią i obrzucali ją banknotami. Wkrótce stała się w swoim fachu perłą, z którą żadna nie mogła rywalizować. Wydawało jej się, że wszystko osiągnęła i że niczego nie straciła. Wszak nigdy nie była dziewczyną naiwną, która żałowałaby, że dała się oszukać, nie była dziewczyną cnotliwą, która martwiłaby się z powodu swojej zbrukanej reputacji, ani też dziewczyną pocziwą, która by bolała nad straconą nadzieją na uczciwe życie. Żadne miłe wspomnienie nie ciągnęło jej do przeszłości, była absolutnie pogrążona w teraźniejszości. W przeciwieństwie do większości dziewcząt nie miała wyrzutów sumienia. Były wśród nich takie, w których sercach trwała ciągle walka między ambicjami a żalem, rozpaczą i cierpieniem; były biedne – podpory głodnych rodzin, i takie, które pod umalowanymi twarzami ukrywały krwawiące serca i dusze tęskniące do normalnego życia. Ale Hamida do nich nie należała! Podobało jej się to życie. Jej czarujące oczy nabrały blasku, błyszczwały radością i szczęściem. Czyż nie spełniły się jej marzenia? Ależ tak! Miała stroje i biżuterię dzięki mężczyznom, którzy jej to zapewniali. Ona zaś roztaczała nad nimi magiczną władzę.

Co więc dziwnego, że zaułek Midakk wydawał się jej więzieniem, jak zbiegłemu więźniowi. Przypomniła sobie, jak

cierpiała, że jej kochanek nie chce się z nią ożenić. Czy teraz naprawdę wolałaby, żeby się z nią ożenił? Bez wahania odpowiadała sobie: nie. Gdyby do tego doszło, siedziałaby uwiązana w domu, zmęczona odgrywaniem roli żony, służącej, matki i innymi obowiązkami, do których, teraz wie już z doświadczenia, nie jest stworzona. Jakże on był mądry, inteligentny i dalekowzroczny!

Ale nie wyobrażajcie sobie Hamidy jako kobiety pożądlivej, zmysłowej, całkowicie podporządkowanej swoim namiętnościom. O nie, daleka była od tego. Nie należała do kobiet, które poddają się namiętności i pragną ją zaspokoić za wszelką cenę. Hamida pragnęła jedynie błyszczeć, potwierdzać swoją władzę i walczyć. Nawet w ramionach mężczyzny, któremu szczerze ofiarowała miłość, potwierdzenia miłości szukała tylko w aktach agresji i biciu. Świadoma była tej dewiacji swoich uczuć, czy też tego mankamentu, i to było jednym z powodów jej cynizmu i rozwiązłości, a także jej przywiązania do kochanka, choć związek ten przyniósł jej gorzkie rozczarowanie.

Właśnie rozmyślała o tym rozczarowaniu, siedząc przed lustrem i robiąc makijaż, kiedy usłyszała kroki, a po chwili zobaczyła jego twarz w lustrze. Wszedł do pokoju, nie pukając, surowy i poważny, zupełnie nie ten namiętny kochanek, jakiego poznała. To było jej największe rozczarowanie. Patrzyła na niego zimno, ze ściśniętym sercem. Gdyby to wszystko trwało dłużej, pewnie nie dotknęłoby jej aż tak bardzo, ale upojenie przyszło tak nagle w pierwszych dniach i tylko dziesięć dni rozkoszowała się jego miłością, szczęściem i nadzieją. Potem kochanka zastąpił instruktor, a wreszcie z instruktora począł wyłaniać się handlarz cnotą, człowiek bezwzględny i brutalny. W rzeczywistości jego serce nigdy nie zaznało miłości. Wydawać się może dziwne, że czerpał zyski z uczucia, które nigdy nie poruszyło jego serca. Kiedy ofiara wpadła w jego sieci, odgrywał rolę kochanka, którą dzięki swojej męskości i długiemu doświadczeniu opanował do perfekcji. Hamidą bawił się krótko, a kiedy już nabrała do niego zaufania, dał jej odczuć swoją

władzę, wykorzystał jej przywiązanie do siebie i zobowiązania finansowe, nawet groził sankcjami prawnymi. Kochanek przekształcił się w handlarza cnotą. Jego oziębłość przypisywała Hamida atmosferze pełnej uległości innych kobiet. Postanowiła zrobić wszystko, żeby go mieć tylko dla siebie. Padła ofiarą miłości, zazdrości i złości. Wszystkie te uczucia owładnęły nią, kiedy zobaczyła w lustrze jego odbicie.

– Skończyłaś już, kochanie? – zapytał, udając pośpiech.

Nie zwracała na niego uwagi i umyślnie nie odpowiedziała. Nie cierpiała, kiedy ją ponaglał i robił uwagi na temat pracy. Pamiętała, że kiedyś był dla niej pełen podziwu i rozmawiali tylko o miłości. Teraz, ilekroć otworzył usta, mówił o robocie albo o zarobkach. Z powodu tej roboty nie mogła od niego odejść, ale, co tu ukrywać, także z powodu uczucia, jakie do niego żywiła. Gniew przepełniał jej serce, ale jaki pożytek z gniewu? Straciła wolność, bo w jej imię robiła wszystko to, co dotąd było zabronione. Na ulicy lub w winiarni czuła swoją siłę i swoją władzę, ale gdy zobaczyła go lub choćby wspomniała, miejsce tamtych uczuć zajmowało uczucie poddania i poniżenia. Gdyby miała do niego zaufanie, nic nie byłoby dla niej trudne, bo poddanie się w miłości jest w istocie rzeczą zwycięstwem. Ale nie mogła mu ufać i dlatego ogarniało ją szaleństwo.

Faradz Ibrahim doskonale zdawał sobie sprawę z uczuć, jakie nią miotają. To było przygotowanie do zerwania. Innej kobiety pozbyłby się łatwo, ale jeśli chodzi o Hamidę, wolał, żeby sączyła rozpacz kropla po kropli. Cierpliwie poświęcił temu cały miesiąc, aż poczuł się przygotowany do decydującego uderzenia.

– Chodźmy, kochanie, już czas wyjść na ulicę – powiedział zimno.

– Mógłbyś wreszcie przestać używać takich obrzydliwych wyrażen.

– A ty mogłabyś przestać odpowiadać mi tak sucho.

– Teraz tak do mnie mówisz?

Udał, że jest już tym znudzony.

– Och, znowu wracamy do tych idiotycznych wymówek. „Mówisz do mnie takim tonem”, „nie kochasz mnie”, „gdybyś mnie kochał, nie traktowałbyś mnie jedynie jak towar”. Po co to wszystko? Czyż kochanek musi rano i wieczór powtarzać: „jestem twoim kochankiem”, „kocham cię”? Czy muszę ci to powtarzać za każdym razem, kiedy cię widzę? Czyż mamy bez przerwy rozmawiać o miłości, zapominając o pracy, o obowiązkach? Chciałbym, żeby twój rozsądek był równie wielki jak twoja złość, żebyś poświęcała swoje życie, tak jak ja poświęciłem swoje, naszej wspaniałej pracy i żebyś ją przedkładała nad miłość i nad wszystko inne.

Słuchała go z twarzą pobladłą z gniewu, słuchała tych zimnych, przewrotnych słów, które kiedyś ją denerwowały, ale do których już się prawie przyzwyczaiła, od kiedy stał się dla niej oziębły. Pamiętała, jak ją krytykował, oglądając uważnie jej rękę: „Musisz nosić dłuższe paznokcie – mówił – i malować je. Ręka to twój słaby punkt”. A innym razem, kiedy wybuchła między nimi kłótnia, powiedział ostrzegawczo i złośliwie: „Uważaj na głos, to twój drugi słaby punkt. Krzycz sobie, ile chcesz, ale ustami, nie gardłem, bo z gardła wychodzi dźwięk wulgarny i ordynarny, nadający się może do zaułka Midakk, a ty mieszkasz na Imad ad-Din i nie możemy tego lekceważyć”. Tak odnosił się do niej ten alfons, poniżał ją i zadawał jej ból. A kiedy tylko zaczynała mówić o miłości, wymyślał kłamliwe czułości i miłe słówka, a z czasem i tego zaprzestał. Potrafił jej powiedzieć na przykład: „Miłość to zabawa, a my jesteśmy poważni ludzie” albo „Bierz się do roboty, miłość to puste gadanie”. Żeby go diabli wzięli za to, że tyle bólu zadał jej marzeniom. Spojrzała więc na niego surowo i powiedziała:

– Nie masz prawa tak do mnie mówić, nie przypominaj mi ciągle o robocie, ja jestem ważniejsza niż robota. Wiesz dobrze, że jestem lepsza i zdolniejsza od innych i zarabiasz na mnie dwa razy

tyle niż na wszystkich innych razem wziętych. Więc już przestań powtarzać w kółko to samo i powiedz mi wreszcie szczerze, bo mam dosyć owijania w bawełnę, czy mnie ciągle kochasz.

Chciał jej rzucić zdecydowaną odpowiedź: nie. Tracił cierpliwość. Ale zastanowił się, trochę zaniepokojony, nie spuszczać oka z Hamidy. Wahał się, wolał ją uspokoić, przynajmniej na razie.

– No więc, jak oczekiwałem, wróciliśmy do dawnej rozmowy – powiedział znużony.

– Odpowiedz mi jasno: czy myślisz, że umrę z żalu, jeśli mnie pozbawisz swojej miłości?

To nie była odpowiednia chwila na rozmowę. Może gdyby mu zadała to pytanie wieczorem, po powrocie z ulicy, albo rano, kiedy mieli czas na zabawę i kłótnie, odpowiedziałby jej tak, jak chciał, ale teraz szczerą odpowiedź mogłaby go pozbawić całodziennego zarobku.

Uśmiechnął się więc zimno i powiedział:

– Ależ tak, kocham cię, moja droga.

Cóż może być ohydniejszego niż słowa miłości wypowiedziane przez znudzone usta. To jak splunięcie. Poczwała się bezsilna, ale jednocześnie wiedziała, że zniosłaby największe poniżenie, gdyby miała pewność, że to go rzuci z powrotem w jej ramiona. Wydało jej się, że bez jego miłości całe życie nic nie jest warte, ale to był tylko moment. Szybko otrzeźwiała, podeszła do niego, a oczy jej błyszczały jak diament, który tkwił w turbanie:

– Kochasz mnie naprawdę? To się pobierzmy – powiedziała, zdecydowana prowokować go do końca.

Był zdumiony i nie wiedział, czy ma brać poważnie to, co powiedziała.

– A czy małżeństwo coś zmieni?

– Tak, pobierzmy się i porzućmy to życie.

Cierpliwość Faradża wyczerpała się, postanowił wreszcie załatwić tę sprawę jasno, z całym okrucieństwem, nawet gdyby miał stracić zarobek tego wieczoru. Roześmiał się z gniewem i ironią:

– Wspaniały pomysł. Dobrze mówisz, pobierzemy się i będziemy żyli jak ludzie uczciwi. Faradz Ibrahim, żona, dzieci i S-ka. Ale powiedz mi, co to jest małżeństwo? Zupełnie zapomniałem, tak jak zapomniałem, co to są wszystkie inne „dobre obyczaje”. Zaraz, zaraz, niech sobie przypomnę... Małżeństwo... O ile pamiętam, jest to sprawa poważna... to jest mężczyzna, kobieta, urzędnik, dokument religijny, mnóstwo obrzędów... Skąd ty to wiesz, Faradz? Ze szkoły czy z książek? Nie wiem. Czy ten zwyczaj ciągle obowiązuje? Powiedz mi, ukochana, czy ludzie ciągle jeszcze się żenia?

Hamida drżała na całym ciele. Patrzyła na jego twarz, z której nie schodził drwiący uśmiech, i opanował ją szal. Rzuciła się na niego i zatopiła paznokcie w jego szyi. Nie zaskoczył go ten nagły atak, spokojnie chwycił ją za rękę i uwolnił się od niej ciągle z tym samym drwiącym uśmiechem. Wściekłość Hamidy jeszcze wzrosła. Podniosła błyskawicznie rękę i z całej siły uderzyła go w twarz. Uśmiech znikł, a w oczach Faradża pojawiła się groźba. Hamida przyjęła ją wyzywającym spojrzeniem, oczekując w każdej chwili wybuchu. Rozkosz walki kazała jej zapomnieć o cierpieniach i w histerycznych marzeniach oczekiwać szczęśliwego zakończenia tej zwierzęcej walki. Ale Faradz już ocenił konsekwencje poddania się gniewowi. Uważał, że odpowiedź agresją na agresję jeszcze bardziej zacieśni związek, który chciał zerwać, i jeszcze bardziej ją do niego przywiąże. Opanował się, powstrzymał gniew i postanowił dać jej jasno do zrozumienia o zerwaniu. Wycofał się z walki i opuszczając pokój, powiedział spokojnie:

– Weź się do pracy, kochanie.

Hamida z rozpaczą w sercu, nie wierząc własnym oczom, patrzyła na drzwi, za którymi zniknął Faradz. Instynktownie pojęła,

dłaczego się wycofał, pojęła okrutną prawdę i nagle gorąco zapragnęła go zabić. Żądza zamordowania go wybuchła w niej z ogromną siłą nie z pozycji słabszego, którego zaślepiła nienawiść. Poczuła, że jest do tego zdolna, bo oto ten człowiek, przy którym tak dobrze siebie poznała, odkrył teraz najbardziej niebezpieczną jej cechę. Ale czy jest sens ryzykować życie mordując go, i to teraz, kiedy tyle osiągnęła. Przecież robiła wszystko dla takiego życia i teraz ma to zniszczyć. Siedziała zdenerwowana, nie mogąc zebrać myśli. Przede wszystkim musi wyjść z tego domu, na ulicy uspokoi się, a wtedy zastanowi się, co robić. Powlokła się do drzwi. Być może opuszcza ten pokój, ich pokój, na zawsze. Obejrzała się i rzuciła pożegnalne spojrzenie. O Boże, jak to się mogło tak szybko skończyć? Ileż razy siedziała szczęśliwa i radosna przed tym lustrem? A oto łóżko miłości i marzeń, a na tej kanapie siedziała, słuchając jego instrukcji udzielanych między jednym a drugim pocałunkiem, a to stolik z ich fotografią w wieczorowych strojach... Odwróciła się plecami do wszystkich tych wspomnień i wybiegła z pokoju. Na ulicy owiało ją ciepłe powietrze, oddychała z trudem. „Znajdę sposób, żeby go zabić – myślała, spacerując. – Lepiej, oczywiście, żeby za to nie zapłacić własnym życiem. Życie nie zostało dane po to, żeby je poświęcać, życie jest więcej warte niż wszystko, niż sama miłość”. To prawda, miłość zostawiła głęboki smutek w jej sercu, ale Hamida nie należała do kobiet, które umierają z miłości. Miała w sercu głęboką ranę, ale przecież ranny może żyć, nawet jeżeli krwawi, co więcej, może się cieszyć życiem. Zobaczyła dorożkę, skinęła na woźnicę i wsiadła. Czuła ogromną potrzebę spokoju i odpoczynku.

– Na plac Opery – powiedziała. – Potem zawróć na ulicę Fu'ada I. Jedź wolniutko.

Usiadła wygodnie, oparła się plecami o poduszki, założyła nogę na nogę, odsłaniając uda. Wyciągnęła z torebki paczkę papierosów i zapaliła. Zaciągała się głęboko, łapczywie, nie zwracając uwagi na spojrzenia, które ślizgały się po jej odsłoniętym ciele. Całkowicie po-

grażyła się w myślach. Jej serce nigdy nie uwolni się od bólu, a mimo to ręka nigdy nie wypuści sznura życia. Tyle nadziei, tyle radości oczekiwania, tyle marzeń i wszystko na marne. Nie przyszło jej jednak do głowy, że zamiast tej miłości, która przyniosła jej tylko rozczarowanie, mogłaby znaleźć inną. Ocknęła się na placu Opery, w tłumie powozów, z dala zobaczyła plac Al-Malika Farida i jej myśli pobiegły w stronę ulicy Al-Muski, As-Sikka al-Dżadida, As-Sanadikijji i zaułka Midakk. „Ciekawe, czy ktoś z tych, którzy ją znali, rozpoznałby ją teraz w tym stroju – pomyślała. – Czy poznałby ktoś w Titi dawną Hamidę?” Ale po co się tym przejmować. I tak nie ma ojca ani matki. Zaciągnęła się jeszcze raz papierosem, wyrzuciła niedopałek i zaczęła z uwagą obserwować ulicę, jako że dorożka zawróciła już na ulicę Szarifa, kierując się w stronę winiarni, do której właśnie zamierzała wejść. W tym momencie usłyszała krzyk jak z za grobu:

– Hamida!

Odwróciła się przerażona i zobaczyła Abbasa, który ciężko dysząc, biegł za dorożką.

Rozdział 32

Abbas! – krzyknęła automatycznie. Abbas biegł za dorożką już od placu Opery. Przeciskał się przez tłum, nie zważając na szturchańce ani przekleństwa, jakie go goniły. Po wyjściu z winiarni „Vita” spacerowali z Husajnem bez celu, aż doszli do placu Opery. Nagle Husajn zwrócił uwagę na dorożkę, która wiozła Hamidę. Zauważył piękną dziewczynę i pokazał ją Abbasowi. Abbas przyglądał się zamysłonej twarzy dziewczyny, nie mogąc oderwać od niej oczu. Jakaś magiczna siła przyciągała jego wzrok. Bardziej sercem niż oczami zaczął odnajdywać delikatny cień podobieństwa. Dreszcz przeszedł mu po ciele, serce poprzez lekkie zamroczenie alkoholem krzyczało w niepewności: „Ona?!” Dorożka minęła ich i pojechała w kierunku parku Al-Azbakijja. Abbas, nie zastanawiając się, zaczął za nią biec, nie słyszał nawet wołania towarzysza. U wylotu ulicy Fu'ada I tłum zatarasował mu drogę, ale on nie stracił z oczu dorożki. Potem znowu zaczął biec, ile sił w nogach, i dogonił dorożkę tuż przed winiarnią, do której właśnie miała wejść Hamida. Zawołał ją po imieniu. Stał przed nią zdyszany, zdumiony i zażenowany, nie wierząc własnym oczom. Na chwilę Hamidę opanowało wzruszenie. Szybko jednak zdała sobie sprawę z kłopotliwej sytuacji. Bała się ciekawości gapiów, więc dała znak Abbasowi i skręciła w uliczkę koło winiarni, weszła w pierwsze drzwi po lewej stronie, do kwiaciarni. Abbas podążył za nią. Kwiaciarka pozdrowiła ją, jak stałą klientkę. Hamida widać często odwiedzała to miejsce. Pośpiesznie oddała sprzedawczyni pozdrowienie i szybko poszła w głąb pomieszczenia, chowając się przed wzrokiem ludzi. Kwiaciarka w lot zrozumiała, że Hamida chce zostać sama ze swoim towarzyszem, usiadła więc przy witrynie sklepowej obojętna, jakby nigdy nic. Tymczasem Hamida i Abbas stali naprzeciwko siebie. Abbas był bardzo wzruszony, cały drżał. Co go podkusiło do tego

szaleńczego biegu? Czego oczekiwał po tym nagłym spotkaniu? Wszedł tu za nią zupełnie bezmyślnie i bezwolnie. W pierwszej chwili myśl o doznanej krzywdzie i zrujnowanych nadziejach zamroczyła go tak, że nie wiedział, co robi. Biegł zupełnie mechanicznie, bez jakiegoś wyraźnego postanowienia. Ale kiedy wymówiła jego imię, jakby stracił świadomość i wszedł za nią do kwiaciarni jak we śnie. Teraz budził się wolno, z wysiłkiem zaczynał dostrzegać tę kobietę w dziwnym stroju i jaskrawym makijażu stojącą tuż przed nim. Na próżno usiłował znaleźć w niej dziewczynę, którą kochał. Odwrócił wzrok, wyczerpany wzruszeniem i zrozpaczony. Abbas był prosty i naiwny, ale nie aż tak głupi, żeby nie dostrzec prawdy. Plotki krążące w zaułku przygotowały go na najgorsze, ale to jeszcze nie to, co zobaczył na własne oczy. Jego zdruzgotane serce bolało nad marnością i znikomością ludzkiego życia. Gniew, który w nim wrzał dzień i noc, nie wybuchł. Abbas daleki był od tego, żeby ją uderzyć lub napluć jej w twarz. A Hamida patrzyła na niego zakłopotana. Odczuwała strach w zetknięciu z tym śladem przeszłości, ale nie czuła żalu ani nie żywiła sentymentu, przeciwnie, pełna była pogardy i nienawiści i przeklinała pech, który postawił Abbasa na jej drodze. Przedłużające się milczenie ciążyło im obojgu. Abbas przerwał je głosem drżącym i ochryplym:

– Hamido, czy to naprawdę ty! Na Boga, trudno uwierzyć oczom! Jak mogłaś porzucić dom i matkę i tak się zmienić!

– Nie pytaj, nie mam ci nic do powiedzenia. Taka była wola Boga, od niej nie ma ucieczki.

Abbas nie oczekiwał takiego spokoju i wybuchł gniewem:

– Kłamiesz, ty rozpustnico! Skusił cię taki sam rozpustnik jak ty, z nim uciekłaś. Ludzie źle o tobie mówią. Teraz czytam jasno w twojej twarzy rozpustę, świadczy też o niej ten skandaliczny strój i makijaż.

Słowa te ugodziły ją w samo serce, wyzwoliły jej wściekłość, powstrzymaną już od rozmowy z Faradżem, Na początku spo-

tkania z Abbasem tłumila ją, ale teraz zbladła i zaczęła krzyczeć jak szalona:

– Dosyć tego! Nie wrzeszcz na mnie, nie myśl, że się złękę. Czego właściwie chcesz ode mnie? Nie masz do mnie żadnego prawa, zejź mi z oczu!

Abbasa opuścił gniew, zanim jeszcze skończyła krzyczeć, zgasł jak ogień zalany wodą. Patrzył na nią osłupiały.

– Jak możesz tak mówić, przecież jesteś... jesteś moja narzeczoną.

– Nie ma co mówić o tym, co było – odpowiedziała z satysfakcją, patrząc na jego klęskę. – Co było, minęło.

– Tak, było i minęło, ale ja się ciągle o ciebie niepokoję. Przecież przyrzekłaś mi swoją rękę i dlatego wyjechałem tak daleko.

Hamida otrząsnęła się z zażenowania i strachu. Myślała tylko: kiedy on zrozumie, kiedy przestanie się mnie czepiać i pójdzie sobie?

– Ty chciałeś jednego, a los chciał czego innego – odparła znudzona.

Rozdrażnienie i znudzenie Hamidy nie uszło uwagi Abbasa, mimo to nie przestawał jej zadawać pytań i żądać wyjaśnień.

– Coś ty z siebie zrobiła? Co cię tak zaślepiło, jak mogłaś się tak okropnie zmienić. Kim jest ten zbrodniarz, który cię wyrwał z czystego życia i rzucił w te brudy?

– To jest moje życie i mój los, od którego nie ma ucieczki. Jesteśmy sobie obcy i nie możemy być przyjaciółmi. Nie ma już powrotu i cokolwiek byś powiedział, niczego już nie zmienisz. Nie odzywaj się do mnie tak grubiańsko, bo nie mam nastroju ani cierpliwości, aby to znosić. Jestem bezsilna wobec losu, ale nie zniosę, abyś powiększał mój smutek i wylewał na mnie swój gniew. Zapomnij o mnie. Możesz mną pogardzać, ale zostaw mnie w spokoju.

Oto jest narzeczona. Co ona ma wspólnego z Hamidą, którą kochał i która jego kochała? Czy ona go naprawdę kochała? Ale przecież dotknęła ustami jego ust na schodkach, modliła się za niego w dzień rozstania i obiecała pomodlić się w meczecie Al-Husajna. Kim jest ta dziewczyna? Nie czuje żadnego żalu? Nie pozostało w niej nic z dawnej czułości? Abbas wpadł ponownie w gniew, ale się opanował.

– Wprawiasz mnie w zakłopotanie – powiedział. – Wczoraj wróciłem z At-Tall al-Kabir i ta okropna wiadomość spadła na mnie jak grom. Wiesz, dlaczego wróciłem? – Wyjął pudełeczko z naszyjnikiem i pokazał jej. – Wróciłem z tym prezentem i chciałem podpisać akt małżeński, zanim odjadę znowu.

Hamida spojrzała na pudełeczko, nic nie mówiąc, a jego wzrok padł na diamentowy półksiężyc i perły, które nosiła, i szybko schował pudełko do kieszeni.

– Nie żałujesz tego, co zrobiłaś? – zapytał gorzko.

Przez głowę Hamidy przebiegła myśl, która ją jakby obudziła.

– Nawet nie wiesz, jak bardzo jestem nieszczęśliwa – powiedziała z udanym smutkiem.

– To straszne, Hamido. Dlaczego jesteś nieszczęśliwa? Dlaczego dałaś się namówić podszeptom szatana? Jak mogłaś odrzucić uczciwe życie? I to przez takiego grzesznego zbrodniarza, szatana z piekła rodem? To nie do wybaczenia.

– Zapłaciłam za to własnym ciałem i krwią – powiedziała z takim samym smutkiem, a pomysł, który ją nagle ożywił, ciągle zaprzętał jej myśli.

Abbas był zdumiony, a zdumienie mieszało się w nim z niejasną radością i satysfakcją. Ale Hamida nieprzypadkowo zagrała rolę nieszczęśliwej. Myśli jej biegły z szaloną szybkością, podniecone szatańskim pomysłem. Wykorzysta Abbasa przeciwko temu

człowiekowi, który złamał jej serce z takim okrucieństwem, uczyni go narzędziem zemsty za swoje nieszczęście, samej siebie nie narażając.

– Jestem po prostu nieszczęśliwa, Abbasie – mówiła, patrząc na niego z miłością. – Nie miej mi za złe tego wszystkiego, co mówiłam. Nieszczęście sprawia, że tracę nad sobą kontrolę. Wy wszyscy uważacie mnie za rozpustną dziwkę, a ja, tak naprawdę, jestem po prostu nieszczęśliwa. Oszukał mnie ten szatan, jak go nazwałeś, sama nie wiem, jak mu się podporządkowałam. Ale mimo to nie lituję się nad sobą ani nie szukam twojego przebaczenia. Wiem, że zgrzeszyłam, i oto płacę cenę za mój ohydny postępek. Wybacz mi gniew, w który wprawiły mnie twoje sprawiedliwe słowa. Możesz mnie znienawidzić i pogardzać mną, bo masz czystą i szlachetną duszę. Przeklnij mnie, bo jestem teraz tylko marną zabawką w rękach nieznających litości. Rzucił mnie na ulicę i teraz, gdy ograbił mnie z tego, co miałam najcenniejsze, wykorzystuje moje nieszczęście. Nienawidzę go, nienawidzę go za całe moje nieszczęście i mękę, ale niestety, nie mogę się od niego uwolnić.

Abbas słuchał jej skargi zdumiony i przerażony. Zapomniał o kobiecie rozwścieczonej, która przed chwilą o mało się na niego nie rzuciła jak tygryska. Obudził się w nim męski honor i rzekł rozgniewany:

– Co za nieszczęście, Hamido! Ty jesteś nieszczęśliwa i ja jestem nieszczęśliwy, a wszystko przez tego zbrodniarza. To prawda, że twój grzeszny postępek rozdzielił nas na zawsze, ale gdy my cierpimy, ten zbrodniarz żyje sobie szczęśliwy i spokojny, jakby się cieszył z naszego nieszczęścia. Nie widzę dla siebie życia, póki mu nie rozwalę łba!

Hamida poczuła ulgę i odwróciła wzrok, żeby Abbas nie dostrzegł tego w jej oczach. Nawet nie przypuszczała, że tak szybko złapie go w swoją sieć. Szczególnie ucieszyła się ze słów: „twój

grzeszny postępek rozdzielił nas na zawsze”'. Dotąd bała się, że ze wzruszenia będzie chciał jej przebaczyć i zapragnie jej powrotu.

– Nie spocznę, dopóki nie rozwalę mu łba i nie połamię kości – ciągnął Abbas. – Tak, nie zapomnę nigdy, że z nim uciekłaś. Nie ma nadziei, żeby wróciło to, co było, straciłem na zawsze Hamidę, którą kochałem, ale temu zbrodniarzowi pokażę, co to cierpienie. Niech cierpi, tak jak my cierpimy. Powiedz, gdzie mogę go znaleźć?

– Dzisiaj nic nie wskórasz – powiedziała szybko. – Ale przyjdź w niedzielę po południu do winiarni na początku tej uliczki. Z pewnością będzie on tam jedynym Egipcjaninem. Gdybyś miał wątpliwości, wskażę ci go wzrokiem... Ale, co ty chcesz zrobić? – wypowiedziała to ostatecznie zdanie w obawie o następstwa czynu Abbasa dla niego samego.

– Rozwalę łeb temu alfonsowi – odpowiedział z gniewem i rozpaczą.

„Czy on mógłby go zabić?” – myślała. Miała nadzieję, że Abbas tylko sprowokuje skandal, który odda go w ręce policji i w ten sposób zemści się na kochanku i jednocześnie uwolni od narzeczonego. Myślała o tym z zadowoleniem, ale też szczerze pragnęła, żeby się Abbasowi nic nie stało, pragnęła, żeby ją pomścił, ale żeby nie padł ofiarą swojego czynu.

– Uważaj, żeby pragnienie zemsty nie zagroziło twojemu życiu. Pobij go, zrób skandal, zawlec go na posterunek policji, niech go sądzą za wszystkie zbrodnie.

Ale Abbas jej nie słuchał, mówił dalej jakby do siebie:

– To niesprawiedliwe, żebyśmy cierpieli i nie byli pomszczeni. Skończyła się Hamida, skończył się Abbas, jak może taki alfons chodzić spokojny i śmiać się z nas? Uduszę go, uduszę go. A co ty, Hamido, zrobisz ze swoim życiem, jeśli usunę z twojej drogi tego szatana?

Bała się odpowiedzieć cokolwiek, żeby Abbas znowu nie zmienił zamiarów.

– Zerwę ze starym życiem – powiedziała stanowczo i spokojnie.
– Sprzedam biżuterię i poszukam jakiejś uczciwej pracy gdzieś daleko.

Abbas milczał długo, smutny i zamyślony, z pochyloną głową, po czym powiedział cicho:

– Nie może serce przebaczyć, nie może, nie może. Ale nie znikaj znowu, zanim się cała sprawa nie zakończy.

Wyczuła w jego głosie coś, co ostrzegało ją, że może jej jeszcze przebaczyć. Trochę się zaniepokoiła, wolałaby raczej, żeby zginął, niż żeby miał wrócić do niej z otwartymi ramionami. Ale nie mogła przecież wyjawić wszystkiego, co działo się w jej sercu. Kiedy zaspokoi już żądzę zemsty, po prostu zniknie. Cóż łatwiejszego niż wyjechać do Aleksandrii, o której jej tyle mówił Faradz Ibrahim. Tam będzie miała życie spokojne, bezpieczne od natrętów, będzie cieszyła się wolnością. Te argumenty sprawiły, że bez trudu powiedziała tonem pełnym czułości:

– Jak chcesz, Abbasie.

Serce Abbasa nappełniła gorycz nieszczęścia, rozpacz i żądza zemsty, ale jednocześnie czuł rozterkę i ogarniało go wzruszenie.

Rozdział 33

Był to radosny dzień pożegnania. Wszystkie serca przepęłniało uczucie czci dla As-Sajjida Radwana Al-Husajniego. As-Sajjid prosił Boga, aby dał mu możliwość dopełnić w tym roku obowiązku pielgrzymki, i Bóg go wysłuchał. Wszyscy wiedzieli, że dziś po południu z woli Boga Litościwego pojedzie do Suezu, a stamtąd do ziemi świętej. Dom wypełnił się żegnającymi i pobożnymi szajchami. Nawiedzili go w przytulnym pokoju, którego ściany przez tyle lat słuchały wspólnych wieczornych modlitw i rozważań. Mówiono o pielgrzymce, snuto wspomnienia, siedząc w dymie kadzidła unoszącego się z paleniska. Cytowano święte hadisy i przysłowia, deklamowano starą arabską poezję. Ktoś pięknym głosem recytował wersety z Koranu. Potem zebrani wysłuchali płynącej z serca mowy As-Sajjida Radwana.

– Szczęśliwej podróży i chwalebного powrotu! – życzył mu na zakończenie jeden z szajchów.

Twarz As-Sajjida rozjaśnił uśmiech.

– Nie wspominaj o powrocie, bracie. Wszak ten, kto udając się do domu Bożego, niesie w sercu tęsknotę za krajem ojczystym, zasługuje na to, żeby Bóg cofnął mu swoje łaski. Będę myślał o powrocie, opuszczając kolebkę islamu i zmierzając do Egiptu, chcę powiedzieć, że będę myślał o ponownym odbyciu pielgrzymki, jeśli Bóg litościwy dopomoże. Jakżebym pragnął, by mnie osiedlił tam na resztę życia. Rano i wieczorem deptałbym ziemię, która kiedyś ugięła się pod dotknięciem stóp Proroka, oddychałbym powietrzem, o które uderzały skrzydła aniołów, oglądałbym miejsca, które były świadkami świętego objawienia zesłanego z nieba na ziemię i modłów zanoszonych przez wiernych do nieba. Tam wszystkie myśli krążą tylko wokół wieczności. Serce uderza tylko z miłości do Boga,

tam znajdziesz lekarstwo na wszystko i dostąpisz uzdrowienia. Bracie mój, umieram z tęsknoty do widoku Mekki, do jej niebios, pragnę wsłuchiwać się w szept czasu między kolumnami jej meczetów, chodzić po jej ulicach, oddawać się samotnej kontemplacji w jej świątyniach i gasić pragnienie wodą ze źródła Zamzam. Pragnę pójść drogą, którą wybrał Prorok na swoją hidżrę, a którą ciągle od tysiąca trzystu lat podążają tłumy, chcąc ochłodzić serce wizytą na grobie Proroka i pomodlić się w świętym ogrodzie. Będę chodził, bracia, po okolicach Mekki i czytał święte wersety, tam gdzie zostały zesłane, tak jakbym słuchał Istoty Najwyższej, co za radość! Będę klęczał w ogrodzie, wyobrażając sobie Twarz Ukochaną, tak jakbym ją widział we śnie, co za szczęście! Będę się kajał i prosił o przebaczenie w Al-Makam. Co za spokój i ukojenie! U źródła Zamzam obmyję spragnione członki uzdrawiającą rosą, co za pewność i spokój! Bracie mój, nie wspominaj o powrocie, módl się za mnie do Boga, aby spełnił moje marzenia.

– Oby Bóg spełnił twoje marzenia i uszczęśliwił cię długim życiem w zdrowiu.

As-Sajjid gładził brodę ręką, a oczy lśniły mu radością i miłością.

– Tak, przyjaciele, prawdą jest, że pamięć o życiu po śmierci nie pchała mnie do ascezy ani nie zrodziła we mnie obojętności na życie ziemskie, sami wielokrotnie widzieliście i byliście świadkami mojej radości życia. Jakże mogło być inaczej? Przecież to nasze życie, takim jakie ono jest, też jest tworem Najlitościwszego. Bóg je stworzył i on też napełnił je bogactwem i radością. Kto chce, niech je kontempluje, kto chce, niech zanosí dziękczynne modły. Kocham je za różnorodność, za kolory i dźwięki, za noc i dzień, za radości i cierpienia, za narodziny i śmierć, za wszystko żywe, co pełza i się porusza, i za to, co stoi zastygłe. Ono jest skończonym dobrem. A zło nie jest niczym innym jak chorobliwą niemożnością poznania dobra. Dlatego powiadam wam, że miłość życia ziemskiego jest jedną

połową czci boskiej, a miłość tamtego świata – drugą. Przerażają mnie łzy, które zalewają świat, i jęki, i narzekania, i złość, gniew, okrucieństwo, i złośliwość, a także skargi na choroby i cierpienia. Czyż ludzie woleliby, żeby świat nie został stworzony? Czy chcieliby pozostać w nicości? A może ośmielają się sprzeciwiać mądrości Boga? Nie chcę uchodzić za bezgrzesznego. Mnie też ogarnęła rozpacz, kiedy straciłem pierwsze dziecko. Pograżony w smutku i bólu pytałem, dlaczego Bóg nie zostawił mi go, żeby się cieszyło życiem i szczęściem. Potem Bóg naprowadził mnie na słuszną drogę, wtedy zapytałem: czyż to nie On, Potężny i Wszechmocny, stworzył je? Dlaczego więc nie miał go zabrać wtedy, kiedy chciał? Gdyby chciał, zostawiłby je na tym świecie, ale zabrał je, bo tego wymagała jego nieskończona mądrość. Zapewne chciał dla mnie i dla niego dobra. Kiedy zrozumiałem jego mądrość, radość zwyciężyła smutek i serce zawołało: „O Panie, zesłałeś na mnie nieszczęście, żeby mnie doświadczyć, i oto zdałem egzamin. Wiara moja umocniła się natchniona twoją mądrością. Dzięki ci, Boże!” I odtąd zawsze, kiedy dotknęło mnie nieszczęście, dziękowałem Bogu z głębi serca i cieszyłem się. Jakże mogłem czynić inaczej, wszak Bóg celowo obdarzył mnie cierpieniem, więc za każdym razem, kiedy nieszczęście docierało do oazy mego spokoju, coraz głębiej i lepiej pojmowałem mądrość zawartą w wierze i jej dobro. Nieszczęścia zsyłane mi przez Boga trwały nieprzerwanie, a ja stałem się rozpieszczonym dzieckiem w jego królestwie. Straszyl mnie udawaną surowością, aby podwoić jeszcze moją radość i na zawsze mnie do siebie przywiązać. W ten sposób upewniłem się, że ludzie najbardziej doświadczeni przez Boga są najbardziej przez Niego ukochani i stoją najbliżej Niego, bo Bóg chce widzieć, czy są naprawdę godni Jego miłości i miłosierdzia. Największa za to chwała Bogu, bo dzięki temu zrozumiałem, że należę do Jego wybranych.

Gładził się po szerokiej piersi z radością i zadowolony odkrywał swoje serce i mówił dalej gorąco i serdecznie:

– Ludzie uważają, że nieszczęścia, które dotyczą niewinnych, są znakiem sprawiedliwej zemsty, a nie pojmują ich mądrości. Mówią, że gdyby na przykład bezdzietny ojciec się zastanowił, stwierdziłby, że jego bezdzietność jest karą za grzech, który popełnił on sam lub który popełnili jego przodkowie. Ale przysięgam na moje życie, że Bóg jest najsprawiedliwszy i najmiłosierniejszy, i nie weźmie niewinnego za grzesznika. Ludzie powołują się też na to, co sam Bóg powiedział o sobie, że jest potężny i mściwy*. Ale ja wam mówię, czcigodni mężowie, Najwyższy Bóg nie potrzebuje się mścić, a jeżeli mówił o zemście, to tylko w tym znaczeniu, że sprawy tego świata nie mogą pozostać bez nagrody lub kary i człowiek powinien go w tym naśladować. A istotą potęgi i wielkości Boga jest Jego boska mądrość i miłosierdzie. Gdybym odkrył, że moje nieszczęścia są karą, na którą zasłużyłem, a trupy moich dzieci zapłata za grzechy, uważałbym je mimo wszystko za sprawiedliwe i nie buntowałbym się, a przestałbym grzeszyć, zostałby jednak w moim sercu smutek, z oczu płynęłyby łzy, a cierpiące serce krzyczałoby: słaby człowiek grzeszy, a niewinny ginie, gdzież miłosierdzie i przebaczenie? Które to cierpienie odkrywa mądrość i dobroć Boga i radość serca?!

Jego poglądy wzbudziły liczne sprzeciwy. Niektórzy trzymali się tekstu Koranu, inni powoływali się na komentarz do Koranu, a jeszcze inni wiązali zemstę z miłosierdziem. Ale As-Sajjid Radwan nie był nastawiony na dyskusję, chciał jedynie wyrazić całą miłość i radość, jaka rozpierała mu serce. Uśmiechał się niewinnie jak dziecko i odpowiadał im z zaróżowioną twarzą i z błyszczącymi oczami:

– Przepraszam, czcigodni mężowie, ale ja po prostu kocham życie, co więcej, kocham siebie i to nie jako istotę, do której jestem przywiązany, ale jako część ludzkości, stworzenie Najwyższego i dowód jego Boskiej mądrości. Kocham wszystkich ludzi, nawet

* „Bóg jest potężny, włada zemstą!”, Koran, sura III, „Rodzina Imrana”, w. 4, tłum. Józef Bielawski, PIW, Warszawa 1986.

zdegenerowanych zbrodniarzy. Czyż oni nie świadczą o tym, że życie zdąża do doskonałości? Czyż oni nie są ciemnością, która rzuca swój cień na światło dobra? Pozwólcie, że zdradzę wam głęboką tajemnicę. Czy wiecie, dlaczego postanowiłem odbyć tę pielgrzymkę właśnie w tym roku?

As-Sajjid umilkł na chwilę, a jego czyste oczy lśniły światłem radości.

– Nie przeczę, od dawna była ona pragnieniem mojego serca – powiedział, odpowiadając na pytające spojrzenia – ale z woli Boga odkładałem ją z roku na rok, w końcu spostrzegłem, że tęsknotę do ukochanego przedkładam nad ukochanego, pragnienie złożenia czci Bogu sprawia mi taką samą rozkosz, jak złożenie jej naprawdę. Ale w naszym zaułku wydarzyły się sprawy, o których wiecie; szatan omotał dwóch naszych mężczyzn i dziewczynę. Mężczyzn zaprowadził do grobu, namówił ich, aby go ograbili, a potem wtrącono ich do więzienia. W dziewczynie rozpalił namiętności i pogrążył ją w błocie deprawacji. To mi zraniło serce. Nie ukrywam przed wami, czcigodni mężowie, że w głębi duszy czuję się temu winny. Jeden z tych mężczyzn żywił się odpadkami i rozkopał grób w nadziei, że znajdzie między zrobaczywiałymi kośćmi jakiś kasek, jak bezpański pies, który szuka pożywienia na kupach śmieci. Wstydziłem się mojego dobrze odżywionego ciała, różowej twarzy, płakałem, czułem do siebie wstręt i gniew i zapytywałem sam siebie, co zrobiłem, żeby zapobiec nieszczęściu i ulżyć jego biedzie. Czyż sąsiedzi moi nie stali się igraszka szatana, a ja zadowolony z siebie i spokojny tego nie widzę. Czyż człowiek dobry, ale bierny, nie pomaga szatanowi, sam o tym nie wiedząc? Moje sumienie zaczęło krzyczeć, udręczone, i kazało mi przedsięwziąć podróż do tych świętych miejsc, co było od dawna moim pragnieniem i prosić o przebaczenie. A jeśli wrócę, za pozwoleniem Boga, a wrócę z sercem czystym, uczynię z mojego serca, języka i rąk narzędzie w czynieniu dobra w szerokim królestwie Bożym.

As-Sajjid skończył, a jego towarzysze modlili się za niego gorąco i długo jeszcze dyskutowali z radością w sercach.

Poza pożegnaniem we własnym domu As-Sajjid Radwan zapragnął złożyć pożegnalną wizytę w kawiarni Kirszy. Usiadł na kanapie razem z ma'allimem Kirszą, Ammem Kamilem, szajchem Darwiszem, Abbasem al-Helu i Husajnem Kirszą. Przyszła też piekarka Husnijja, pocałowała go w rękę i życzyła szczęścia i spokoju.

– Pielgrzymka jest to powinność każdego, kogo na nią stać – powiedział As-Sajjid. – Trzeba obowiązku tego dopełnić za siebie i za wszystkich tych, którzy nie mogą jej odbyć.

– Niech ci pokój towarzyszy w drodze i tam w świętym miejscu – powiedział Amm Kamil. – Nie zapomnij przywieźć nam różańców ze świętego miasta.

– Nie jestem taki jak ten, kto obiecywał ci całun – odpowiedział As-Sajjid z uśmiechem. Amm Kamil roześmiał się i już miał zamiar wrócić do tego starego tematu, ale powstrzymała go ponura twarz Abbasa. As-Sajjid celowo wspomniał o całunie, żeby jakoś nawiązać rozmowę z Abbasem.

– Słuchaj mnie, Abbasie – powiedział – jak powinien słuchać młodzieniec, o którym wszyscy w zaułku wiedzą, że jest rozsądny i grzeczny. Wróć do At-Tall al-Kabir choćby dzisiaj. Pracuj tam i oszczędzaj, jeśli Bóg pozwoli, to zarobione pieniądze pozwolą ci ułożyć sobie nowe życie. Nie rozmyślaj, nie poddawaj się rozpaczom ani nie ulegaj gniewowi. Pamiętaj – nieszczęście, które cię spotkało, nie jest ostatnie i największe w twoim życiu. Masz dopiero trochę ponad dwadzieścia lat i to, co cię dotknęło, to mała część cierpień, jakie spotykają człowieka w życiu, to coś jak ból dziecka przy ząbkowaniu, odra itp. Jeżeli odważnie stawisz temu strapieniu czoła, to wyrośniesz na mężczyznę godnego tego miana i będziesz

później wspominał o tym z uśmiechem triumfu. Bronią swą uczynił cierpliwość i wiarę. Pracuj, zarabiaj pieniądze, a zapewne twoim udziałem stanie się radość wierzącego, który pojął, że kogo Bóg kocha, tego doświadcza.

Abbas nic nie odpowiedział, ale spostrzegł, że oczy As-Sajjida są ciągle zwrócone na niego, więc uśmiechnął się, udając zadowolenie, i wymamrotał na pół świadomie:

– Wszystko minie, tak jakby nic się nie stało.

As-Sajjid rozpromieniony zwrócił się z kolei do Husajna Kirszy.

– Witaj, spryciarzu naszego zaułka! Będę się modlił w ziemi, w której zostają wysłuchane wszystkie modlitwy, abyś wstąpił na drogę prawdy. Jeśli Bóg pozwoli, po powrocie znajdę cię już na miejscu twojego ojca, tak jak on tego pragnie. Niech będzie błogosławiony nasz nowy młody ma'allim.

W tym momencie odezwał się szajch Darwisz:

– As-Sajjidzie Radwanie, wspomnij także mnie w tej świętej ziemi. Wspomnij w modłach do Boga, że ten, który go kocha, jest zniszczony przez miłość, że stracił wszystko, co posiadał, dla tej nigdy niezaspokojonej miłości. Poskarż się zwłaszcza na to, co go spotyka od pani nad paniami, Sajjidy Zajnab.

As-Sajjid Radwan wyszedł z kawiarni w otoczeniu przyjaciół. Dwaj jego krewni postanowili towarzyszyć mu aż do Suezu. As-Sajjid skreślił w stronę przedsiębiorstwa, gdzie pochylony nad książkami siedział As-Sajjid Salim Ulwan.

– Bóg sprawił, że wyjeżdżam, pozwól niech cię obejmę – powiedział As-Sajjid Radwan.

Mężczyzna zdziwiony podniósł swoją zwiędłą twarz. Wiedział o wyjeździe As-Sajjida, ale nie ruszył się, aby go pożegnać. As-Sajjid nie przywiązywał wagi do tego lekceważenia. Jak wszyscy w zaułku znał jego zły nastrój i właśnie dlatego nie chciał wyjechać, nie

pożegnawszy się z nim. Salim Ulwan odgadł swój błąd i poczuł się skrępowany i zawstydzony, ale As-Sajjid wziął go w ramiona i długo ścisnął i całował, jakby nigdy nic.

– Miejmy nadzieję, że Bóg pozwoli nam odbyć pielgrzymkę razem w przyszłym roku – powiedział na koniec.

– Miejmy nadzieję, jeśli Bóg pozwoli – odparł bezwiednie Salim Ulwan.

Uściskali się jeszcze raz i As-Sajjid wrócił do czekających na niego przyjaciół. Odprowadzili go wszyscy do wylotu zaułka, gdzie już czekała dorożka wypełniona bagażami. Uścisnął gorąco ręce wszystkim odprowadzającym i wsiadł razem z krewnymi. Ruszyli w stronę Al-Ghurijji odprowadzani wzrokiem zebranych, a potem skręcili w stronę ulicy Al-Azhar.

Rozdział 34

Nic dodać, nic ująć, rada As-Sajjida Radwana al-Husajniego jest dobra – powiedział Amm Kamil do Abbasa. – Zbieraj manatki, zdaj się na opiekę Boską i jedź. Kiedykolwiek wrócisz, będę na ciebie czekał. Jeśli Bóg pozwoli, będziesz po powrocie największym fryzjerem w całej dzielnicy.

Abbas siedział na krześle przed sklepem, słuchając Amm Kamila i nic nie mówiąc. Nikomu nie wyjawiał swoich zamysłów, choć był już o krok od powiedzenia wszystkiego As-Sajjidowi Radwanowi. Zawahał się przez chwilę, ale podczas gdy As-Sajjid skierował słowa do Husajna Kirszy, szybko odstąpił od swojego zamiaru. Nie znaczy to jednak, że rada As-Sajjida nie trafiła do niego. Abbas zastanawiał się nad nią, ale plany niedzielne pochłaniały go zupełnie. Od tego dziwnego spotkania w kwaciarni minęła już noc i dzień, rozpatrywał wszystko wciąż od nowa i od nowa, w spokoju i cierpliwie. Doszedł do wniosku, że dalej kocha Hamidę, choć wszystkie więzy między nimi zostały już zerwane. Pragnienia zemsty na jej kochanku nie mógł w sobie zwalczyć. Słuchał w milczeniu rad Amm Kamila i wzdychał ciężko, jak człowiek nieszczęśliwy, stojący na skraju przepaści.

– Co postanowiłeś? – zapytał Amm Kamil.

– Zostanę tu jeszcze kilka dni, przynajmniej do niedzieli, a potem będzie, co Bóg zechce.

– Nie tak trudno znaleźć pocieszenie, jeśli się naprawdę tego chce.

– Masz rację – odpowiedział Abbas, wstając. – Do widzenia.

Postanowił pójść do kawiarni „Vita” gdzie zaraz po pożegnaniu As-Sajjida Radwana udał się Husajn Kirsza. Myśli miał niespokojne,

serce rozbite. Poczeka do niedzieli, to już niedługo, ale jak ma postąpić, kiedy nadejdzie ten moment? Wziąć na spotkanie sztylet i zatopić go w sercu rywala? Ale czy będzie zdolny do popełnienia zbrodni? Czy jego ręka potrafi zadać morderczy cios? Kręcił głową z powątpiewaniem. Cała jego przeszłość świadczy o łagodności charakteru. Co zrobi, kiedy nadejdzie niedziela? Zapragnął zobaczyć Husajna Kirszę, opowiedzieć mu o Hamidzie, poradzić się i poprosić o pomoc, przede wszystkim o pomoc, bo czuł się słaby i do niczego niezdolny. Pomyślał znowu o słowach As-Sajjida Radwana: „wracaj do At-Tall al-Kabir choćby zaraz. Nie poddawaj się rozpacz, nie ulegaj gniewowi”. Już prawie o nich zapomniał. Tak, czy nie lepiej zostawić całą przeszłość z jej smutkami i ruszyć odważnie i cierpliwie nową drogą, do pracy, w której znajdzie pocieszenie? Po co brać na swe barki ciężar niemożliwy do udźwignięcia? Po co narażać się na niebezpieczeństwa, z których najłżejszym jest więzienie? Zachwiały nim wątpliwości, ale nie powziął ostatecznej decyzji ani nie wyzbył się myśli o zemście. Bał się, że jeżeli odstąpi od tego, zerwie ostatecznie i tak słabą nić, która jeszcze wczoraj łączyła go z Hamidą. Nie chciał przyznać przed samym sobą, że jest zdolny przebaczyć jej nawet po tym wszystkim, co się zdarzyło. Wmawiał sobie, że wszystko między nimi skończone na zawsze, ale to uparte powtarzanie kryło pragnienie – może nieświadome – powrotu do Hamidy i przywrócenia tego, co zostało zerwane. Pod pokrywką zemsty ukrył miłość do kobiety, od której nie miał siły odejść. W tym stanie ducha wszedł do winiarni „Vita”, gdzie już trochę podchmielony siedział Husajn Kirsza i popijał czerwone wino. Abbas podszedł do niego i poprosił:

– Husajn, dosyć już wypileś, chodź ze mną, mam bardzo ważną sprawę.

Husajn uniósł brwi z niezadowoleniem, chcąc dać do zrozumienia przyjacielowi, że mu zakłóca błogostan, ale Abbas chwycił go za ramiona i podniósł z krzesła.

– Potrzebuję cię pilnie – nalegał.

Abbas potrzebował pilnie rady, a wiedział, że nie ma na co liczyć, kiedy przyjaciel będzie zupełnie pijany. Husajn westchnął zniecierpliwiony i wyszedł z nim z winiarni. Kiedy szli przez Al-Muski, Abbas wyrzucił z siebie, jakby zrzucając z piersi zmoreę:

– Znalazłem Hamidę.

– Gdzie?

– Pamiętasz tę kobietę w dorożce, za którą biegłem wczoraj? Pytałeś mnie dzisiaj o to, ale nie powiedziałem ci prawdy. To była Hamida.

– Pijany jesteś czy co? – krzyknął Husajn drwiąco.

– To prawda, to była Hamida z krwi i kości, poznałem ją od razu. Pobiegłem za dorożką, dogoniłem ją i rozmawiałem z Hamidą.

– Chcesz, żebym w to uwierzył?

Abbas westchnął smutno i zaczął opowiadać o tym, co się wczoraj zdarzyło, o całej rozmowie, niczego nie ukrywając.

– O tym ci chciałem powiedzieć – zakończył. – Hamida wpadła w bagno, z którego nie ma wyjścia, ale ja nie zostawię tego zbrodniarza bez kary.

Husajn patrzył na niego długo wzrokiem, który zbił Abbasa z tropu. Wiedział, że przyjaciel był z natury cyniczny i obojętny, ale przyszedł do siebie prędzej, niż się Abbas spodziewał.

– Przede wszystkim to Hamida zawiniła. Czyż nie uciekła z nim? Nie podporządkowała się mu? Co chcesz od niego? Wpadła mu w oko, uwiódł ją, bo okazała się łatwa, i zdobył to, co chciał. A potem wykorzystał ją i jej wdzięki w winiarniach. Na moje życie, jest to człowiek sprytny i chciałbym robić tak jak on; szybko bym się wydobył z tarapatów pieniężnych. To Hamida jest wszystkiemu winna.

Abbas dobrze znał przyjaciela i nie miał cienia wątpliwości, że Husajn zrobiłby to samo co jego rywal, dlatego nie potępiał prowadzenia się ani moralności mężczyzny, ale chciał pobudzić ambicję przyjaciela w inny sposób.

– Ale czy nie widzisz, że ten człowiek rzucił wyzwanie naszej godności i uczciwości i należy mu się nauczka?

Husajn zrozumiał, że Abbas robi aluzję do więzów braterstwa, jakie łączą go z Hamidą. Pomyślał o swojej siostrze, która została wsadzona do więzienia za podobny skandal, i rozzłościł się.

– Co to mnie obchodzi? Do diabła z Hamidą.

Ale to nie była prawda. Gdyby wtedy spotkał tego człowieka, rzuciłby się na niego jak tygrys. Al-Helu dał się zmylić i odpowiedział mu tonem pełnym wyrzutu:

– Czy to cię nie oburza, że jakiś mężczyzna w taki obrzydliwy sposób napada na dziewczynę z naszego zaułka? Przyznaję, że Hamida nie jest w porządku, ale to, co zrobił ten mężczyzna, woła o zemstę.

– Głupcze! – krzyknął Husajn. – Nie chodzi ci o obronę urażonej godności, ale zżera cię zazdrość. Gdyby Hamida chciała do ciebie wrócić, skakałbyś z radości. Co jej naopowiadałeś, ty durniu? Pewno się żaliłeś. Brawo, brawo! Co za mężczyzna! Dlaczego jej nie zabiłeś? Gdybym był na twoim miejscu, gdyby kobieta mnie zdradziła, uduśiłbym ją bez wahania, a potem zabiłbym jej kochanka. I zniknąłbym. Ot, co powinienesz zrobić, ty tumanie! – Jego ciemna twarz miała szatański wyraz. – Nie mówię tego, żeby się wymigać. To prawda, ten człowiek musi drogo zapłacić, i zapłaci! Pójdziemy razem na to spotkanie i pobijemy go, choćby to wymagało armii pomocników. Będziemy go bili dopóty, dopóki nie da nam wysokiego okupu. W ten sposób zemścimy się i zarobimy jednocześnie.

Abbas ucieszył się z nieoczekiwanego obrotu sprawy.

– To wspaniały pomysł! – powiedział z entuzjazmem. – Jesteś nieoceniony w trudnych sytuacjach.

Pochwała sprawiła Husajnowi przyjemność. Intensywnie myślał nad sposobem realizacji swojego planu, przynaglony próżnością i wrodzoną skłonnością do awantur oraz chęcią zgarnięcia większej sumy pieniędzy. „Do niedzieli niedaleko” – myślał. Doszli do placu Al-Malika Farida i się zatrzymali.

– Wracamy do winiarni „Vita” – zaproponował Husajn.

– A może byśmy poszli do tej winiarni, gdzie jesteśmy umówieni w niedzielę? Zobaczmy dokładnie, gdzie to jest – powiedział Abbas.

Husajn wahał się chwilę, po czym zgodził się i poszli szybkim krokiem. Słońce chyliło się ku zachodowi i jego światło rzucało już tylko lekkie cienie. Niebo ogarnął ten senny spokój, który zwiastuje nadejście nocy. Na ulicy zapaliły się latarnie. Potok ludzi, taki sam rano, jak i wieczorem, przelewał się po ulicach. Ziemia dudniła od dzwonków tramwajów, szumu samochodów, od krzyku sprzedawców, wycia syren, wreszcie od odgłosów ludzkiego tłumu. Husajn i Abbas, wyszedłszy z zaułka, przenieśli się ze snu na hałaśliwą jawę. Abbas oddychał z ulgą, zrzucił z piersi ciężar niezdecydowania dzięki odwadze przyjaciela. Jeśli chodzi o Hamidę, uzależnił wszystko od okoliczności, nie był w stanie podjąć jakiegokolwiek decyzji. Parę razy już miał zamiar zwierzyć się przyjacielowi ze swych myśli, ale jak tylko rzucił okiem na jego ciemną twarz, słowa grzęzły mu w gardle. Doszli do miejsca, w którym Abbas był poprzedniego dnia.

– To jest ta kwaciarnia, w której rozmawiałem z Hamidą – powiedział.

– A gdzie winiarnia?

Abbas wskazał drzwi w pobliżu. Poszli wolno w ich kierunku, a Husajn obserwował miejsce i okolice swoimi małymi, sprytnymi oczkami. Weszli do środka i ukazał się im tak dziwny widok, że Abbas krzyknął mimo woli i mięśnie twarzy mu stężały. Wypadki

potoczyły się tak szybko, że Husajn nie zdążył uchwycić ich sensu. Hamida siedziała w dziwnej pozie, otoczona tłumem żołnierzy. Jeden, który stał z tyłu, poił ją winem, pochylając się nad nią, a ona zwracała ku niemu głowę. Nogi trzymała na kolanach drugiego żołnierza, który siedział naprzeciwko. Wokół stało mnóstwo innych, pijących i rozbawionych. Abbas stał jak wryty, zapomniał o jej profesji, sytuacja go zaskoczyła. Krew w nim zawrzała, nie myślał już o rywalu, skoczył na środek winiarni jak oszalały i krzyknął:

– Hamida!

Dziewczyna zerwała się z krzesła i palającymi oczami spojrzała w kierunku, skąd dochodził głos. Przez sekundę trwała w zdumieniu, ale zaraz oprzytomniała i przeraziła się, że Abbas przez swoją głupotę może wywołać skandal.

– Już cię tu nie ma! – wrzasnęła. – Żeby cię tu więcej nie widziała!

To tylko dołało oliwy do ognia. Abbas nie miał już żadnych oporów, żadnych wahań. Gniew, męka i rozpacz, nagromadzone przez ostatnie dni, wybuchły teraz ze straszliwą siłą. Krzycząc i miotając się jak szalony, schwycił z pobliskiego stolika pustą butelkę po piwie i nie wiedząc, co robi, rzucił nią w Hamidę, zanim ktokolwiek zdołał mu przeszkodzić. Butelka trafiła Hamidę w twarz, krew pociekła z nosa, ust i brody, zmieszała się z kremem i pudrem i zalała jej szyję i sukienkę. Krzyk jej zmieszał się z rykiem rozwścieczonych, pijanych żołnierzy którzy rzucili się na Abbasa jak dzikie bestie. Poszły w ruch butelki, razy i kopniaki.

Husajn Kirsza stał w drzwiach winiarni, patrząc, jak jego przyjaciel jak piłka przetacza się między butami żołnierzy. Słyszał jego krzyk: „Husajn! Husajn!”, ale stał jak skamieniały. On, który nie stronił od bójek, nie wiedział, jak dostać się do Abbasa przez dziki, krwiożerczy tłum. Trząsał się ze złości, rozglądał wokoło, czy nie znajdzie jakiegoś kija, noża lub innego ostrego narzędzia, i

pozostał na miejscu bezsilny. A tymczasem przed winiarnią gromadził się tłum i przyglądał się walce w przerażeniu i osłupieniu.

Rozdział 35

Poranne słońce zajrzało już do zaułka, oświetlając ściany przedsiębiorstwa i salonu fryzjerskiego. Sunkur, chłopiec z kawiarni Kirszy, wyniósł wiadro wody i skropił ziemię. Zaułek otwierał kolejną kartę swojego monotonnego życia, a jego mieszkańcy witali ranek swoimi zwykłymi krzykami. Amm Kamil wyjątkowo o takiej wczesnej porze krzątał się już koło tacy z basbusa, otoczony chłopcami z pobliskiej szkoły podstawowej, i napychał sobie kieszeń millimami. Naprzeciwko stary fryzjer ostrzył brzytwy, piekarz Dżada niósł do piekarni ciasto na chleb zebrane w okolicznych domach, robotnicy otwierali wrota przedsiębiorstwa As-Sajjida Ulwana, narastał hałas, który miał trwać cały dzień. Ma'allim Kirsza usadowił się za kasą, żując coś i popijając kawę. Nieopodal usiadł szajch Darwisz zatopiony, nieobecny. Pani Sanijja Afifi stała w oknie, żegnając młodego męża udającego się do pracy na posterunek policji. W ten sposób zaczynało się zwykle życie w zaułku, monotonne i jednostajne, zakłócone czasem zniknięciem dziewczyny lub uwięzieniem kogoś z mieszkańców. Były to plamy, które szybko rozplýwały się i znikły na spokojnych, śpiących jego wodach i wieczorem nie pamiętano już przeważnie o tym, co zdarzyło się rankiem. O świcie tego spokojnego dnia przyszedł do zaułka Husajn Kirsza z oczami zaczerwienionymi, z twarzą ponurą. Wszedł ciężko do kawiarni i rzucił się na krzesło, zmęczony, nie pozdrawiając nikogo.

– Ojczy, zabili Abbasa al-Helu – powiedział beznamiętnym głosem.

Ma'allim Kirsza szykował się właśnie, żeby mu wygarnąć za tę noc poza domem, ale słowa zamarły mu na ustach. Wpatrywał się w Husajna tępo, jakby nie rozumiejąc tego, co usłyszał.

– Co powiedziałaś? – zapytał wreszcie, nie dowierzając.

– Zabili Abbasa al-Helu. Anglicy. – Splunął i opowiedział ojcu rozmowę, jaką miał z Abbasem, kiedy wczoraj przed zachodem słońca spacerowali po ulicy Al-Muski. – Chciał mi pokazać winiarnię, w której umówił się z tą przewrotną dziewczyną. Zaledwie przestąpiliśmy jej próg, kiedy zobaczył tę kurwę łajdaczącą się z tłumem żołnierzy. Stracił panowanie nad sobą, wpadł na środek sali i uderzył ją butelką w twarz, zanim się połapałem, co chce zrobić. Żołnierze się wściekli, rzucili się na niego i bili, i kopali dopóty, dopóki nie przestał się ruszać. – Husajn zacisnął pięści i zgrzytnął zębami. – Do diabła, nie mogłem w żaden sposób pośpieszyć mu na ratunek. Przeszkodził mi gęsty tłum żołnierzy, który zatarasował drzwi. Och, żeby moja ręka mogła dosięgnąć szyi choćby jednego z tych przeklętych.

Husajn nie mógł przyjść do siebie. Zwijał się ze wstydu, bezsilność doprowadzała go do pasji.

– Nie ma większej potęgi nad Boga – powiedział mu ma'allim Kirsza. – Co z nim zrobiliście?

– Policja przyszła już po wszystkim i nie wiadomo po co otoczyli winiarnię. Zabrali go do szpitala Kasr al-Ajni, a tę kurwę do karetki pogotowia.

– Też zabita?

– Nie sądzę, chyba to nie było śmiertelne uderzenie. Zabili Abbasa za nic.

– A Anglicy?

– Jak wychodziliśmy, otoczyła ich policja, ale kto może ich sądzić?

– Należymy do Boga i do Niego wrócimy – powiedział ma'allim Kirsza.

– Czy rodzina chłopca już o tym wie? Idź szybko, zawiadom jego wuja Amm Hasana al-Kabakibi na Al-Churunfusz. Wszystko się dzieje z woli Boga.

Husajn podniósł się ciężko i wyszedł. Wiadomość rozeszła się szybko. Ma'allim Kirsza opowiadał i opowiadał bez końca historię usłyszaną od syna, a ludzkie języki przenosiły ją dalej, dodając, co się komu podobało. Amm Kamil, na którego wiadomość ta spadła jak grom z jasnego nieba, rzucił się na kanapę i szlochał jak dziecko. Nie mógł uwierzyć, że chłopca, który przygotował dla niego całun, nie ma już wśród żywych. Umm Hamida wyszła z domu, łkając i krzycząc, ale złośliwi twierdzili, że oplakiwała nie ofiarę, ale morderców. Najbardziej chyba poruszony był As-Sajjid Ulwan, ale nie z żalu po zabitym, tylko ze strachu przed śmiercią, która znów wtargnęła do zaułka i rozbudziła jego lęki, przywiodła czarne myśli, przypomniawszy mu chorobę, agonię, śmierć i grób. Chodził w tę i z powrotem po biurze, przerażony, nie mogąc znaleźć sobie miejsca, albo wychodził na ulicę i patrzył na salon fryzjerski, który przez tyle lat był własnością Al-Helu. Z powodu upałów przestał pić ciepłą wodę, ale teraz rozkazał służącemu, żeby mu ją podgrzał jak w zimie. Przeżywał ciężkie godziny strachu. Płacz i jęki Amma Kamila szarpały mu nerwy.

Ale w końcu i ta bańka mydlana pękła jak poprzednie i na zaułek spłynęło znowu dobrodziejstwo zapomnienia i obojętności. Jak zwykle płakano rankiem, jeżeli był powód do płaczu, i śmiano się wieczorem, a drzwi i okna skrzypiały rano, kiedy je otwierano, i wieczorem, kiedy je zamykano. Nic interesującego się nie działo poza tym, że pani Sanijja Afifi nalegała, żeby opróżnić mieszkanie doktora Buszi, a Amm Kamil zgodził się przenieść jego meble i narzędzia do swoich dwóch pokoi. Komentowano to w ten sposób, że Amm Kamil wolał już mieszkać z doktorem Buszi niż w samotności, do której nie mógł się przyzwycząić. Zresztą nikt mu tego nie miał za złe,

przeciwnie, policzono mu to za dobry uczynek, jako że nikt w zaułku nie uważał więzienia za coś hańbiącego człowieka.

Mówiono też, że Umm Hamida pogodziła się z córką, która wróciła do zdrowia. Zresztą już od dawna marzyła o tym, żeby skorzystać z bogactwa Hamidy. Potem nagle zaułek ożywił się, kiedy do mieszkania po doktorze Buszi wprowadziła się rodzina jakiegoś rzeźnika. Rodzina ta składała się z rzeźnika, jego żony, siedmiorga dzieci i ślicznej dziewczyny, o której Husajn Kirsza powiedział że przypomina tarczę księżyca.

A kiedy zbliżał się termin powrotu As-Sajjida Radwana al-Husajniego ze świętego kraju Al-Hidżazu, nikt już w zaułku nie myślał o niczym innym. Zawieszono kolorowe lampiony, obwieszono zaułek plakatami, posypano ziemię piaskiem i wszyscy przeżyli noc radości, którą potem długo jeszcze wspomniano.

Pewnego dnia szajch Darwisz zauważył, że Amm Kamil żartuje ze starym fryzjerem. Podniósł wtedy oczy do nieba i powiedział:

Wszak Bóg w swej wielkiej mądrości
dał człowiekowi łaskę zapomnienia,
a sercu jego dał łaskę zmienności,
bo serce jak księżyc oblicze odmienia.

Twarz Amm Kamila spochmurniała, a oczy napełniły się łzami. Ale szajch Darwisz wzruszył ramionami lekceważąco i znowu wyrecytował:

Kochającemu nietrudno umierać,
miłości od śmierci nie sposób oddzielać.

Po czym westchnął mówił dalej:

– O, pani nad paniami! Ty, która spełniasz wszystkie prośby, zlituj się nad nami. Litości, o Rodzino Proroka! Klnę się na Boga, że będę cierpliwy aż do śmierci. Przecież na wszystko przychodzi kres. Ależ tak, wszystko ma swój koniec, po angielsku *end*, a pisze się to: *e-n-d...*

Słowniczek terminów arabskich

abaja – codzienny arabski strój męski; rodzaj płaszcza bez rękawów.

Abbas II Hilmi Pasza (1874-1944) – władca Egiptu w latach 1892-1914, chedyw.

Abu Zajd Al-Hilali – bohater plemienia Banu Hilal, które toczyło walki z Berberami w Afryce Północnej w XI wieku; także bohater eposu ludowego *Sirat Bani Hilal*.

Adli Jakim Pasza – polityk egipski, jeden z liderów partii Wafd w latach dwudziestych XX wieku.

„**Al-Ahram**” – dziennik egipski założony w 1871 roku, ukazujący się do dziś.

alimowie – uczeni muzułmańscy, prawnicy lub teologowie.

Antara Ibn Szaddad – jeden z najsławniejszych poetów przedmuzułmańskich (druga połowa VI wieku), ucieleśnienie ideału Araba-beduina, bohater sławnego eposu rycerskiego *Sirat Antara*.

Al-Azhar – sławny meczet i uniwersytet muzułmański w Kairze założony w 972 roku; także nazwa ulicy w starej części Kairu.

Bab Al-Achdar – Brama Zielona, dzielnica w starej części Kairu.

Bab an-Nasr – Brama Zwycięstwa, wielka brama w północnej części murów miejskich w Kairze; przechodzą przez nią pielgrzymi udający się do Mekki.

„**Al-Bakuka**” – egipski tygodnik satyryczny; przestał wychodzić w latach pięćdziesiątych XX wieku.

Banu Hilal – plemię arabskie, które w pierwszych wiekach islamu wywędrowało z Półwyspu Arabskiego do Syrii, następnie do Egiptu i w XI wieku dalej na zachód, do Afryki Północnej.

basbusa – egipski przysmak, rodzaj ciasta z miodem i bakaliami.

basmała – skrót od: *Bi ismi Allahi Ar-Rahmani Ar-Rahimi* (w imię Boga Litościwego, Miłosiernego). Tymi słowami zaczyna się Koran i tymi słowami muzułmanie rozpoczynają zwykle pracę i różne przedsięwzięcia.

Basza (osm.-tur. *pasza*) – tytuł wysokich dostojników wojskowych i cywilnych w krajach Imperium Osmańskiego. W niektórych krajach, np. w Jordanii, Libii, Sudanie, istnieje do dziś, w Egipcie został zniesiony w 1952 roku.

bek (tur. *beg, bej*) – pan, naczelnik, książę, tytuł nadawany w Imperium Osmańskim wyższym urzędnikom cywilnym i wojskowym; tytuł władców Tunezji w czasach panowania tureckiego, a potem francuskiego. W Egipcie rzadko używany do dziś.

bisara – potrawa egipska przyrządzana z bobu, cebuli i jarzyn, przyprawiana na ostro.

chamsin (arab. *chamsun* – pięćdziesiąt) – silny, gorący i suchy wiatr z południa wiejący w Egipcie w okresie od kwietnia do czerwca oraz we wrześniu i październiku. Wieje zwykle pięćdziesiąt godzin bez przerwy.

al-chawadża – pan, w odniesieniu do cudzoziemców nie-Arabów, zwłaszcza Żydów.

chedyw – w latach 1867-1914 tytuł gubernatorów Egiptu nadany po raz pierwszy Isma'ilowi Paszy przez tureckiego sułtana Abdul Aziza.

dżubba – płaszcz z szerokimi rękawami noszony głównie przez szajchów i alimów.

efendi (tur.) – pan; w krajach arabskich właściciel ziemski lub urzędnik; w Egipcie często człowiek wykształcony.

fakih – uczony w prawie muzułmańskim; potocznie: nauczyciel szkółki koranicznej; tutaj: zawodowy recytator Koranu.

Al-Fatiha – pierwsza sura Koranu, dosłownie „Otwierająca”.

feddan – miara powierzchni równa 4201 m².

ful – popularna egipska potrawa (w biedniejszych domach codzienna), przyrządzana z bobu gotowanego na półgęsto.

galabija (lub gilbab; arab. klas. *dżallabijja* lub *dżilbab*) – codzienny arabski strój męski i kobiecy, rodzaj długiej do kostek sukni z długimi, rozszerzonymi u dołu rękawami (w Maroku często z kapturem).

hadis – krótkie opowiadania, informacje o słowach i czynach proroka Muhammada lub jego Towarzyszy, które miały pomagać w interpretacji niektórych przepisów religijnych i prawnych, zbyt zwięźle lub nie dość jasno sformułowanych w Koranie. WIX wieku powstały obszerne zbiory tzw. zdrowych autentycznych hadisów, z których dwa: Al-Buchariego i Muslima, cieszą się wielkim autorytetem jako zbiory przepisów prawno-moralnych i obyczajowych.

hadżdż – zwyczajowy tytuł muzułmanina, który odbył pielgrzymkę do Mekki.

hammam – łaźnia publiczna.

hanafici – zwolennicy jednej z czterech ortodoksyjnych szkół prawa muzułmańskiego, której twórcą był Abu Hanifa (VIII w.).

Al-Hasan – brat Al-Husajna, podobnie jak on pozbawiony kalifatu przez uzurpatorów Umajjadów.

helu (arab. klas. *huluw*, *hilw*; rdzeń *hlw*) – słodki.

hidżra – wyjście proroka Muhammada z Mekki do Medyny; początek ery muzułmańskiej.

Al-Husajn – syn kalifa Alego i Fatimy, córki proroka Muhammada, zamordowany w bitwie pod Karbalą (680 r.) w walce o kalifat z Mu'awijją, założycielem dynastii Umajjadów, czczony przez szytów.

ifrit – zły duch; w wierzeniach ludowych dusza człowieka, który zmarł nagłą śmiercią i nie został należycie pochowany.

iftar – w ramadanie pierwszy posiłek wieczorem po całym dniu postu.

imania – męskie nakrycie głowy, turban.

karo – czworokątna platforma na kołach ciągniona zazwyczaj przez osła lub konia.

kif – haszysz.

kuhl – proszek antymonowy używany powszechnie przez kobiety w krajach arabskich do czernienia oczu (także w czasach dzisiejszych).

kurni – towarzyska gra w karty.

Al-Kursi – Werset Tronu, II sura, werset 255 Koranu.

ma'allim – szef, kierownik.

Al-Makam – mały budynek w Mekce w pobliżu Al-Kaby ze śladami stóp Abrahama, miejsce odwiedzane przez pielgrzymów.

milaja – prostokątny, kilkumetrowy, przeważnie czarny kawałek tkaniny, którym kobiety egipskie owijają się od stóp do głów.

millim – jednostka monetarna równa 1/100 piasra lub 1/1000 funta egipskiego.

Al-Malika Farida plac – plac Królowej Faridy w starej części Kairu w pobliżu meczetu Al-Azhar.

„**Al-Misri**” – popularny egipski dziennik; nie wychodzi od 1952 roku.

mufattaka – rodzaj marmolady z owoców z dodatkiem sezamu.

inughas – pożywny, słodki napój przyprawiony cynamonem.

Mustafa Nahhas – polityk egipski, wielokrotny premier rządu egipskiego w latach 1926 – 1950, reprezentant partii Wafd.

nargile – długa fajka wodna używana na Bliskim Wschodzie.

Noc Przeznaczenia – noc w ramadanie wymieniona w Koranie jako ta, w czasie której został objawiony Koran. Opisana jest też w Koranie jako noc, w której aniołowie zstępują na ziemię i która przynosi błogosławieństwo. Modły zanoszone do Boga tej nocy zostają wysłuchane. Powiedzenie „urodziłeś się w Noc Przeznaczenia” odpowiada polskiemu „w czepku urodzony”.

ramadan – dziewiąty miesiąc kalendarza muzułmańskiego, miesiąc postu, który jest obowiązkiem każdego muzułmanina po ukończeniu dziesięciu lat z wyjątkiem okresu choroby, menstruacji, ciąży, podróży dłuższej niż trzy dni, ciężkiej pracy fizycznej. Post w ramadanie oznacza całkowite powstrzymanie się od jedzenia, picia, palenia tytoniu oraz stosunków seksualnych od wschodu do zachodu słońca.

rubab – strunowy instrument muzyczny.

Sad Zaghlul (zm. 1926) – polityk egipski, założyciel i przywódca partii Wafd, zasłużony w walce o niepodległość kraju.

As-Sajjid (arab. pan) – bywa często częścią nazwiska, zwłaszcza osób znanych i szanowanych.

Sajjida Zajnab – wnuczka proroka Muhammada, córka Fatimy i Alego; w Kairze znajduje się meczet pod jej wezwaniem i dzielnica jej imienia.

Sidki Pasza – polityk egipski, w latach dwudziestych lider partii Asz-Szab, premier rządu egipskiego w latach 1930 -1933.

sufi – mistyk muzułmański; tutaj: pobożny szajch.

szahada – muzułmańskie wyznanie wiary słowami: zaświadczam, że nie ma boga innego niż Bóg, a Muhammad jest prorokiem Boga.

Asz-Szarani – uczony egipski z XVI wieku, mistyk.

Święto Ofiar (arab. *Id al-adha*) – rozpoczyna się 10. dnia miesiąca *zu al-hidżdża* (12. miesiąc kalendarza muzułmańskiego) na zakończenie pielgrzymki do Mekki. Jest ono obchodzone dla uczczenia dnia, w którym pielgrzymi składają ofiary ze zwierząt w dolinie Mina w Mekce. W zasadzie każda rodzina muzułmańska powinna w tym dniu zabić barana na ofiarę.

szajch – dosłownie starzec. Pierwotnie tytuł ten nadawano wodzowi plemienia beduińskiego. Obecnie nosi go każdy, kto uzyskał wyższą pozycję w społeczeństwie: naczelnik wsi, gminy, dzielnicy itp. lub ogólnie szanowana osoba.

takijja – mała, okrągła czapeczka noszona przez mężczyzn pod turbanem lub bez niego.

tarbusz – męskie nakrycie głowy w kształcie ściętego stożka, z czarnym, jedwabnym chwostem zwisającym ze środka denka. W krajach arabskiego Wschodu tarbusz nosi się w różnych odcieniach czerwieni, w Maghrebie – czarny; fez.

turmus – jadalne ziarna łubinu.

ustaz – dosłownie nauczyciel, profesor; tak się tytułuje profesora na wyższej uczelni, człowieka wykształconego, mistrza w swoim fachu, ważną osobistość.

Wafd – partia założona w 1918 roku przez Sada Zaghlula, skupiająca patriotów egipskich walczących o niepodległość kraju.

wakf – fundacja religijna służąca finansowaniu meczetów i instytucji religijnych.

zadzal – rodzaj ballady ludowej śpiewanej w języku potocznym, popularny w końcu IX wieku w arabskiej Hiszpanii, przetrwał do dziś.

Zamzam – nazwa świętej studni znajdującej się w Świętym Meczece w Mekce. Odwiedzają ją pielgrzymi przybywający do Mekki w celu rytualnego obmycia się jej wodą, która ponadto uważana jest za lekarstwo na wszystkie dolegliwości.

zikr – wspólne powtarzanie pewnych rytualnych formuł lub recytacja 99 atrybutów Allaha, wykonywane w określonym rytmie. Zikr jest to część rytuału różnych zakonów derwiszów, środek, za pomocą którego można osiągnąć stan egzaltacji duchowej, umożliwiający duchowe połączenie się z Bogiem. Praktykowany jest także przez wiernych w ramadanie lub po powrocie z pielgrzymki do Mekki.